

RADOSŁAW
LEWANDOWSKI



WIKINGOWIE

NAJEŹDZCY
Z PÓŁNOCY

RADOSŁAW
LEWANDOWSKI



WIKINGOWIE

NAJEŹDZCY
Z PÓŁNOCY



Ilustracje oraz projekt okładki: *Tomasz Maroński*

Redakcja: *Jacek Ring*

Redakcja techniczna: *Anna Sawicka-Banaszkiewicz*

Skład wersji elektronicznej: *Robert Fritzkowski*

Korekta: *Elżbieta Steglińska, Barbara Milanowska (Lingventa)*

Copyright © for the text by Radosław Lewandowski

© for this edition by MUZA SA, Warszawa 2016

Cytaty z książki: *Edda poetycka*, przekład i opracowanie Apolonia Załuska-Stromberg, Wrocław 1986.

Druk dzięki uprzejmości Zakładu Narodowego im. Ossolińskich.

ISBN 978-83-287-0412-1

Wydawnictwo Akurat

Wydanie I

Warszawa 2016

Tobie, Czytelniku.

*My, piszący, tworzymy mapy,
ale to w Twojej głowie rodzą się światy.*

*Wesoł ma być mąż i miły dla gości,
Mądry – dla własnej korzyści,
I pamięć ma mieć dobrą, by go rozumnym mieniono,
Wesołe gadki często niech opowiada;
Bałwan zwię się ten, co mówić nie umie –
To jest głupiego znamię.[1]*

Spis treści

Wikingowie. Najeźdźcy z Północy

Posłowie

Dodatek

Sosna na skale schnie i umiera,

Igliwie nie chroni ni kora;

Tak jest z człowiekiem, którego nikt nie kocha,

Po co ma żyć długo?

To był pierwszy śnieżny poranek w tej obcej krainie. Świeży puch niemal w jednej chwili przykrył wszystko cienką warstwą i świat nałożył na swoje wielobarwne, roześmiane oblicze białą maskę. Młody wiking szedł na zachód, stawiając równe kroki człowieka nawykłego do długich pieszych wędrówek. Z każdą chwilą oddalał się od wybrzeża, okrętów i, na bogów, tylko dzięki temu uszedł z życiem! Uciekał. Jedna myśl, choć odpędzana, uparcie wracała niczym giez do końskiego zadka: Przybyliśmy tu czterema knörrami, zdolnymi pomieścić pięćdziesięciu ludzi każdy, a teraz...

Za plecami miał martwych lub umierających rodaków, dla których na tym świecie nie było już ratunku. Stawali już zapewne przed Jednookim, który najdzielniejszych z nich przyjmie do swojej drużyny w Walhalli. Resztę czeka marny, nudny i niegodny sagi los.

Oddział pościgowy konunga Eryka spadł na nich niczym sokół na mysz albo wróbel na dorodne ziarno i większość wybił jeszcze we śnie. To była rzeź, gdzie dwóch stawało przeciwko jednemu i to na wół uzbrojonemu, gdzie powinowaty w służbie jarla zabijał krewnego, który pozostał wierny kuzynowi władcy. Może i bogowie nie pochwalają przelewu bratniej krwi, ale Asowie lubią patrzeć na tłukących się ludzi, tak jak gapie przepadają za widokiem tańczących białych niedźwiedzi czy biegających po linie karłów. Nie odmówili sobie i tym razem, napuszczając wzajem dwa oddziały szwedzkich wojów.

Wysoki młody mężczyzna zadrzał i bezwiednie pogładził dłonią rękojeść miecza. Czuł pod palcami płytkie rowki, które powstały na skutek tysięcy spotkań spoczonej dłoni z grubymi pasami świńskiej skóry. Pomogło. Solidny kawał ostrego żelaza przy boku jest niczym ogień i róg z piwem zimą, koń na pustkowiu, chętna dziewczka pijanym wieczorem i ramię przyjaciela w potrzebie. Nieco już spokojniejszy sięgnął myślami poza ostatnie, pełne zamieszania, strachu i... wstydu godziny.

Przybili do tego dzikiego, nieznanego lądu po wielu doegrach morskiej tułaczki. Musieli gdzieś przeczekać zimę, więc rozpoczęli budowę domów. Nie były to typowe hofy, utworzone z wbitych w ziemię bali, zwieńczone dachem krytym gontem, ale ziemianki, których większa część znajdowała się poniżej linii traw i mchów. Kilka dni temu rosnąca w oczach osada była jeszcze pełna życia i śmiechu, sprośnych docinków i poklepywania co dorodniejszych niewolnic po tyłkach. To wtedy stary Vingor, żłobiąc runy wysoko w nabrzeżnej skale, które miały być drogowskazem i przesłaniem dla potomnych, zobaczył w głębi lądu dym ogniska. Cienka smużka wiła się zakosami, wypływając spomiędzy wysokich sosen niczym węgorz w przybrzeżnych szuwarach. Ponad czubkami drzew porywisty wiatr błyskawicznie wciągał sine pasma i rozszarpywał na strzępy. Jednak stary był pewien, że do powstania tego dymu przyczyniła się ludzka dłoń. To musieli być miejscowi, zapewne leśni ludzie, czyli skogarmadrowie, jak ich nazywał, jako że Normanowie nie byli jedynymi mieszkańcami tej części Winlandii, krainy, do której dotarli dzięki dokładnym instrukcjom kupca Bjarniego Herjolfssona.

Vingor podzielił się swoim odkryciem z młodym podopiecznym i tylko z nim, bo jak wówczas powiedział: Im mniej ludzi wie o ukrytej zatoczce, tym większa szansa, że ujrysz jeszcze schowaną tam łódź.

– Dlaczego nie powiesz tego braciom, starcze? – dopytywał się wtedy chłopak. – To obcy dla nas ląd, mogą tu grasować nie tylko ludzie, ale i potwory, trolle, bękarty Thursów, bogowie wiedzą co jeszcze.

– To ludzie, synku, a mówię o tym tylko tobie, bo dożyłem sędziwych lat nie dlatego, że władałem

toporem lepiej niż moi martwi towarzysze wypraw na wiking czy strandhogg, ale ponieważ potrafiłem wybiec myślą do przodu, co i tobie polecam. – Potem, pomimo nagabywań młodzieńca, nie wyrzekł już ani słowa na ten temat. Wrócił do wycinania runów i jedynymi odgłosami, które dochodziły od strony ogromnego skalnego palucha, było stukanie młota uderzającego o stalowe dłuto i od czasu do czasu syk bólu i przekleństwa, gdy rzeźbiarz nie trafił narzędziem tam, gdzie zamierzał.

Tak więc teraz właśnie w stronę owego dymu, w kierunku żywych istot, zmierzał Oddi – syn Asgota z Czerwoną Tarczą – a właściwie to uciekał z pogromu z podkulonym ogonem. Był sam niczym baran, którego braci i siostry zarżnięto na królewską ucztę, nie wiedział też, czy zmierza ku przyjaciółom, czy włochatym łapom właściciela jatki. Przy ogniskach wcale nie należały do rzadkości opowieści o skogarmadrach zjadających innych ludzi.

Nagle wielka drewniana belka zaczęła wysuwać się spomiędzy podtrzymujących ją gałęzi w koronie rozłożystego drzewa, a na ziemię posypały się drobiny dziewiczego śniegu. Zaskoczony hałasem młody wędrowiec zamarł na mgnienie oka i to wystarczyło. Rzemienne pętla zacisnęła się na jego kostce z taką siłą, że poczuł ostre smagnięcie bólu jak po przyłożeniu do nagiej skóry rozgrzanego do czerwoności pręta. Potem jakaś ogromna siła wyrwała mu grunt spod stóp. Zdążył jeszcze poczuć, jak uderza tyłem głowy w wystający korzeń, i świat okrył się nieprzeniknioną czarną mgłą. Bölthorn – Cierń Zła – wziął go w swoje władanie i zapewne przez nieuwagę – choć kto wie, bo to złośliwa bestia – zbyt mocno przydzwonił magiczną laską zsyłającą na człowieka sny.

Oddi przez jakiś czas wisiał głową w dół, bujając się niczym świerk targany silnym podmuchaem skrzydeł siedzącego na północnym skraju niebios orła Hraeswelga, nim kowal tłukący w jego łepetynie wielkim młotem o jeszcze większe kowadło walnął za którymś razem tak mocno, że młodzieniec wrócił do świata żywych. Oplecionej powrozem stopy nie czuł zupełnie, gęba paliła, jakby włożył ją do gorącej wody, przed oczami latały czerwone plamy, a pod skórą biegały mrówki. Jakby tego było mało, z rozciętej głowy na ziemię kapały gęste czerwone krople krwi.

– Na Odyna. – Usta miał chyba przymrożone, wargi nie chciały układać słów. Zresztą kogo wołać na pomoc, wiewiórki? Wiedział, że wpadł w starą pułapkę i to pewnie zastawioną jeszcze przed rzezią przez któregoś z braci. Może nie tylko on jeden uszedł tego dnia śmierci? Nieśmiała iskra nadziei zatliła się w sercu młodzieńca, ale zgasła równie szybko. Jeśli nawet, to na pewno woleli zemstę i chwalebny śmierć od ucieczki, czego nie można powiedzieć o mnie, pomyślał.

Sięgnął do pasa po nóż, ale pętla była pusta, a ostry saks leżał na ziemi, daleko poza zasięgiem długich rąk. Czerwony Ślad, miecz, który dostał od Vingora w wieczór poprzedzający krwawy świt, również wysunął się ze skórzanej pochwy i błyszczał teraz wśród przyprószonego śniegiem rdzawoburego mchu niczym gwiazda na niebie. Jak i ona był niedostępny. Najbliżej leżał topór, ale Oddi ledwie zdołał musnąć go czubkami palców, popychając tym samym jeszcze dalej, więc o pochwyceniu nie było mowy.

Cóż począć, pomimo słabości w członkach powoli, z grymasem bólu na czerwonej twarzy zaczął zginać się wpół, by w końcu uchwycić zębami sploty krępującego stopę rzemienia. Lina była naprężona pod ciężarem ludzkiej zdobyczy i sztywna niby kij. Od tego wiszenia skóra na dłoniach przypominała podeszwę dobrego buta, a palce miały problem z mocnym uściskiem, ale młodość i wola życia to potężni sprzymierzeńcy. Na szczęście rzemień był stary i miał wiele mniejszych i większych węzłów i zgrubień. Kowale, bo było ich już co najmniej kilku, przystąpili do pracy ze zdwojoną energią, jednak po chwili głośnie łupanie rozbrzmiewające w łepetynie zmieniło natężenie i przypominało odgłos fal rozbijających się o oddalony brzeg. Nie minęło dziesięć oddechów, a pozostało jedynie delikatne pulsowanie. Silne ramiona z trudem, ale wytrwale pięły się w górę, ciało jednak niezmiennie pozostawało w tej samej

pozycji.

Nie da się, będąc człowiekiem, dokonać niemożliwego, więc już po kilku chwilach zrezygnowany młodzieniec znowu bujał się na końcu skórzanej liny niczym ryba na haczyku tuż po wyciągnięciu z wody. Gdy w końcu nadszarpnięty zębem czasu rzemień pękł, ziemia głucho jęknęła pod ciężarem młodzieńca, a może był to dźwięk ulgi, który Oddi wypluł z siebie zaraz po tym, gdy szczęknęły mu zęby.

Długo trwało, nim do kulasa powróciło czucie: najpierw drobnymi nakłuciami, potem falą żywego ognia. Na głowie zrobił się solidny strup albo młodemu wojowi skończyła się już krew, bo nie czuł jej nowych kropli na policzku.

– Masz nauczkę, trupi zadku – rzucił do siebie bardziej zły niż przestraszony. – Patrz, piętogryzie, gdzie stawiasz stopy, póki masz co stawiać. – Mrużąc pod nosem obelgi pod własnym adresem, bo na przeklinanie bogów nie starczało mu odwagi, zebrał niezdarnie porozrzucany ekwipunek i przezornie dołożył doń rzemień z wnyków, ten sam, który o mało nie zakończył w tym miejscu jego wędrówki. Samotnemu człowiekowi w obcej krainie wszystko może się przydać.

Kilka razy odetchnął głębiej, żeby uspokoić myśli, i utykając, ruszył w dalszą drogę. Idąc, strofował się dalej za brak ostrożności, gdy nagle jeden z krzewów ożył i z rytmicznym dudnieniem pogalopował w głąb bezlistnego o tej porze roku lasu. Młodzieńca oblał zimny pot, bo niemal wszedł na stojącego w bezruchu wśród krzaków i gałęzi dyr – karibu, którego gęste poroże i białobrazowe umaszczenie prawie zupełnie zlały się z otoczeniem. Gdyby to był drapieżnik, troll lub wrogo nastawiony tubylec, ta wyprawa zakończyłaby się nim tak naprawdę się rozpoczęła. Szedł więc dalej, utyskując pod nosem, że bogowie nie stworzyli człowieka z oczami, z których każde może patrzeć w inną stronę, a trzecie do środka głowy, tam, gdzie kłębią się ludzkie myśli. Nie trwało to jednak długo, albowiem przeżycia ostatnich miesięcy były tak żywe, że odgonione wracały niczym muchy do stołu rzeźnika albo długi, albo niewolnice, które wolny mężczyzna przygarnia na jedną pijaną, zimną noc, a im się wydaje, że to coś więcej.

Wspominał ucieczkę po przegranej bitwie o Birkę, bitwie, która miała być początkiem drogi do Uppsali i władzy nad Szwedami, a stała się pogrzebem dla armii i ambicji ojca, Asgota z Czerwoną Tarczą. Renegat, ratując własną skórę, pozostawiwszy dalszych i bliższych krewnych na pastwę zwycięzców, wsiadł wraz z niedobitkami i pochwyconymi w osadzie niewolnicami na cztery ocalałe kupieckie kaupskipy i uciekł, jakby mu ktoś chciał zanurzyć męskie atrybuty w gorącej smole. W rodzinnej osadzie, w wielkim hofie zostały jego żona Helda i córka Jofrida. Marny los czekał te dwie niewiasty, być może nawet gorszy od śmierci, ale nie można było ich wtedy uratować. Dom i Birkę dzieliło wiele dni drogi i armia powracającego ze zwycięskiej wyprawy konunga Eryka. Oddi każdego ranka podczas pierwszej modlitwy do bogów solennie obiecywał, że wróci i wyrwie z rąk zdobywców ten łup. A gdyby czekały na niego zimne i pohańbione trupy, pomści ich śmierć, choćby za cenę własnego życia. Niekiedy też, tuż przed zaśnięciem, widział swoją siostrę i matkę w tłumie podpitych brodatych postaci, jak spętane rzemieniami... To były straszne obrazy i odpędzały sen niczym lodowaty deszcz padający na gołą głowę. Wtedy, przewracając się z boku na bok, jakby spał na kamieniach, przez pół nocy nadaremnie próbował je odpędzić, a rano budził się niewyspany i z potwornym bólem czerepu.

Popłynęli więc w nieznaną, by po wielu dniach żeglugi dotrzeć do obcego lądu. No może tak niezupełnie w nieznaną, gdyż jarl dysponował instrukcjami żeglarskimi dobrego kupca, niejakiego Bjarniego Herjolfssona, i to dzięki nim dane im było po raz kolejny w życiu ujrzeć ląd.

Pierwszą napotkaną krainą była Hellulandia, nosząca taką nazwę, bo poza głazami i gniazdami ptaków nie miała ludziom nic do zaoferowania. Któryś z marynarzy zażartował wówczas, że bogowie, gdy

skończyli tworzyć nasz świat z ciała olbrzyma Ymira, zgarnęli resztki na wielką szufłę i usypali z nich właśnie Hellulandię, Krainę Płaskich Kamieni. Nie było tu czego szukać, chyba że miało się skrzydła.

Wymęczeni podróżnicy obrali południowo-wschodni kurs i płynęli dalej wzdłuż wybrzeży nieznanego łądu. Po dwóch doegrach żeglugi ich oczom ukazały się piaszczyste plaże pełne wylegających się fok, przechodzące w głębi łądu w bujne lasy iglaste. Właśnie z uwagi na obfitość drzew miejsce to, jak wynikało z instrukcji Bjarniego Herjolfssona, nosiło nazwę Marklandia. W jednej z zatok dla podkarmienia bydła, które zabrali ze sobą z Birki, i uzupełnienia zapasów wody i mięsa wikingowie renegaci postanowili zejść na ląd. Okolica okazała się dogodna do założenia tymczasowej osady, ze źródłem świeżej słodkiej wody i pastwiskami, więc na thingu zdecydowali, że odpoczną tu dłuższy czas, nim ruszą w dalszą drogę.

Wszystko szło dobrze do momentu, gdy natknęli się na wędrujący rzeką wielki klan miejscowych migdałowookich i prostowłosych skraelingów, z którymi w wyniku nieporozumienia doszło do krwawej waśni. Co było robić, grupa wojów, by uchronić się przed zemstą, jeszcze raz wsiadła na cztery smocze łodzie, zamocowała rzeźby na dziobach i popłynęła wzdłuż brzegu tej dziwnej i pełnej nieznanymi cudami krainy. Za sobą zostawili niedokończone domy i zagrody, no i kilka ciał miejscowych, odartych z odzienia i porzuconych na pastwę wilków i lisów. Odpływali nie z tchórzostwa, które jest niemiłe bogom i ludziom, ale dla wygody. Nikt nie chciał podczas polowań oglądać się przez ramię w poszukiwaniu rozsierdzonych i żądnych zemsty tubylców, których kościane ostrza zabijały równie pewnie, jak te metalowe, wieńczące brzechwy normańskich strzał.

Trzy dni pomyślnej pogody i Odyn, bóg wielu imion, zwany niekiedy: Ganglerem – Wędrownikiem, Udrem – Dowcipnym, czy też Jardarem – Synem Ziemi, łaskawym wzrokiem spojrzął na swoje dzieci. Może to dlatego, że miał tylko jedno oko, jako że drugie oddał olbrzymowi Mimirowi w zamian za łyk wody ze źródła mądrości, i nic innego nie przyciągało jego uwagi? A może dlatego, że donoszące mu o wszystkim mądre kruki: Hugin – Myśl i Munin – Pamięć, dostrzegły w niedalekiej przyszłości dobrą krwawą zabawę? W każdym razie renegaci znaleźli idealną zatokę, hoop, do której wpadały wody wielkiej rzeki. Krainę tę, z uwagi na obfitość soczystych, dobrych do wypasu łąk, nazwali Winlandią Dobrą. Była kłótnia, czy ona na pewno taka dobra, ale dyskusję uciął sam Asgot, twierdząc, i nie bez racji, że przyszli osadnicy ciągną do marzenia o ziemi, które noszą we własnych sercach, a nie do samej ziemi, a taka nazwa rozпали ich wyobraźnię i zaćmi rozsądek. Pięćset kroków od brzegu rozpościerał się wysoki las, co zwiastowało dobre tereny łowieckie i źródło budulca. Uciekinierzy postanowili postawić tu domy, tym razem jednak na wyraźny rozkaz swego dowódcy zamierzali żyć w pokoju z miejscowymi skraelingami. Oczywiście, o ile nie nadarzy się okazja, by poderżnąć im gardła i ograbić ich w skrytości i bez świadków. Ku wielkiej radości Asgota okolica okazała się bezludna. Znaleźli wprawdzie kilka rozsypujących się ze starości, krytych brzożową korą szałasów, ale te były od wielu miesięcy, jeśli nie lat, opuszczone. Kolejny dar bogów, choć mogli tu przywędrować za nimi krewni tych, których poharatali przy Świńskim Cycku, ale na to już nic nie można poradzić.

Osadnicy nieopodal żyznych brzegów rzeki zbudowali nową kolonię z okazałą, leżącą nieco na uboczu kuźnią i sposobili się do nadejścia zimy. Asgot z Czerwoną Tarczą przygotowywał nawet swój okręt do krótkiej wyprawy, gdyż chciał wiedzieć, czy ląd ten jest wyspą, czy nie. Niektórzy na tę okoliczność porobili zakłady, ale nikt nie wtajemniczał w sprawy osady syna wodza. Ten miał się cieszyć, że w ogóle żyje. I cieszył się, aż z tej radości, przy współudziale Vingora i Piaskowego Nosa, niewolnika, który wolał, jak na niego wołano Ramiro, zaplanował wyprawę, która od ucieczki różniła się tylko... niczym się nie różniła.

Nie porzucił całkiem myśli o porwaniu jednego skipu i powrocie do domu w celu ratowania młodszej

siostry i matki, ale z jednym niewolnikiem i ze starcem mógłby co najwyżej żeglować przybrzeżnym karfim, a nie wielkim pełnomorskim knörrem.

To wszystko przestało mieć znaczenie, gdy dosięgła ich zemsta Eryka Zwycięskiego, truhtina wszystkich Szwedów. Ten mściwy, a może po prostu rozsądny, władca, po stłumieniu buntu ambitnego kuzyna, wysłał w pogoń za zdrajcą liczny oddział swoich najdzielniejszych drengów. A może nie byli dzielni? Oddi wolał myśleć, że wojów jego ojca pokonali najlepsi z najlepszych, a to przecież od skalda zależy, jaka jest prawda. Fakt, iż był jedynym słuchaczem własnej sagi, nie miał tu nic do rzeczy.

Jednooki odwrócił oblicze od renegatów i dał posłuch Erykowi, choć niewykluczone, że odpłynęli tak daleko od rodzimej Skandynawii, iż jego moc tu nie docierała, w każdym razie wojowie konunga odnaleźli obóz uciekinierów i spadli na nich niczym głodne wilki na ludzi pijanych lub śpiących w złudnym poczuciu bezpieczeństwa. Zaatakowali od strony otwartego morza, czego nikt się nie spodziewał. Zresztą od strony lądu też nie oczekiwano nadejścia wroga.

Kiedy rozpoczęła się bitwa, Oddi, prześladowany niechęcią ojca, szykował się do wymarszu w głąb nieznanego lądu i przebywał po drugiej stronie rozlewiska wielkiej rzeki. Od kilku dni nie widział czerwieni zdobiącej tarczę rodziciela i nie tęsknił za poniżaniem i bolesnymi razami. Od kiedy sięgał pamięcią, Asgot traktował go gorzej niż psa, obwiniając o wszystko, poczynając od gorzkiego piwa, a kończąc na miękkim kutasie, który coraz częściej odmawiał mu posłuszeństwa. Każdy pretekst był dobry. Gdyby nie żarcie i niewolnice, które sporadycznie udawało mu się dosiąść, Oddi w ogóle nie pojawiałby się w tej nowej osadzie.

Od kilku dni, wraz z niewolnikiem Ramiro Mendezem, sposobili się do ucieczki w głąb gęstych i niezbadanych lasów Winlandii. Lepsze to niż pobudka z saksem w kiszkiach lub z szerokim uśmiechem na szyi, gdyż los taki mogli im zgotować zbyt usłużni poplecznicy wodza. I pal licho dupczenie niewolnic. Ale trzeba przyznać jedno – gorzej od Oddiego Czerwona Tarcza traktował właśnie tego potomka Thralla. Piaskowy Nos zabił w Birce ukochanego starszego syna Asgota – Thorda Wrzaskliwego. Zabił go w honorowej walce w obronie własnej i dlatego jeszcze żył, choć nie miało to trwać zbyt długo. Oddi wiedział, że ojciec był pamiętliwy i potrafił rozłożyć zemstę na długie miesiące. Już teraz Ramiro miał więcej siniaków niż zdrowej skóry na gębie i bardziej przypominał górskiego trolla niż człowieka, a z przednich zębów chyba nie zachował mu się ani jeden.

Tego ranka chmurne niebo i wiejące od morza coraz zimniejsze oddechy lodowych olbrzymów zwiastowały pierwszy tegoroczny śnieg, który ludzie Północy tak wyczuwają węchem, jak smak soli językiem. Podobnie sprawa ma się z deszczem. Oddi na przykład potrafił na godzinę przed opadem złowić jego zapach w powietrzu. Dwójkę młodych, nielicho zmarzniętych konspiratorów zbudziły okrzyki i niosący się po wodzie szczęk metalu. Gdy słońce okryło ziemię nieśmiałym blaskiem, z miejsca, gdzie obozowali, ujrzeni w odległej przystani obce długie łodzie. Potem szary zimowy świt dodatkowo rozświetliły łuny pożarów.

Oddi przypasał Czerwony Ślad, gotów oddać życie choćby i dla samego honoru, ale po kilkudziesięciu krokach zwolnił, aż w końcu stanął na szczycie porośniętego mchem pagórka. To nie jego bitwa, nie miał w osadzie żadnych przyjaciół z wyjątkiem Vingora, ale ten marzył o zakończeniu długiego żywota z bronią w garści i właśnie to marzenie się spełniało. Im dłużej myślał o ostatnim spotkaniu ze starym doradcą, o rozmowie i jego wyjątkowym darze, tym więcej światła padało na dotychczasowe niełatwe życie młodzieńca. Jakby widział drobne nici zdarzeń, plecione w gruby sznur losu przez wszystkowiedzące Norny. Vingor zdradził mu wtedy sekret wart życia. Jak twierdził, to nie Asgot z Czerwoną Tarczą był prawdziwym ojcem chłopaka, a co gorsza, hövding przeczuwał, choć nie był

pewien, jak wyglądała prawda. To by wiele tłumaczyło, ale Oddi przyzwyczał się nazywać ojcem tego pijaka, choć wspaniałego woja, i upłynie wiele wody, nim to się zmieni. To tak, jakby szczęśliwy i upojony piwem mężczyzna w sile wieku zdybał na osobności cudną i chętną dzierlatkę. A gdy rozochocony zdarł z niej szaty, okazało się, że ma ona za dużo tego i owego, a na dodatek musi golić brodę. By sobie ulżyć, wydupczyłby pewnie z rozpędu tego argra, choć przecież erga jest zakazana, ale zaraz potem poderznąłby mu gardło i poszedł szukać kompanów do picia. Tak samo było z nazywaniem Asgota ojcem, w myślach zabijał go setki razy, ale z wpajanego latami przyzwyczajenia...

Było jeszcze coś poza strachem, co powstrzymało młodego wikinga od chwalebnej, acz pewnej śmierci. Może nawet, jak sam siebie próbował przekonać, to był główny powód. Daleko za morzem czekały na ratunek dwie bezbronne teraz niewiasty, które zapewne sprzedano w niewolę jakiemuś bogatszemu kmieciowi. Póki stąpał po ziemi ich syn i brat, istniała szansa, choć nikła, na odmianę parszywego losu, ale gdy jego zabraknie, pozostanie im jedynie wbić nóż we własne serce, o ile znajdują tyle siły.

Niewolnik, jak sam twierdził syn wielkiego bonda z zamorskiej krainy zwanej Leónem, zdecydował się szukać łaski u zwycięzców, bo tylko w ten sposób miał szansę powrotu do ojczyzny. Oddi, choć bardzo tego pragnął, nie poszedł w jego ślady. Gdyby oddał się w ręce wroga, jako syn zdrajcy Asgota nie mógł liczyć nawet na łaskę szybkiej śmierci. Ramiro dał słowo i zaklął się na krzyż tego swojego Białego Chrystusa, że nie puści pary z gęby i nie wyjawii wojom Eryka Zwycięskiego informacji o umykającym z obławy kompanie. Gdyby stało się inaczej, pościg był tak pewny jak to, że stworzenie mające cztery nogi biega szybciej od tego, któremu bogowie dali tylko dwa kulasy.

Tym sposobem młody wiking został sam w obcej krainie, zdany jedynie na własne szczęście, silne ramiona i młode ciało. Właśnie w tym momencie jego żołądek dał o sobie znać głośnym, przeciągłym burczeniem, wrywając młodzieńca ze świata wspomnień. U lewego boku bujał mu się w rytm kroków, niekiedy objając o nogę, solidny miecz i o wiele krótszy saks. Z prawej strony w skórzaną pętlę wisiała bojowa siekiera z długim trzonkiem. Całości tego wyposażenia dopełniał podskakujący rytmicznie wór z prowiantem, do którego przymocowano okrągły drewniany skjold z metalowym umbem. Oddi jako syn wodza, za takiego przynajmniej dotychczas uchodził, miał na sobie drogą, niezłej jakości kolczugę, skrytą teraz pod grubymi warstwami ciepłych futer. W dłoni ścisnął wygięte niczym piersi kobiety łączysko kościanego thundu i dzidę z długim na dwie dłonie metalowym ostrzem. Łuk był miejscowej produkcji i młody Asgotsson otrzymał go od skośnookiego chudego skraelinga w ramach wymiany jeszcze przy Sflaczałym Cycku.

W każdym razie chłopak przypominał swoim wyglądem wołu idącego na targ, a nie woja z ludu budzącego postrach w całym Midgardzie. Ale nie chciał niczego zostawiać w obozie, niczego, co może kiedyś stanowić o jego życiu lub śmierci.

Oddi Asgotsson był bardzo wysokim ciemnowłosym młodzieńcem, o barach szerokich, solidnie rozwiniętych od najcięższych prac, którymi, od kiedy sięgał pamięcią, tak ochoczo raczył go ojciec, wąskiej talii i białej niczym mleko, lekko piegowatej skórze. Szedł teraz krok za krokiem, powłócząc nogami, przygięty ku ziemi dźwiganym ładunkiem. Na dodatek wszystkiego był sam! Sam! Bogowie darowali mu życie, czyniąc pierwszym Askomanem przemierzającym wnętrze tej krainy, ale co z tego. Może już nigdy nie usłyszeć ojczyściej mowy! Może nie zakosztować do końca dnia ciała jasnowłosej kobiety i pozostaną mu tylko te skraelingowe! Może wreszcie zginąć samotnie na obcej ziemi i nikt nie pochowa go jak należy! Czy trzeba czegoś więcej? To wszystko powodowało, że z wielkim trudem zwalczał chęć powrotu do opanowanej teraz przez wroga osady. Śmierć w boju jest dla mężczyzny jedyną drogą do Walhalli i warto zapłacić tę cenę, by ucztować przy stole Odyna, pić jego piwo, toczyć

potyczki w jego pałacu. Za każdym razem jednak wola życia okazywała się silniejsza, ale nie tylko ona. Na ojczystej ziemi czekały na pomoc dwie kobiety, o których pragnął pamiętać: ciepła i kochająca Helda, biorąca na swój grzbiet przeznaczone dla młodszego syna ojcowskie razy, i smutna delikatna Jofrida, jedyna bratnia dusza, nie licząc matki. Żyły przymuszane do ciężkiej niewolniczej pracy lub gryzły ziemię i krwawa zemsta uraduje ich udręczone dusze. Oddi, ostatni męski bliski krewny, bo nie miał wątpliwości, że konung Eryk wyłapał i zabił wszystkich pozostałych spiskowców, był dla nich jedyną nadzieją na odmianę losu.

– Wiesz, że po ciebie wrócę, matko – wyszeptał. – Gdybym zginął, powrócę z zaświatów, błagając Heimdalla, by pozwolił mi kroczyć Bifrostem, lub jeśli trafię do Niflheimu, stoczę bój o drogę z samym Garmem z Hel. Nie upadaj na duchu, czekajcie. – Potrząsnął głową, by przywrócić jasność spojrzenia. Zagładanie do własnej głowy i serca zawsze osłabiało czujność mężczyzny.

Przecież gdzieś tam, wewnątrz łądu, mieszkały istoty umiejące rozpalać ogień. Być może byli to mali czarnoocy skraelingowie, których spotkali wiele dni drogi stąd przy Sflaczałym Cycku, a być może... Ciekawość i obawę podsycala wyobraźnia, rozbudzona opowieściami starych sagnamaków snutymi przy ogniu i piwie: o bohaterach toczących boje z draugami – żywymi trupami; o pazernych, ale honorowych czarnych elfach; o wielkich bogactwach chronionych przez seidr – brudną, ciemną magię; czy wreszcie o raczej nieprzychylnych ludziom koboldach, trollach i Niksach. Gdyby tak słuchający tych sag człowiek zastanowił się głębiej, to doszedłby do wniosku, że na dziewięciu światach wiszących na Yggdrasilu więcej jest istot wrogich potomkom Wiązu i Jesionu niż im przychylnych. Jakim więc cudem w Midgardzie żyje coraz więcej ludzi?



Ani o krok nie wolno mężowi

Oddalić się od swej broni,

Bo nie wiadomo, czy wieść się nie rozniesie

Po drogach, że mu brak oszczepu.

Dwoje ubranych w ciepłe futra tubylców z plemienia Beothuków przedzierało się przez gęsty w tym miejscu las, pełen splątanych krzewów i bezlistny o tej porze roku. Ich klan ostatnie lato i jesień spędził w głębi łądu, ale wraz z nadejściem mrozów wrócili na wybrzeże, by wypełnić spiżarnie mięsem i tłuszczem fok, morsów, a nawet morskich olbrzymów. Do tych ostatnich, o ile myśliwi zyskają przychylność Ducha Morza, uda się niedługo podejść, stąpając po grubych krach. Łowy takie zawsze były niebezpieczne, bo ranne zwierzę rzucało się i kruszyło lód, jakby to były zeschnięte liście, ale nagroda w postaci góry dobrego tłustego mięsa i mocnych długich kości, idealnych do budowy namiotów, była warta dla plemienia każdego ryzyka.

Mężczyzna wciśnięty w prostą, ale mocną uprząż ciągnął bez wysiłku drewniane włóki – trzy żerdzie związane z jednej strony skórzanymi pasami, których końce zostawiały potrójny ślad na świeżym śniegu. Chcieli upolować karibu, albo przynajmniej kilka śnieżnych zajęcy, ale do tej pory znaleźli jedynie wiatr i niezbyt świeże tropy zwierząt.

Byli wysocy, znacznie wyżsi od Mikmaków czy Huronów, którzy sami siebie zwali Wyspiarzami –

Wyandotami, oraz od zjadaczy surowego mięsa, walecznych skośnookich ludzi morza i śniegu – Askipoków. Ale co się dziwić, od pokoleń wzrost decydował o randze i pozycji wojownika w szczepie. I jeszcze jedno odróżniało ich od sąsiadów – skryte pod czerwonym barwnikiem twarze były prawie białe.

– Duchy zwierząt nie są dla nas dzisiaj łaskawe. – Shaa-naan-dithit, córka wodza plemienia Kamiennego Ostrza, poprawiła sakwę, w której niosła skórę zdartą z jedyne go śnieżnego zająca, jakiego udało im się pochwycić. Zwierzę wpadło we wnyki dość dawno temu i było nadgryzione przez lisy, a jego cenne futro nie na wiele się przyda, ale zawsze to coś.

– Są – powiedział z przekonaniem w głosie młodzieniec, kiwając przy tym energicznie głową. – Zgodziłaś się na wspólne polowanie, a duchy pilnują, by nic nam nie przeszkadzało.

Wesołe iskry w oczach kobiety wyraźnie zgasły, a zastąpiły je smutek i nadciągająca furia.

– Zgodziłam się, bo jesteś dla mnie jak brat, Samotny Jeleniu, ale nie zbudujemy wspólnie mamateku ani nie zanurzymy rąk w strumieniu Splecionych Dłoni. Mówiłam to już poprzedniej wiosny, powiem tej i następnej, i kolejnej, aż do czasu gdy Wielki Duch pokryje moją głowę bielą i zabierze mi wszystkie zęby.

– Mikmakowie zabili Stąpającego po Liściach dwie zimy temu, najwyższy czas pozwolić duchom wody na uleczenie tej rany – nie dawał za wygraną wojownik.

Choć był jeszcze młody, szerokie plecy znamionowały dużą siłę, a wąski pas – gibkość i szybkość. Już teraz niewielu starszych mężczyzn mogło się z nim równać w walce w kręgu.

– Co nie znaczy, że mam ją leczyć z własnym bratem! – Teraz Shaa-naan była wyraźnie zła. Niepotrzebnie przypominał jej o Stąpającym, który jako najwyższy mężczyzna w sąsiednim odłamie plemienia Beothuków zostałby nowym wodzem po śmierci Burych Stóp. A ona, Shaa-naan-dithit, miała być jego pierwszą kobietą.

– Nie jestem z tej samej krwi, przygarnął mnie nasz ojciec po białej śmierci prawdziwych rodziców. Przecież wiesz. – W męskim już głosie wojownika słychać było jeszcze chłopięce, płaczące echa.

– Dla mnie jesteś Samotnym Jeleniem, synem Kamiennego Ostrza i nic tego nie zmieni – powiedziała to spokojniej, chcąc zażegnać kłótnię, która zawsze kończyła się jednakowo: do obozu wracali oddzielnie.

Długa strzała, niczym duch pierzastego łowcy ryb, pojawiła się nagle i trafiła w drzewo tuż nad głowami pary kłócących się myśliwych. Za nią nadleciały cztery następne, ale tylko jedna sięgnęła celu, trafiając Samotnego Jelenia tuż pod obojczykiem. Uderzenie było tak mocne, że wojownik zachwiał się i tylko tkwiący mocno w ziemi solidny pień, który miał za plecami, uchronił go od upadku. Po dwóch oddechach przyszło mrowienie i ręka zwiśla mu bezwładnie, jakby należała do kogoś innego. Nie tracił czasu na wyciąganie ostrza, zresztą drzewce czopowało ranę i nie pozwalało duchom krwi na szybkie opuszczenie ciała. Jednym ruchem – zagryzając z bólu wargi do krwi – zrzucił jarzmo sań. Potem sięgnął zdrową ręką za okalającą pas linę ze skóry morsa i wyciągnął drewnianą maczugę z okrągłą bulwą na końcu. Wytwarzano je z niezwykle rzadkich i owocujących raz na wiele wiosen kamieniodrzew.

– Złam strzałę, Shaa-naan, sam nie dam rady... – wystękał. Siostra w milczeniu skinęła głową, a jego syk bólu zlał się w jeden dźwięk z traskiem pękającego drewna. W ranie pozostał wystający z ciała na grubość dwóch palców ułomek. Potem odrzuciła bezużyteczny kij i zacisnęła dłoń na rękojeści własnego krótkiego kościanego noża.

Oparci plecami o grube drzewo czekali na nadejście przeciwników. Kłótnia stępiła czujność i na

ucieczkę było za późno. Tak samo jak na użycie łuków. Zresztą Samotny Jeleń z jedną zdrową ręką mógłby co najwyżej pomachać nadchodzącemu wrogowi łączyskiem albo rzucić w niego pierzastą strzałą i nic więcej. Oczy mieli szeroko otwarte i zastygli w bezruchu, jak podczas podchodzenia wołu piżmowego, by nie uronić żadnego ruchu, szelestu czy głośniejszego oddechu. I tam, i tu śmierć zaglądała myśliwym w oczy, a Ten, Który Jest Wszędzie – Wielka Tajemnica, otwierał szeroko swoje ramiona.

Pięciu Mikmaków wyłoniło się zza gęsto rosnących drzew niby duchy lasu. Nie powinno ich tu być o tej porze roku, a jednak... Ich sprężyste ruchy dowodziły, że są to wojownicy w sile wieku, a nie starcy szukający padliny. Byli niżsi od Beothuków, ale o głowę przerastali skośnookich Surojadów i, o czym wiedziały wszystkie klany Długich Ludzi, unikali walki, jeśli nie byli pewni zwycięstwa. Tym razem łup sam wpadł w ich ręce.

– Kobieta jest moja; jak skończę, oddam. – Idący przodem rzucił spojrzenie towarzyszom, ale nikt nie protestował, więc oblizał się niczym myśliwy na widok parującej jeszcze wątroby karibu.

– To, co możesz jej zrobić tym swoim robakiem, opuszczony przez duchy synu psa, może zadowolić co najwyżej sukę, i to pod warunkiem, że będzie już stara i chora. – Samotny Jeleń splunął krwawą pianą daleko przed siebie, wprost na pierś dowódcy małego oddziału. Jeśli miał zginąć, to z okrzykiem wściekłości na ustach, a po śmierci otrzyma ciało orła, który swoim podniebnym zawołaniem budzi strach wśród mniejszej zwierzyny. Poza tym rozjuszony wróg staje się mniej ostrożny. Tak przynajmniej twierdził Kamienne Ostrze.

– No to zobaczymy cieniu cienia, słuگو cieniopodobnego Nagili, czy sobie poradzisz z psim pomio... – Mikmak, nie kończąc zdania, rzucił się do przodu i zrobił to tak szybko, że młodzieniec nie zdołał wykorzystać swojej śmiertelnej pałki. Trwało to mgnienie oka, a wróg był tuż przy nim. Potem twardą pięścią uderzył w miejsce, z którego wystawało ułamane drzewce, wbijając je jeszcze głębiej. Młody wojownik zacharczał, a w kącikach ust pojawiła się jaśniejsza czerwień. W drugiej ręce napastnika zalśnił wyciągnięty nie wiedzieć kiedy zza pasa kościany nóż do oprawiania fok i z cichym mlaśnięciem zagłębił się w brzuchu Samotnego Jelenia. Młode, silne i tak głodne życia mięśnie stężały z bólu, niezdolne do wykonania ruchu. Młodzieniec mimowolnie sapnął, a gdy wiedzione silnym ramieniem ostrze zaczęło przesuwać się wolno ku górze, jego skórzane nogawice zrobiły się ciepłe i wilgotne. Nie wydał jednak z siebie głośnego dźwięku, by przodkowie nie musieli wstydzić się za niego w Odległej Krainie, w miejscu, gdzie Wakan Tanka trzyma ludzkie dusze, nim z powrotem ześle je na ziemię. Tylko szeroko otwarte brązowe oczy patrzyły na oprawcę zdziwione, jakby ich właściciel nie mógł się pogodzić z tak szybką porażką. Samotny Jeleń tak bardzo chciał żyć, tak bardzo... Poczuć wiatr we włosach podczas biegu, smak zimnej wody w wysuszonym gardle, zapach budzącego się do życia lasu czy dymu obozowych ognisk. Przecież jeszcze niedawno planował dalszą wspólną wędrówkę z Shaan-naan, chciał mieć kilku synów i wiele roześmianych córek... Usta otwierały się i zamykały jak u ryby wyrzuconej na brzeg, nadając wojownikowi wygląd dziecka, którym przestał być ledwie kilka wiosen temu. Rubinowe błyszczące ostrze opuściło ciało, tak samo zresztą jak podążająca w ślad za nim gęsta i ciemna krew z uszkodzonej wątroby.

– Psie – syknął Mikmak, przysuwając swoją twarz do bladego oblicza młodzieńca. Kropelki jego śliny zlały się z tłustymi łzami potu i na jedną chwilę ich oddechy złączyły się w jeden, jakby napastnik chciał w ten sposób połączyć umykającego ducha umierającego wojownika. Ten stał jeszcze, ale tylko dlatego, że potężne drzewo podpierało mu plecy. – Zjem twoje ciepłe serce, a potem serce twojej kobiety. Ale zanim odejdziesz do krainy duchów, poczuje w sobie prawdziwego wojownika. Mój pień będzie napierał tak mocno, że porozrywa jej muszlę niby ościęń brzuch ryby. Kto wie – zaśmiał się chrapliwie – może to się jej nawet spodoba.

Nagle zawył i chwycił się za głowę. Potrząsał nią niczym wychodzący z wody pies, a spomiędzy zakrwawionych palców wystawała pięknie rzeźbiona rękojeść z kości morsa. Kapała z niej teraz posoka zmieszana z jakąś białawą pulpą. To Shaa-naan wbiła mu w ucho własny nóż, wkładając w to całą siłę, wzmocnioną przez przerażenie i nienawiść.

Chwilę trwało, nim czterej kompani umierającego zrozumieli, co się stało, zresztą i sam trup zamarł na kilka uderzeń serca, nim zwałił się na ziemię niczym sakwa z kamieniami do gotowania wody. Jego wściekli towarzysze z wyciem rzucili się na młodych Beothuków i ostatnim, co zapamiętała kobieta, był widok lecącej w kierunku jej głowy kościanej pałki. Potem świat skrył się w mroku, a Unchi, Babcia Ziemia, jęknęła cicho, chwytając padające bezwładnie ciało.

Shaa-naan-dithit ocuciło szarpanie, gdy ktoś rozrywał ciasne rzemienne sploty jej odzienia. Jedno zapuchnięte oko nie przepuszczało światła prawie zupełnie, ale to drugie wystarczyło, by zobaczyć leżącego obok martwego już Samotnego Jelenia. Na jego niemal dziecięcym obliczu zastygł strach i Shaa-naan wiedziała, że to nie o siebie się bał. Jego oczy, choć już bez blasku, patrzyły na przyjaciółkę, towarzyszkę zabaw, psikusów i pierwszą, młodzieńczą miłość, jakby nie chcąc uronić ani chwili z tego, co im pozostało.

– Lepiej, że tego nie widzisz. Niech Wielki Duch przyjmie cię do siebie z otwartymi ramionami, braciszku. – Usta kobiety poruszyły się bezgłośnie. Oblizła spierzchnięte wargi, czując słodki smak własnej krwi.

– Śmierć za śmierć. – Napastnik zobaczył, że odzyskała świadomość, i uśmiechnął się lubieżnie. – Ulżymy sobie po kolei, a potem wbijemy ci oścień w serce, bo jeden Mikmak jest wart wielu Długich Ludzi, tak jak jedna foka warta jest dziesięciu tłustych ryb.

Las przychodził do kobiety i odchodził niczym fala odbijająca się od skały. To, co tu i teraz, mieszało się ze wspomnieniami jak rzeczny muł z piaskiem. Wojna między Beothukami a Mikmakami trwała od niepamiętnych czasów. Shaa-naan nie oczekiwała litości, nie od synów tchórzliwego zająca i oślizłej ropuchy. Słyszała opowieści o okrucieństwie tych wrogów, którzy niekiedy przyplýwali wąskimi kanu na Wielką Wyspę, o tym, że zjadają dzieci, a jeńców śmiertelnie ranią i przywiązują do drzew, by jeszcze żywym kruki wydłubały oczy. Że zakopują po szyję krzyczących ludzi w mrowiskach, że... W każdym razie matki straszyły nimi swoje niegrzeczne pociechy, a ojcowie z dumą wieszali skalpy wrogów na wioskowych totemach. We włosach bowiem ukrywa się duch każdego dwunożnego człowieka. Niekiedy udawało się zerwać skórę aż do ust i te skalpy były najcenniejsze. Podobno wiele pokoleń temu plemiona czerwonoskórych Mikmaków i bielszych Beothuków żyły w pokoju, walcząc ramię w ramię z Ludami Morza i Huronami o łowiska i lepsze tereny pod zimowe obozy. Gdy jednak pewnego roku duchy świata zagniewały się na lud i zesłały trwającą i trwającą zimę, głodni Mikmakowie zaatakowali osady swoich braci. Gdy się okazywało, że w wioskach nie ma żywności, zjadali pokonanych wrogów, w pierwszej kolejności wojowników, a potem trzymane w klatkach ich żony i córki. Na koniec zostawili sobie małe dzieci.

Lato w końcu wróciło, ale nienawiść pozostała. Głodni wrogowie zrobili bowiem rzecz niesłychaną – obrazili wszechobecnego Ducha Wszystkiego, tego samego, który znajduje się w każdym stworzeniu, kamieniu czy drzewie. To on najpierw stworzył siebie, potem Niebo, Słońce, Księżyc i Matkę Ziemię, zamykając w ten sposób wielki krąg – Święte Koło. To On wreszcie powołał do życia człowieka, napełniając puste naczynie ruchem i rozumem, i nakazał mu strzec Unchi i opiekować się nią. Mikmakowie pogwałcili odwieczne prawo natury, gdyż zjadając innych ludzi, niszczyli zawarte w nich drobinki Wakan Tanki, przez co zmarli nie mogli odrodzić się w kolejnych pokoleniach. Liczba

strażników ziemi bezpowrotnie zmaląła. Beothukowie wypędzili z wyspy tych zdradzieckich synów Nagili i od tego czasu malują swoje twarze i odzienie czerwonym barwnikiem z ochry, by wszystkie duchy pamiętały o tym wielkim smutku. Tak przynajmniej głosiły śpiewane przez czarowników stare pieśni.

Przez chwilę myśli Shaa-naan biegingo leniwie i miała wrażenie, że to straszny sen, że zaraz z krzykiem obudzi się w swoim mamateeku i z ulgą padnie na miękkie skóry posłania. Jednak ból sprowadził dziewczę z powrotem na polanę. Poczwała, jak napastnik wpycha jej między nogi kolana, miażdżąc drżące teraz mięśnie ciężarem swojego ciała. Próbowwała zaciskać uda z całych sił, ale była zbyt słaba. Załkwała bezgłośnie.

– Duchy ziemi i drzew, dlaczego nie mam dość siły, dlaczego... – Z przerażeniem spostrzegła, że to nie człowiek się nad nią pochylał, ale dzikie, wściekłe zwierzę, któremu z rozwartego pyska kapawa ślina, a szalone oczy zaszyły mgłą. Jakimś kącikiem umysłu uświadomiła sobie, że ta twarz bardzo przypomina maskę Ptaka Pioruna, najstraszniejszą, jaką miał w swoim namiocie wioskowy czarownik Czerwony Kamień.

Mężczyzna wdarł się w nią niczym kościane ostrze w muszlę morskiego małża, rozwarł jej zaciśnięte brzegi i pojękując, zaczął rytmicznie podrygiwać. Shaa-naan nie miała jeszcze mężczyzny i towarzysza życia, choć wielu dzielnych wojowników przychodziło w tej sprawie do namiotu ojca, więc jej wargi były wąskie i suche. Czwała ból rozrywanego ciała, każdy ruch sprawiał cierpienie, nim z głośnym okrzykiem ulgi zaśliniony Mikmak zostawił w jej wnętrzu swoje ohydne nasienie. Ono i krew spowodowały, że podrygi kolejnego stały się nieco mniej bolesne, co nie znaczy, że duch dziewczyny nie cierpiał równie mocno. Z trudem utrzymywała się na powierzchni, choć niekiedy jej kanu zanurzało się i z tych momentów nic nie pamiętała. Od przesiąkniętego rybim odorem oddechu oprawcy robiło się jej niedobrze, ale nie miała sił nie tylko, by się wyrwać, ale nawet by ruszyć się czy krzyknąć. A może jednak miała?

Nagle z piersi młodej kobiety wydobył się okrzyk pełen cierpienia, strachu, żalu i bezradności. Szczególnie bezradności. Wbrew wstydu, bólowi, wspomnieniu o martwym Samotnym Jeleniu chciała żyć, tak bardzo chciała żyć. W odpowiedzi wojownik z chrapliwym rykiem uderzył ją pięścią w twarz tak mocno, że poczuła, jak jej puchnie okolica drugiego oka. Niedługo oślepnę, pomyślała, jakby mogło mieć to jakiegokolwiek znaczenie.

Dwaj kompani Śmierdziucha, bo tak nazwała w myślach drugiego Mikmaka, po kolei robili to samo, ale na szczęście przestała czuć swoje ciało, jakby to od pasa w dół należało do całkiem obcej kobiety. Tylko gdy któryś z nich w zapamiętaniu ugryzł ją mocno w małą dziewczęcą pierś, uchyliła oko, ale nie wydała z siebie dźwięku. Nie broniła się, uciekła myślami do wioski i namiotu ojca, Kamiennego Ostrza. Przypomniała sobie jego śmiech, gdy sadzał ją na kolanach i dawał wysysać pyszny szpik z najlepszych kości. Potem zobaczyła tańczących ludzi, cieszących się z udanego polowania, i Samotnego Jelenia, jak bił się ze starszym i wyższym o głowę Leniwym Bykiem, który nazwał ją Sikającą na Stojąco. Już nigdy nie ruszą razem na polowanie, już nigdy...

Nagle inny, fizyczny ból wyrwał ją z odrętwienia. To ostatni z napastników, poruszając rytmicznie biodrami, zaczął drapać swoją ofiarę po twarzy. Tym razem nie zdołała się powstrzymać i z poobijanych ust wyszedł przeciągły jęk. Słyszając go, oprawca zdwoił wysiłki, a Shaa-naan usłyszała jego szept:

– Dobrze ci, focza suko? Chcesz jeszcze? – Wojownik miał wyraźne problemy z męskością, więc zaczął pomagać sobie tak, jak umiał i lubił.

W pewnym momencie wepchnął przedramię pod jej brodę. Czwała na szyi każdy jego ruch, bo oparł się

na niej niemal całym swoim ciężarem. Każdemu pchnięciu bioder towarzyszył dodatkowy ucisk, tak że w pewnym momencie zaczęło jej brakować tchu. Powietrze zatrzymało się w okolicy ust, a pozbawione go płuca uderzały w klatkę piersiową kobiety z rozpaczliwym dudnieniem. Mężczyźnie widocznie się to podobało, bo jego pień nabrał wreszcie sztywności i mocy. Białe-czarne plamy znowu zaczęły swój wirujący taniec i dla dziewczyny świat stawał się coraz bardziej odległy... i ciemny.

– Niech tak będzie, idę do was moi, przodkowie, idę do ciebie, mój bracie Samotny Jeleniu. Wakan Tanko, przyjmij mego ducha, a ciało daj zwierzętom, by domknęło się wielkie koło życia – szeptała bezgłośnie. Nagle ponad ramieniem oprawcy zobaczyła okoloną słońcem, wysoką postać. Shaa-naan uśmiechnęła się, przynajmniej próbowała to zrobić, ponieważ to Stąpający po Liściach przyszedł, żeby być jej przewodnikiem do krainy duchów, gdzie mieli czekać na powtórne narodziny. Ale nim to się stało, głowa pastwiącego się nad nią oprawcy zniknęła, a na kobietę opadł bezgłowy trup. Z jękiem zbolałych płuc nabrała nieco powietrza, ale drugi oddech zdławiła ciepła lepka jucha, która zalała jej gardło. Ciałem Shaa-naan targnął gwałtowny atak kaszlu. Wypłuła krwawą pianę, ale na jej miejsce zaraz napłynęła nowa, tak jakby martwy Mikmak miał jej w sobie całe morze. Próbowała przetykać, ale brakowało czasu. Chciała przekręcić na bok głowę, ale ta tkwiła we wgłębieniu, zrobionym w miękkiej ziemi przez ostatniego z tych suczych synów. Płuca ponownie paliły żywym ogniem, domagając się choćby haustu powietrza. Nie miała siły, by strząsnąć z siebie bezgłowy zewłok, a musiała nabrać powietrza, musiała...

To już nie były nieregularne czarne plamy, przeplatane jasnymi rozbłyskami, to nadchodziła sama śmierć. Tak będzie lepiej. To była ostatnia myśl młodej kobiety, córy dumnego plemienia Długich Ludzi. Potem wszystko zakryła ciemność.



*Kulawy konno jedzie, bezręki bydło pasie,
Głuchy może być dzielny w boju;
Ślepy lepszy jest niż spalony,
Z trupa nie ma pożytku.*

Oddi usłyszał krzyk, gdy był w trakcie nierównej walki z wielkim tobołem. Klęcząc nad nim, próbował tak upchnąć znajdujące się tam pakunki i pakunczki, by nie uwierały go w plecy podczas marszu. Obolałe zebra zdawały się dowodzić, że w środku siedzi złośliwy baran, który tylko szuka okazji, by ubóść rogami biednego wędrowca.

Okrzyk nie powtórzył się więcej, ale młodzieniec bez trudu określił kierunek, z którego dobiegł. To był wrzask śmiertelnie przerażonej kobiety, który można by porównać z okrzykiem małego dziecka nagle pozbawionego matczynej dłoni lub ze skowytem tejże matki na widok mordowanego syna. Niewiele myśląc, porwał swój sosnowy skjold i nieco przygięty ku ziemi pognął w kierunku hałasu. Wprawdzie jeszcze utykał, ale zdołał już na tyle rozchodzić stopę, że ta nie przeszkadzała w biegu. Co innego w walce, lecz ta rozsądna myśl jakoś nie zdołała przebić się do rozgorączkowanej świadomości. Kiedyś machnąłby ręką na taki skowyt strachu, ale to było kiedyś, nim sam stał się pniem, na którym ojciec ćwiczył siłę ramienia i ostrość swego topora. Własny trudny los rodzi współczucie, tak jak nadmiar władzy – pychę.

Nie trwało długo, nim przypadł do ziemi, żeby uniknąć wykrycia. Brak liści ułatwiał obserwację terenu, ale i utrudniał niepostrzeżone zbliżenie się do przeciwnika. Pięćdziesiąt kroków od miejsca, w którym leżał, na dywanie z mchu, gałęzi, mokrych starych liści i świeżego śniegu, jakiś mężczyzna, głośno postępując, niewolił kobietę. Z tej odległości trudno było określić jej wiek, ale jakie to miało znaczenie. Trzech innych stało nieopodal i przyglądało się z rozbawieniem staraniom kompana. Ofiara była cicha, widocznie tamten okrzyk był wszystkim, na co było ją stać. Poddała się swojemu losowi, a bogowie zaplanowali dla niej marny i okrutny koniec. A może nie żyła już i ci tam pastwili się nad zimnym trupem? Podczas wypraw na wiking zwycięzcy sobie folgowali, nie patrząc, czy kobiecina dycha jeszcze, czy już nie. Ważne było, by miała w sobie choćby trochę ciepła, bo u zimnej sztywniało ciało i nie było już takiej frajdy. Tak przynajmniej twierdzili ci, którzy zakosztowali rybiego tańca. Kiedyś Oddi widział, jak w jednej ze zdobytych, pełnej płomieni i krzyczących ludzi wsi wielki brodacz robił to ze śmiechem ze świeżo pozabawioną głowy żoną jakiegoś pomniejszego jarla, przewiesiwszy ją najpierw przez solidny pień, by krew za bardzo nie ubrudziła mu odzienia.

Askoman nieraz widział gwałt, bo wojowie w czasie wyprawy na tereny sąsiednich wrogich fylków często dawali upust chuciom właśnie w ten sposób. Wygrywali – brali żony swoich wrogów z radości, przegrywali – robili to samo, jeśli mieli okazję, tyle że z zemsty. Tak został ten świat stworzony i los napadniętych zawsze jest parszywy. Ale w krzyku, który wcześniej słyszał, było coś takiego, co poruszyło czułą strunę w młodym sercu. To nawet nie była skarga, to nawet nie była tęsknota za skargą, ale czysta rozpacz. Tak pewnie musiała się czuć Jofrida, siostra Oddiego, gdy konung Eryk oddał ją swoim ludziom w nagrodę. A jeśli nie jego drottnadowie, to zrobił jej to nowy pan, gdyż była wielce nadobną dziewczyną. To właśnie wyrzuty sumienia i wstyd, że nie potrafił obronić najbliższych, ściągnęły wikińskiego woja w pobliże leśnej polany.

Pokręcił głową i skupił uwagę na scenie, która rozgrywała się przed jego oczami, gdyż w tym właśnie momencie mężczyzna polegający na swojej ofierze i pokazujący bogom goły zadek zaczął dusić kobietę i z tego, co docierało do uszu Oddiego, sprawiało mu to wielką przyjemność. Jednak żyła, bo cichy jęk wyszedł z jej ust wraz z uchodzącym powietrzem. Gwałciciel pochrząkiwał teraz niczym głodny knur na widok żarcia.

Nagle nie liczyło się to, że taki początek znajomości z tubylcami raczej nie jest obietnicą długiego życia, ani to, że staje sam przeciwko czterem uzbrojonym skraelingom, no może trzem, bo ten czwarty toczył potyczkę na innym polu bitwy. Zerwał się i pognął w stronę skogarmadrów.

Nie da się ukryć hałasu, jaki czyni przedzierający się przez niskie krzaki człowiek, tak jak trudno być głuchym na krzyk własnego dziecka, nocny alarm w osadzie czy rozkoszny jęk żony zamkniętej w objęciach innego mężczyzny.

Głowy tubylców niemal jednocześnie odwróciły się w stronę zagrożenia. W ich postawie i spojrzeniach nie było strachu, prędzej ciekawość. Bo niby czemu mieliby się bać samotnego człowieka? Ustawili się frontem do nadbiegającego przeciwnika. Jeden z nich, najniższy z szeroką szramą biegnącą ukośnie przez całą gębę, kopnął baraszkującego towarzysza w goły tyłek właśnie wtedy, gdy ten doznawał spełnienia z na wpół przytomną kobietą. Ta zaczęła charczeć, a on ten moment lubił najbardziej, więc w odpowiedzi posłał kompanowi kilka soczystych przekleństw. Nie zamierzał przerywać, jeszcze nie. Szary Pazur trafił wprawdzie czubkiem mokasyna w samą podstawę nabrzmiałej męskości, co nieco ostudziło jego zapał, ale rżenie tej suki Długich Ludzi na powrót przywołało falę pożądania.

Dlatego trzy, a nie cztery cięciwy małych łuków napięły się i z cichym brzękiem wypuściły w kierunku

intruza śmiercionośne strzały zakończone kościanymi grotami. Wróg był blisko, więc nawet gdyby w tym momencie sam Ptak Piorun spuścił na ziemię swoje cenne jajo, nie sposób było chybić celu. To byli doświadczeni myśliwi, toteż trzy pociski z morderczą, wyrobioną latami polowań precyzją trafiły w okolice ciepłego serca i... dwa odbiły się, jakby nieznajomy pierś miał wyrzeźbioną w kamieniu, a jedna ugrzęzła w fałdach futer, nie czyniąc olbrzymowi krzywdy. Był tuż-tuż, więc odrzucili na bok nieprzydatne łuki i chwycili za inną broń. Dwóch wysunęło do przodu długie ościenie z pojedynczym ząbkowanym ostrzem, te przeznaczone do polowań na foki. Trzeci, stojący na ugiętych nogach nieco z tyłu, ścisnął w dłoni solidny toporek z łopatki karibu.

Oddi ciął z rozmachem drzewce broni najbardziej wysuniętego przeciwnika i ku wielkiemu zdziwieniu właściciela ościenia w rękę pozostał mu jedynie kawałek wzmacnianego w ogniu kija. Powracający miecz ugodził go w szyję i śmiertelnie ranny łowca opadł na kolana. Żył jeszcze, bezskutecznie próbując powstrzymać dłońmi krwawienie, ale nie można zalepić rany, tak jak nie da się napełnić wodą pękniętego rybiego pęcherza. Gęsta jucha wyciekała mu spomiędzy palców i rzuciła się ustami otwartymi do krzyku, gdy umierał. Drugi z dzikich nie czekał na swoją kolej, zaatakował, nim jego towarzysz dotknął śniegu w ukłonie śmierci. Teraz wszystko działo się niemal jednocześnie: kościane ostrze wbiło się w bok szarżującego wojownika, a zaraz potem hartowany na dalekiej, mroźnej północy maekir wikinga zatopił swój pojedynczy błyszczący kiel w ciele wroga. To pierwsze pchnięcie było potężne, napędzane desperacją, nienawiścią i strachem. Młodzieniec znad szwedzkich fiordów niemal usłyszał, jak od uderzenia kościanego ostrza pękają metalowe ogniwa kolczugi. Ból był tak wielki, że wojownik z Północy upuściłby Czerwony Ślad, gdyby ten nie ugrzązł w bebeczach stojącego na wprost skogarmadra i przebiwszy serce, nie wyszedł pomiędzy jego łopatkami. Komuś oglądającemu walkę z pewnej odległości mogłoby się wydawać, iż z pleców miedzianoskiego wojownika, spomiędzy okrywających je futer, wysunęło się rubinowe żądło. Norny zwolniły bieg swoich kołowrotek, czas niemal stanął w miejscu. Obaj mężczyźni niby para kochanków delikatnie zetknęli się torsami. To trwało dwa mrugnięcia oka, ale wiking zdążył zauważyć, że na twarzy tubylca, nim mgła śmierci ją zmieniła, było teraz więcej ciekawości niż strachu. No i coś, co wżarło się w umysł chłopaka niczym rozżarzony pręt w skórę. Zdawało się, że umierający go poznał, że widok Askomana nie jest dla niego pierwszozną...

Potem ręka z mieczem poczęła kierować się ku ziemi, podążając w ślad za osuwającym się ciałem, i tیمی znowu nabrał rozpędu.

Łapiąc płytki oddech, Oddi wyciągnął z mokrym plaśnięciem z rany upadającego pokurcza swoją broń i w akcie desperacji ciął ostatniego stojącego jeszcze wroga. Miecz jednak trafił w pustkę. Człowiek o płaskiej, gładkiej twarzy, z wygoloną po obu stronach czaszką, tak że środkiem, niby końska grzywa, biegł mu długi czarny grzebień, okręcił się w miejscu, pozwalając, by gnany siłą rozpędu młodzieniec znalazł się w zasięgu jego ręki. Wtedy uderzył z pełną siłą swoim kościanym toporkiem. Cios ten był w stanie rozplątać łeb na dwoje, ale wiedziony podszeptem Tyra Oddi na czas odchylił głowę i ostrze ześlizgnęło się po czaszce, zabierając ze sobą trochę włosów i prawe ucho chłopaka. Lata żmudnych i ciężkich treningów zrobiły teraz swoje i niemal bez udziału woli ręka z tarczą wystrzeliła do góry jak pocisk z katapulty, trafiając przeciwnika obitą metalem krawędzią prosto w usta. Cios był potężny, a jego moc wzmógł młodzieńczy strach i rwący ból zranionego boku, bo straty ucha wiking nie zdążył jeszcze poczuć. Nadwerężony morską wodą skjold pękł, tak samo zresztą jak szczeka wroga, z którą się zderzył. Ich fragmenty, niczym działający pospołu bracia, wbiły się w mózg leśnego człowieka, a siła uderzenia była tak duża, że oczy wojownika wyskoczyły na zewnątrz, a na światło dzienne wypłynęła gęsta biaława masa. To nie był czas na składanie podziękowań Odynowi, choć Jednooki lubił krew, więc i tak powinien

być zadowolony. Pozostał jeszcze jeden wróg.

Czwarty z dzikich nie zdążył podnieść się z kobiety, gdy ostrze znalazło drogę do jego szyi. Nieco spowolnił je kręgosłup, ale miecz Vingora, naostrzony dobrą osełką i wypieszczony na skórzanym pasie, przeszedł i przez tę przeszkodę, ochlapując świat purpurowymi kroplami krwi. W ślad za czerwonym deszczem, jakby chcąc na powrót połączyć się w jedno, poleciała głowa zwieńczona biegnącym przez środek pasmem włosów.

– To chyba wszyscy, dowiodłem ci swego męstwa, Odynie. – Z każdym słowem głos młodego wikinga robił się coraz cichszy, z każdą chwilą wraz z krwią uciekały z niego siły. Połowa twarzy piekła, jakby przypalana żywym ogniem, ale groźniejsza była rana w boku, w miejscu, gdzie kościane ostrze ominęło okrągłą tarczę. Ciężko wsparł się na własnej broni. Próbował jeszcze zrzucić kopniakiem bezgłowe zwłoki z kobiety, ale nie dał rady. Zdołał jednak trupa nieco przesunąć, tak by tryskająca z szyi krew nie zalewała jej twarzy. Niestety, z woli jej bogów, kimkolwiek oni byli, miejscowa dzierlatka umierała. Krótkie, charkotliwe tchnienia zapewne były ostatnimi. Z ust ciekła jej teraz jucha wyrzucana na zewnątrz przy każdym oddechu, co by znaczyło, że dziewczę, bo jak Oddi zauważył, była niewiele starsza od niego, miało potrzaskane płuca.

Przypomina mi Jofriddkę, pomyślał. Może, jeśli bogowie tak postanowią, ktoś inny w zamian uratuje lub pomści moją biedną siostrzyczkę i dług zostanie spłacony. Dzielne uczynki każdego z nas są karbowane na pniu życia i zakryć je mogą tylko te tchórzliwe. Ja już nie zdołam więcej...

Ziemia zawirowała mu przed oczami.

W trakcie walki werwę dają bogowie, ale gdy nadchodzi jej koniec, za wszystko trzeba zapłacić, i to z nawiązką. Czterech ubitych wrogów to nie byle co, to dobra moneta dla boskiego Heimdalla, przepustka przez tęczowy Bifrost do Asgardu i zamczyska Odyna. Walgind, jedna z pięćset czterdziestu bram prowadzących do Komnaty Poległych, stoi otworem przed ludźmi walecznymi i dzielnymi. Myśli młodzieńca krążyły coraz leniwiej i nawet ból, nieodłączny druh tych ostatnich chwil, począł odpływać, zostawiając po sobie jedynie tępe pulsowanie. Wojownik poczuł, jak uginają się pod nim kolana, na szczęście upadek złagodziła gruba warstwa zeschniętych, wilgotnych liści i nieco świeżego śniegu.

– Niech tak będzie – wyszeptał, osuwając się w krainę śmierci. – Wcześniej stchórzyłem, ale teraz zasłużyłem sobie na wieczną w Walhalli, i to niejedną. Przybywajcie walkirie, przybywajcie wredne suki Szalonego, jestem gotowy. Przywitam z otwartymi ramionami ciebie, Gaull, o imieniu oznaczającym wrzask, i ciebie, Geiraulul, Dzidy Posoko. Gdybyż miała to być Randgrith, Tarcz Wściekłość, i Rathgrith, Władzy Wściekłość, a nawet koszmarnie brzydka Reginleif, przybywajcie po mnie. – Nagle drgnął niczym człowiek użądłony w usta przez osę. Matka... – To była ostatnia myśl, nim świat skryły ciemności.

Ale nikt się nie zjawił po młodego wikińskiego wojownika, jeśli nie liczyć kilku złąknionych padliny kruków, które wraz z parą śnieżnych lisów zaczęły toczyć ostry bój o znalezisko.



*Gdy pijesz piwo, weź moc ziemi,
Bo ziemia dobrze działa na piwo – a ogień na choroby,
Dąb jest dobry przy biegunce – kłos przeciw czarom,*

*Bez przy niepłodności, na wściekłość – wzywać trzeba księżycyca,
Dżdżownica dobra przy ukąszeniu, a wrzód trzeba leczyć runami,
Ziemia wchłania wodę.*

Czuł, że się porusza, chociaż nie miał sił iść, ba, nie mógł nawet unieść ręki, by jak zawsze po nocy przeczesać palcami splątane długie włosy. Próbował, bogowie świadkami, że próbował, ale jedyne, co udało się osiągnąć, to potworny ból w łepetynie. Przed zlepionymi czymś oczami cały czas pozostawało ciemno niczym na samym dnie krainy ciemności Niflheimu. Młoda krew zawrzała, wściekłość napłynęła czerwona falą, ale równie dobrze mógłby próbować dmuchaniem przewrócić głaz.

W pewnym momencie młody wojownik zaprzestał daremnej szamotaniny i uspokoił oddech, tak jak go tego uczył ojciec wszystkich berserków, Hauk Gunnbjörnsson. Gunnbjörnsson – myśli już teraz leniwie płynęły przez głowę. – Ten wielki niczym niedźwiedź, niestary jeszcze mąż nie potrafił utrzymać rogu z piwem, nie rozlewając połowy napitku na siebie i sąsiadów, co było nie w smak tym ostatnim i prowadziło do bójek. A pić lubił jak mało kto. Ale to nie od trunku tak trzęsły mu się ręce, lecz od wywaru z grzybów mocy i ziół, który to aul wlewał w siebie w dużych ilościach przed każdą większą bitwą. Pił tylko on, bo spożyty napój szybko wywoływał sraczkę, słabość i zawroty głowy. I sikał, jakby wlał w siebie pół beczki piwa. Inni berserkowie, połknawszy Haukowy mocz, mogli za to bez bólu brzucha i rzygania ruszyć do boju, zmieniając się w niewrażliwych na ciosy ludzi-niedźwiedzi lub wściekłych i szybkich ludzi-wilków. Miał też ów Hauk w swoim oddziale kobietę, brudir berserkję, która stawiała się bardziej krwiożercza niż mężowie. Kiedyś, gdy sobie tego popił, zdradził Oddiemu, że nim bogowie odebrali mu żądzę, na zawsze zmieniając stylisko topora w giętkiego węgorza, wspólnie z tą wojowniczką zażywali przyjemności. Gdy przechodziła przemianę, nie było w całym Midgardzie, co tam Midgardzie – w całych dziewięciu światach, drugiej niewiasty zdolnej robić to bez przerwy od wschodu do wschodu słońca. Może jedynie olbrzymka Gullweig, czarodziejka biegła w sztuce miłości, dotrzymałaby jej kroku, ale to nic pewnego. Niekiedy wzywał cały swój lid do pomocy w chędożeniu, a i to było mało. „Nie myśl sobie jednak, że dobra by z niej była córka Gefny – zaśmiał się wtedy, widząc szczenięcy wyraz twarzy swego słuchacza – bo jak w końcu opadały z nas siły, a ona nie miała jeszcze dość, czterech wielkich wojów musiało powstrzymywać Gydę przed rozszarpaniem naszych gardeł”. – Zakończył tym opowieść i napił się piwa. Młodzieniec mógł wiele zapomnieć, ale ta jedna historia wryła się w jego pamięć niczym runy w kamień i pozostanie tam do końca dni Oddiego Asgotssona, a może i dłużej.

W każdym razie gdy Hauk spoił się już tym nabbitem, a jego węgorz oddał ostatnią kroplę, sam jeden pozostawał w obozie, odchlorowując wypity wywar. Z czasem przyszły te cholerne trzęsionki. Po wielu próbach nauczył się jednak, wyrównując oddech i uspokajając myśli, uciszać drżenie ręki na czas potrzebny na doniesienie rogu z piwem lub miodem do ust. Przekazał tę wiedzę Oddiemu, synowi Asgota podczas długich godzin wspólnej gry w hnefatafla. Teraz więc młodzieniec wykorzystał tamtą naukę i wyrównał oddech.

Dziwne, czyżby walkirie wiodły mnie przez noc do Walhalli? Czy właśnie przemierzamy czarną przestrzeń pomiędzy światami leżącymi na Yggdrasilu? Jeśli tak, to jestem gotów na spotkanie z Odyem. Młody mężczyzna myśli miał teraz jasne i serce czyste. Ból zranionego ciała zniknął niczym foka wylegająca się na grubej krze na widok białego niedźwiedzia.

Nagle smagnięcie strachu wykrzywiło jego zakrwawioną twarz, krusząc maskę obojętności i na nowo prowadząc ból. *Ale czy władca bogów przyjmie mnie na służbę? Kto zaświadczy o odwadze Oddiego, syna Asgota, miejscowi skraelingowie, skogarmadrowie, którzy nie mają wstępu do Komnaty*

Poległych? Czuł w tym wszystkim dłoń Lokiego, syna giganta Farbautiego, kłamcy i oszusta, niemającego sobie równych we wszystkich dziewięciu światach. Gdyby był wyznawcą Jednoboga, pewnie poczułby woń siarki.

Wtem świat zawirował, a ostre ukłucie w zranionym boku sprowadziło młodego wojownika na ziemię. Rozpoznał dźwięk sań sunących po śniegu, skrzywienie skórzanych wiązań i czyjś chrapliwy, zmęczony oddech. Jeszcze raz spróbował unieść powieki, ale równie dobrze człowiek może chcieć dźwignąć górę albo stępić nóż własnym kciukiem.

Gdzie się znajdował? Chyba walczył z tubylcami, ale czy na pewno? Niedawną czystość myśli zastąpił wir urywanych wspomnień. Próbował prosić bogów o pomoc, ale nagle nie potrafił przypomnieć sobie imienia żadnego z nich! Gdy platforma, na której leżał, najechała na wystający korzeń, to wszystko przestało mieć znaczenie. Obolałą głowę na powrót wzięła w swoje władanie ciemność.



*O wiele za wczesniem przyszedł do dworu,
Wiele za późno do innych;
Piwo już wypite lub jeszcze nieuwarzone,
Rzadko natręt w porę przychodzi.*

Shaa-naan-dithit dotarła w pobliże osady w całkowitych ciemnościach. Była słaba i każdy krok wymagał wielkiego wysiłku, ale Wielki Duch Wakan Tanka dał jej tę siłę. Niemal całą powrotną drogę błagała Taku Skanskan, który był mocą wprawiającą wszystko w ruch, o kolejny krok, potem jeszcze jeden i następny. Padła twarzą w świeży śnieg dwadzieścia kroków od najdalej wysuniętego mamateku i tu znalazł ją ojciec, zaalarmowany ujadaniem wioskowych kundli. Zębaty oszalał pierwszy, a reszta poszła w ślady tego wielkiego psa i wioskowego rozrabiaki.

Żony wodza troskliwie zaopiekowały się poranioną Shaa-naan, na szczęście obrażenia, choć wyglądały groźnie, były powierzchowne. Dziwnym obcym zajął się sam Kamienne Ostrze, najwyższy z wysokich, wódz odłamu plemienia Beothuków znad Zatoki.

Gdy znaleźli się w bezpiecznym cieple zimowego namiotu, krytego wielkimi płatami brzozy kory i grubymi skórą, młoda kobieta opuściła świat duchów i opowiedziała z dziwnie nieruchomą, jakby martwą twarzą, o tym, co ją spotkało podczas polowania. Mowa jej była niewyraźna, gdyż opuchnięte wargi nie chciały układać się w słowa, ale zrozumiała. Szeptła o napaści Mikmaków, śmierci Samotnego Jelenia i niespodziewanym ratunku, który nadszedł ze strony białoskórego wojownika z włosami na twarzy. W trakcie tej relacji ani jedna łza nie zmoczyła obrzmiałego policzka, ani jeden grymas nie wykrzywił spękanych ust, tylko dwa razy – gdy wspomniała o swoim zabitym bracie i o wybawcy – na chwilę do jedyne go widzącego świat oka znowu zawitało życie.

– Biedne dziecko. – Kamienne Ostrze pogładził córkę po dłoni. W jego głosie z kolei wyraźnie było słycać ból. – I tobie, Samotny Jeleniu, gościu mego ogniska i serca, obiecuję, że będziemy wspominać twoje dzielne czyny, by duch przybranego syna zaznał spokoju i odnalazł drogę do Odległej Krainy.

Potem odwrócił się w stronę dziwnego, bladokórego obcego.

– Musi mu sprzyjać sam Wielki Ojciec, Ten, Który Był Pierwszy i Będzie Ostatni, skoro w pojedynkę

pokonał czterech doświadczonych łowców. – Kamienne Ostrze z niezwykłą jak na siebie delikatnością zaczął zdejmować z nieprzytomnego mężczyzny zakrwawione skóry zwierząt. Gdy dotarł do metalowej kolczugi, jego oczy zabłysły niczym dwie pochodnie. Wiedział, z czym ma do czynienia, widział kiedyś taką rzecz w wigwamie wodza wszystkich Długich Ludzi – wielkiego Snae-Kola. Przywołał ruchem ręki jednego ze swoich dalszych krewnych – Zranionego Kozła.

– Gdy tylko pierwsze promienie Wi spłyną na Unchi, pobiegiesz do osady Snae-Kola i pokażesz mu to. – W wyciągniętej dłoni trzymał kawałek ciężkiego, zimnego, szarego „materiału”, który odpadł z dziwnego odzienia przybysza. – Powiesz o wszystkim, co tu widziałeś i słyszałeś. – Zraniony Kozioł jeszcze chwilę czekał na ciąg dalszy, ale się nie doczekał. Skinął więc głową na znak, że zrozumiał, i usiadł w kącie, by zawinięty w niedźwiedzie futro przespać resztę nocy. Do wioski wodza wszystkich Beothuków było jakieś trzynaście wschodów słońca szybkim marszem. Jeśli pobiegnie, a biegał jak mały kto, nim Wi dziesiąty raz skryje się w swym domu, stanie przed wielkim Snae.

Tymczasem wódz, korzystając z pomocy najstarszej żony, z trudem ściągnął z przybysza bezcenną „kamienną koszulę” i syknął, widząc wielką poszarpaną ranę w boku młodzieńca.

– Gdyby nie zimno panujące na zewnątrz, córka dociągnęłaby tu trupa, a nie żywego człowieka – mruknął.

– Jego duch jest mocny, skoro jest jeszcze wśród nas, ale to nie potrwa długo. Języku Lasu, sprowadź do mojego namiotu Czerwony Kamień. Tylko moc wielkiego czarownika zdoła powstrzymać go przed wędrówką na Drugą Stronę. Na Ptaka Pioruna, on już jest prawie martwy.

Niemłoda, ale jeszcze będąca w sile wieku kobieta wstała i wyszła w mrok nocy. W myślach dziękowała Wakan Tance za życie córki Shaa-naan i błagała o szybkie powtórne narodziny przybranego syna, Samotnego Jelenia. Los w tej mroźnej i niewybaczającej błędów krainie zawsze był surowy. Wysysające siły zimno, niedźwiedzie, wilki, głód, rany i choroby od pokoleń zabierały tyle samo duchów, ile przychodziło na świat pod postacią dzieci. Wśród członków plemienia nie było nikogo, kto nie straciłby siostry, brata, syna lub córki, więc Beothukowie nauczyli się żyć z tym bólem. Jednak Język Lasu na samą myśl, że mogłaby już nigdy nie usłyszeć radosnego śmiechu Shaa-naan-dithit, nie zobaczyć, jak tarza się w śniegu, bawiąc się ze swoim psem, jak przynosi jej pierwsze leśne jagody, jak... zadrżała, i to nie z chłodu.

Czerwony Kamień musiał czekać na wezwanie, jako że nie minęło dziesięć oddechów, a już podnosił niedźwiedzią skórę, wpuszczając do mamateeku zimne powietrze i grube płatki śniegu. To ostatnie nie było niczym dziwnym, gdyż na wyspie ludu Beothuków w porze ciepłej często padał deszcz, a w czas mrozów – śnieg. Mgły bywały tu tak gęste, że wchodzący w nie człowiek w jednej chwili cały ociekał wodą jak po kąpieli w którymś z wielu leżących wewnątrz łądu jeziorok. Zimą przychodziły wichry, zdolne do wyrwania drzewa z korzeniami. To Czwórwiatry, kapryśne, ale potężne duchy, sprzątały świat przed nadejściem nowego.

Kiedy wszedł czarownik, niemal w tym samym momencie płomienie tłące się na środku ogniska wystrzeliły w górę, co wielki, potężny i rozmawiający z duchami Czerwony Kamień skwitował pomrukami zadowolenia.

– Kamienne Ostrze chce rady w sprawie tego obcego? – Twarz przybysza była tak pomarszczona, że przywołała na myśl pomalowaną ochrą korę dębu.

– Nie rady, rozmawiający z duchami, ale życia dla tego jednouchego wojownika. – Wódz wskazał podbródkiem leżącą bezwładnie sylwetkę.

Czarownik pochylił się nad nieprzytomnym młodzieńcem. Wyglądał teraz niczym czarny jak noc wielki ptak. Wilcze skóry, które okrywały mu kościsty grzbiet, skryły na kilka chwil dwóch ludzi i Shaa-naan była pewna, że spijają światło z ogniska, tak jak człowiek pije wodę ze strumienia.

Po dłuższym, wypełnionym rzucaniem zaklęć czasie Czerwony Kamień wyprostował się tak nagle, że jedna z żon wodza jęknęła bezwiednie, przerywając karmienie najmłodszego syna. Długa kropla białego, gęstego mleka spłynęła z pełnej piersi na wyłożone skórą klepisko. Dziecko już otwierało buzię do płaczu, ale ciemny podłużny sutek szybko uśmierzył jego gniew.

– Rozmawiałem z przodkami i zdobyłem wiedzę o tym, co było, jest i będzie – zaskrzeczał niczym wrona czarownik. – Ten tu to obcy duch, wodzu Kamienne Ostrze. Przybył z daleka i lepiej niech umrze. Zresztą już tylko lina serca trzyma go w tym ciele, lina umysłu jest przerwana.

– Nie, nie może, ojcze... – To był bardziej jęk niż krzyk i wydobył się z ust próbującej usiąść Shaa-naan. Kobieta podparła się drżącą ręką, ale siły ją opuściły i opadła bezwładnie na posłanie.

– Rozmawiający z duchami ma rację, dziecko, lepiej dla niego i dla nas będzie, gdy odejdzie – powiedział Kamienne Ostrze. Nie przepadał za tym zgryźliwym starcem, ale Czerwony Kamień był stary i mądry, wiedział, co mówi.

– Ale – głos młodej kobiety był ledwo słyszalny – gdy się ocknęłam, błagałam Inyan, by związał wieczną mocą kamienia mojego ducha z duchem tego obcego, by dał mu moją siłę i gdy on umrze... – Nie dokończyła zdania, tylko padła zemdlona.

Wódz patrzył przerażonym wzrokiem to na swoje ukochane dziecko, to na dziwnego obcego. Zmarszczki na jego pomalowanym ochrą czole zrobiły się jeszcze głębsze, przydając mu wielu dodatkowych lat. Szerokie ramiona przygarbiły się, jakby ciągnęła je ku ziemi jakaś ogromna, niewidzialna siła, a od zaciskania pięści na rękach wystąpiły grube węzły żył. Jeśli Shaa-naan związała swoje życie z życiem białoskórego, gdy on umrze... Podjął decyzję.

– Złożę duchom podwójną ofiarę, by zjednać sobie ich przychyłność, ale uratuj go, czarowniku.

Czerwony Kamień wstał i zakręcił się na jednej nodze, potrząsając przy tym grzechotką zrobioną z czaszki dziecka. Musiało umrzeć dawno temu, kość bowiem była żółto-brązowa, pokryta pajęczyną drobnych pęknięć.

– Duchy chcą, by zginął – wysyczał w końcu. – Sprowadzisz, wodzu, nieszczęście na nasz lud, zakłócisz odwieczną równowagę, zaburzysz święty krąg, który jest początkiem i końcem wszystkiego. Zwołajmy radę wioski, by wysłuchać zdania starszych w tej sprawie.

– Jeśli pozwolę mu umrzeć, stracę Shaa-naan-dithit, a gdy to się stanie... – wódz zrobił przerwę i spojrzał z mocą w oczy rozmawiającego z duchami – wydrę ci z piersi i zjem jeszcze ciepłe serce... czcigodny starcze. – Najwyższy w plemienu powiedział te słowa cicho i niemal spokojnie, ale nikt nie miał wątpliwości, że spełni swoją groźbę.

W namiocie zaległa pełna napięcia cisza. Kamienne Ostrze był pierwszym myśliwym w plemienu, wybranym na to stanowisko przez przywódców rodzin już dawno temu. Sprawdzał się ze swoją rozwagą, opanowaniem i mową, którą potrafił porwać mężów i ich żony. Bywał też hojny, jako że oddawał część łupów z wypraw sierotom i wdowom. Ale to Czerwony Kamień mógł rzucać klątwy, zatruć wodę samym spojrzeniem, uwięzić ducha człowieka w rybnym pęcherzu, rozpalać ogień jednym ruchem starczej dłoni, uczynić wojownika bezpłodnym, a jego żonie włożyć do brzucha syna lisa. Z drugiej strony czarownik doskonale zdawał sobie sprawę, że gdyby doszło do otwartej walki, większość wojowników opowie się za swoim wodzem, chociaż ich kobiety już niekoniecznie. A siła rodzących w plemienu była wielka. To

one dbały o osadę, gdy mężczyźni wyprawiali się na polowania, decydowały o losach jeńców, to one w końcu wybierały przedstawicieli do rady starszych wioski. Nie był jednak jeszcze gotów do otwartego rzucenia wyzwania wodzowi, jeszcze nie. Poza tym miał w stosunku do niego swoje plany.

– Może będzie żył, może poproszę Unchi o taką przysługę, ale oddasz mi kiedyś za jego życie coś, co kochasz – powiedział cicho, prawie nie poruszając ustami. Szaman twarz miał nieprzeniknioną, ale jego oczy ciskały błyskawice. Nikt w plemienu nie odważył się nigdy grozić mu śmiercią, aż do teraz.

– Niech tak będzie, rób, co musisz.

Kolejne, naprzemienne wschody Wi – Dziennego Słońca, tego, które przynosi życie na ziemię, i jego żony Księżycy, który Beothukowie zwą też Nocnym Słońcem, były wypełnione walką. Bitwa rozgorzała pomiędzy mocą śmierci, ciągnącą ducha młodego obcego wojownika do miejsca, w którym miał on oczekiwać na powtórne narodziny, a siłami Inyan i Unchi – Matki czy też Babci Ziemi, wspieranymi czarami Czerwonego Kamienia. To była mordercza batalia i czarownik po wielogodzinnych tańcach i modłach wychodził z leżącego nieco na uboczu mamateeku, w którym złożono młodzieńca, ślaniając się na krzywych nogach niczym umierający z głodu człowiek. Po krótkim odpoczynku wracał i zaczynał wszystko od początku. Nawet nocą słychać było dochodzące z namiotu odgłosy bębna, po którego dźwiękach myśli wioskowego szamana wędrowały wprost do Wielkiego Ducha. Pomóc miały też wypełnione mocą Wakan Tanki święte kamienie, a także zioła, które zmieszane z pajęczyną przykładał do ran, oraz te, które wrzucane w gorące płomienie wydzielały gryzący dym, dający zapomnienie i sen bez bólu.

Shaa-naan, gdy tylko odzyskała nieco sił, przesiadywała całymi dniami przy posłaniu niczym żona u boku swego mężczyzny, karmiąc obcego rzadkim wywarem z zająca, a przynajmniej próbując to robić.

– Nie przywiązuj się do niego, drogie dziecko. – Czerwony Kamień, dla którego również przynosiła strawę, pogładził ją po prostych czarnych włosach, gdy kucnąwszy przy posłaniu białoskórego młodzieńca, po raz kolejny starała się wlać pomiędzy zaciśnięte wargi porcję wywaru. Jego zasuszone ręką powędrowała nieco dalej i zatrzymała się na drobnych, sprężystych, dziewczęcych pośladvach, a na bezzębnych ustach starca pojawił się uśmiech. Poczł ciepło i jędrność, których u żadnej ze swoich trzech żon nie wymacał kościstymi palcami od wielu cykli. Wszyscy we wsi kochali Shaa-naan-dithit, tę, która od dziecka była niczym żywa iskra i której wszędzie było pełno. Zresztą lud Beothuków uważał zrodzone w plemienu pociechy za swój największy skarb, za dar od Wielkiego Ducha i stworzonych przez Niego szesnastu boskich istnień Tob-Tob. Mądrość przodków głosi, że dziecko jest gościem w domu, gościem, którego należy nakarmić, napoić, nauczyć i puścić wolno. Córkę wodza jednak kochali szczególnie mocno. Gdy miała pięć wiosen, zgubiła się jesienią w gęstym lesie. Trzy wschody słońca trwały poszukiwania, trzy wschody słońca tliła się nadzieja, nim zgasły ten żar łzy i zawodzenia wioskowych kobiet. Dziecko nie mogło przeżyć tak długo, bo noce były już chłodne. Wielki Duch zabrał ją do siebie, a ciałem podzieliły się wilki i kruki.

To wtedy, w ten czas smutku, Kamienne Ostrze po raz pierwszy, od kiedy został wodzem, i ostatni zabił członka własnego plemienu. Był nim Rzemienny Mokasyn, wojownik, który widząc słabość przywódcy, rzucił mu wyzwanie. Mieszkańcy wioski nie mieli pretensji do Kamiennego Ostrza o tę śmierć, bo Mokasyn był silnym niczym niedźwiedź samotnikiem, którego nikt nie chciał na wodza. Gdyby nie strach i fakt, że olbrzym zawsze, nawet w czas głodu, potrafił upolować jakąś zdobycz, już dawno starsi wysłaliby go w drogę bez powrotu. Powiadano nawet, że jest on człowiekiem-niedźwiedziem, który wkłada swoje prawdziwe futro, gdy tylko znika z oczu innym Beothukom.

Piątego dnia Zębaty – półwilk, który wtedy był jeszcze szczeniakiem wielkości dorosłego psa, po

powrocie z jednej ze swoich włóczęg zaczął dziwnie się zachowywać. To Język Lasu, matka Shaa-naan-dithit, poszła za nim między drzewa i po długiej wędrówce odnalazła córkę całą i zdrową w wykrocie, w którym mieściło się wilcze legowisko. Spała, a wraz z nią sześć puchatych kulek, które wadera zostawiła, udając się na polowanie. Kobieta wróciła do wioski z córką podskakującą przy jej nogach i uznano wtedy, że opiekunem dziewczynki jest wilczy duch. Od tego dnia kochano ją jeszcze bardziej.

Czarownik wszystko pamiętał i pragnął osiąść tego ducha, wchłonąć jego moc. Jednak nie tylko jego. Od dawna planował przyjąć córkę wodza do swojego namiotu i uczynić z niej najmłodszą z żon. Nie wtajemniczył w swoje zamierzenia jej ojca i nie wtajemniczy. Kamienne Ostrze prędzej odgryzłby sobie własny język, niż pozwolił jemu, Czerwonemu Kamieniowi, zabrać ukochaną Shaa-naan. Więc będzie musiał umrzeć, i to wkrótce. Na wszystko przyjdzie czas, najpierw on, a w ślad za wodzem ten przybędą, którego uratuje, by zdobyć wdzięczność dziewczyny, ale potem...

Starzec uśmiechnął się do swoich myśli, a do córki wodza plemienia rzekł:

– Nawet jeśli będzie żył, to po ciosie w głowę jego myśli mogą być splątane niczym dzikie łyko. Sichun, Wielka Tajemnica władająca ludzkim rozumem, opływa jego puste ciało tak, jak woda opływa głąz, bo to obcy.

– Wiem, dziadku. – Dziewczyna skończyła obmywać rany swemu wybawcy i przyłożyła świeżą pastę z ziół i pajęczyny. – Ale zrobię, co w mojej mocy, a z woli duchów powróci on do mnie tak, jak zimą zawsze powracają śniegi, choć latem nie ma po nich śladu. Gdy się obudzi, chcę być w pobliżu.

– Jeśli powróci, drogie dziecko, jeśli. – Matowy, zdarty od wdychanych dymów głos szamana był niby szept z za tej drugiej strony i dziewczyna poczuła, że po plecach przebiegają jej ciarki.

– Shaa-naan, jeśli Inyan będący skałą połączył wasze duchy, mogę przerwać tę więź, ja i tylko ja mogę to zrobić. – Czerwony Kamień patrzył wyczekująco na córkę Kamiennego Ostrza. – Gdy obcy umrze, nie musisz iść w jego ślady – dodał ciszej rozmawiający z duchami.

– Ty nie zdołasz tego zrobić, dziadku, a nawet gdyby, to ja nie chcę – powiedziała stanowczo młoda kobieta. Potem sięgnęła po na wpół wypełnioną zimnym już rosółem drewnianą miskę i podniosła się płynnym wężowym ruchem, tak charakterystycznym dla młodości. Wyszła bez słowa na zewnątrz, wpuszczając na chwilę jasną smugę światła do ciemnego i zasnutego dymem wnętrza mamateeku. Nie mogła widzieć grymasu wściekłości na twarzy czarownika ani obietnicy śmierci, gdy patrzył na swojego podopiecznego.

– Więc zginiesz pierwszy – wysyczał bezzębny ustami wprost do ucha nieprzytomnego młodzieńca. Kropelki śliny zaślśniły na wyschniętych wargach. – Potem skradnę ducha Kamiennemu Ostrzu i uwięzę go do końca świata w rybnym pęcherzu, a jego córka będzie masowała moje stare ciało i gotowała strawę przy moim ognisku.

Jeszcze tego samego dnia Czerwony Kamień sięgnął do jednego ze swoich tajemniczych schowków, w których, o czym wszyscy wiedzieli, przechowywał magiczne przedmioty oraz duchy zmarłych i żywych ludzi. Ostrożnie wyciągnął otumanioną zimowym letargiem żmiję skalną, przyniesioną zeszłej wiosny ze stałego łądu. To stworzenie było tak jadowite, że jedno ukąszenie mogłoby powalić wołu pizmowego, gdyby ten miał skórę, którą można by przebić gadziemi zębami. U progu okresu wielkich chłódów trucizny w gruczołach jadowych było niewiele, ale wystarczająco dużo, by zabić człowieka. Starzec tak długo drażnił stworzenie, uderzając je delikatnie w trójkątny łepiek, i ogrzewał przy ognisku, aż całkiem rozbudzone i wściekłe zatopiło kły w ramieniu nieprzytomnego wojownika.

– Czeka cię wieczny sen, trupi synu, nigdy już nie ujrzysz słońca, jednouchy. Planowałem, że umrzesz

drugi, a nim odejdziesz, miałeś mi dać przywiązanie i uległość córki wodza, ale to Shaa-naan-dithit dokonała wyboru. – Starzec zakrakał niby wrona i odtańczywszy taniec duchów, wyszedł z namiotu. Nabrał głęboki haust zimnego powietrza, które następnie przytrzymał chwilę w płucach, by poczuć mocną więź łączącą wszystko, co żywe i martwe, na Ziemi Karmicielce. Uśmiechnął się, pokazując niebu czarne dziąsła. Był bezchmurny wieczór, a na ciemnym nieboskłonie jasno błyszczało Nocne Słońce i gwiazdy, które podtrzymują Wielki Bezmiar, by nie spadł ludziom na głowy. To był widok niezwykle rzadki na wiecznie zachmurzonej wyspie Beothuków i czarownik uznał go za dobry znak.

Może to i lepiej, że sprawy nabrały biegu – myślał leniwie. – Niedługo serce jednouchego przestanie bić, o ile wcześniej oddech nie zamrze na sinych wargach, zduszony ogarniającym całe ciało stężeniem. Wtedy on, Czerwony Kamień, powie wodzowi, że albo jego ukochana córka trafi do namiotu szamana, dla ochrony oczywiście, albo najpotężniejszy czarownik wśród Beothuków pozwoli, by więź łącząca ją z trupozem pociągnęła ducha Shaa-naan na drugą stronę.

Nawet nie będzie musiał zabijać tego nędznego kundla – Kamienne Ostrze, przynajmniej na razie. Zabije jego radość życia i to wystarczy.

Starzec odzyskał dobry humor i wrócił do szykujących się do snu żon. Rano znajdą ciało obcego, ale on, Czerwony Kamień, nie będzie miał z tą śmiercią nic wspólnego i ma na to świadków. Nim zasnął, pomógł jeszcze Rogom Karibu pozbyć się nękających go od wielu dni wrzodów na stopach.

Piątego dnia ranny młodzieniec odzyskał świadomość.



*Wody trzeba przybywającemu z daleka,
Ręcznika i opatrunku dobrego,
Szczerych słów on pragnie
I powtórnych zaproszeń.*

– Otworzył oczy, ojczy, otworzył oczy! – Shaa-naan, z której twarzy prawie zeszła już opuchlizna, a wielkie sińce skryła warstwa czerwonego barwnika, wpadła do namiotu Kamiennego Ostrza niczym strzała, a zaraz za nią zjawił się Zębaty, nieco pokraczna mieszanka wioskowego psa z wilkiem. Po ojcu odziedziczył budowę i długie mocne nogi, po psiej matce umaszczenie i szeroką pierś. Łaciaty wilk wzbudzał wesołość wszędzie, gdzie tylko się pojawił. Córka wodza otrzymała go w prezencie od matki, gdy był jeszcze szczeniakiem, i od tamtego czasu niemal się nie rozstawali. Po pamiętnym dniu, gdy uratował jej życie, ta więź stała się jeszcze silniejsza. Pies wyrósł na tęgiego wioskowego zabijakę, którego bały się i unikały inne kundły. Pechowego dnia, gdy złe duchy prawie zabrały Shaa-naan-dithit z tego świata, a Mikmakowie napełniali ją swoim nasieniem niczym pęcherz wodą, Zębaty leżał z poharatanym karkiem po nocnej wyprawie i starciu z wilczą watahą. Gdyby nie to, bez wahania oddałby życie za swoją panią.

– Nie ma ojca, córko. – Język Lasu odłożyła na bok świeżą skórę karibu, z której właśnie zeszkrobywała grubą warstwę tłuszczu. Pies z ciekawością obwąchał kościaną skrobaczkę, potem zaczął lizać kobietę po dłoni gorącym i szorstkim językiem. Pozwoliła mu na to i po chwili zniknął ostatni ślad złotego łaju. – Gdy poszłaś do szałasów potów, wyruszył z myśliwymi w kierunku wielkiej wody.

– Przecież do nadejścia stąd jeszcze wiele wschodów słońca? – Shaa-naan popatrzyła na matkę zaskoczona. – A ciało Samotnego Jelenia już dawno zjadły zwierzęta. Chyba że... nasi wrogowie rzucili Beothukom otwarte wyzwanie albo to my wykopaliśmy topór. Matko?

– Nie, nie, to nie Mikmakowie i nie Huroni. – Starsza kobieta znowu wzięła się do pracy i strząsnęła sporą grudę żółtego tłuszczu do kamiennej misy. – Szukający ciała twego brata łowcy widzieli wzbijające się w niebo słupy dymu, więc Kamienne Ostrze zabrał dziesięciu szybkonogich i sprawdza, czy nie grozi nam jakieś niebezpieczeństwo. Ten powiązany z tobą rzemieniem życia bladokóry olbrzym nie przybył przecież sam na nasze ziemie, dosiadając potężnego Czwórwiatru. Nie wiemy, jakie zamiary mają jego bracia.

– Ale dlaczego słowa ojca nie dotarły do moich uszu? Biegam przecież nie gorzej od wojowników. – Wyrzut w głosie córki był tak mocno podszyty dziecięcą nutą, że matka uśmiechnęła się mimowolnie. Gdyby nie brudne dłonie, pogładziłaby ją po czarnych, lśniących włosach.

– Twój duch nie jest jeszcze wystarczająco silny, poza tym odeszłabyś od legowiska chorego? – Starsza kobieta przypatrywała się młodszej z powagą, ale w jej oczach błyszczały iskierki wesołości. – Ale dość słów, które są niczym wiatr w koronach drzew. Czego chcesz od Kamiennego Ostrza?

– Matko, dzięki za to składam samemu Wakan Tance, obudził się! Patrzył na mnie!

– Ten twój bladokóry?

– Nie, dziecko z grzechotki Czerwonego Kamienia. Pewnie że on.

– Ale może jego duch dalej błądzi? Czarownik mówił...

– Nie, jest tu, jest z nami, matko. Jego usta układały słowa, których nie rozumiem, ale to na pewno była jakaś mowa.

– No to chodźmy. – Żona Kamiennego Ostrza odłożyła na bok skrobaczkę, podniosła się i wytarła tłuste dłonie w skórę zasłaniającą wejście do namiotu. Dzięki takim zabiegom wszechobecna na wyspie woda i podążający w ślad za nią biały nalot nie zniszczą szybko tej zasłony.



Wyjścia wszystkie, zanim się wejdzie,

Trzeba obejrzeć,

Trzeba zbadać,

Bo nie wiadomo, gdzie wrogowie

Siedzą w świetlicy.

Grupa Beothuków przemykała po śladach zwierzyny ze swobodą ludzi, którzy są u siebie i znają każdy zapach, dźwięk i smak tego lasu. To była ich kraina, ich Unchi – Matka i Babcia w jednym. Gdy Wakan Tanka stworzył wodę i pierwsze zwierzęta, cały świat był jednym wielkim morzem. Brakowało lądów, a życie kwitło jedynie pod powierzchnią Wielkiej Wody i w przestworzach. Wielki Duch, Ten, Który Jest Niezgåębioną Tajemnicą, który powołał do pomocy szesnaście boskich istnień, zapragnął czegoś więcej. Natchnął więc swoją tęsknotą cztery najsilniejsze istnienia stanowiące Święty Krąg.

Wi – Słońce – duch, który jest dawcą życia, wraz ze swoją żoną Księżycem, Unchi – Babcią Ziemią,

i Taku Skanskan radzili, jak zadowolić Wielką Tajemnicę. To Skan – Moc, Która Wprawia Wszystko w Ruch, pierwszy wpadł na pomysł stworzenia łądów i ich mieszkańców. Wysłali więc ptaka – Ziemskiego Nurka, by ten wyniósł w dziobie z dna na powierzchnię odrobinę mułu i złożył go na skorupie pływającego żółwia. Gdy to się stało, członkowie Świętego Kręgu zaczerpnęli mocy od Wielkiego Ducha, który z kolei wysłał ją z kilku podtrzymujących niebo gwiazd, i w jednej chwili ziemia urosła, tworząc najpierw samotną wyspę, a potem stały łąd. To nie był jednak koniec pracy – stworzyli rośliny, zwierzęta i mężczyzn, by ci opiekowali się ziemią, pielęgnowali ją niczym ogród i dbali o zachowanie równowagi. Widząc jednak, jak strażnicy są samotni, ulepili z gliny i ożywili kobiety, by te dotrzymywały mężczyznom towarzystwa, dbały o ognisko i wioskę, gdy mężowie są na łowach, oraz sprawiały im przyjemność. Wtedy świat był młody, a dwunożni ludzie, podpatrując Wielkie Duchy, nauczyli się żyć w harmonii, biorąc tylko tyle, ile im było niezbędne. Niekiedy, gdy poruszy się prastary żółw, na którego grzbiecie umieszczono denny muł, ziemia drży i pękają góry. Co pewien czas osłabiona brakiem mocy gwiazda pędzi po czarnej kopule w swoim ostatnim, pożegnalnym locie, oddając siłę życiową Unchi. Od kiedy ludzie stali się zbyt silni i zachłanni, zakłócając tym odwieczny porządek rzeczy, takich spadających iskier jest jakby więcej.

W każdym z ziemskich istnień jest odrobina Wakan Tanki, tego, który pozostając w ciągłym ruchu, nie ma początku ani końca i tak jak wszystko nie jest idealny. Jakże mógłby być, skoro twory, w które tchnął własne życie, takie nie są? Więc jedenastu Beothuków, poruszając się niemal bezszelestnie pośród bezlistnych braci drzew i splątanych krzewów, czuło obecność Wielkiego Ducha w ludziach-ptakach, kołujących gdzieś hen w przestworzach, w roślinach zapadających już w zimowy letarg i ludziach-zwierzętach, które nauczone doświadczeniem umykały dwunożnym kuzynom z drogi. Długi Człowiek nigdy nie czuł się samotny, nawet wędrując w pojedynkę od wschodu do zachodu słońca. Otoczenie przemawiało do niego szumem wiatru, skrzekiem kruków, ciepłem nagranych kamieni, chłodem twardej wody. Dobrze było czuć się małą częścią wielkiego żywego świata. Czy można być samotnym, gdy się stąpa po ziemi, której każda grudka, każdy głąz i każda rzeka jest matką, ojcem, przyjacielem, domem? Jako opiekunowie Unchi nigdy nie zabijali dla przyjemności. Mikmakowie byli inni, ale przecież nie wszystkie dzieła Wakan Tanki są idealne.

– Mówisz, że był słup dymu, Czerwony Ościeniu? – Biegący na przodzie Kamienne Ostrze odwrócił nieznacznie głowę w stronę wysokiego i chudego jak patyk wojownika. Nie tracił jednak z oczu tego, co było przed nim, czujnie wypatrując niebezpieczeństwa.

– Był. – Zapytany poprawił przewieszony przez plecy łuk i mówił dalej: – Gdy szukałem ciała Samotnego Jelenia, zobaczyłem w oddali coś, co początkowo wziąłem za chmury. Miały jednak dziwny kształt, więc ruszyłem w kierunku Wielkiej Wody. Po długim marszu dotarłem na niewielkie wzgórze, po czym wspiąłem się na najwyższe drzewo. Nie było to łatwe, bo jego gałęzie otulał świeży śnieg, ale Czerwony Oścień jest nie tylko dobrym myśliwym i niestrudzonym wojownikiem dla swojej kobiety, ale również ma silne ręce. – Kilka rozbawionych pomruków rozległo się w odpowiedzi, ale mówiący udał, że ich nie słyszy. – Teraz widziałem na wiele strzałów z łuku i byłem już pewien, że to nie chmura, a dym wydobywający się z ogromnego ogniska. Wielki Duch obdarzył mnie orlim wzrokiem, ale też dobrym rozumem, więc nie mogłem uwierzyć własnym oczom. To płonęła woda, a raczej unoszące się na falach olbrzymie kanu. – Tym razem słowom łowcy towarzyszyły odgłosy zdziwienia. Dłudzy Ludzie, zawsze gdy Czerwony Oścień dochodził do tego punktu swojej opowieści, reagowali tak samo. – To nie wszystko, co zdołałem spostrzec. W pobliżu wielkiej płonącej łodzi, poza zasięgiem szponów płomieni, kołysały się inne do niej podobne. Na nich uwijali się ludzie, tacy jak my, choć inni. Jedni polewali wszystko morską wodą, inni poruszali ogromnymi wiosłami, chcąc uciec jak najdalej od czerwonego

ognia.

Przez kilka chwil oddział biegł w milczeniu, rozpamiętując relację zwiadowcy.

– A na brzegu rozłożyli swój obóz wojownicy i widziałem ich tam wielu – dokończył już niepytany myśliwy. – Nie byli to żrący surowe mięso Ludzie Morza, ale obcy. Nie podchodziłem bliżej, wróciłem do wioski, by was ostrzec.

– Jeśli nawet coś tam było, a było – dodał szybko Kamienne Ostrze, słysząc za plecami gniewne sapnięcie towarzysza – to na szczęście nie podpaliło całego lasu.

– Nie mogło, bo przez wodę ogień nie przejdzie! – wtrącił przytomnie któryś z myśliwych.

– I dzięki za to niech będą Wielkiemu Duchowi. Ale widziałem kiedyś w szalasie czarownika wszystkich Beothuków z wyspy, Czerwonego Orła, płonący kamień, a kamienie też się przecież nie palą. – Wódz Długich Ludzi znad Zatoki strzyknął śliną spomiędzy zębów.

– A woda z Czarnego Oka, tego, które nigdy nie zamarza w okolicy Spękanej Ziemi? – Szpotawy Byk, syn Orlego Krzyku, był małym chłopcem, gdy podczas wędrówki z ojcem odkryli wgłębienie pełne czarnej mazi. – Ona się pali, choć przy tym jest tak dużo czarnego, gryzącego w oczy dymu, że to jest zły ogień.

– Masz rację, czerwony bracie, ale Wielka Woda nie jest gęsta, czarna też nie jest i na pewno się nie pali. Na tym zakończmy. Rozdzielmy się: Czerwony Oścień z trzema wojownikami pójdzie tam, gdzie wskazuje moja prawa ręka, Rogi Karibu w przeciwną stronę, a ja z pozostałymi przed siebie.

Dalej już bez słów oddział podzielił się na trzy części i zwalniając, by nie przeoczyć żadnego sygnału o niebezpieczeństwie, wojownicy ruszyli w kierunku wybrzeża. Nie trwało to dłużej niż zagotowanie wody w skórzanej sakwie za pomocą rozgrzanych w ognisku kamieni, gdy piątka czerwonych od stóp do głów tubylców, wyglądających z daleka niczym pięć pochodni, ostrożnie zatrzymała się tuż poza barierą nadbrzeżnego lasu iglastego. Beothukowie malowali ochrą nie tylko skórę, ale też ubrania, sprzęty domowe i broń, co chroniło ludzi przed wpływem złych duchów, a wśród obcych na pewno było ich wiele. Gdy chciano kogoś ukarać, odmawiano mu tego przywileju. Taki pozostawiony sam sobie wygnaniec z reguły nie żył zbyt długo.

Oczom wojowników ukazało się siedem wzgórków, które musiały być rodzajem wielkich ziemnych domów, bo wchodzili do nich ludzie i z nich wychodzili. Z tej odległości wydawali się niezbyt wysocy, ale Kamienne Ostrze, oceniając po wyglądzie bladokórego młodzieńca, przypuszczał, że przewyższają oni wzrostem mieszkańców Wielkiej Wyspy. To ich szerokie ramiona powodowały, że wydawali się niżsi.

W oddali, na wodach zatoki, kołysały się ogromne drewniane kanu. Dwa z nich wyciągnięto na piaszczysty brzeg i spoczywały teraz podparte grubymi belkami, jakby gotowe do żeglugi w głąb lądu. Z tych, których wysokie dzioby wciąż obmywały słone fale Wielkiej Wody, z wyjątkiem mocno nadpalonego wraku, wyrastały proste, smukłe drzewa. Na jednym z nich opuszczano właśnie ogromną, chyba skórzaną płachtę, podobną do tej, którą ludzie okrywają letnie szałas.

– Wioślarze zdolni pływać czymś takim muszą być ogromni. – W głosie Szarego Kruka słyhać było strach i... ciekawość. Ten dzielny wojownik przeżył już wiele zim, ale nigdy jeszcze nie oglądał tak dużych łodzi. Kamienne Ostrze widział jedną, ale nie wspominał o tym, bo czas nie był odpowiedni.

– Przecież mówiłem, że stąpali po nich ludzie tacy jak my, choć inni – wtrącił swoje Czerwony Oścień.

– To pewnie byli niewolnicy tych olbrzymów. – Szary Kruk mówił z wielkim przekonaniem

doświadczonego rybaka, który wie, że im większe kanu, tym potrzeba większego wiosła i siły, by nim robić.

– Ostrożnie! – Wódz złapał za ramię Śnieżnego Lisa, nim ten wiedziony ciekawością wychylił się poza osłonę z drzew. Młody wojownik miał sławę najszybszego biegacza w wiosce, ale i niezbyt mądrego. Gdy Śnieżny Lis liczył kilka wiosen mniej, wszedł na wysoką sosnę i obwieścił wszystkim, że pozostanie tam tak długo, aż Wielki Duch obdarzy go skrzydłami. Gdyby nie pragnienie i głód, pewnie siedziałby tam do dzisiaj. Innego lata zaczął zajadać się ziemią zmieszaną z nasionami traw, bo, jak twierdził, w żołądku wydadzą one plon i nie będzie już musiał nigdy spożywać posiłków. Trwało to wiele dni i młody wojownik tak bardzo opadł z sił, że przestał w końcu wychodzić z namiotu. Śmierdział jak zdechły pies, bo nie dawał nawet rady iść za potrzebą, a potrzeby w owym czasie miał ogromne. Dopiero wezwany na pomoc Czerwony Kamień wyjaśnił Śnieżnemu Lisowi, że do wzrostu roślin niezbędna jest życiodajna moc Wi, a ta do wnętrza człowieka nie dociera. „Chyba że będziesz chodził do końca swoich dni z otwartymi ustami” – droczył się z nim. Śnieżny Lis miał nawet chęć spróbować, ale był tak słaby, że w końcu zrezygnował.

– Przejdźmy wzdłuż krawędzi lasu na lepiej osłonięte miejsce, bo ci tam są na razie ślepi, ale nie musi tak być zawsze. – Kamienne Ostrze skierował swoją pałkę z kamieniodrzewa w stronę rojnego, pełnego ludzi wybrzeża. Śnieżny Lisie, Śpiący na Stojąco, znajdźcie pozostałych i przekazcie im słowa wodza: mają się wycofać i zacierając tropy, ruszyć w kierunku naszej osady. – Wymieniona dwójka w ciszy skinęła głowami i rozplynęła się wśród drzew.

– Dobry chłopak – powiedział wojownik, myśląc o Śnieżnym Lisie – choć jego rozum dorównuje mocą długości włosów na piersiach naszych żon. – Kamienne Ostrze ostrożnie ruszył przodem.

– Ale nasze kobiety, zresztą tak jak i my, nie mają... – Chrapliwy Oddech podrapał się bezwiednie po gładkim, skrytym pod futrami brzuchu.

– No właśnie, nie mają.

Dalej już szli w milczeniu, bacznie obserwując teren.

Na sterty ciał natknął się Kamienne Ostrze, który odbił nieco w stronę rzadszych, rosnących na samym skraju lasu drzew.

– Na oddech Ptaka Pioruna! – Wojownicy usłyszeli jego cichy okrzyk. Cała trójka zbiła się w ciasną gromadkę, jakby towarzystwo innych żywych istot dodawało im odwagi i chroniło przed tym, co mieli niemal u swych stóp. Na wyciągnięcie ręki piętrzył się przed nimi spory śnieżny pagórek, co w nierównym terenie nie było rzadkością. Jednak to nie na skale czy ziemi lądowały przez ostatnie dni białe płatki, ale na zamrożonych ludzkich zwłokach.

Chrapliwy Oddech odgarnął trochę śniegu i zobaczyli powrzucone, warstwa na warstwę, nagie ciała. Gdzieś tam lisy zdążyły powyrywać umarłakom kawały mięsa, gustując szczególnie w delikatnych policzkach i miękkich podbrzuszach, jednak brodatych bladych twarzy było tu tak dużo, że ich zapas wystarczy lokalnym padlinożercom do końca okresu chłodów, a może na jeszcze dłużej.

Znaleźli też rany, których nie zadały zwierzęta, i te były najgorsze. Kilku jasnoskórych mężów leżało z własnymi genitaliami w ustach, innym dla odmiany odcięto głowy i włożono między mocne nogi, tak że mieli teraz zęby zaciśnięte na swoich przyrodzeniach. Wielu zwyczajnie poobcinano ręce i nogi, a innych wypatroszono. To Szpotawy Byk, idąc po śladach, trafił na najgorsze znaleziska. Ciała tegorocznych dzieci, jako najsmaczniejsze i najdelikatniejsze kąski, lisy pierwsze porwały ze sterty. Nie było ich wiele, ale widok do czysta obgryzionych, popękanych małych czaszek jest trudny do zniesienia, nawet dla

dzielnych wojowników. Jakiejś jasnowłosej kobiecie o dużych, mlecznych piersiach i szerokich biodrach, która też leżała nieco z boku, jak wskazywały tropy, wyjęto nienarodzone dziecko prosto z brzucha.

– To głównie wojownicy – przerwał ciszę Kamienne Ostrze. – Potem wzniosł wysoko ręce, by w błagalnym geście połączyć się z Wielkim Duchem, i przyłożył głowę do najbliższego pnia. – O Wielka Tajemnico, Ty, który wszystko wiesz i rozumiesz – szeptał drzewu, a ono podawało te słowa wiatrowi, on zaś chmurom. – Nie my ściągnęliśmy śmierć na tych ludzi. Nie nas więc ukarż za naruszenie odwiecznego porządku rzeczy, ale pobratymców tych tu, którzy odważyli się tak zbezczęścić święte życie. Zabijanie wrogów bywa niekiedy koniecznością, ale ich ciała zasługują na szacunek, a dobre uczynki na pamięć. Dwunożni ludzie odradzają się, gdy przychodzi na to czas, i równowaga jest zachowana. Nadzy, wyrzuceni niczym resztki, pozbawieni wsparcia współplemieńców szukać będą zemsty i sprawiedliwości, przemierzając lasy do końca świata. Tym tu nie dano szansy podjęcia wyprawy do Odległej Krainy, Święty Krąg nie został zamknięty. Ich bliscy nie wspomnieli ich dobrych uczynków, które są dla duchów niczym skrzydła dla ptaków. O Wakan Tanko, zniszcz plugawe wielkie kanu tych obcych, zamroź swym oddechem dziwne ziemne szałas, wysysij ciepło z kości. – Ucichł, a wraz z szeptem wodza na chwilę zamilkł wiatr i jakby zamarł las. Świat ruszył z miejsca na odgłos zimowego ptaka, który był dowodem, że Tob-Tob usłyszeli słowa wodza ludu znad Zatoki. Kamienne Ostrze otworzył oczy, oderwał czoło od pnia i rozejrzał się po ściągniętych strachem twarzach dwóch towarzyszących mu wojowników.

– Nasze oczy widziały prawdziwe oblicze owłosionych ludzi. Niech ten widok zapadnie wam w serca i rani je krwawymi igłami, a potem przekazcie go dzieciom i dzieciom waszych dzieci. Nigdy, póki Taku Skanskan obdarza nas siłą, nigdy nie ufajcie ludowi, który jest zdolny do czegoś takiego. – Wzrok mu płonął, twarz zmieniła się w przerażającą, nieruchomą maskę. – Nie dotykajcie ich rzeczy, nie mieszkać w ich szałasach, gardźcie ich przyjaźnią, bo nie jest prawdziwa.

– A ten twój bladokóry, przecież jest jednym z nich? – Chrapliwy Oddech patrzył na wodza pytająco.

– Zabijemy go, gdy tylko wrócimy do obozu! – Szpotawy Byk uderzył pięścią w otwartą dłoń dla dodania mocy swoim słowom.

– Nie, druhu moich łowów, nie zabijemy. – Kamienne Ostrze poruszył lekko ramionami, jakby uwierał go w plecy jakiś niewidzialny ciężar. – Inyan połączył go z moją córką nierozzerwalną więzią i nie możemy tego zrobić, o ile ona ma żyć. Uratował ją, więc pozwolimy mu mieszkać wśród nas. Ale choć język będzie gładki, choć moje usta śmiać się będą i żartować w jego obecności, nie zaufam temu obcemu tak, jak nie ufa się wściekłemu psu czy wygłodniałemu niedźwiedziowi. Chcę poznać tego wroga jak najlepiej, a Bogini Morza przysłała go nam nie bez powodu. Poza tym i wśród kruków znajdzie się jeden biały ptak.

– No tak, ale ten bladokóry nie jest jedynym wśród ludu...

– Dosyć! – rzucił twardo Kamienne Ostrze. – O tym, co zobaczyliśmy, nie będziemy mówić. Chrapliwy Oddechu, synu Długiej Ręki, i ty Szpotawy Byku, synu Orlego Krzyku; wszystko, o czym tu rozmawialiśmy, musi zostać między nami a duchami tego miejsca do czasu, gdy zwolnię was z przyrzeczenia. Jeśli chcecie opowiedzieć o tym naszym braciom, musicie mnie zabić, inaczej ja zabiję was.

– Ale dlaczego, przecież... – Chrapliwy Oddech zdawał się nic nie rozumieć.

– Zabiją tego przybysza, gdy dowiedzą się, do czego są zdolni jego bracia. – Szpotawy Byk popatrzył na wodza, szukając potwierdzenia, ale ten stał z nieruchomym obliczem.

Ciszę, która zapadła po tych słowach, przerwał odległy, głośny i swobodny śmiech jednego z włochatych obcych, który dotarł do uszu tubylców niczym pomruk nadchodzącej burzy i zwiastun nieszczęścia.

– Niech tak będzie. – Myśliwi skinęli głowami na znak zgody, a maska twarzy Kamiennego Ostrza drgnęła, by rozpuścić się w końcu w uśmiechu ulgi. Nie chciał zabijać swoich druhów, ale jeszcze bardziej obawiał się o los córki nierozzerwalnie związanej z bladokórym młodzieńcem.

– Nim na zawsze stąd odejdziemy – powiedział spokojnie wódz, jakby wcześniejsza rozmowa była jedynie jękiem wiatru w koronach drzew – policzmy żywych białoskórych włochaczy. Na pewno jest ich więcej niż dziesięć razy palców u rąk. Zapamiętajcie każdy szczegół tej wioski, każdą ścieżkę i trasę, którymi z łowów wracają ich myśliwi. Od tego może zależeć życie nasze i naszych rodzin. Sami macie być niewidoczni niczym Nagila – Cień Zmarłego. Teren Zatoki Morsów będzie od tej chwili złą ziemią, omijaną przez nasze plemię.

Wojownicy z zaciśniętymi ustami znowu skinęli głowami, bo wszystko, co ważne, zostało już powiedziane.



*Jeżeli masz przyjaciela, któremu wierzysz
I życzliwości się spodziewasz,
Otwórz mu swą duszę i dary wymieniaj,
I często spotykaj.*

Czarownik Beothuków znad Wielkiej Wody – Czerwony Kamień, przecierał oczy ze zdumienia, gdy rano zobaczył, jak Shaa-naan-dithit karmi wywarem z zająca wielkiego bladego człowieka. Ten, choć przecież ukąszony przez żmiję, najwidoczniej miał się dobrze i teraz, pólżąc, z wielkim apetytem pochłaniał ciepły, okraszony kawałkami rozgotowanego mięsa bulion. W przerwach próbował mówić coś do swojej opiekunki, ale jego słowa były językiem złych duchów, nie ludzi.

– Dziękuję, dziadku, dziękuję! – Córka Kamiennego Ostrza zerwała się z miejsca na widok starca, rozlewając przy tym resztkę zupy. Zawirowała ze szczęścia jak ptak albo suchy liść na wietrze, a stary czarownik, gdyby mógł, zazgrzytałby zębami ze złości. Na szczęście ostatni wydłubał sobie jakieś dziesięć wiosen temu.

– Widzę, że Tchnienie Życia wsączył ducha w tego przybysza zza Wielkiej Wody. – Przykucnął, wpatrując się czarnymi niczym węgiel oczami w ozdowieńca. Jego zaczerwienione, bezwłose powieki, pomarszczona skóra i wielki haczykowaty nos musiały zrobić na obcym duże wrażenie, bo przestał się głupkowato uśmiechać i poszukał przerażonym wzrokiem dziewczyny.

– Wyssałem z niego chorobę – czarownik mlasnął głośno, jakby smakował pieczoną skórę – ale Ptak Piorun jest tuż obok i w każdej chwili może porwać białoskórego do świata duchów. Za nim widzę cieniopodobnego Nagilę, cieszącego się na myśl o pożarciu słabego ducha obcego – dokończył, ledwie otwierając usta.

– Nie, już nie. Inyan związał nas wieczną mocą kamienia i on będzie żył, wiem o tym. Nie opuszczę mamateku, dopóki nie stanie na nogi. – W głosie młodej kobiety słychać było echa ojcowskiej

stanowczości, ale w końcu była przecież córką Kamiennego Ostrza, syna Rozszczepionego Drzewa, wnuka Siedzącego Niedźwiedzia – największego wojownika swoich czasów. Twarz Czerwonego Kamienia drgnęła, jakby po ugryzieniu przez drzewnego motyla, ale zaraz na powrót przybrała nieprzenikniony wyraz.

– Trucizna nie zadziałała, białego z owłosioną twarzą chroni jakaś magia. Ciekawe, czy uchroni go też przed wbitym w oko kłębem morsa? Ale to później, później – mamrotał pod nosem, a na twarz wypłynął mu dobrotliwy uśmiech.

– Będzie, jak zdecyduje Wielki Duch, moje dziecko, a teraz niech śpi.

Trud zjedzenia pierwszego od wielu dni obfitego posiłku dał się młodzieńcowi we znaki i nie trzeba było czarownika, by spostrzec, że ledwie utrzymuje swoją łódź na powierzchni. W każdym człowieku trwa walka dobrego wilka ze złym, pomyślał Czerwony Kamień. Wygrywa ten, którego karmimy, a ja teraz dokarmiam bestię.

Shaa-naan zaczęła się podnosić, nie chcąc przeszkadzać młodzieńcowi w odpoczynku, gdy poczuła słaby, ale stanowczy uścisk.

Chce, żebym z nim została – przez głowę dziewczyny przebiegła radosna myśl, która wywołała nieznane dotychczas poruszenie w okolicy brzucha. Ognisko nieco przygasło, więc nie dostrzegła przerażenia na twarzy obcego wojownika, kiedy ten spoglądał tam, gdzie stał zgarbiony Czerwony Kamień. Czarownik, który tkwił nieruchomo, otulony swoim czarnym płaszczem niczym czerw kokonem, wydawał się teraz wielką obietnicą śmierci.



Niechaj nikt nie gani

Człowieka za miłość;

Często działa na rozumnego czarująca piękność,

Głupi jest obojętny.

Oddi, gdy wrócił do świata żywych, czuł słabość we wszystkich członkach. Sporo wysiłku kosztowało go powstrzymanie wirowania posłania, na którym leżał, i tu znowu przydała się nauka berserka. Ale było warto. W pewnym momencie zobaczył pochylającą się zatroskaną twarz młodej kobiety. Może trochę zbyt płaską, z włosami za bardzo czarnymi i prostymi, nieco trójkątną niczym u żmii, ale wciąż jeszcze pachnącą świeżością i młodością. To wielkie ciemne niczym studnie oczy czyniły ją naprawdę piękną. Spore znaczenie dla tej oceny mógł mieć fakt, iż spodziewał się wściekłego, ciasno obciągniętego skórą oblicza którejś z walkirii, o wiele mówiących imionach: Skeggölld (Topór Stary), Herfiötör (Zastępów Węzły), Gaull (Wrzask), Geiraulul (Dzidy Posoka), Randgrith (Tarcz Wściekłość). Trochę psuła to dobre wrażenie skóra dziewczyny, odbijająca pełgający blask ogniska. Wydawała się czerwona i lśniła jak czysta miedziana blacha na nowym, nieosmolonym jeszcze kociołku. Rysy miała jednak wyraziste, w przeciwieństwie do skraelingów, których spotkali przy Sflaczałym Cycku, choć lekko zniekształcone ustępującą opuchlizną. To ostatnie przypisał zwidom własnego umęczonego umysłu. Nos i podbródek mocno zarysowane, zęby białe i równe, więc czego chcieć więcej. Gdy tak się nachylała, jedna z niewielkich piersi poruszyła się pod skórzaną koszulą, a on mimowolnie zrobił zeza. O bogowie, od

tego zerkania znowu zakręciło mu się w głowie i zrobiło niedobrze.

– Bogini – szeptał – gdybym cię niechcący pobrudził tym, czego nie mam w żołądku, ale jakimś sposobem tam się znalazło, wybac mi, to dlatego że zrobiłaś na mnie wielkie wrażenie. – Beknął i poczuł w ustach smak żółci i... zupy. – Czy ty jesteś może walkirią, o której jeszcze nie śpiewają w sagach? – dodał z nadzieją w głosie. Wargi miał sztywne jak po zbyt długim pocałunku z zimnym kamieniem. – Gdybyś była Hild albo Thrud, otrzymałbym znak, że ojciec Odyn wybaczył mi niedawne tchórzostwo. Ale one nie mają tak nadobnego oblicza, więc zdradź mi, kim jesteś. Może ty trzykrotnie narodzona i spalona Gullweig, ta, która rozkochała w sobie Asów i Wanów i doprowadziła do wojny między nimi? A może sama Gefna, bogini płodności i długiej przyjemności w łożu? – Zaczynał bredzić i co dziwne, wiedział o tym.

Myśli pierzchły w jednej chwili niczym ławica szprotek przed tuńczykiem, a dalsze słowa uwięzły w ustach, gdyż dziewczę wypadło na zewnątrz niczym oparzone.

– Zawsze miałem dobre podejście do niewiast – mruknął młodzieniec do siebie z wyrzutem. – Nawet matka mi mówiła, że pomiędzy moimi myślami a językiem powinna być jeszcze kuźnia, w której dobry kowal prostowałby zakręcone pomysły i studził te zbyt gorące. Może i miała rację, ale ja wywaliłem biedaka razem z jego warsztatem, gdy tylko nauczyłem się mówić.

Oddi chwilę leżał sam, oddając się czarnym myślom, i już zaczął przypuszczać, że ta Asynja była jedynie wytworem jego wyobraźni, gdy wróciła, niosąc w dłoniach drewnianą miskę z czymś parującym. Długo zastanawiał się nad tym, co powiedzieć, jeśli ją jeszcze zobaczy. Słowa, które wymyślił, wydawały się bezpieczne.

– Kim jesteś, czerwolica bjargrygr, ty, której czarne oczy niczym dwa pająki utkały sidła na me serce? – wyszeptał. W odpowiedzi dziewczę – albo bogini, choć wolałby mieć przy sobie ludzką kobietę, gdyż te z Asgardu były niedostępne dla śmiertelników – powiedziało kilka słów w nieznanym języku, a widząc, że nic nie rozumie, wzięło kościaną łyżką trochę zupy z miski i przyłożyło do swoich pełnych warg. Potem ich twarze zbliżyły się do siebie i poczuł na języku mocny smak mięsnego wywaru. Zaśmiał się z ulgą, krztusząc przy tym zupą, bo to znaczyło, że wciąż żyje. Chciał się uśmiechnąć, ale na kilka chwil świat znowu zawirował w szalonym tańcu i Oddi poczuł mdłości.

Objawy ustąpiły po kolejnym, podanym ustami nieznanomej łyku ciepłej zupy. Wydawało mu się, że w kącie przycupnęła druga, starsza kobieta, ale wzrok miał jeszcze zmacony i niczego nie był pewien.

Nagle półmrok pomieszczenia na krótko rozświetliło światło słoneczne i młody wiking mało nie udusił się, krztusząc kolejną porcją stawy. Zza pleców dziewczęcia spoglądał na niego z nienawiścią człowiek-kruk. Młoda kobieta coś do niego swobodnie zagadała, nie obawiając się widocznie przybysza, ale Oddi był pewien, że ujrzał śmierć wcieloną, posłańca samej Hel. Czuł, że słabnie i zapada w odrętwienie, więc resztką sił uchwycił szczupły nadgarstek swojej opiekunki, tak jak tonący chwytą zwisającą nad bystrym nurtem gałąź. Potem świat zrobił się czarny.

Z tych dni Oddi Asgotsson pamiętał niewiele. Gdy wypływał na powierzchnię, zawsze widział przy sobie twarz czerwonoskórej dziewczyny i miskę zupy. Jedno pojął na pewno: nie był w Asgardzie, w pałacu, którego ściany pokryte są złotymi włócznie. To było Śródziemie, kraina ludzi. Ciało ciągle miał jeszcze słabe i zaraz po posiłku zasypiał, gdy Bölthorn – Zły Kolec, machał nad jego głową swoją magiczną różdżką. Niekiedy przychodził też człowiek-kruk, ale na szczęście zawsze trzymał się w pewnej odległości.



Często nie wiedzą domownicy

Kim jest ten, co przychodzi.

Nie ma tak cnotliwego, by błędu nie miał,

Ni takiego kpa, by nic nie był wart.

Tymczasem w wiosce nadszedł czas Ononharoi, głównego święta zimowego wszystkich prawdziwych ludzi. Obchodzili je Beothukowie, Mikmakowie, Ludzie Łosie, a nawet Huroni, którzy nie byli rdzennymi mieszkańcami tych terenów. Zresztą oni to samo mówili o Długich Ludziach. Cała wioska Kamiennego Ostrza szykowała się do rytuałów, których celem było uzdrawianie ciał i dusz. Ononharoi miało przepędzić zimowe choroby i przygnębienie, wywoływane rzadką w tym okresie obecnością życiodajnego Wi.

Poprzedniej nocy grupa zamaskowanych młodych wojowników „zakradła” się do co znaczniejszych mamateeków i zabrała ich mieszkańcom przedmioty codziennego użytku: rogi zwierząt, skóry, drewniane narzędzia, broń, zapasowe paliki do namiotów i tak dalej. Swoją zdobycz złożyli na środku osady. Rankiem rozpoczęły się poszukiwania, ale to nie właściciele szukali swojej zguby, ale wszyscy mieszkańcy wioski wypatrywali przedmiotów, na które natknęli się w nawiedzających ich ostatniej nocy wizjach. Jeśli komuś się poszczęściło, duch mieszkający w przedmiocie łączył swoją siłę z duchem człowieka i wspólnie mogli przeciwstawić się każdej chorobie i smutkowi.

Shaa-naan chodziła po osadzie dziwnie markotna i cicha. Gdy znajdzie to, czego szuka, duchy osiągną równowagę i ciało będzie zdrowe. Modliła się, by Dziadek Wakan Tanka dał jej siłę, bo po spotkaniu z Mikmakami miała blizny nie tylko na twarzy i piersiach. Te niewidoczne były nawet gorsze. Błagała również o zdrowie dla dziwnego białego wojownika, który przypłynął na Wielką Wyspę ogromnym kanu. Ojciec opowiedział jej, co znalazł na wybrzeżu przy Wielkiej Wodzie: o wielkich ziemnych mamatekach i olbrzymiej drewnianej łodzi, która osiadła na płytkim dnie spalona aż do samego lustra wody. To właśnie na niej przybył zapewne wybawca, młody wojownik o jasnej skórze i z włosami na twarzy, a ten, kto dokonał takiego zniszczenia, miał moc Ptaka Pioruna. Błagała więc Wielkiego Ducha, by ukrył przybysza przed okiem tego złego.

Wczoraj wiele czasu spędziła w szałasie potów, otulona parą przemieszana z dymem i duchami ziół. Tej nocy miała wizję, widziała pancierz olbrzymiego żółwia, którego lekko wywinięte ku górze krawędzie ktoś pomalował czerwoną farbą, ale reszta była czarna niczym środek oka. Chciała nawet zapytać Czerwonego Kamienia o znaczenie snu, ale ostatnio stał się jakiś dziwny. Bała się go i drżał przed nim bladokóry wojownik. Tak długo wierciła ojcu dziurę w brzuchu, aż zgodził się wyznaczyć jednego z młodszych synów Chmurnego Nieba, by ten trzymał straż przed namiotem przybysza zza Wielkiej Wody. Tak na wszelki wypadek. Najgorsze jednak było to, że nie wiedziała, gdzie można znaleźć przedmiot ze snu, a tym samym nigdy w pełni nie wyzdrowieje. I to była przyczyna smutku jej młodego, pokierowanego ducha.

– Snae-Kol, Snae-Kol! – Okrzyk niósł się od namiotu do namiotu niczym płomień po suchej trawie. To był jeden z rzadkich cieplejszych dni bez opadów śniegu. Pierwsze zauważyły obcych dzieci bawiące się nieopodal wioski i przestraszone pobiegly z krzykiem do dorosłych. Ci chwycili za broń i wyszli naprzeciw, ale niepewność zamieniła się w radość, gdy rozpoznali, kto zmierza w ich kierunku. Wielki

wódz wszystkich Długich Ludzi niemal zawsze był w tej wiosce miłym gościem. Wiele zim temu, gdy Kamienne Ostrze miał lata Shaa-naan, Najwyższy z Wysokich mieszkał wśród nich i został bratem krwi ojca dziewczyny. Potem odszedł w swoją stronę. Dwie wiosny później pojawił się znowu, już jako wódz Długich Ludzi, by wybrać spośród młodych mężczyzn czterech najsilniejszych do swojej drużyny. Przed nim nikt tego nie robił, więc nie obyło się bez protestów. Starszyzna nie chciała puścić silnych łowców, ale przekonały ją szczodre dary i obietnica, że w zamian dostaną sześciu innych, choć znacznie młodszych. Snae-Kol dotrzymał danego słowa.

O Beothukach powiadano, że dotrzymują słowa. Tak ich stworzył Wakan Tanka. Mikmakowie zaś, gdy mówili, że coś zrobią, to kończyło się na słowach – Wielki Duch w tym wypadku okazał, że ma poczucie humoru i ceni równowagę. Bo przecież uczynił twardą skałę i miękki piasek, który nie daje oparcia stopom; wymyślił silną i niezbyt mądrą młodość, a wraz z nią zniedołężniałą i pełną wiedzy starość; obdarzył istoty odwagą, dając im jednocześnie strach, by ten ratował im życie; powołał wreszcie do życia Beothuków i Mikmaków.

Najwyższy wódz szedł wielki niczym niedźwiedź i nawet go trochę przypominał. Chociaż już niemłody, ciągle jeszcze nosił się prosto i o głowę przerastał najwyższego z towarzyszących mu braci. Ramiona miał szerokie, a ręce długie i grube, niewiele ustępujące grubością nogom dorosłych wojowników. Tak jak u wszystkich prawdziwych ludzi, ciało i broń zdołała i ochraniała przed złymi duchami czerwona ochra. W odróżnieniu jednak od innych na ten sam kolor pomalował też włosy. To był wódz wodzów i takie było jego prawo.

Dla Shaa-naan wszystko przestało mieć znaczenie, gdy wódz wszystkich Beothuków zdjął z pleców olbrzymią tarczę i podniósł ją wysoko w geście pokoju. By nie krzyczeć, córka Kamiennego Ostrza przycisnęła do ust zwiniętą pięść, ale i tak do uszu najbliższych dotarł zduszony jęk. Założyłaby się o nowe mokasyny, że tę właśnie tarczę wykonano ze skorupy żółwia znad Wielkiej Wody, którą zimne morskie prądy wyrzuciły kiedyś na brzeg ich wyspy. Stała jak skamieniała, gdy minął ją ojciec w towarzystwie starszyzny i Czerwonego Kamienia.

– Witaj, Snae-Kolu, najwyższy z wysokich Długich Ludzi! – Wodzowie uścisnęli sobie prawice, a Shaa-naan wypuściła głośno powietrze. Z przejścia niemal zapomniała o oddychaniu.

– Witaj, Kamienne Ostrze, mój bracie krwi i wrogu moich wrogów! – Głos olbrzyma zaskoczył stojących, przynajmniej tych najmłodszych, którzy widzieli wielkiego wodza po raz pierwszy w życiu, ponieważ głos ten był głęboki i miły dla ucha.

A czego ty się spodziewałaś, ryku wściekłego zwierza? – Córka wodza strofowała się w myślach, ale wzrokiem ciągle wracała do olbrzymiej, sięgającej brody wojownika tarczy z czarnym okiem, o którą wódz wszystkich Beothuków wsparł niedbale ramię. W pewnym momencie, niewiele myśląc, podeszła do olbrzyma i przyłożyła do niej na płask obydwie dłonie.

– Shaa-naan-dithit! – Wyrzut w ojcowskim głosie był wyraźnie słyszalny. – Co ty wyprawiasz, córko swojej matki?

– Ojciec. – Dziewczyna klęczała, ale uśmiechała się z ulgą. – To jest czas Ononharoi, a taką rzecz widziałam we śnie podczas modłów w Inipi. To wtedy błagałam Wakan Tanke, Wi, Taku Skanskan i Unchi o zdrowie dla mnie i człowieka z wielkiej łodzi. Teraz, gdy duch żółwia spotkał się z moim, nic nam nie grozi. – Ułga na hardej, ale jednocześnie delikatnej twarzy dziewczęcia była widoczna. Czerwone niczym krew wargi rozciągnęły się w szerokim uśmiechu.

Wódz wszystkich Beothuków nagle puścił tarczę i chwycił dziewczę za nadgarstki. Potem podniósł ją, jakby ważyła tyle, co gęsie pióro.

– Zaprowadź mnie do niego, córko mojego cienia, zaprowadź mnie do tego obcego. – Nadal zdawał się spokojny, ale głos zdradził targające nim emocje. Shaa-naan miała wrażenie, że stoi, a raczej wisi na wprost Ptaka Pioruna, z którego dzioba lada chwila wyleci błyskawica. Spojrzała na ojca, a ten nieznacznie skinął głową.

– Mogłabym to zrobić, wodzu wodzów, gdybyś postawił mnie na ziemi. – Uśmiechnęła się do wielkoluda niewinnie. Ten chwilę trwał nieruchomo, jakby zaskoczony słowami, które usłyszał, a potem zaśmiał się tak głośno, że z okolicznych drzew zerwało się stado gawronów. Po chwili niewielka grupa ruszyła w stronę skraju osady, do mamateeku, gdzie przebywał przybysz zza Wielkiej Wody, nieświadomy zamieszania, które wywołał...



*Temu tylko wiadomo, kto wędrował wiele,
Kto zjeździł szmat świata,
Jakiego drugi człowiek ma ducha –
Jeśli sam obdarzon jest rozumem.*

To był jeden z tych dni, gdy Oddi czuł się lepiej. Miejscowi, jak widać, mieli swoje sprawdzone sposoby na choroby i rany, choć młody wojownik nie wiedział, na czym one polegają. W domu wszystko było proste: ogień dobrze działa na choroby, dąb jest wskazany przy sracze, kłós się sprawdza przeciw czarom, wywar z bzu należy pić przy niepłodności, ukąszenia leczyć, przykładając do rany dżdżownicę, a gdy ogarnie męża wściekłość, pomocy trzeba szukać, wzywając księżyc. Na wszystko pomagają odpowiednie runy, ale mało kto potrafi je umiejętnie ryć. No i zaklęcia, ale te to tylko w ostateczności, gdyż mogły wyzwolić seidr – czarną magię.

Młody wiking patrzył więc na świat z nadzieją, ponieważ skóra na głowie już tak nie piekła, bok doskwierał, ale dało się wytrzymać, tylko to swędzenie brakującego ucha było najgorsze. Długie godziny spędzał na jednym, obmyślał – jednak z marnym skutkiem – jak tu się podrapać po czymś, czego nie ma. Jedyne efekty, choć mizerny, dawało wyobrażenie sobie, że swędzi go też drugie, po którym czochrał się niczym zapchlony kundel.

Dziwne są wyroki bogów, a raczej ich gry. Darowali przecież życie Oddiemu, synowi Asgota, kładąc mu jednocześnie na barki ciężar niemal ponad ludzkie siły – świadomość, że tylko od niego zależy los matki i siostry. Zabrali mu przy tym wszystkie możliwości zmiany tego stanu rzeczy. By było ciekawiej, przysłali pachnącą lasem kobietę, przy której jego ciało i duch rosły pospołu, oraz człowieka-kruka, w którego obecności zamykał się w sobie, a pchane strachem jądra znikwały w podbrzuszu. Dziwne są wyroki bogów, ale co tam.

Zbliżające się głosy, a było ich wiele, poprzedziły podniesienie przesłony u wejścia. Dobry humor zniknął niczym sakiewka pijaka. Idą po mnie? – spytał sam siebie w duchu. – Taki będzie mój koniec? Na Odyna, nawet nie mam przy sobie miecza, co najwyżej rzucę w nich pustą miską po zupie!

W szarość szałas, niczym saks w ciało, wbił się sztych promieni zimowego słońca. Ale na krótko, bo blask otaczający rydwan ciągnięty po błękitnym niebie przez Arvaka i Alsvidha zaraz przesłoniło kilka wchodzących sylwetek. W niewielkim pomieszczeniu zrobiło się ciasno.

Któryś z gości lub oprawców – Oddi nie był pewien ich zamiarów – zarzucił skórzaną płachtę na spiczasty dach namiotu – trochę pomogło. Ale o ciepłym, przytulnym wnętrzu można było zapomnieć. Chłopak naciągnął prawie pod sam nos grube niedźwiedzie futro. Śmierdziało starymi butami i dymem, tak jak wszystko wokół.

Wiking rozpoznał wśród wchodzących swoją wybawicielkę i opiekunkę. Towarzyszył jej dojrzały mąż, który biorąc pod uwagę podobieństwo, był chyba ojcem dziewczyny. Nieco z tyłu czaił się niczym czarny elf człowiek-kruk, ale resztę Oddi widział po raz pierwszy w życiu. Wyróżniał się wśród nich czerwony olbrzym, który sam jeden niemal wypełniał trzecią część krytego skórą i brzoową korą pomieszczenia. I to on władczy gestem odsunął na bok kobietę i klęknął przy postaniu młodzieńca z Północy. Oddi poczuł zapach lasu, mokrej skóry, śniegu, ziemi i wiatru. Ten obcy właśnie musiał przebyć długą drogę.

Wielkolud nic nie mówił, tylko patrzył na chorego wzrokiem zdolnym skrzesać ogień. Chłopak czuł obecność silnej seidr – zadrzał, a po plecach przebiegły mu ciarki. Ten czerwonoskóry Thurs był, był... szalony.

– Bogowie – jęknął młodzieniec, rozglądając się trwożnie dookoła. Gdyby nie obecność młodej kobiety, pomyślałby, że dostał się do Náströndu, gdzie wilkołaki rozszarpują tchórzy i krzywoprzysięzców, by z ich ciał sporządzić strawę dla smoka Nidhögga. Jedyna różnica polegała na tym, że zginie z rąk człowieka-kruka zamiast człowieka-wilka. A on, Oddi Asgotsson, był przecież tchórzem, nie pomógł swoim, gdy wykrwawiali się od ran zadanych rękami rzeźników konunga Eryka, ale uciekł jak pies, gorzej, bo kundel poszedłby przynajmniej po wszystkim sprawdzić, co się dzieje, nim...

Potem świat zawirował, gdyż czerwonoskóry olbrzym odezwał się w języku ludzi z Północy.

– Nie wzywaj swoich bogów w tej krainie, oni ci tu nie pomogą. – Język jötun miał nieco chropawy, gubił końcówki jak ktoś, kto od dawna nie używa prawdziwej mowy, ale zrozumiał. Był Duńczykiem, Oddi postawiłby na to łup z ostatniej wyprawy na wiking.

– Kim jesteś? – Młodzieniec uniósł się z wysiłkiem na łokciach.

– Jestem Askomanem jak ty, chłopcze. Byłem – poprawił się zaraz wielkolud – człowiekiem, którego Norny dawno temu rzuciły do tej krainy, nie dając szansy powrotu do swoich. Z objęć zagniewanej Ran Aegir wyrwał tylko mnie.

– Ale jak... – Asgotsson miał tak dużo pytań, tak dużo. W kłębiące myśli wdarł się spokojny, ale zdecydowany, nawykły do wydawania rozkazów głos.

– Dość! – To czerwony gigant podniósł dłoń przypominającą bochen chleba. Widząc przerażenie Oddiego, uśmiechnął się, by nieco złagodzić wymowę rozkazu.

– Później ci wszystko opowiem, chłopcze. Teraz chcę posłuchać o twoich przygodach i powiedz mi, co to za lid obozuje teraz u naszych wybrzeży w pobliżu Zatoki Morsów?

– Morsów, co, aaa, masz, jarlu, na myśli Hermithrę, bo tak nazwał te tereny mój ojciec, wielki jarl Asgot z Czerwoną Tarczą. Nikt nie protestował, bo tęsknota za domem dawała nam się coraz bardziej we znaki. Teraz, po napaści i pożodze, bardziej pasuje Synningthwait, ale kto mógł przewidzieć taki obrót sprawy.

Oddi nie miał niczego do ukrycia, zresztą nawet gdyby próbował, bo to w końcu Duńczyk i zapewne wróg wielu Szwedów, nie zamierzał do swego tchórzostwa dodawać kłamliwego języka. No i sam się

sobie dziwił, ale ufał temu dziwnemu mężowi. Może spowodował to jego dobrotliwy uśmiech, może szacunek, jakim darzyli go miejscowi, a może fakt, że posługiwał się on jego ojczystą mową. Najpewniej wszystko jednocześnie. W każdym razie opowiedział o wizycie Stafangr, bitwie o Birkę, o ucieczce i pościgu, czy wreszcie o rzezi, jakiej dokonali na ludziach Asgota z Czerwoną Tarczą drottmadowie konunga Eryka Zwycięskiego. Potem dodał ze wstydem o swojej ucieczce, o spotkaniu z obcymi z pasem długich włosów na czubku głowy, o potyczce i... zemdlął z wyczerpania.

Snae-Kol, zwany kiedyś Szkutnikiem Sturlą, synem Tubbego Pieśniarza, podniósł się ciężko z kolan, okrywszy młodzieńca futrzaną narzutą, którą ten wcześniej zrzucił, żywo gestykulując. Spędził wśród miejscowych dwa razy po dziewięć wiosen, a przecież, gdy tu przybył, nie był już młodzieniaszkiem. Wiek coraz bardziej dawał mu się we znaki, ale nic nie stoi w miejscu.

– Dbajcie o niego – zakomunikował zdziwionym wojownikom, którzy nie mogli wyjść z podziwu, że ich wódz zna mowę bladokórego człowieka. – Kamienne Ostrze, bracie, chodźmy do twego mamateeku. Wiele się ostatnio dzieje i potrzebna mi twoja rada, tak jak nam wszystkim przydałaby się siła i spryt białego niedźwiedzia, a także szybka myśl i dobre oko człowieka-orła.

Mężczyźni wyszli na zewnątrz. Słońce zbliżało się do swego nocnego domu, więc powietrze szybko stawało się chłodniejsze. Padało, ale na przyzwyczajonych do tego miejscowych nie robiło to wrażenia. Tylko młoda kobieta jakoś nie przejawiała chęci, by odejść od posłania, na którym leżał nieprzytomny żeglarz zza Wielkiej Wody. Widząc to, wódz wszystkich Beothuków klepnął z lekkim rozbawieniem Kamienne Ostrze po szerokich plecach. Ten ostatni wzruszył tylko ramionami, jakby chciał powiedzieć: „Co ja mogę, druhu, sam widzisz, co ja mogę?”.



Szczęśliw ten, kto sam sobie zdobędzie

Dobre imię i chwałę,

Bo niepewne jest to, co człek posiada

W piersi drugiego.

Pośrodku zimowego domu wesoło buzował ogień. Członkowie rodziny wodza, z wyjątkiem syna – Chrapiącego Psa, opuścili mamateek, żeby dać braciom krwi czas na rozmowę. Tych chwil nie mógł zakłócić nikt obcy. Nawet czarownik musiał trzymać się z dala. Obok siedzącego ze skrzyżowanymi nogami Snae-Kola kuczał jego własny potomek, młodzieniec o obco brzmiącym imieniu Bjarki.

– Niech Ptak Piorun da nam wszystkim siłę i wściekłość, Unchi pożywienie, a Wi ciepło i światło – odezwał się wódz wioski, gdy goście ze skrzyżowanymi nogami zasiedli wokół ogniska. – A teraz pozwólmym naszym myślom wznieść się ku chmurom, zamykając na kilka chwil język za palisadą zębów, albowiem to milczenie jest doskonałą równowagą pomiędzy ciałem, rozumem i duchem. – Gospodarz przymknął oczy i pozwolił czasowi trwać, to, co było, jest i będzie, zlało się w jeden strumień. – Ty jesteś Bjarki – przerwał niespodziewanie ciszę Kamienne Ostrze – co, jak twierdzi mój brat krwi, znaczy niedźwiadek?

Wódz pochylił się i położył dłoń na ramieniu młodego wojownika, a ten skinął głową w pełnej szacunku postawie, jaką należy zachować, gdy rozmawia się z cieniem własnego rodziciela.

– Wszyscy znamy – kontynuował – losy Rhpisunt i jej dzieci, więc może będziesz tak dobrym łowcą jak one.

– Ja nie znam! – Na twarzy Chrapiącego Psa pojawił się szelmowski uśmieszek. Doskonale wiedział, że ojciec bardzo lubi opowiadać tę historię i gdyby się tylko dało, snułby ją każdemu drzewu w okolicy, i to każdemu oddzielnie. Kamienne Ostrze pogroził mu palcem w odpowiedzi, ale z zadowolenia aż sapnął.

– No więc – wódz wioski lekko przymknął powieki – w dawnych czasach żyła wśród nas córka wielkiego wodza o imieniu Rhpisunt. Gdy pewnego ranka wybrała się sama do lasu, żeby nazbierać jagód i jadalnych korzeni, drzewa niespodziewanie otuliła gęsta mgła, taka, w której dwunożny człowiek niemal od razu gubi kierunek marszu. Dziewczyna wędrowała, objając się o pnie, a gdy zastała ją noc, wspięła się na wysokie drzewo. Rankiem ujrzała wschodzącą twarz Wi i po białym tumanie nie było już śladu. Niestety, Rhpisunt zabłądziła. Gdy minęła połowa kolejnego okresu od wschodu do zachodu słońca, spotkała dwóch wspaniałych młodzieńców, którzy obiecali, że się nią zaopiekują. Bała się obcych, ale byli tak piękni, że nie potrafiła i nie chciała im odmawiać. Tak więc wojownicy zaprowadzili młodą kobietę Beothuków do swego domu, którym była wielka jaskinia niedźwiedziich ludzi. Wszędzie wokół wisiały kurtki z niedźwiedziej skóry, które mieszkańcy wkładali na grzbiet, gdy wychodzili na zewnątrz. Rhpisunt nie mogła się nadziwić, że po przekroczeniu progu jaskini stają się oni niedźwiedziami. Młoda krew ma jednak swoje prawa. Dziewczyna zakochała się w jednym ze swoich wybawców i poślubiła go, a potem urodziła mu dwóch silnych chłopców. Po kilku wiosnach Rhpisunt, spacerując po lesie z dziećmi, przypadkiem spotkała swego brata i radości nie było końca. Ten zdziwił się, że siostra żyje, ale jeszcze bardziej, gdy ujrział podążające jej śladem dwa młode niedźwiedzie. Kobieta tęskniła za rodzicami, więc cała czwórka ruszyła w stronę rodzinnej wioski. Po przybyciu na miejsce okazało się, że gdy niedźwiedzi chłopcy zdjęli z siebie płaszcze, zmienili się w pięknych młodzieńców. Wielki Duch uśmiechnął się, widząc ich radość, i obdarzył ich siłą, szybkością i szczęściem podczas łowów. Kiedy Rhpisunt zestarzała się i umarła, chłopcy opuścili Beothuków i powrócili do niedźwiedziich ludzi. Ale wśród ludu pozostała pamięć tamtych wydarzeń. Myśliwych, na samo wspomnienie o spokrewnionych z nimi niedźwiedziach, duchy lasu obdarzają pewną ręką i szczęściem podczas polowania.

Opowieść przebrzmiała i w mamateeku zapadła długa cisza, należna każdej dobrej historii. W ogóle gdyby ktoś z zewnątrz przysłuchiwał się obradom Długich Ludzi, doszedłby do słusznego wniosku, że w głównej mierze składają się one właśnie z milczenia.

Gospodarz wyjął z podłużnej sakwy czerwoną, zdobną pięknymi piórami fajkę. Skóra, z której zrobiono pokrowiec, musiała być już bardzo stara, albowiem pomimo śladów tłuszczu jej powierzchnia była porowata i spękana. To nie mogła być Chanunpa, pierwsza fajka podarowana ludziom przez Białą Bawolicę, ale zapewne jej nieodległa kuzynka, zważywszy na liczne ślady zużycia. Kamienne Ostrze z namaszczeniem, tak jak nakazuje rytuał, chwycił prawą dłońią za cybuch, a lewą za główkę świętej fajki, napełnił ją potem specjalnymi ziołami, zmieszanymi z przywiezioną ze stałego ładu korą drzew kini-kinik. Do mieszanki tej przyłożył kawałek szczapy z ogniska i zabiło żarem serce świętego przedmiotu, który sam w sobie był Owanka Wakan – Świętym Ołtarzem. Intensywności dymowi dodawały obcięte paznokcie i włosy, należące do Kamiennego Ostrza.

Cała czwórka siedziała w zadumie, kontemplując sprawy świata, który trzymali w dłoniach, jako że święta fajka była teraz całym wszechświatem. W jej wnętrzu mieszało się to, co roślinne, z tym, co zwierzęce. Powstawał jeden święty obłok, który należało wydmuchać w sześć stron. Kamienne Ostrze był świętą fajką, a święta fajka na kilka chwil stała się Kamiennym Ostrzem. To czas, gdy dusza

człowieka, okruch Wielkiego Ducha, odzyskiwała swoją naturalną postać, by płynąc na wschód, zachód, północ, południe, w górę i w dół – połączyć się z innymi duchami w jedność. W tych chwilach wojownik mógł stać się człowiekiem-ptakiem, człowiekiem-rybą czy człowiekiem-drzewem, albo nawet leżącym głęboko pod ziemią kamieniem. We wszystkim przecież tkwią okruchy Wakan Tanki, a ludzie są tylko strażnikami równowagi w przyrodzie.

Głos Kamiennego Ostrza wydobywał się jakby z głębi jego istoty. Wódz plemienia Beothuków znad Zatoki prawie nie otwierał ust, gdy mówił:

– Dziadku nasz, Wakan Tanko, ty jesteś wszystkim, a jednak ponad wszystkim! Ty jesteś pierwszy. Istniejesz od zawsze [...]. O Wakan Tanko, Ty jesteś prawdą. Dwunożni ludzie przykładający usta do tej fajki staną się samą prawdą; nie będzie w nich nic nieczystego[2].

Potem długo siedzieli w milczeniu, bo i o czym tu mówić, gdy świat cały ma się we krwi.

Wszystko ma jednak swój koniec, głos zabrał Snae-Kol.

– Wiele wiosen temu, nim postawiłem stopę na ziemi Beothuków, świat wydawał mi się wielkim polem bitwy, bitwy o strawę, kobiety, srebro, władzę i sławę, przede wszystkim o sławę i dobre imię. My, dwunożni ludzie, byliśmy niczym kundły z naszej wioski, psy, o których losie decyduje gospodarz. Każdy dzień był darem od bogów i kolejny mógł być ostatnim spędzonym na ziemi, o ile taki był ich kaprys. Dopiero tu zrozumiałem, że człowiek nie jest kawałkiem drewna rzuconego na wzburzone morskie fale, ale rolnikiem, któremu istoty wyższe dały zadanie pielęgnowania Babci Ziemi, by plon z tej uprawy mógł trwać dla dzieci naszych dzieci. Zmieniłem się. – Snae zamilkł na chwilę, jakby zbierał myśli. – Mądrzy plemienia mawiają: „Kochaj ziemię, odziedzyczyłeś ją przecież po swoich przodkach i pożyczasz od swoich potomków” i to jest jedyna ścieżka, którą powinniśmy podążać, ale czy tak jest? – Zawiesił głos. – Czy my, dwunożni ludzie, jesteśmy godni miana opiekunów? – Wzruszył ramionami. – Mądrość fajki jest wielka, skoro każe sobie zadawać takie pytania nawet komuś, kto urodził się i wyrósł w innej części wielkiego świata.

– Jesteś jednym z nas, bracie. Tak długo jesz to, co my, tak długo oddychamy tym samym powietrzem, że stałeś się Długim Człowiekiem, tu jest twój dom. – Kamiennie Ostrze uściśnął ramię wodza wodzów.

– Ojczyzna jest tam, gdzie jest nam dobrze – Snae-Kol oddał uścisk – ale tęsknota potrafi zatruć dni niczym jad krew, więc tęsknię za domem. Nieraz mój duch ulatuje nocą i staję wtedy na szczycie fiordu, tego samego, na który wspiąłem się, szukając ptasich jaj, gdy miałem osiem wiosen, tego samego, z którego tak wiele razy spadałem do morza, gdy stopa poślizgnęła się na mokrym kamieniu lub świeżym ptasim gównie. To odal, ziemia moich przodków i ich przodków. Oddycham tam wilgotnym mroźnym wiatrem, takim jak tutaj, ale jednak zupełnie innym. Nie trzeba mi niczego więcej, zapach domu rodzinnego, krowich placków, smak słonej, zimnej piany na języku przyzywają mnie, i to z każdym rokiem coraz mocniej.

– Taku Skanskan, ten, który jest Niebem i wprawia wszystko w ruch – mówiąc te słowa, Kamiennie Ostrze ostrożnie chował świętą fajkę do pokrowca – niesie twego ducha, mój cieniu, przez Wielką Wodę. Pamiętam, jak do nas przybyłeś. Znaleźliśmy cię ledwie żywego na piasku, ściskającego wielkie wiosło tak mocno, że wraz z nim musieliśmy zanieść cię do osady. Wielki Duch chciał, byś żył.

– I dzięki składam za to Wielkiej Tajemnicy. Dziadek wszystkich stworzeń dał mi wiele, ale z jakiegoś powodu nie zabrał tęsknoty za utraconym domem, za owczym mlekiem, za mową przodków. Od kiedy tylko stałem się wodzem, powróciłem do tych marzeń. Z Długich Ludzi, z wojowników liczących sobie po kilkanaście wiosen, skompletowałem drużynę, lid, którą nauczyłem zamorskich sposobów walki, żeglugi i fachu odziedziczonego po moim ojcu – konstrukcji wielkich łodzi. W jednej z odległych zatok,

pośród skalistych miejscowych fiordów, zbudowaliśmy wielkie kanu, mój bracie krwi, takie, jakie widziałeś na wodach swojej zatoki. Nazwałem okręt *Aifur*, czyli Dumny.

– Docierały do mnie opowieści o tym, ale przed przybyciem ludzi o bladych, zarośniętych twarzach nie dawałem wiary, że to będzie w stanie dokądkolwiek popłynąć inaczej niż do góry dnem. Nie mówiąc już o tym, że nie można przecież ujść z życiem z wyprawy za Wielką Wodę, tak jak dwunożny człowiek nie zmienia się w człowieka-rybę tylko dlatego, że nabierze pod wodą powietrza. Tobie jako jedynemu udało się przepłynąć Wielką Wodę i dlatego słuszne jest, że zostałeś naszym wodzem. Ale to, co niedawno widziałem, i wojownik z włosami na twarzy, który uratował moją Shaa-naan... Wielki Duch śmieje się teraz z naiwności Kamiennego Ostrza, który wykazał się taką niewiedzą – zakończył na wpół żartobliwie, na wpół ze smutkiem gospodarz.

– Dlaczego miałyby to robić? To ty mi przecież kiedyś powiedziałaś, bracie krwi, żebym dążył nie do wiedzy, która jest przeszłością, ale do mądrości budującej przyszłość. Ale myślę, że nie ma jednego bez drugiego, tak jak nie ma roślin bez korzeni. Wakan Tanka cieszy się, że napełniasz się mądrością niczym naczynie mlekiem łani, jak ty cieszysz się, gdy Chrapiący Pies posiada nową umiejętność. Przecież w każdym z nas jest okrucuch mocy Wielkiego Ducha, z jego siłą, błędami i ciekawością. A jeśli tak, to co może powstrzymać dzieci Wielkiej Tajemnicy od przemierzenia świata? Woda, która też przecież jest Jego dziełem? Góry, śniegi, trawiaste nieskończone równiny, które są tam, gdzie zachodzi słońce?

– My sami – odpowiedział cicho, ale i ze zdziwieniem Kamienne Ostrze, jakby zaskoczony słowami wypływającymi z własnych ust. – Pęta nas brak wiary, że jest to możliwe! – dodał.

– No, to jak już sobie to wyjaśniliśmy – czerwonołosy olbrzym mrugnął do wpatrzonych w niego z rozwartymi ustami młodzieńców – potrzebna nam wiara i dobry okręt. Moja sneka, mój *Aifur*, jest już gotowa i planowałem, gdy Wi stopi tegoroczne śniegi, ruszyć w drogę powrotną do ojczyznej Danii. Nie na zawsze, chcę tylko ukoić tęsknotę i przywieźć Długim Ludziom więcej metalu, który zwiecie błyszczącym kamieniem. Mam załogę liczącą pięć razy palców u rąk, składającą się z najmężniejszych z mężnych Beothuków. Są nauczeni i gotowi popłynąć wraz ze mną choćby nad krawędź świata.

– Nie są lepszymi łowcami od Beothuków znad Zatoki. – Chrapiący Pies nie zdołał powstrzymać języka za klatką zębów.

– Być może nie są, synu mego cienia, bo wojownicy twego ojca to znakomici tropiciele. – Snae nie wydawał się zły, że mu przerwano. – Ale każdy z nich w prawdziwej walce wart jest pięciu innych łowców. Niedługo minie piętnasta wiosna, jak niektórzy z nich żyją w odosobnieniu, szkoląc się w łowach, tropieniu i walce. Piętnaście ciepłych i zimnych okresów, gdy dzień w dzień ćwiczą, a przecież już gdy przyjmowałem ich do drużyny, byli lepsi od wielu innych.

– Słyszałem o waszych rajdach aż do Krainy Wielkich Jezior. – Kamienne Ostrze wciągnął głęboko powietrze. – Tam mieszkają wielkie i silne plemiona, a jednak zawsze udaje wam się wrócić na wyspę.

– Tak, przyjacielu, bo cóż warte szkolenie bez prawdziwego bojowego doświadczenia? Co roku zapuszczamy się dalej i co roku wracamy z bogatymi łupami. Walczyliśmy z plemionami Naskapi, z Ottawami, Odżibwejami, Kri, Dakotami i wieloma innymi, zamieszkującymi wnętrza lądu. Pojawiamy się i znikamy niczym duchy lasu, niestrudzeni w biegu. Udając kupców, odwiedziliśmy wielkie irokeskie miasta – Stadaconé i Hochelegi, i rozplłynęliśmy się w rzecznej mgle, nim ktokolwiek zdążył nabrać podejrzeń, bo lid, który stworzyłem, nie ma sobie równych na całym świecie. Nawet wśród moich dawnych ziomków ludzie walczą, ale też zakładają rodziny, obsiewają pola, hodują zwierzęta. Twardnieją i miękną, walczą i tygodniami leżą pijani w hovach lub zajmują się swoimi żonami, albo i nie swoimi. Moi ludzie ćwiczą, dzień w dzień, noc w noc, żadnych kobiet, tchórzostwa, zdrady i słabości.

Tych, którzy nie dali rady, ale przeżyli liczne próby, odesłałem do rodzinnych wiosek, przyjmując od nich śluby milczenia. Na ich miejsce przyszli nowi. – W głosie wodza wodzów słychać było wielką dumę, jaką czuje rzemieślnik ze skończonego dzieła.

– To co ich trzyma razem, jeśli nawet kobiet nie ma w obozie? – zastanawiał się głośno Chrapiący Pies. No, bo... – Umilkł pod ciężkim spojrzeniem Kamiennego Ostrza.

– Obietnica wielkiej wyprawy i zobaczenia czegoś, czego nie widzieli ojcowie ani ich ojcowie. Poza tym jesteśmy jedną wielką rodziną, młody wojowniku. Jeden za drugiego oddałby życie, tak jak ty oddałbyś je za siostrę, brata, ojca czy matkę. Mam rację? – Snae-Kol patrzył z lekkim uśmiechem na syna wodza Beothuków znad Zatoki. – Na Wielkiego Ducha, oddałbyś?

– Bez wahania, ale to krew z krwi, a nie...

Kamienne Ostrze podniósł obie ręce na znak, że czas zakończyć tę rozmowę o dziwnym oddziale czerwonoskórych wojowników, a może obawiał się, że zauroczony słowami wodza wodzów Chrapiący Pies sam zechce przystać do tej wilczej gromady.

– Co cię do nas sprowadziło, bracie krwi? Powinieneś być tam z nimi i gromadzić zimowe skóry zwierząt na wymianę, a nie wędrować po Wielkiej Wyspie.

Snae westchnął ciężko i całe niedawne uniesienie uleciało wraz z wydychanym powietrzem.

– Wakan Tanka pokrzyżował moje plany. Zesłał na mnie, na nas wszystkich, próbę, której nie wiem, czy podołamy.

– Co mogło tak przerazić samego wielkiego wodza? Czyżby podeszły wiek? – Chrapiący Pies był zły, bo miał wrażenie, że Snae-Kol z niego zakpił i nie ma żadnego oddziału nadwojowników. Jednak zaraz tego pożałował, bo odpowiedź uzyskał od Kamiennego Ostrza.

– Jeśli poczekaś chwilę, trzymając język za zębami, zaraz wszyscy to usłyszymy, Chowający się w Dziurę. – Takie dziecięce imię nosił kiedyś Chrapiący Pies. Ojciec potraktował młodego wojownika niczym dziecko i młodzieniec poczuł palący wstyd. Niehonorowe było obrzucanie kogoś obelgami, wiedząc, że ewentualne razy spadną na plecy członków rodziny. A obrażanie samego wodza wodzów było dowodem, że Wakan Tanka zabrał mówiącemu rozum, pozostawiając sam język. Spojrzał więc przepaszająco na Snae-Kola. Ten machnął ręką niezrażony młodzieńczą niecierpliwością i drobną zaczepką, bo miał większe zmartwienia.

– Coś, co jest koszmarem każdego dbającego o swój lud wodza, synu swego ojca. – Przez chwilę w zamyśleniu kreślił palcem zawiłe linie na niedźwiedzim futrze, na którym siedział ze skrzyżowanymi nogami. – Moi wojownicy – podjął przerwany wątek – schwytali niedawno dwóch żywych łowców Mikmaków. Trzech zwiadowców zabiliśmy, ale ta dwójka miała swoją śmiercią uświetnić Święto Burz. Gdy zaczęliśmy obdzierać ich ze skóry i przypiekać ku czci Ptaka Pioruna, a starsze kobiety rozpoczęły taniec śmierci, zadając im dziesiątki płytkich, choć bolesnych ran, żeby wypróbować ich męstwo, jeden okazał się słaby niczym dziecko i błagając o szybką śmierć, zaczął opowiadać. A każde jego słowo było gorsze od poprzedniego. – Wielki wódz wolno nabrał przez nos powietrza. – Nasi odwieczni wrogowie wypowiedzieli nam wojnę.

Młodzi wojownicy spojrzeli po sobie, z trudem zachowując milczenie, ale w ich oczach zalśniły iskry ożywienia.

– W czas zamieci śnieżnych i lodu? – Kamienne Ostrze pokręcił głową, bo bitwy toczono na początku roku, gdy moc Wi roztapiała śniegi i odkrywała ścieżki. Niekiedy i później, podczas wietrznych i mokrych miesięcy, ale nigdy, gdy padał śnieg zdolny zasypać wędrowca, czy też noc spędzona na

otwartym terenie mogła stać się tą ostatnią. – Ich zwiad był i w okolicach Wielkiej Wody, i naszej zatoki, ale to przecież nie pierwszy raz i nie znaczy, że... – Przerwał uciszony władczy gestem olbrzyma.

– Zawarli sojusz z innymi plemionami. Ostatnie lata były u nich ciężkie. Z powodu nieznannej choroby zmarło wielu ludzi: wojowników, kobiet i dzieci, wypluwali wraz z krwią płuca i żaden czarownik nie mógł na to nic poradzić. W niektórych osadach odszedł co drugi mieszkaniec. A plemiona z głębi lądu mogą wykorzystać tę słabość ludów wybrzeża. Zwrócili więc spojrzenia w naszą stronę. Od wielu wiosen drażni ich to, że Beothukowie rosną w siłę na swojej wyspie, że nasze dzieci nie umierają z głodu i chorób tak często jak kiedyś, że mamy u wybrzeży doskonałe łowiska wodnych olbrzymów, a w rzekach wielkie ławice łososi. Szczególnie Mikmakowie chcą tego, co nasze, a jako że sami nie potrafią sobie wziąć... – Snae nie dokończył zdania, nie musiał.

– Ale dlaczego ruszyli w czas lodu, bracie krwi mego ojca? – Chrapiący Pies w roztargnieniu przegarnął swoje długie czarne włosy. Oczy świeciły mu się do walki, ale potrafił, choć trochę, panować nad swoim wojowniczym duchem. Dawno stał się mężczyzną, o czym świadczyły blizny na piersiach.

– W wielkie mrozy zamarza Gardło Karibu, leżące między naszą wyspą a lądem. Gdy woda będzie jeszcze twarda, ale tuż przed nadejściem wiosny i nowego roku, chcą przeprowić po lodzie liczne oddziały wojowników. Ma ich być tyle, ile łososi w rzece w czas tarła. Przyczają się gdzieś i przeczekają ostatnie burze śnieżne, nim spadną nam na karki. My sami, niech Wielki Duch ma Wysokich Ludzi w opiece, będziemy wówczas niczym człowiek w zamkniętym z dwóch stron wąwozie, któremu ktoś wrzucił do towarzystwa rodzinę głodnych niedźwiedzi.

– Więc ci zwiadowcy szukają miejsca dogodnego do przeczekania ostatnich chłódów, a gdy wraz z nadejściem nowego roku z drzew i ziemi spłyną białe płaszcze, ruszą, żeby nas zabijać, a żony, siostry i córki Beothuków wziąć w niewolę? – ni to spytał, ni stwierdził Kamienne Ostrze.

– To powiedział mój jeniec, bracie krwi. Te słowa wyszły z ust trupa, to znaczy, gdy to mówił, jeszcze nie był trupem. Po wszystkim poderżnęliśmy mu gardło i napluliśmy na zwłoki, bo tchórz nie zasługuje na dobrą śmierć. – Czerwony olbrzym podniósł splecione mocarne ręce, aż chrupnęły stawy. – Mylisz się tylko w jednym – oparł je z powrotem na kolanach – potrzebują też naszych wojowników. Ci, którzy przyłączą się do ich plemion, uratują skalpy.

– A co, my jesteśmy jajami krzykliwych łowców ryb, które można zabrać z gniazd? – Chrapiący Pies w końcu nie wytrzymał.

– Synu. – Kamienne Ostrze położył młodzieńcowi uspokajająco dłoń na ramieniu. – Wiek rodzi słabość ciała, ale też idące z nią w parze mądrość i doświadczenie. Ropucha nie wypija stawu, w którym mieszka. Porozdzielają nas po setkach mniejszych osad i zamienią wolny lud w niewolników. Gdy nienawiść w sercach stępi czas, a nie będzie dokąd wracać, nadadzą nam nowe imiona i przyjmą jako swoich. W ten sposób ich siła wzrośnie, ale zniknie plemię Beothuków na Unchi. Tak robiono w dawnych czasach, tak będzie i teraz. – Silny wojownik wydawał się kurczyć po każdym słowie.

– Samych mikmakowych psów jest więcej niż prawdziwych Długich Ludzi, ale kto jeszcze? – Wódz osady znad Zatoki sięgnął za siebie i dorzucił do płonącego pośrodku ogniska dwa nowe polana. Jest źle, ale dopóki tli się choćby iskierka nadziei, bracia będą walczyć. Zadumał się, a jego myśli pobiegły wstecz. Zawsze udawało się poprzez sojusze i sąsiedzkie napaści utrzymać równowagę pomiędzy trzema największymi plemionami. Pomagali w tym wojownicy z czwartego, najmniej licznego – Ludzie Łosie, których niewielki odłam od pokoleń żył na wyspie. To był prastary sojusz i jak dotąd Beothukowie mogli liczyć na gołących do połowy głowy wojowników. Byli oni obcy dla tych skał i rzek, o czym świadczy choćby nazwa plemienia. Olbrzymie łosie nie występowały na Wielkiej Wyspie. Przywędrowali jednak

ze stałego łądu prawie równocześnie z Beothukami.

– A Ludzie Łosie? Nie pomogą? – zapytał, a Snae-Kol pokręcił ze smutkiem głową.

– Nie wiem, jak to się udało ich plemiennej wielkiej radzie, albo raczej stojącemu na jej czele kji'saqmaw – Biegnącemu Bykowi, ale zjednoczył Mikmaków, Huronów i Ludzi Łosi wokół swojej dzidy. Podobno na początku okresu chłódów zjawily się u nich potężne istoty i obiecały pomoc, co przesądziło sprawę. Jesteśmy zdani tylko na własne siły.

– Może Lud Morza? Może Askipokowie? – powiedział Chrapiący Pies bez zbytej nadziei w głosie.

– Surojady, młody wojowniku – Snae-Kol wzruszył ramionami – pomagają tylko Ludowi Morza, a i to nie zawsze. Tak to urządził Wakan Tanka i tak jest od wielu pokoleń.

Na zasepionych twarzach wojowników nie było już nawet śladu niedawnego uniesienia, jakiego doznali podczas ceremonii palenia świętej fajki. Synowie wodzów, choć młodzi i żądni zwycięstw, zdawali sobie sprawę z beznadziejności sytuacji, ale jak długo można siedzieć cicho.

– Jeden Długi Człowiek jest wart trzech Huronów czy tych ścierwojadów Mikmaków! – Mówiąc te słowa, Chrapiący Pies buńczucznie potrząsał pięścią.

– Trzech, może, ale nie dziesięciu, bo taką mają nad nami przewagę połączone plemiona – odezwał się po raz pierwszy młody Bjarki. Ostatnimi czasy przysłuchiwał się niejednej rozmowie ojca ze starszą plemienną. – Wielki Duch uznał Długich Ludzi za chwast, który trzeba wyciąć, by pole uprawne dało lepszy plon – dodał z goryczą w głosie.

– Zróbmy więc to, co musimy, bez żalu rozstając się z tym światem. Wy możecie zostać Huronami czy Mikmakami, ale to nie jest droga dla mnie i mojego syna. Nas czeka śmierć przy palu, więc żywi nie trafimy w ręce wojowników Biegnącego Byka. Sprzedamy nasze skóry, ale cena będzie naprawdę wysoka. – Olbrzym uśmiechnął się tak, że jego pomalowana na czerwono twarz wyglądała niczym potworna maska, a pomimo szczelnie zakrytego otworu wejściowego w mamateeku powiało chłodem.

– Wszyscy Dłudzy Ludzie znad Zatoki pójda za tobą, Snae-Kolu, mój bracie. – Kamienne Ostrze uderzył zaciśniętą pięścią w pierś. Robił tak zawsze, gdy nieodwołalnie podjął jakąś trudną decyzję. Chrapiący Pies nieraz doświadczył uderzenia tej pięści na własnej skórze.

Potem rozmawiali jeszcze długo o sprawach codziennych: o połowach; o porze chłódów, która w tym roku zapowiadała się wyjątkowo śnieżnie; o trasie budowy zapór dla renów, dzięki którym można naganiać ich wielkie stada wprost na myśliwych lub na skraj urwisk; o młodej kobiecie w szałasie wodza i jego nowym męskim potomku; o zapasach suszonego foczego mięsa. Właśnie z takich codziennych trosk składa się życie wszystkich dwunożnych ludzi. Dla Wakan Tanki jest to jedynie jedno ziarnko piasku na dnie ogromnego morza. Tym bardziej należy docenić i być wdzięcznym, że życie ludzi trwa już tak wiele pokoleń.

Rano po posiłku Snae-Kol klepnął się wielką dłonią w udo, płosząc przy tym ogromnego łaciatego kundla, który zwabiony zapachami wciskał swój nos do namiotu. Wielka bestia cofnęła się, warcząc cicho, ale zaraz zamilkła uspokojona głosem swojej pani.

– Zębaty, spokój!

Snae-Kol popatrzył najpierw na Shaa-naan, potem na łaciatego wilka, następnie jeszcze raz na młodą kobietę i gruchnął śmiechem, od którego zatrzęsły się ściany mamateeku. Kamienne Ostrze, który pamiętał te wybuchy jeszcze z dawnych lat, zachował spokój, pozostali jednak byli wyraźnie wystraszeni. Nawet

kundel zaczął się nerwowo oblizywać.

– Córko mojego brata, skąd wzięłaś taką maskarę? – Śmiał się przez łyzy. – Wielki Duch, gdy go tworzył, połączył ze sobą krowę i wilka, i... – Umilkł nagle, uzmysłowiwszy sobie, że tubylcy nigdy nie widzieli krowy. Potem już ciszej i nawet z pewnym uznaniem dodał: – Ale on wielki! Macie takich więcej?

– Ten jest jedyny. – Shaa-naan drapała zwierzę po brudnym futrze na brzuchu. – Był tak duży, że suka, która go urodziła, zdechła, gdy przychodził na świat – dodała z dumą.

– Szkoda – mruknął, poważniejąc Snae-Kol. – Na mnie czas. Nie wszystko jeszcze stracone, bracie krwi. – Olbrzymi mężczyzna odwrócił głowę w stronę wodza wioski i z pewnym trudem wstał. – By przejść z jednego końca naszej wyspy na drugi potrzeba tylu dni, ile człowiek ma palców u rąk i stóp. Rozesłałem więc wojowników i wezwałem wodzów na naradę plemienną. Spotkamy się w Kotlinie Karibu. Do ciebie, mój cieniu, przybyłem osobiście. Nie będę ukrywał, że głównie za sprawą tego bladokórego wojownika, ale nie tylko. Twój syn ma rozum gorący, ale Wielki Duch uczynił mu zaszczyt i nie stworzył go głupim. Potrzebujemy pomocy Ludzi Morza, Askipokowie to twoi sąsiedzi. Zaproś ich wodza na naszą naradę, jeśli zdołasz.

Po tych słowach Snae-Kol skłonił się wszechobecnym duchom przodków i wyszedł z mamateeku wprost w gęsto padający śnieg. Pożegnanie było krótkie i mały oddział ruszył w stronę Kotliny Karibu. Jeszcze na odchodnym wódz wszystkich Beothuków rzucił przez ramię:

– Dbajcie o mojego krajana – popatrzył z nieruchomą twarzą na Czerwony Kamień – jeśli zginie, z tobą będę o tym rozmawiał, czarowniku. – Mrugnął porozumiewawczo do zawstydzonej Shaa-naandithit, która właśnie teraz miała ochotę zapaść się pod ziemię. Wczoraj wspomniała wprawdzie o dziwnym zachowaniu Czerwonego Kamienia, ale gdy tylko słowa wypłynęły z jej ust, pożałowała swojej gadatliwości. Ale trudno, stało się. Wściekłość rozmawiającego z duchami przesłoniła czerwona ochra, wiek oraz fakt, że zamiast krwi miał w żyłach jad żmii i lód. Ale czarne oczy czarownika nie pozostawiały złudzeń, czaiła się w nich obietnica i nie było to niepowodzenie w łowach, czyraki na stopach czy dokuczliwe swędzenie krocza, gdyż takie to pomniejsze klątwy rzucał, kiedy ktoś mu za bardzo zalażł za skórę. We wzroku starca zamigotała śmierć.



Niebaczny mąż myśli, że przyjacielem

Każdy, co się doń uśmiecha;

Nie przypuszcza, że go obmawiają,

Gdy z chytrymi siedzi.

Dzięki troskliwości Shaa-naan Oddi szybko wracał do zdrowia. Rany zawsze goiły się na nim jak na psie, więc i tym razem ciało nie gniło, tylko porastało świeżą skórą. Z powodu uciętego ucha słyszał trochę gorzej, ale nie było źle i dzięki za to boskiej Eir, Asynji parającej się uzdrawianiem. Podobno serklandzcy lekarze potrafili zdziałać cuda, ale tak jak większość swoich ziomków młody wiking większą wiarę pokładał w bogach niż w nowomodnej sztuce leczenia. Najbardziej doskwierała rana w boku – przy większym wysiłku szybko tracił oddech. Jednak z każdym dniem było lepiej i mógł wychodzić na

coraz dłuższe przechadzki. Zawsze pod czujną opieką czerwonoskórej dziewczyny i towarzyszącego jej Bjarkiego, syna konunga wyspiarzy. Oddi sam nie wiedział, czy ten ostatni był mu druhem, rywalem czy strażnikiem, a może wszystkim naraz. Niekiedy towarzyszył im również Chrapiący Pies, choć rzadko, bo trzymał się blisko ojca i znikał z nim nieraz na wiele dni.

– Niedźwiadek, co to za imię dla dorosłego woja; żeby chociaż Ulfr lub Björn, ale Bjarki?

Młodzi mężczyźni szli wolno pomiędzy drzewami, z rzadka porastającymi okolice wioski. Kiedyś musiało być tu inaczej, ale wtedy nie mieszkali tu dwunożni ludzie. Trwał właśnie jeden z tych rzadkich zimowych dni, gdy z nieba nie sypał gęsty śnieg.

Mrukliwy zwykle czerwonoskóry po ojcu odziedziczył wzrost, choć nie był tak wysoki jak Oddi. No i ustępował mu szerokością ramion. Nie musiał, siedząc na swoim kuferku, wiosłować do utraty sił dzień po dniu i nie miał ojca, który co chwila zlecał mu prace niemalże ponad siły, choć przecież właśnie to uczyniło mnie takim, jakim jestem, pomyślał wiking z zazdrością. Czy miecz ma prawo złościć się na kowala, że ten uderza weń młotem mocniej, niż czynią to inni? O ile wcześniej nie pęknie, wyjdzie mu to tylko na dobre. Ale czy codziennie kopany i obijany kijem pies nie stanie się wściekłą bestią? Bogowie – jęknął w duchu młodzieniec – dajcie mi odpowiedzi albo zabierzcie pamięć i rozum, bym wreszcie zaznał spokoju. Mój opiekun, ten kutas złamany Czerwona Tarcza, już nie żyje, nie powinienem źle o nim myśleć. Chłopak zamachał nagle rękami, odganiając buszujące w głowie stwory z Niflheimu. Idący obok Bjarki przysunął się nieco bliżej rannego przekonany, że ten próbuje w ten sposób odzyskać równowagę. Na pokrytych lodem kamieniach nawet zdrowy człowiek mógł sobie z łatwością skreślić kostkę.

W synu Snae-Kola było jednak coś, czego Asgotsson nie potrafił nazwać, choć czuł, że to tam jest. Jakby jakaś uśpiona kocia siła, która ze spokojnego i leniwego, zdało się, zwierzęcia w jednej chwili czyni wściekły kłęb pazurów i zębów, przed którym czmychnie z piskiem nawet wielki pies.

Widząc, że już wszystko jest w porządku, miejscowy młodzieniec wzruszył ramionami i odezwał się w mowie ludów Północy.

– A co ty masz do niedźwiedzi, przybyszu z pchlego tyłka, o skórze białej niczym brzuch foki. – Rodziciel nauczył go askomańskich słów, co teraz bardzo im się przydawało. Oddi podejrzewał, że postanowił zostać w wiosce Beothuków znad Zatoki z powodu dziewczyny, jego dziewczyny, i był tym bardziej kąśliwy dla czerwonoskórego.

Przyczyna tej złości szła tuż obok i miała długie, sięgające mocnych ud, błyszczące, czarne włosy i uśmiech jak blask pioruna. Jeszcze nigdy nie widział tak białych zębów! Z tak silnymi nogami mogłaby z dzieckiem na ręku biec w nieskończoność, a w jej oczach drzemało wyzwanie. Młody wojownik lubił wyzwania, choć z niechęcią musiał sam przed sobą przyznać, że doświadczeń z kobietami miał tyle, ile one w sikaniu na stojąco. Bo niby gdzie miał go nabyć, podczas długich wypraw na wiking z brodatymi drottmadami Asgota? Czy może tych krótszych, gdy zgodnie z tradycją strandhogg plądrowali osady, kradnąc żywność i zwierzęta? Jedyne kobiety, z jakimi miał wówczas do czynienia, to wystraszone lub wręcz przerażone wieśniaczki albo te, które na widok martwych mężów, braci i synów wpadały w rozpacz i odrętwienie. Niektórym wojom to nie przeszkadzało i podśmiewali się z syna wodza, że pewnie jest zniewieściałym argrem, skoro nie korzysta z takich uciech. W Stafangr, wiedziony urazą i młodzieńczą porywcznością, złamał tę zasadę i nigdy więcej nie zamierzał powtarzać tego błędu.

– Bjarki, zapytaj go, co jedzą w tym kraju za wodą, i... czy ich kobiety też są takie wielkie? – Młodzieniec przetłumaczył słowa ciemnookiej dziewczyny z lekkim, kpiącym uśmiechem.

– Jemy to, co wy, i jeszcze więcej, o ile nie nadejdzie klęska głodu, co nieraz się zdarza. Wtedy nasz naczelny kapłan, którym jest zawsze konung, czyli taki wasz wódz wodzów, błaga bogów o pomoc. Jeśli

go wysłuchają, cieszy się wielkim szacunkiem i ma powodzenia u białogłów. Jeśli nie... – Oddi zawiesił głos.

– No co? – spytali miejscowi niemal jednocześnie, choć w dwóch różnych językach.

– Jeśli nie, a głód jest naprawdę wielki, ginie pierwszy jeszcze przed starcami i niewolnikami.

– Ale to wasze Wielkie Duchy odbierają mu życie? – dopytywała się Shaa-naan. – Chcą go mieć u siebie, by mógł się nauczyć dobrze rządzić w przyszłości, po ponownych narodzinach?

Oddi, gdy usłyszał tłumaczenie z ust Niedźwiadka, wybuchnął gromkim śmiechem. Kilka czarnych ptaków zerwało się do lotu. Po chwili uprzytomnił sobie, że to doradca Czerwonej Tarczy – Vingor, gdy był młody, często raczył otoczenie takim właśnie końskim rzeniem.

– Nikt go nie chce, ani bogowie, ani ludzie. I ci ostatni rozszarpują mu gardziel, bo po co im ucho, które nie słyszy, i głos, który nie brzmi. Ale zostawmy wodzów. Kobiety u nas są silne niczym trolle – takie wasze niedźwiedzie, tylko większe. Najwyższe z nich rosną tak duże, że muszą podnosić mężów i sadzać sobie na kolanach, by... No sami wiecie co. A piersi mają wielkie jak dwie głowy i to nie dwie, ale cztery, by mogły jednocześnie karmić trzech synów i męża.

Duże ciemne oczy dziewczyny zrobiły się jeszcze większe i Shaa-naan bezwiednie przeciągnęła dłonią po miejscu, w którym pod grubą warstwą futer miała dwa własne, niewielkie wzgórki zakończone twardymi sutkami. Oddi nieraz je obserwował, gdy go karmiła, i wiedział, że są niczego sobie. Widząc uśmiech przybysza zza Wielkiej Wody, rozsmarowała mu na twarzy trzymany w ręku śnieg.

Teraz cała trójka gruchnęła śmiechem. Młodość ma swoje prawa i przywileje, a jednym z nich jest beztroska.

– Ale wiesz co, Shaa-naan? – kontynuował Oddi, gdy już złapał oddech i wypluł okruchy lodu. – Tak naprawdę są takie jak wy, no może jasnowłose, choć nie wszystkie, bardziej rozłożyste i wyższe, ale reszta jest podobna. Bo macie tee, no... piersi, co? – W odpowiedzi znowu dostał śnieżną kulą w głowę. – A z naszego jedzenia brakuje mi mleka. Napiłbym się porządnego gęstego krowiego skyru, którym mógłbym popijać gorący, pełen aromatycznej kaszy slatur. Tego u was nie ma, tak jak krów i owiec.

– To jakieś zwierzęta? – przetłumaczył pytanie Niedźwiadek.

– No – odpowiedział kwieciście Asgotsson.

– Zostawiłeś tam kogoś, kogo brak zabiera ci oddech? – zapytała spokojnie, ale dziwnie cichym i bezbarwnym głosem. Od razu znać było, że odpowiedź ma dla niej znaczenie, i Oddi otrzymał niechętne, niemal wrogie spojrzenie tłumacza.

– Matkę Helde i mającą trzynaście wiosen siostrzyczkę Jofridde – odpowiedział jej zduszonym głosem, nie zważając na Bjarkiego. – Po przegranej bitwie i ucieczce ich męża i ojca ciężki będzie ich los. Tylko ja im pozostałem – dodał szeptem. Po chwili otrząsnął się z ponurych wspomnień, bo cierpienie nie czyni silniejszym i w niczym nie pomaga tym, którzy liczą na naszą pomoc. A po nieprzespanych nocach siania się na nogach ten, kto powinien być silny w nadchodzącym boju. – Zostawmy moje strony na inną okazję, jeśli łaska. Jak słyszałem, Niedźwiadku, twój ojciec zbudował drakkar? – Oddi nie chciał rozbudzać w sobie nadmiernej nadziei, ale kto wie, co przeznaczyły dla niego olbrzymki Norny.

– Wielkie kanu, które stoi na pniach drzew w Zatoce Mew, to trzydziestowiosłowa sneka, a nie wielki smoczy okręt. – W głosie młodego wojownika słychać było dumę i ekscytację. – Ojciec mówił, że choć nie największa, jest w stanie pokonać Wielką Wodę, morskie potwory i dopłynąć do waszych rodzinnych

stron.

– A załoga? Wy umiecie co najwyżej pływać po spokojnych rzekach, a otwarte morze to nie to samo. Tam trzeba prawdziwych mężczyzn. – Oddi był praktyczny i w przeciwieństwie do tubylca wiedział, że w walce z wysokimi niczym góry falami okręt jest wart tyle, ile jego załoga. Ci ludzie mieli takie pojęcie o żeglowaniu, jak głupiec o runach. No i nie przepuściłby żadnej okazji, by okazać Bjarkiemu swoją wyższość, szczególnie gdy obok siedziało sarnookie dziewczę.

– A ogień do gotowania stawy i ogrzania podczas podróży? – Shaa-naan, której współplemieniec na bieżąco tłumaczył rozmowę, patrzyła pytająco to na syna Snae-Kola, to na bladokórego przybysza.

– Ci, którzy wraz z nami przez wiele wiosen budowali to kanu, umieją nim pływać oraz walczyć waszą bronią z błyszczącego kamienia i stać w skjaldborgu! – powiedział czerwonoskóry z wyraźną urazą w głosie. – Umieemy też, bo ja ćwiczę z nimi od wielu wiosen, atakować w zwartej formacji svynfylka i utrzymać ją w starciu z wrogiem.

– To by się okazało w boju – mruknął Oddi, ale nabrał większego respektu dla swojego rywala. – Macie miecze i t-t-topory? – Aż się zająknął z podniecenia.

– A ogień? – Dziewczyna nie dawała za wygraną, więc Bjarki przetłumaczył jej słowa.

Tym razem z lekkim zniecierpliwieniem odpowiedział na pytanie młody wiking.

– Ogniska na pokładzie rozpalamy, choć rzadko, w pobliżu masztu, na specjalnym wysypanym piaskiem palenisku. Ale też tylko przy spokojnej pogodzie, bo z ogniem na okręcie to tylko kłopot. Co z mieczami, Niedźwiadku? – Bjarki odwrócił się nagle i chyba nieumyślnie trafił łokciem w zraniony bok Askomana. Ten nabrał z sykiem powietrza, a z bólu twarz zrobiła mu się blada.

– Wybacz, poślizgnąłem się – rzekł przepaszajaco syn Snae-Kola i jakby nigdy nic mówił dalej: – Trochę było na wraku, który wyrzucił sztorm dwa księżyce po przybyciu ojca na tę wyspę. Resztę zrobiliśmy z drewna, by ćwiczyć, gdy już błyszczący kamień dostanie się w nasze ręce. Wielki Snae się uparł – mruknął markotnie młody wojownik – więc co było robić.

Chwilę szli w milczeniu, gdy nagle ranny potknął się i jęknął z bólu. Tym razem Bjarki nie przyłożył do tego ręki. Potem Oddi z grymasem na twarzy zawisł na barkach podtrzymującej go pary skogarmadrów.

– Chyba trochę przesadziłem, wracajmy – wystękał – ale najpierw chwilę posiedzmy.

Znaleźli dogodne miejsce i opuścili rannego na zwalony gruby pień, z którego wcześniej Shaa-naan zgarnęła sypki śnieg.

– Mówiliście – odezwał się Oddi, gdy tylko przestał oddychać przez zaciśnięte zęby – że gdy spłyną śniegi, czeka was wielka bitwa z sąsiednimi plemionami, bitwa, której nie wygracie, o ile nie pomoże Długim Ludziom sam Ptak Piorun.

– Tak mówiliśmy – wystękał Bjarki, bo właśnie w tym momencie poprawiał wiązania długich futrzanych butów.

– To może choć niektórym uda się uciec właśnie tym langskipem?

– Co? – Bjarki zdawał się nie zrozumieć.

– No tym waszym wielkim kanu.

Oboje, czerwonoskóry chłopak i dziewczyna, popatrzyli na niego, dalej nic nie rozumiejąc.

– Wiem, czym jest długa łódź, bladokóry, ale kto by chciał uciekać i dokąd, jeśli dookoła woda

i wrogie plemiona?

– Dokądkolwiek, nawet do oddalonej o kilka dni żeglugi Marklandii.

– To nasza wyspa, znamy tu każdy kamień, każdy krzak, ona nas potrzebuje nie mniej niż my jej. Dokąd mielibyśmy płynąć? – Shaa-naan dalej nic nie rozumiała i patrzyła zdezorientowana to na Oddiego, to na tłumaczącego jego wypowiedź Bjarkiego. – Unchi jest wszystko jedno, czy pielęgnują ją Ludzie Łosie, Huroni, Beothukowie, czy nawet Mikmakowie, ale Długim Ludziom nie.

– Dokądkolwiek, powiedziałem. – Oddi rozłożył szeroko ręce. – Potem, gdy wzrosńecie w siłę, wróćcie tu, by pomścić swoich zabitych i wyrznąć wroga w pień.

– Na oddech Nagili – tym razem odezwał się Bjarki. – Albo ich odeprzemy, albo zostaniemy niewolnikami, a nasze kobiety urodzą im dzieci. Tak zawsze było, jest i będzie. Lepiej żyć w niewoli niż nie żyć wcale. Dopóki jednak Wielki Duch daje nam siłę, by napinać łuki i machać maczugami z kamieniodrzewa, dopóki Taku Skanskan toczy w naszych żyłach krew i wróg nie ma druzgocącej przewagi, będziemy walczyć o każdą wioskę i łowisko. Kobiety Długich Ludzi są dzielne i – zaśmiał się dziko – wierz mi, przybyszu, wolałbyś zginąć z ręki wojownika. One w bólach wydają na ten świat dzieci, ale jeśli nie ma innego wyjścia, potrafią w obronie tych samych potomków zabijać, i to bardzo krwawo. – Syn Snae-Kola podniósł niewielki kamień i rzucił nim w odległy, wystający spod śniegu głaz. – Zobacz, mały zmierzył się z dużym i nie został pokonany. Ale gdy dostanie się między dwa głazy, marny jego los. Tak też będzie z nami i gdy znikną szanse na zwycięstwo, poddamy się, bo życie jest cenniejsze od dumy i dostaliśmy je od Wielkiej Tajemnicy, by służyć przyrodzie, a nie samym sobie!

– Zgodzicie się na los niewolników?! – W głosie wikinga słychać było niedowierzanie.

– Tak samo możesz spodziewać się, że rzeki zostaną zawrócone w swym biegu jak tego, że każdy człowiek, który urodził się wolny, będzie zadowolony, kiedy zostanie pozbawiony tej wolności i prawa pójścia tam, dokąd chce. Niewolnikami będziemy tylko przez jakiś czas, potem staniemy się członkami plemion, które wzięły nas w niewolę.... – Bjarki się zasępił, albowiem dobrze wiedział, że ta droga nie dla niego.

Przez kilka chwil trwali w ciszy. Oddi bardzo starał się zrozumieć, co przed chwilą usłyszał, ale słowa układały się w zdania, a zdania w ciszę. Dla wikingów odwaga liczyła się ponad wszystko i tylko ona była przepustką do wiecznej sławy i Walhalli. To dbanie o ziemię miejscowych było dobre dla prowadzących przydomowe warzywniki niewolników, może dla kobiet, ale nie dla prawdziwych mężczyzn.

Bjarki wziął to milczenie i strapienie przybysza zza Wielkiej Wody za strach i poklepał go lekceważąco po ramieniu.

– Ale dopóki Wakan Tanka nie zgasi nadziei w sercach Beothuków, będziemy walczyć o nasze rodziny, chroniąc przy okazji twoje życie, obcy. Jednak jeśli będzie ich zbyt wielu, rzucimy im wyzwanie, spluniemy pod nogi i... poddamy się. Tob-Tob, które wychowały dwunożnych ludzi i nauczyły ich życia, przekazały naszym przodkom swoją mądrość. Nie ma dla wojownika większej hańby niż niezdarność na polowaniu, tchórzostwo w obliczu wroga, który jest do pokonania, i współzycie dwóch mężczyzn. No może spółkowanie mężczyzny ze zwierzęciem jest gorsze, ale nie od tchórzostwa.

Chwilę trwała cisza. Syn Północy odetchnął z wyraźną ulgą. Jego godny pogardy czyn, ta sromotna ucieczka, nie spotka się z szyderstwami ze strony miejscowych. Było to tym istotniejsze, że miał przy boku kogoś, w czyich myślach chciał być wspaniałym, niezwyciężonym Oddim Asgotssonem, synem wodza, dzielnym mężem, który walcząc z morskimi potworami, przepłynął Wielką Wodę. Ale nie można

stroić się w cudze piórka, tak jak nie można przypisywać sobie czyichś zasług. Bogowie wszystko widzą i do Walhalli wpuszczą tylko bitnych, odważnych i prawdomównych wojów, którzy polegli z bronią w rękę. Dla kłamców przeznaczone jest Wybrzeże Trupów w Náströndzie, gdzie czekają na swoją kolej, brodząc w mroźnej rzece krwi i trucizn. Gdy zgłodnieje smok Nidhögg, podgryzający korzenie Yggdrasilu, ciała kłamców i krzywoprzysięzców rozszarpuje ogromny człowiek-wilk, by ugotować z nich w wielkim kotle smoczą zupę. Oddi nie chciał takiego końca. Wprawdzie nie był pewien, czy już sobie nie zasłużył na spotkanie z wilkołakiem, ale nie zamierzał o to z całych sił zabiegać.

– Powiem wam o czymś, co mi przeszkadzało niczym gównu w gaciach podczas marszu. Tego dnia, gdy się spotkaliśmy, gdy napadnięto na ludzi mego ojca, byłem tam. Nie w osadzie, ale gdybym puścił się biegiem, zdążyłbym dotrzeć na miejsce, nim wyzionął ducha ostatni drottmad Asgota z Czerwoną Tarczą. Mogłem pomścić ojca i utoczyć krwi jego wrogów. Zamiast tego – uderzył pięścią w twarde pień, a na kostkach pojawiła się krew – uciekłem, by ratować własne życie. Bogowie nigdy mi tego nie wybaczą. Tłumaczę sobie, że to dla matki i siostry ta ucieczka, że jestem jedyną ich nadzieją, ale nie ma co się oszukiwać, to było zwykłe tchórzostwo. Po czymś takim – zlizął krew z obtartych kostek – jestem dla bogów niczym draug, po waszemu żywy trup. Ale tu jest inny świat i inni bogowie, tu może nie jestem jeszcze stracony...

– Mogłeś kogoś uratować? – Prawie nie potrzebował tłumaczenia, by zrozumieć pytanie dziewczyny, zadane w śpiewnym języku ludzi z wyspy.

– Nie wiem, Shaa-naan – odpowiedział. – Może gdyby mnie złapali i wryli na plecach krwawego orła ku uciechu wściekłych wojów, zginęłoby mniej jeńców? Może gdyby ich złość spadła na mnie, nie spaliliby langskipu wraz z próbującą uciekać załogą? Może, może – sam siebie o to cały czas pytam. – Zamilkł z twarzą ściągniętą cierpieniem. – Myślę jednak, że nie. – Potem dodał tak cicho, że ledwie zdołali usłyszeć, co mówi. – Jestem argrem, który uciekł, pozostawiając swoich na śmierć. Jestem bezużytecznym, złamanym wiosłem, nikczemnym tchórzem, który zawiódł swój félag. – Ucichł, bo o czym tu więcej mówić. Gdy od małego słyszy się sagi o bohaterskich czynach, w których słabości ducha i ciała są bezlitośnie wyśmiewane, a za wzór stawiani ludzie dzielni, waleczni, niezłomni, to tchórzostwo jest niczym gwałt na własnej matce – oślizłe i podłe. Zyskał trochę czasu w Midgardzie, ale stracił setki lat i tysiące uczt w pałacu Odyna. Co z tego, że postąpił zgodnie z naukami miejscowych duchów, skoro to nie oni stoją na straży Tęczowego Mostu.

– Ale uratowałeś mnie, choć dla Samotnego Jelenia było już za późno. Tak chciał Wielka Tajemnica i to nie ludzkie wybory pokierowały twoimi krokami.

Po chwili ciszy, zachęcony ostatnim zdaniem Shaa-naan-dithit, opowiedział im to samo, co kilkanaście dni wcześniej usłyszał Snae-Kol, poczynając od Stafangr, a kończąc na porannym ataku ludzi Eryka Zwycięskiego. Niczego nie zataił i niczego nie ubarwił. Nie wiedział, czy wszystko zrozumieli z tej sagi, ale poczuł się lepiej, jak ktoś, kto długo wstrzymuje mocz i wreszcie znalazł sposobność, by oddać go piaskom.

Shaa-naan drgnęła w końcu i otrzepała się ze śniegu, który się rozpadał i zrobił z niej małą zaspę. Skinęła głową, podjęła jakąś ważną decyzję i przysunęła się do Oddiego, wtulając z ufnością w grubą futrzaną kurtę młodzieńca.

Bjarki powiedział do niej coś gniewnie, ale nawet nie drgnęła, co widząc, młodzieniec odwrócił wściekłą twarz w stronę wikinga.

– Nie jesteś tchórzem, nie miałaś szans na wygraną, ale Shaa-naan-dithit, ta, która śmieje się oczami i sercem, która skradła moje myśli tak, jak lis porywa mięso z pułapki, dokonała właśnie wyboru i to ty,

gdy pokonamy wroga, przez dwie wiosny będziesz jej mężczyzną! – Splunął z pogardą i wściekłością pod stopy Askomana, potem, nie oglądając się za siebie, ruszył szybkim krokiem w stronę osady, by już po chwili zniknąć za białą śnieżną kurtyną.

Dziewczyna krzyknęła coś ostro, później zrezygnowana machnęła dłonią w grubej rękawicy. Pomogła wstać młodemu Asgotssonowi i razem ruszyli śladem, który pozostawił po sobie syn Snae-Kola. Po drodze opowiadała o gorącym umyśle Wielkiego Ducha, Wielkiej Tajemnicy, który nie pozwolił umrzeć Oddiemu z jakiegoś ważnego powodu. Być może była nim ona – Shaa-naan-dithit, a może coś zupełnie innego, znacznie ważniejszego. Oddi słuchał jej śpiewnego języka i choć nie rozumiał ani słowa, przyniosło mu to ukojenie. Będzie, co ma być, Norny dawno już utkały sznur mojego losu, splatając pojedyncze nici wydarzeń w jedno, pomyślał. Tak jak początek, jest tam już i koniec tej liny, tylko ja go jeszcze nie dostrzegam. Potem wzdrygnął się jak pies, który otrzepuje się z wody. Udręka bywa równie niszcząca, jak trucizna we krwi. To, że w Bjarkim miał wroga, było teraz tak pewne jak fakt, że właśnie pada śnieg. Miał tylko nadzieję, że w oczach dziewczyny nadal jest coś wart jako mężczyzna, że to nie litość nad rannym człowiekiem i wdzięczność za uratowanie życia trzymają ją u boku lekko utykającego syna skandynawskich fiordów.

Potem przyszła mu do głowy myśl, że nie zdążył zapytać Bjarkiego, co to znaczy, że kobieta wybiera wojownika na dwa lata.

Końcówkę drogi do wioski pokonali w milczeniu, choć każde z nich prowadziło ożywioną, bezgłośnie rozmowę ze sobą i swoimi bogami.



Nigdy nie należy ganić nikogo

Za to, co zdarza się wielu mężom;

Głupcem z rozumnego staje się,

Kto bezmiernej żądy się oddaje.

Kolejne zimne miesiące były wypełnione oczekiwaniem i przygotowaniem. Oddi i Shaa-naan spędzali wspólnie dużo czasu, choć młodzieniec wiedział, że do namiotu jej ojca zostanie wpuszczony dopiero wtedy, gdy wypalą się ognie wzniecone przez boga wojny – Tyra. O ile w ogóle. Kamienne Ostrze jakoś znosił przybysza zza Wielkiej Wody, ale gdy wydawało się wodzowi, że nikt nie widzi, na jego twarz wypływała niechęć.

Szybko dochodzący do zdrowia młodzieniec nauczył się prostych zwrotów w języku Beothuków, ale to jego towarzyska miała lepszą pamięć i była bystrzejsza. Ciągły trening i dobre chęci zrobiły jednak swoje i choć kaleczył jeszcze słowa niczym drwal drzewo, dla miejscowych jego mowa stała się zrozumiała.

Po którejś z kolejnych nieudanych prób włożenia ręki pod koszulę z miękkiej skóry Shaa-naan ugryzła młodego mężczyznę tak mocno w usta, że poczuł ciepło i metaliczny smak krwi.

– Chciałabym, wiesz o tym. Nie miałabym nic przeciwko, by twoje nasienie obrodziło we mnie nowym życiem, by wojownik i kobieta z ludu zamknęli kolejny mały krąg. Jestem już gotowa, żeby mieć dzieci, krwią regularnie zraszam ziemię, a ona mówi do mnie w snach z wyrzutem: ciągle jesteś jednym Shaa-naan-dithit. Ale to nie czas, a rosnący brzuch przeszkadza w walce i ucieczce.

– Dlaczego? – Oddi mówił trochę niewyraźnie, dotykając czubkiem języka puchnącej szybko wargi.

– Co dlaczego?

– No, nie możemy być już teraz razem. Chcę cię dosiadać niczym jeździec mocnego rumaka. Moi mawiają: „Bierz to, co masz w zasięgu ręki, i korzystaj, gdyż odkładając na później, być może wręczasz dary wrogowi”. Na tym świecie pewne jest tylko to, co tu i teraz. Ale chcę też być z tobą jak mąż z żoną, wojownik ze swoją drugą połówką.

– Z tak wielu powodów, jak wiele jest igieł na dorodnym drzewie. – Poglądziła go po twarzy. Zapach i ciepło jej skóry niosły ze sobą spokój. – Nie można obudzić człowieka, który jedynie udaje, że śpi. Tak samo kobieta nie może oczekiwać zrozumienia od mężczyzny, gdy mu odmawia swego ciała, ale spróbuję. U nas mężów wybiera wioskowa rada starszych, a mężczyznę dla córki wodza rada starszych całego plemienia. Teraz mają inne zmartwienia i inne walki do stoczenia niż ta, którą im szykuję. Oni na pewno nie zgodzą się, przynajmniej nie od razu, na naszą umowę. Nie zapominaj, że jesteś bladokórym obcym. Już prędzej wydadzą mnie za Szum w Uszach – dwunożnego człowieka, który jako dziecko uderzył głową w skałę i od tamtej pory przestał mówić i rozumieć słowa innych.

– A wasz konung? Ten Snae-Kol, czy raczej Sturla Tubbesson? Przecież jest tak biały jak ja.

– Był biały. Teraz jest czerwonym Długim Człowiekiem.

– No właśnie o tym mówię. Ja też tak zrobię i pozwolę nam być razem, nim zajdzie jutrzejsze słońce. Przynies tylko tego czerwonego barwnika z kory drzewa i...

Shaa-naan zmierzwiła młodzieńcowi włosy, tak jak dobry pan tarł szczeniaka, któremu się wydaje, że wystarczy stanąć na dwóch łapach i będzie człowiekiem.

– Ojciec opowiadał mi, że wiele wiosen temu znalazł na kamienistej plaży ledwie żywego

białoskórego olbrzyma. To znaczy z początku nawet myślał, że duch tego mężczyzny opuścił już ciało i dlatego jest taki blady, ale obcy jęknął, więc ojciec sporządził nosze i przyciągnął rannego do osady. Był on silny tak jak ty, więc przeżył, ale w plemienu traktowano go gorzej od wioskowego kundla. Póki nie nabrał pełni sił, jadł resztki i nawet dzieci mogły na niego bezkarnie pluć. Był dla moich dorosłych współplemieńców niewidzialny. – Głos młodej kobiety zadrżał, bo niewidzialność oznaczała najgorszą z kar. – Którejś zimowej nocy pomiędzy szalasami zakradł się olbrzymi biały niedźwiedź zwabiony zapachami jedzenia. Rzadko można spotkać je na samej wyspie, więc nikt się nie spodziewał. Może to był człowiek-niedźwiedź? Kto to wie. W każdym razie zwierzę było głodne, bardzo głodne i stał się przez to nieostrożny i zuchwały. Kobieta Szarego Futra, nieświadoma zagrożenia, wyszła z mamateeku zrobić to, co człowiek czasem robić musi. Wtedy bestia jednym kłapięciem szczęk odgryzła jej głowę i zaczęła łapczywie chłeptać krew.

– Skąd wiesz, że łapczywie? – Oddi puścił oko do dziewczyny.

– Tak w mroźny wieczór, przy ciepłym ogniu, opowiadał ojciec. On tam był, a ty nie, więc może mówić, jak mu się podoba. Mam opowiadać dalej? – Shaa-naan była trochę zła, że jej przerywa. – Słuchaj, bo inaczej twój język uczyni cię głuchym, człowieku ze skalpem na twarzy.

– Bogowie, pewnie, że chcę, byś mówiła.

– Zbudowany z połatanych skór szalas Snae-Kola znajdował się nieco poza obrębem osady. Coś go musiało zbudzić i wyskoczył na zewnątrz z nożem z błyszczącego kamienia w ręku. Sam jest wielki niczym niedźwiedź, ale daleko mu do siły władcy lodowych pustkowi. Tej nocy Wielki Duch stał jednak przy nim, bo udało mu się pokonać zwierzę, płacąc za to jedynie poszarpaną skórą na plecach. Po tym zdarzeniu zaczęto go zauważać. Dalej był poniżej kobiet, ale dzieci nie mogły już rzucać w niego dla zabawy kamieniami, chyba że dał im powód.

– Aż tak nie lubicie obcych? – Oddiemu już dawno przeszła chęć na małe, dziewczęce piersi Shaa-naan. Słuchał z otwartymi ustami.

– Obcy zwykle niosą ze sobą nieszczęście. Albo są to choroby, albo czyjaś zemsta, albo zły, czarny duch tego, którego pobratymcy wypędzili z rodzimej wioski. Unikamy obcych, o ile możemy.

– No, a po zabiciu tego niedźwiedzia Sturla nie był już dla was obcym?

– Był, ale wykazał swoją użyteczność, więc mógł mieszkać wśród prawdziwych ludzi. Minęły dwie kolejne zimy i stało się to, co musiało się stać, zmarł stary wódz – Opiekun Poranka. Pochodzący z jego mamateeku Ślad Wilka ogłosił się wodzem plemienia Beothuków znad Zatoki. Mój ojciec, Kamienne Ostrze, był tego dnia na polowaniu i gdy wracał, wpadł w zasadzkę zastawioną przez Ślad Wilka i trzech innych wojowników. Oni wiedzieli, że rzuci wyzwanie nowemu wodzowi, bo go nie szanował i miał za wściekłego psa. Umysły zabójców zwiódł Czwórwiatr albo sam Taku Skanskan, ponieważ nie zauważyli, że od wielu księżyców mój ojciec nie chodził w las sam. Od pewnego czasu towarzyszył mu olbrzym, którego ty zwiesz Sturlą, a my Snae-Kolem.

– A co właściwie znaczy imię Snae-Kol – rzucił Oddi od niechcienia, ale tak naprawdę bardzo był ciekaw odpowiedzi. Jego przecież też czekała zmiana imienia, jeśli chciał pojąć Shaa-naan. A chciał tak mocno, że znowu czuł mdłący ból w podbrzuszu.

– Długi Kij – padła szybka odpowiedź.

Lekko zakłopotany młody wojownik nie chciał drażnić tego tematu. Chyba się domyślał, o jaki konar chodziło. Wrócili więc do opowieści.

– Wiem, co było dalej, bo poznałem Kamienne Ostrze i Sturlę Tubbessona, ale nigdzie nie widziałem

tego Śladu Wilka. – Oddi zaśmiał się tym swoim chrapliwym rykiem, a Shaa-naan przyłączyła się do niego głosem ciepłego poranka. Gdy człowiek ma niewiele do stracenia, nie musi martwić się o drużynę, okręt, rodzinę czy choćby konia, życie jest prostsze i radości są prostsze.

– Domyślasz się więc, że tego dnia zawarli braterstwo krwi, nacinając sobie nadgarstki, i od tego dnia błądy człowiek stał się Długim Człowiekiem.

– A czy ja nie mógłbym tak zrobić? Z kimkolwiek, nie jestem wybredny.

– A czy zmieszałybyś swoją krew z krwią śnieżnego zajęcia? – odpowiedziała pytaniem na pytanie. Nie był tak do końca pewien, czy żartuje.

– To zabiję jakiegoś niedźwiedzia i już – mruknął urażony Oddi, ale zaraz mu przeszło, bo poczuł na ustach delikatny pocałunek.

Może zrobiło to ciepło ogniska lub bliskość głodnych ciał, lub świadomość, że mogą nie dożyć kolejnej zimy. Wcześniejsze obietnice, plany, obawy i zakazy przestały mieć znaczenie. Młodość jest nienasycona i gwałtowna, tak jak starość mądra i puszczająca wiatry. Przez kolejne godziny tworzyli istotę o dwóch głowach, rozdzielali się na chwilę, by ochłonać, i na powrót scalali w jedno w dzikim tańcu spoconych postaci. W pewnym momencie Oddi w zapamiętaniu pchnął za mocno i Shaa-naan syknęła z bólu. Potem wgrzyzła mu się mocno w ramię i z kolei on przeciągle jęknął.

– Wystarczy, bladokóry, widocznie rany zadane mi przez Mikmaków nie wygoiły się jeszcze do końca, ale – uśmiechnęła się do niego czule – byłeś niczym sam Czwórwiatr.

Chłopak opadł na posłanie ze skór, nagi i błyszczący od potu. Pomiedzy szeroko rozłożonymi, muskularnymi nogami, na jego męskim przyrodzeniu, lśniła w blasku ognia dziewczęca krew. Pocałował towarzyszkę uciech, lekko zawstydzony swoją zwierzęcą żądzą, a ta oddała mu pocałunek i przeciągnęła się rozkosznie.

– Musimy to kiedyś powtórzyć, przybyszu zza Wielkiej Wody – mruknęła.

– Musimy, ale powiedz mi Shaa, niewiasto warta całego srebra świata, czy możemy przekazać twojemu ojcu i radzie, że jestem już prawdziwym Długim Człowiekiem?

– Jak to?

– No, wymieniłem się przecież krwią z członkiem plemienia Beothuków, więc... – Nie dokończył, z trudem unikając ciosu roześmianej dziewczyny. Przytulili się do siebie z tkliwością młodych ludzi, którzy są dopiero na początku wspólnej drogi. – Opowiedz mi, Shaa-naan – ciepły ogień wesoło buzował pośrodku mamateeku i chciało mu się spać, ale chęć spędzenia jeszcze choćby kilku chwil w towarzystwie dziewczyny przeważała – jak to jest z waszymi bogami? Jestem na obcej ziemi i ci moi pozostali w starym kraju. Modlę się czasem do Odyna, wspominam opasującego Midgard Jörmunganda, który złapał mnie kiedyś w swój krąg, i wiem, że ich władza tu nie sięga. Moje życie jest tego najlepszym dowodem, bo nie dopadła mnie zemsta smokowęża. Komu więc winienem składać pokłon albo plunąć w twarz, gdy na to sobie zasłuży?

– Możesz mnie paść do stóp. – Szturchnęła go łokciem rozbawiona, ale zaraz spoważniała, bo i poważnych spraw rozmowa dotyczyła.

– Naszym najwyższym bóstwem jest Wakan Tanka – Wielka Tajemnica. To on stworzył wszechświat taki, jaki teraz oglądamy. Gdy to się stało, Wielki Duch zauważył, że to dzieło jest puste i trzeba wiele pracy, by takie nie było. Stworzył więc z samego siebie główne bóstwa, którymi byli: Inyan – Skała, Unchi – Babcia Ziemia, Skan – Niebo i Wi – Słońce.

– To wszystko stworzył z samego siebie? – Oddi, na wpół oparty o drewniany słup, przymknął oczy i próbował sobie wyobrazić istotę tak potężną, że była w stanie oddać część siebie i jeszcze pozostać całością. – Wiesz Shaa-naan, u nas też był bóg-olbrzym o imieniu Ymir, co oznacza Wyjącego. Po śmierci z jego ciała stworzono Midgard, czyli świat ludzi, Śródziemie.

– Po śmierci? – Dziewczyna nie kryła zdziwienia. – Gdyby Wakan Tanka przestał istnieć, zniknęłoby wszystko, co stworzył: pomniejsze duchy, ludzie, no wszystko – zakończyła strwożonym szeptem.

– Nie znam się na waszych bogach. W moim świecie z mięsa Ymira powstała ziemia, z kości – góry, z zębów i szczęk – kamienie i skały, z czaszki – niebo, a z mózgu – chmury. – Młodzieniec poprawił pozycję na wygodniejszą. – Ale ty mów, to twoja saga i kraina.

Shaa-naan najpierw wsparła głowę o jego ramię, a potem cała przylgnęła do młodego wikinga. Było jej ciepło i dobrze.

– Wielki Duch się podzielił, ale pozostał jednym. Tak powstało szesnastu Tob-Tob. Są wśród nich: Księżyc, Wiatr, Spadająca Gwiazda i Ptak Piorun, Ludzie, Bawoły, Czwórwiatry i Wir Powietrzny. Na samym końcu świat ujrzał istoty pozbawione ciała jeszcze bardziej niż Wir, składające się z samego ducha. Przybył Nagi – Cień Zmarłego, Nagila – Cieniopodobny, Niya – Tchnienie Życia i Sicun – Moc Ducha.

– My mamy znacznie więcej Asów, Wanów, Thursów i tego typu nadprzyrodzonych istot. Choć może nie. Mówiłaś kiedyś, że u was ludzie są bogami, jak słońce i księżyc? – Oddi z powątpiewaniem pokręcił głową, ale dziewczyna całkiem poważnie przytaknęła. – A gdy zabijam i zjadam krowę karibu, to zjadam boga? – Splunął i zrobił to tak zgrabnie, że ślina wylądowała na rozgrzanych kamieniach okalających ognisko i z sykiem zniknęła.

– Wydaje ci się to niemożliwe? – Przechyliła głowę w sposób, który najbardziej mu się podobał, o czym ona wiedziała. Poczł mocny piżmowy zapach włosów.

– A nie powinno? – Pocałował czerwonoskórą delikatnie w usta, ale ta stanowczo odsunęła go na odległość ramienia. Przy okazji futro, którym się okrywali, opadło, odsłaniając niewielkie, ale pięknie ukształtowane piersi. – Cudowne – szepnął, wpatrując się w sterczące sutki. Może to złudzenie, ale wcześniej były jakby mniejsze.

– Co cu... – Shaa spostrzegła, gdzie powędrował jego wzrok, i wcale niezawstydzona naciągnęła wyżej niedźwiedzie futro. – We wszystkim na całym świecie jest większa lub mniejsza częśćka Wakan Tanki – kontynuowała jak gdyby nigdy nic. – W trawie, kamieniu, rybie czy wodzie. Wszędzie.

– No dobrze, ale gdy tworząc wszechświat, oddał kawałki samego siebie, to czy on jeszcze istnieje? – Oddi nie był przekonany. Mąż może podarować synowi swój miecz, ale po pierwsze – otrzyma on go dopiero po śmierci rodziciela, a po drugie, nieczęsto się zdarzała taka darowizna, bo oręż mógł być potrzebny właścicielowi i na tamym świecie.

– A czy jak zdejmiesz cięciwę z łuku i dla ochrony przed deszczem schowasz ją do natartej tłuszczem sakwy, to dalej masz łuk czy tylko drewniano-kościaną łaskę i ścięgno karibu?

– No łuk, ale to co innego. Jeśli podzielisz fokę na części i każdy przy ognisku dostanie kawałek, to dalej masz fokę czy tylko porcje mięsa i tłuszczu? – Popatrzył na dziewczynę z miną zwycięzcy.

– A gdy jesteś tak samo tą foką, jak i jedzącym ją dwunożnym człowiekiem, jeśli twój duch jest i tu, i tu, to czy nie będzie Wakan Tance wszystko jedno, czy jest mięśniami foki, czy człowieka?

– No, chyba będzie. – Oddi podrapał się po głowie z zakłopotaniem. Zaczynał to wszystko rozumieć. Ten ich Wielki Duch był jak ogromna ławica śledzi, która przemierza morze niczym jeden organizm. Gdy pojawia się zagrożenie, niemal w jednej chwili potrafi ona zmienić kształt, kierunek ucieczki, szybkość,

ale ciągle pozostaje wielką ławicą śledzi. Ważne jest, by młodych ryb rodziło się tyle, ile strat poniesie gromada, i nic więcej.

– Tak sobie myślę – przymknął oczy, by blask ogniska go nie rozpraszał – że waszemu Wance Tance...

– Wakan Tance – poprawiła odruchowo.

– No właśnie, Wakan Tance to może być wszystko jedno, czy to ludzie stąpają po ziemi, czy też lisy, mewy, czy żuki gnojowe, wiesz, takie, co żrą gównem jak my dobrą, gęstą owsiankę.

– Nie wiem, czym jest ta twoja owsianka, ale błędzisz, tak samo zresztą jak twoja ręka pod moją skórzaną koszulą. – Cofnął dłoń z cichym uśmiechem. – Wielki Krąg – w głosie czerwonoskórej kobiety pobrzmiwały echa wesołości – stworzył istoty ludzkie i dał im rozum, by te opiekowały się swoimi młodszyimi braćmi, a tego nie potrafi ten twój żuk, choć nie jest on przez to mniej ważny od nas. Ma swoje zadania i miejsce w ciągłym ruchu. Bo widzisz, starzy ludzie to mówią i mają rację, że wszystko na naszym świecie jest kręgiem, w którym koniec przeradza się w początek. Takie niebo jest okrągłe, wiatr w swych najsilniejszych porywach wiruje, ptaki budują gniazda w kształcie kręgów, bo ich religia jest jak nasza, zataczają koła w powietrzu, wyszukując ofiary... W tobie też znalazłoby się kilka okrągłych części ciała. – Nie wytrzymała i parsknęła głośnym śmiechem.

Oddi machnął ręką zrezygnowany i trochę zawstydzony, że dał się zapędzić w kozi róg. Shaa-naan była upartą kobietą i między uszami nie hulał jej wiatr. Poza tym wcale nie chciał jej przekonywać.

– Czas na sen – rzucił cicho. Czuł narastające rozdrażnienie, bo męskość znowu pulsowała mu równym rytmem, a kobieta, którą chciał posiąść, była nieosiągalna, przynajmniej na razie. Zasychająca już krew była tego najlepszym dowodem.

Shaa-naan podniosła się zwinnie i nim zdążył pięć razy mrugnąć, odgarnęła grubą skórę u wejścia.

– Do jutra, błady człowieku, o którym Wielki Duch zapomniał, gdy przydzielał ludziom kolory, i który jest wart tyle, co pierwszy lepszy robaczy gównojad. – Rzucił w nią futrzanym butem, ale bez trudu uskoczyła, a zaraz potem zniknęła w ciemnościach. Oddi, chcąc nie chcąc, wyszedł po zgubę, bo miał tylko jedną parę ciepłych butów.

Nagle kątem oka dostrzegł ruch. Zamarł i przestał oddychać, bo od zasypanego śniegiem świerku oderwała się sylwetka, a on miał w ręku tylko ten przekłety bucior. Chłopak przypomniał sobie zaraz opowieść Shaa-naan o głodnych niedźwiedziach i o ile to możliwe, jeszcze bardziej wstrzymał oddech.

– Człowiek Placek Mąki boi się własnego cienia? – Głos Bjarkiego był pełen pogardy.

Oddi doszedł już do siebie i teraz w myślach przeklinał bogów, którzy dali człowiekowi strach i wyobraźnię. Jakże mężni i szczęśliwi muszą być ci, którzy w głowach mają tylko to, co widzą ich oczy.

– Myślałem, że to niedźwiedź, a tu przybłąkał się Niedźwiadek. – Zaśmiał się, ale ściśnięte niedawnym strachem gardło wydało z siebie piskliwy skrzek. Bjarki od pamiętnego dnia zwierzeń unikał wikinga niczym wietrznej zarazy i tylko na wyraźną prośbę córki Kamiennego Ostrza pomagał jej w nauce języka ludzi zza Wielkiej Wody. Za to znalazł sobie innego przyjaciela i teraz wiele czasu spędzał z Czerwonym Kamieniem.

– Wielki Duch widocznie odebrał ci wraz z odwagą rozum, skoro mniej lękasz się syna Snae-Kola i członka jego lidu niż jakiegoś tam człowieka-niedźwiedzia. To mnie zobaczysz ostatniego, pamiętaj.

– Może, jeśli Norny tak mi przeznaczyły. Ale na twoim miejscu bardziej bym się martwił dziesiątkami setek wojowników Mikmaków i Huronów niż jednym bladokórym Askomanem. I to ci jeszcze powiem, że Thor strzeże mojego żywota. Do niedawna był z nim jeszcze smokowąż Jörmungand, ale tej sagi nie

musisz znać. Nie pokona mnie nikt, kto mu nie dorównuje siłą, roztropnością, szczęściem i odwagą.

– Nie widzę nikogo za twoimi plecami, blady człowieku, ale być może zobaczę ich, gdy swoim zwyczajem będziesz zmykał w obliczu wroga. – Bjarki splunął, w jego głosie była pogarda. Potem, nie oglądając się, odszedł – szara plama na tle zasypanego białym śniegiem lasu. Czy to był człowiek, czy to mój wstyd dał o sobie znać? – pomyślał Oddi, zwiesił głowę i wrócił do legowiska, które jeszcze tak niedawno było świadkiem radosnych uciech. Beztroska zniknęła bez śladu.



Niebaczny mąż myśli, że przyjacielem

Każdy, co się doń uśmiecha;

Dozna, gdy na sejm przybędzie,

Że ma stronników mało.

W połowie okresu chłódów do osady przybył posłaniec. To był język Snae-Kola o imieniu oznaczającym tego, który potrafi wytrwać na polowaniu w bezruchu od wschodu do zachodu słońca. Oddi nazwał go Cierpliwe Drzewo, co było krótsze i łatwiejsze do wysłowienia. Wojownik ledwo trzymał się na nogach, ale poszedł prosto do mamateku Kamiennego Ostrza. Młody wiking dopieszczał właśnie swój Czerwony Ślad, którego długie i lśniące ostrze już od jakiegoś czasu dopominało się kamienia. Mroźne powietrze jest suche, ale rdza, niczym pies do suki z cieczką, zawsze znajdzie drogę do żelaza, zawsze.

Kończył już, gdy rozległy się nawoływania. To sam wódz Beothuków znad Zatoki wzywał do siebie wszystkich Długich Ludzi. Askoman nie był jeszcze czerwonoskórym wojownikiem, nie zawarł braterstwa krwi z jakimś skogarmadrem, choć z drugiej strony... uśmiech wypłynął na jego twarz okoloną coraz pokaźniejszą, choć jeszcze rzadką brodą, niczym słońce ciągnięte przez rumaki na poranne niebo... zrobił znacznie więcej. Zaraz jednak spowaźniał.

Na Odyna, miał siedzieć przy ogniu i czekać? Miałby pozwolić się nieść z nurtem jak kawałek spróchniałego drewna? Miejscowi mówili, że nawet martwa ryba płynie z prądem, i mieli rację. Jeśli nie chcą go przyjąć za swojego, to wkrótce zechcą. Jego los Norny związały z tymi czerwonoskórymi nierozzerwalnym węzłem, a nawet gdyby dało się go rozsuptać – on, Oddi Asgotsson, tego nie pragnął.

– Ludzie szczepu Beothuków – zagrzmiał Kamienne Ostrze. – Wielki Duch, Ten, który jest w nieustannym ruchu, który nie śpi, by cały czas móc tworzyć, Ten, którego pracy zawdzięczamy istnienie wszystkiego, którego głos jest słyszalny w świergotaniu ptaków, szumie wód i słodkim oddechu kwiatów... odwrócił wzrok od naszej wyspy. Tak twierdzi Czerwony Orzeł, wielki czarownik naszego plemienia. – Chór pełnych trwogi i zaskoczenia pomruków był odpowiedzią na te słowa. – Rozmawiający z duchami oznajmił, że dwunożni ludzie zabijają więcej swoich czworonożnych braci niż jeszcze kilka zim temu. Budujemy drewniane przegrody, wzdłuż których można biec pół dnia, po to tylko, by zapędzić stado karibu nad urwisko, gdzie giną, roztrzaskując się o skały. My otrzymujemy pożywne mięso, a one? Krótką chwilę lotu ptaka? Zabijamy w porze lęgu setki fok zatokowych, bo właśnie wtedy matki nie chcą zostawić swoich dzieci i bronią ich przed wrogiem. Przed nami! Nie robimy tego dla przyjemności, oddajemy cześć ich duchom, ale...

Kamienne Ostrze mówił spokojnie, ale jakimś sposobem jego donośny, czysty głos docierał do wszystkich mieszkańców osady. Co jakiś czas wypowiedź przerywały okrzyki, a mężczyźni dodatkowo potrzęsali bronią lub choćby pięściami.

– A co mamy jeść, kamienie!?! – przerwał wodzowi Leniwy Byk, który sam był jak dwóch innych czerwonoskórych. – Jak jestem głodny, to zabijam, mam pełen brzuch, śpię albo zajmuję się moją kobietą. – Leniwy Byk miał bystrość głazu, ale powiedział to, o czym myślało wielu innych wyspiarzy.

Kamienne Ostrze uśmiechnął się, bo wszyscy wiedzieli, że ten wielki Beothuk jest łagodny i chętny do pomocy.

– Synu swojego ojca. – Wódz podszedł do niego i położył mu dłoń na ramieniu. – Mówienie czasem jest jak huk spadającej z wysoka wody – ostrzega; czasem niczym wiatr w koronach drzew – niesie nasiona; a niekiedy to tylko brzęczenie wielkiej muchy tuż przed zaśnięciem – denerwuje. Ba, bywa też niczym pierdnięcie po sutym posiłku – psuje powietrze. Wysłuchaj do końca tego, z czym przybył posłaniec. Ten, co milczy, wie dwa razy więcej niż gaduła. – Leniwy Byk coś tam burknął pod nosem, ale już się nie odzywał. – Czerwony Orzeł – przerwał przedłużającą się ciszę wódz – miał sen, o którym opowiedział mi Cierpliwe Drzewo. Czarownik, szukając odpowiedzi na wiele pytań, zaszył się w szałasie potów na dzień i noc. Tylko istota obdarzona bardzo silnym duchem mogła to uczynić i nie postradać rozumu. Gdy Taku Skanskan w postaci dymu przeniknął do myśli świętego wojownika, ten wzleciał na skrzydłach swego totemu ponad chmury. Nie zatrzymywał się jednak, lecz wznosił wyżej i wyżej. Daleko na niebie napotkał wielkie stado gęsi. Ich przewodnik, widząc zagrożenie, skierował ptaki ku słońcu, ale orzeł, w którego ciele przebywał teraz czarownik, czując głód swój i pozostawionych w gnieździe młodych, podążył ich śladem. Wiatr owiewał jego sylwetkę, która była niczym grot strzały i jak ona niosła śmierć. Cały drżał z bezbrzeżnej niecierpliwości. Było to tak silne, że nie mógł myśleć o niczym innym. Widział rozdzierane pazurami i dziobem mięso, niemal czuł na języku smak krwi i gorący, lekko słodki zapach wylewających się wnętrzności. Wzbijali się coraz wyżej i wyżej. W pewnym momencie od stada oderwał się wielki gąsior i ruszył mu na spotkanie. Gdy był już w zasięgu głosu, odezwał się w mowie ludzi. „Dlaczego nas gonisz, w niczym ci nie zawadzamy i mamy takie samo prawo latać po niebie jak ty, czcigodny ptaku”. Na co orzeł rzekł: „Jestem głodny i by mieć siły, muszę jeść mięso”. „My nie zabijamy, by żyć – odpowiedział ze smutkiem w głosie gąsior. – Dwa wschody słońca temu inny orzeł porwał moją partnerkę i mówił tak jak ty. Jeszcze wcześniej wielki orłosep zrobił podobnie, zabijając mojego przyjaciela, z którym latałem, od kiedy wykuliśmy się z jajek. Nas jest coraz mniej, a im więcej dajemy wam z siebie, tym więcej chcecie”. „Tak ten świat stworzył sam Wielki Duch i jego szesnastu Tob-Tob. Orły zjadają kaczki i gęsi, ludzie jedzą karibu i niedźwiedzie, lis zagryza królika. Nie możesz mieć do mnie pretensji, że jestem, jaki jestem”. Czerwony Orzeł czuł, jak na myśl o jedzeniu ślina napływa mu do dzioba. Był podniecony niczym przed lotem godowym z samicą, jak zawsze gdy miał zadać śmierć. „Nie mogę – smutno odrzekł gąsior. – Ale was jest po prostu zbyt wielu, a nas coraz mniej. Święta równowaga została zachwiana”. „To co, mam pożreć własne dzieci albo rozszarpać gardło orłosepowi?” – Orzeł był coraz bardziej nerwowy, bo głód odbierał mu jasny osąd i cierpliwość. „To ty tak powiedziałaś, to ty” – i gąsior w jednej chwili zmienił się w ogromnego ptaka, którego sam dziób był tak wielki jak cały Czerwony Orzeł. Stwór rzucił się na swojego niedawnego oprawcę i tylko dzięki temu, że pchany olbrzymimi skrzydłami wiatr dodał mu prędkości, czarownik uniknął tego ataku i pochwylenia przez olbrzymie szpony. Potem zaczął się szaleńczy wir w kierunku ziemi, pełen gwałtownych zwrotów i rozpaczliwych uników. Mroźny wiatr miotał uciekinierem, odbierając maltretowanym mięśniom resztki sił. Orły są doskonałymi lotnikami, o ile mogą szybować na prądach powietrznych, gorzej, gdy przyjdzie im w pełnym pędzie pikować ku ziemi, po raz nie wiadomo

który wyhamowywać i zmieniać kierunek. Nagle, poniżej powłoki chmur, Czerwony Orzeł dostrzegł swoją szansę, albo raczej jej cień. Spłoszone czymś ogromne stado mew z krzykiem wzbiło się w powietrze. Czarownik zrobił nagły skręt, przyplacając manewr potwornym bólem, i wpadł między morskie ptaki. Olbrzym zawahał się, ale tylko na chwilę. Z rykiem przypominającym osuwanie się do wody pękającego kamiennego klifu ruszył za swoją ofiarą, roztrzaskując mewy niczym płatki śniegu. Tymczasem Czerwony Orzeł resztkami sił próbował zapanować nad spadaniem, w które zamienił się jego lot. Równie dobrze ktoś mógłby kazać latać podrzuconemu w górę śnieżnemu zajęcowi. Przetrażone po zderzeniu z jedną z mew skrzydło nie poprawiało sytuacji. Wirował niczym rzucony w powietrze liść, błagając Wakan Tankę o dobre kolejne życie. Już niemal czuł chłodną morską toń, pożegnał się w myślach z bliskimi, gdy gwałtowne uderzenie wyrwało mu z płuc resztę oddechu. W pierwszej chwili pomyślał, że to dopadł go w końcu ptak-olbrzym, ale gdy zdołał nieco unieść zakończoną ostrym dziobem głowę, zobaczył, że leży w rozbryzgach własnej krwi, na deskach wielkiego drewnianego kanu. Wtedy – Kamienne Ostrze zawiesił na chwilę głos – wielki czarownik obudził się i zrozumiał, dlaczego zjednoczone plemiona ruszą tej wiosny na Długich Ludzi.

– Bo Snae-Kol zbudował pływający drewniany dom w Zatoce Mew? – Czerwony Kamień powiedział to tak, by usłyszeli go wszyscy zebrani. Miał na pieńku z wodzem Beothuków, a nigdy nie zapominał doznanej urazy.

– Bo jemy za dużo gęsi? – znowu odezwał się Leniwy Byk.

Kamienne Ostrze pokręcił głową.

– Dlatego że jest nam za dobrze, Leniwy Byku, synu Kulawego Niedźwiedzia i Szarej Foki. A gdy nam jest dobrze, czworonożni, pływający i latający ludzie cierpią.

– I dlatego Wielki Duch postanowił zabrać z tego świata wszystkich Długich Ludzi? – Chrapiący Pies nie krył swego wzburzenia. – I chce to zrobić oszczepami wojowniczych Huronów, Mikmaków i duchy lodu wiedzą kogo jeszcze?

– Tego Czerwony Orzeł nie powiedział. Prosił jednak, by w sercach Długich Ludzi zdusić zwątpienie i strach, bo może to nie my, ale właśnie oni są celem Wielkiej Tajemnicy.

Po tych słowach wśród zgromadzonych mieszkańców osady zapanowało zmieszanie. Nikt nie potrząsał wojowniczo bronią, nikt nie wydawał okrzyków bojowych, każdy na swój sposób starał się zrozumieć to, czego doświadczył w wizji wielki czarownik wszystkich Beothuków. Że doznał on połączenia ze światem duchów – to było pewne. Pytanie, które stawiali sobie teraz wyspiarze, brzmiało: Jak właściwie odczytać znaki, które zesłały ludziom istoty wyższe?

– To co teraz? – Rogi Karibu patrzył zdezorientowany to na wodza, to na wioskowego czarownika.

– Teraz – Kamienne Ostrze powiedział to głosem spokojnym, ale nieznoszącym sprzeciwu – zgodnie z wolą Snae-Kola zabierzemy z wioski tyle, ile zdołamy udźwignąć na włókach, i ruszymy w stronę Wody Grzmotów na skraju Grzbietu Łosia, któremu nazwę nadali kiedyś nasi dzisiejsi wrogowie. Ukryte za spadającą pianą jaskinie są tak ogromne, że znajdą w nich schronienie wszyscy Dłudzy Ludzie, a i jeszcze zostanie w nich miejsca dla Mikmaków, Huronów i kilku innych ludów, które zechcą nas tam szukać. A potem... – na kilka chwil zawiesił głos – zrobimy to, co postanowi rada starszych plemienia.

– Grzbiet Łosia to święta ziemia! – Głos Czerwonego Kamienia przeciął powietrze jak błyskawica letnie niebo, a on sam wyglądał teraz jak olbrzymi Ptak Piorun. Płaszcz z wilczych futer zafalował na zgarbionych plecach, zdając się żyć własnym życiem.

– Czerwony Orzeł obiecał, że prześlą duchy, by ten jeden raz wpuściły prawdziwych ludzi na swoją

ziemię i... wypuściły ich z powrotem. – Wodzowi, wielkiemu, silnemu wojownikowi, drżał głos na samą myśl o zapuszczeniu się pomiędzy wysokie szczyty. To była święta ziemia, droga, którą duchy zmarłych przedostają się do Odległej Krainy. W korzeniach gór znajdował się podziemny szlak, a w jego ciemnościach błąkały się tchnienia tych czerwonych ludzi, którzy pobłądzili za życia. To były złe i wściekłe na cały świat istoty, mające na swoich usługach stwory z najgorszych koszmarów. To było królestwo Nagi – Cienia Zmarłego i Nagila – Cieniopodobnego. Odwieczne legendy przestrzegały Beothuków przed zapuszczaniem się w okolice Wody Grzmotów, gdzie znajdował się początek Drogi Zmarłych. Na straży, pilnując wejścia przed ludźmi i wyjścia istot ciemności, stali praojcowie wszystkich dwunogich ludzi, ogromne, wysokie na trzech mężów stwory zwane BeothNocha. Nikt nigdy nie widział ich z bliska, a jeśli nawet, to nie miał okazji opowiedzieć o tym spotkaniu współplemieńcom.

– Mamy iść w środku okresu wielkich chłódów? – Praktyczna jak zwykle Język Lasu popatrzyła na swego męża niepewnie. – W taki czas nawet zwierzyna nie wystawia nosa ze swoich kryjówek. I co, zostawimy opustoszałą osadę bez ochrony?

– Nie zostawimy, ostatnia grupa podłoży ogień pod to, czego nie uda nam się zabrać ze sobą.

Po tych słowach podniósł się wśród zgromadzonych straszny rwetes, bo jak można spalić wioskę, w której wychowali się ojcowie i ich ojcowie. Nawet siedzący przy stopach swojej pani Zębaty zaczął wyć z pyskiem uniesionym w stronę nieba, a za nim odezwała się cała wioskowa psiarnia. Prym wśród krzykaczy wodzili Czerwony Kamień i oczywiście Bjarki.

– Czerwony Orzeł nie mógł wydać takiego polecenia, to nasz brat z krwi i kości i rozumie, że duchy przodków znają i kochają to miejsce. Taki plan mógł wymyślić jedynie obcy, jakim jest Snae-Kol. Nawet jego nasienie – tu wskazał zasuszonym palcem na Bjarkiego – rozumie, bo ma w sobie prawdziwą krew Długich Ludzi, że nie należy niszczyć domów przodków.

Wywołany przez czarownika Niedźwiadek przestępował z nogi na nogę w zakłopotaniu. Potem burknął coś niezrozumiale i wycofał się w tłum.

– Widzicie! – triumfował Czerwony Kamień. – Nie stanął w obronie ojca i jego zatrutych dymem pomysłów, bo ma w sobie mocnego ducha czerwonych ludzi. Powinniśmy pozostać w osadzie i tu czekać na los, jaki nam przeznaczył Wakan Tanka. Roślina może być ścięta, ale nie wyrwana z korzeniami! My żyjemy i postąpimy tak, jakby postąpili nasi przodkowie.

Czarownik umilkł i rozpoczął taniec przywołania, który miał uczynić człowieka niewrażliwym na ciosy, a na wrogów sprowadzić kończące się śmiercią wymioty i cieknącą z tyłka brązową wodę. Opustoszała przestrzeń wokół nucącego zaklęcia starca. Nikt nie chciał, nawet przypadkiem, znaleźć się w kręgu mocy. Spod wilczych skór zaczął wydobywać się dym, a do wrażliwych nosów dotarł smród palonych włosów. Niektórzy padli na ziemię i teraz tarzali się po ubitym śniegu z pianą na ustach, inni wyglądali, jakby mieli ochotę uciec, ale jakaś niewidoczna siła trzymała ich w miejscu.

– Tylko ludzie opętani przez złe duchy – słyhać było coraz więcej głosów – palą w środku okresu chłódów swoje szałaszy. Moc Czerwonego Kamienia uchroni Beothuków znad Zatoki przed zgubą! Snae-Kol nie jest prawdziwym Długim Człowiekiem!

Kamienne Ostrze podniósł wysoko obie ręce, by uciszyć zebranych, i powoli je opuścił. Nawet czarownik zwolnił i przestał buczyć, by nie uronić ani słowa.

– Nim zaczną płynąć śniegi, na naszej wyspie zjawią się Mikmakowie i Huroni, sami wojownicy bez spowalniających ich dzieci i kobiet. I będzie ich tylu, ile ryb w rzece. My znamy teren, każdy kamień i zatokę, grzęzawisko i ścieżkę przez bagna. Ale możemy ich nękać tylko wtedy, gdy wojownicy

Beothuków będą mieli spokojne serca. Musimy ukryć nasze rodziny, tak jak chowamy przed niedźwiedziami zapasy na zimę, a jedynym miejscem są jaskinie za Wodą Grzmotów. To nie jest tak – rozejrzał się po wystraszonych twarzach współplemieńców – że mamy inne, mniej niebezpieczne wyjście, że Wielki Duch położył przed nami tłąstą fokę i dorodnego karibu i kazał wybierać. Dobrze wiecie, że tylko w jaskiniach Drogi Zmarłych przetrwamy, gdy wrogów będzie dziesięciu na każdego Długiego Człowieka, i to wliczając w to nasze dzieci i żony.

– To niech Snae-Kol sam spali swoją osadę i przyjdzie z ludźmi do naszej nad Wielką Wodę! – krzyknęła jakaś czerwonoskóra niewiasta z małym dzieckiem w sakwie na brzuchu.

– To nie jest Beothuk, tylko przysłany przez wiatry przybłęda, nie musimy go słuchać! – Mówiąc to, Czerwony Kamień zamarł wreszcie w bezruchu, co wielu przyjęło z ulgą. Podparł się z miną zwycięzcy pod boki i patrzył wyzywająco na swojego wodza.

– Musimy spalić i spalimy wszystkie osady na wyspie. Nawet szalasy Ludzi Łosi pójdą z dymem, by wściekłe wilki nie miały osłony przed mroźnym wiatrem i śniegami, gdy już do nas przybędą. – Kamienne Ostrze wydał mrozący krew w żyłach okrzyk, taki, jaki wydaje idący na śmierć wojownik.

– Nie zmusisz nas wszystkich do tego! – Czarownik splunął czarną od żutych liści śliną. – Ja tu zaczekam na wrogów – dał dwa kroki w bok – a ze mną wielu naszych Długich Ludzi, o ile nie wszyscy.

Jakby czekając na ten znak, kilkanaście kobiet wyrwało się mężom i stanęło obok Czerwonego Kamienia. Wojownicy na ten widok zawahali się, mając wybór pomiędzy rodziną a wodzem, którego szanowali. Czarownik dał znać Bjarkiemu, by i ten zajął miejsce u jego boku. Przywołał go tak, jak się przywołuje wioskowego kundla, co niektórzy skwitowali śmiechem i pogardliwym wydęciem ust. Młodzieniec bił się chwilę z myślami, w końcu jednak poddał się woli potężnego człowieka. Twarz miał nieprzeniknioną, gdy ruszył, by dołączyć do coraz liczniejszej grupy wyspiarzy tworzących żywy mur wokół Czerwonego Kamienia.

– I co, zostawicie swoje kobiety i dzieci w wiosce, a sami uciekniecie? A może zabijecie nas wszystkich na miejscu, za co pochłonę wasze dusze i rzucę je Ptakowi Piorunowi na pożarcie? Wykonacie rozkaz Kamiennego Ostrza, tego, który słucha bardziej obcych niż swoich, i spalicie mamateki? Pozostawicie rodziny bez ochrony w szponach mrozu? – Czerwony Kamień triumfował i jakby nieco urósł. Nagle wybuchnął straszonym śmiechem, od którego zebrany zadrżały nogi. Ten rozmawiający z duchami posiadał naprawdę wielkie moce. Bjarki tymczasem stanął u jego boku chmurny, wysoki i milczący. – A może wstąpicie na drogę wiodącą tylko w jedną stronę, bo tak się skończy wasza ucieczka pomiędzy korzenie gór? Ja rozmawiam z Niyą, który jest Tchnieniem Życia, mój bębenek słyszy Sicun, ten, który jest Mocą Ducha, a gdy przemawiam, z moich ust wychodzą Ich słowa!

– Wybacz, wodzu, ale to czarownik i to są nasze kobiety. – Kamienne Ostrze słyszał coraz więcej takich smutnych głosów swoich wojowników. Grupka wiernych topniała z każdą chwilą, aż została przy nim nie więcej niż trzecia część plemienia. Wodzem Beothuków zostawał ten, kto miał poparcie większości. Gdy ono zniknęło, wodzowskie wampumy i fajkę zabierał ktoś inny.

– Pozbawiam cię władzy i zakazuję wszystkim odzywania się do starego wodza w języku ludzi! – Czerwony Kamień czuł smak wygranej. – Od dnia dzisiejszego – pokazał kościstym paluchem na dziwnie milczącego i zgarbionego Kamienne Ostrze – on i jego rodzina są ludźmi-duchami, a... – Nie dokończył, bo trudno się mówi z przeciętym gardłem. Czarownik chwycił obiema dłońmi za szyję, a spomiędzy palców trysnęła krew. Dalej próbował coś mówić, ale z otwartych ust wydostawały się jedynie gulgot i charczenie. Ludzie w przerażeniu patrzyli, jak opadł na kolana i gdy przyszło zrozumienie końca, w ostatnim wściekłym odruchu złapał czerwoną dłonią za skórzaną nogawicę swojego oprawcy. Nie

zdołał jednak wyrzec klątwy, bo zmaltretowane płuca łąpczywie wciągnęły pełne juchy powietrze. Po kilku podrygach padł martwy na ubity śnieg, topiąc się we własnej krwi.

Bjarki potrząsnął nogą, ale nie udało mu się strząsnąć zaciśniętej w przedśmiertnym skurczu ręki czarownika. Dopiero używając siły własnego ramienia, oderwał martwą pięść.

– Tylko działając razem, przeżyjemy. A jeśli mam umrzeć, by tak się stało, trudno. Duch Wielkiego Niedźwiedzia, który czuwa nade mną od dnia, gdy stałem się mężczyzną, nie wstrzymał mojej ręki, kiedy ta zmierzała ku gardzieli Czerwonego Kamienia. To znak, że postąpiłem słusznie. – To były ostatnie słowa, które wypowiedział tego dnia. Po prostu powiedział wszystko, co miał do powiedzenia. Nikt nie podniósł ręki na syna Snae-Kola, zostawiając zemstę Czerwonemu Kamieniowi. Całkowicie zabić czarownika może tylko inny, co najmniej równie potężny czarownik.

Mieszkańcy wioski, teraz już bez szemrania, rozpoczęli przygotowania do opuszczenia osady. Nadchodził niepewny i pełen łez czas krwi i lamentu.



Przyjaciołom ma być mąż przyjacielem

I darem płacić za dar;

Śmiech pośród druhów śmiechem odwzajemniać,

Fałsz natomiast – zdradą.

Ludzie nauczeni walczyć o każdy kolejny dzień szybko godzą się ze stratą mienia, tym bardziej że mają go niewiele. Co innego z ziemią przodków, ale Wielka Tajemnica nie pozostawił Długim Ludziom wyboru. Chodziły słuchy, że wodzowi wszystkich Beothuków udało się uzyskać pomoc jedzącego surowe mięso ludu Askipoków, ale nikt nie wiedział za jaką cenę, przynajmniej nikt z klanu znad Zatoki.

Gdy sznur ludzi i psów ruszył, trójka przyjaciół jak zwykle poszła razem. Oddi odzyskał już siły i z płaczącym się przy nogach Czerwonym Śladem – mieczem, podarunkiem od starego przyjaciela – ciągnął przeładowane sanie. Obok z zaciętymi minami próbowali mu dotrzymać kroku: Shaa-naan-dithit i Chrupiący Pies. Zawsze rano Zębaty, jeszcze przed wymarszem, podbiegał do swojej pani i o ile nie zdążyła się zasłonić, zlizywał z jej twarzy gorącym jęzorem foczy tłuszcz, którym zabezpieczała skórę przed mrozem. Potem znikał gdzieś między drzewami i pojawiał się dopiero o zachodzie dziennego słońca. Czasem przynosił w zębach śnieżnego zajaca lub lisa, ale częściej tylko szeroki i szczery psi uśmiech.

Od pamiętnego dnia w osadzie Bjarki unikał ich jeszcze bardziej, o ile to w ogóle możliwe. Twierdził, że ciąży na nim klątwa Czerwonego Kamienia i dotknie ona każdego, kto się do niego zbliży na odległość mniejszą niż jeden krok.

– Jestem niczym ptasie jajo zrzucone z wysokiej skały, nabierające prędkości dzięki mocy Taku Skanskan. Dopóki ono leci, jest całe, ale tak naprawdę... – Nie dokończył, pokręcił głową i odszedł w milczeniu.

Trudno się było z nim nie zgodzić. W zasadzie był już martwy w momencie, gdy przyłożył kamienne ostrze do gardła szamana, tak przynajmniej twierdził Chrupiący Pies.

Sznur przygiętych ku ziemi postaci z trudem przedzierał się przez szarpany poddmuchami wiatru biały tuman. Noc była ciężka, ale rano wstało jasne słońce i wydawało się, że przynajmniej tego jednego dnia szczęście dopisało wędrowcom. Do czasu. Żółta tarcza minęła połowę swej drogi, gdy zerwał się porywisty wicher. Choć nadal nie padał śnieg, to tego z nocy było aż nadto, żeby ograniczyć widoczność na długość ramienia. Zmrożone białe płatki, niczym małe groty strzał, uderzały z wielką siłą w każdy odsłonięty fragment skóry, zostawiając po sobie krwawe pręgi. To nie był dobry czas na wędrówkę.

Trzy wschody słońca temu przekroczyli granicę zimowego lasu, wsiąkając cicho pomiędzy drzewa niczym kropla wody w piasek. Za sobą zostawili wielki na kilkadziesiąt kroków, białoszary od śniegu i zrytej ziemi plac, jedyne świadectwo wieloletniej bytności człowieka w tym miejscu. Gdy świat obudzi się z zimowego snu, tę pozostałość zakryje świeży dywan traw i krzewów. Jeden człowiek jest jak pył ze świętej fajki, który rzucony na wiatr zaraz znika bez śladu.

Za cztery-pięć wschodów księżyca sznur ludzi, sań i pętających się pod stopami psów dotrze do Wody Grzmotów, za której wilgotnymi powiekami skrywa się wejście do świętych jaskiń. Latem nieobciążony dobry biegacz mógłby tę trasę pokonać w trzy pełne dni, ale wędrowcy musieli ciągnąć na orzących śnieg żerdziach cały swój dobytek.

To był morderczy marsz, na szczęście mieli gdzie nocować, bo wcześniejsze grupy uciekinierów zostawiały im tymczasowe mamateeki. Szli ostatni, więc każdego poranka wyruszali w trasę ciężsi o sztywne od mrozu dodatkowe skóry.

Oddi potrafił się porozumiewać z miejscowymi, choć przy trudniejszych rozmowach ciągle jeszcze prosił Shaa-naan o pomoc. Nie zdarzało się to często, gdyż tubylcy niezbyt chętnie rozmawiali z wielkim, bladokórym obcym, a jeśli już, to tylko po to, by przepędzić go z pobliża swego namiotu. Był niczym wilk wśród sfory psów, niby podobny, a jednak inny, niewzbudzający zaufania. Gdyby nie Shaa-naan-dithit i Chrapiący Pies, byłby tu całkiem sam. Bardziej samotny był tylko Bjarki, ale jemu zdawało się to nie przeszkadzać.

Trzeciego dnia wkroczyli na równiejszy teren, poprzecinany dziesiątkami małych, ale głębokich stawów zwanych Śmierdzącymi Wodami. Dłudzy Ludzie unikali tych ziem, bo i zwierzyny tu było niewiele, a mięso zajęcy, które udało się złowić, zalaatywało niczym stare, zepsute ptasie jaja. Zimą było lepiej. Śmierdzące Wody zajmowały dno ogromnej niecki, wyglądającej jak odcisk wielkiego głazu w miękkiej ziemi. Zbocza, choć łagodne, osłaniały teren od wiatru, a co za tym idzie, poprawiła się widoczność. Tu i ówdzie dało się teraz słyszeć przytłumione, bełkotliwe rozmowy, bo zmrożone usta z trudem układały słowa. Szło się jednak łatwiej, a żerdzie gładko ślizgały się po kamiennej zimowej wodzie. To jednak nie był czas dogodny do podróżowania, więc pod wieczór kolumna zmęczonych i zmarzniętych ludzi z utęsknieniem wypatrywała kolejnego postoju.

Przechodzili właśnie po grubej tafli, gdy pod stopami ludzi ciągnących pierwsze włóki najpierw zatrzeszczał, a potem z przeciągłym jękiem pękł lód.

– Do tyłu! Cofnąć się! – Okrzyki podziały niczym polanie wrzątkiem. Zapanowała panika. Długi wąż ludzi i żerdzi z tobołkami, który dotychczas ciągnął się zygzakami, pękł i rozsypał się na kilkanaście części. Ci, którzy byli zbyt blisko skruszonej pokrywy, nie mieli szans na ucieczkę. W jednej chwili kilkanaście osób znalazło się pod wodą, a pogoda, choć nie padał śnieg, była naprawdę mroźna.

Oddi jednym ruchem wypiął się z uprzęży, a następnie odpiął pas z bronią. Na szczęście kolczugę miał w tobołku na plecach, który też rzucił w ubity śnieg. Za nim uwolnili się Chrapiący Pies i Shaa-naan. Leniwy Byk, syn Kulawego Niedźwiedzia i Szarej Foki, który tego dnia też pracował wraz z nimi, nadal był przepasany rzemieniami, jakby nie rozumiał, co się dzieje. Bo nie rozumiał. Wojownik ten szybko

reagował tylko na jedno słowo: jedzenie.

Cała czwórka, gdy doszło do tragedii, na szczęście była jeszcze na stałym lądzie.

– Za mną, ale ostrożnie. – Pies pierwszy ruszył w stronę kłębowiska ludzi i pakunków.

– Jak się nie uspokoją, zaraz wszyscy będą w wodzie! – Oddi pędził tuż za nim.

Potem syn Kamiennego Ostrza krzyknął i zrobił to tak gromkim głosem, że z pobliskich rachitycznych krzaków tu i ówdzie posypał się drobny śnieg. Głośniejsi jednak zawadzili tratujący się ludzie i nim minęło dziesięć oddechów, już wielu członków plemienia znalazło się w lodowato zimnych odmętach.

Ci, którzy wpadli pierwsi, chwytały za ubrania swoich towarzyszy, potęgując tym samym zamieszanie i wciągając ich do lodowatej wody. Były jeszcze grube, unoszące się na wodzie tafle lodu, ale grabiejące niemal w jednej chwili mokre dłonie nie mogły uchwycić ich śliskich krawędzi, a jeśli już nawet uchwyciły, nie utrzymywały tego wartego życia skarbu. Po kilkunastu dodatkowych oddechach ludzie tracili czucie we własnych członkach. Tylko ktoś, kto sam tonął, zrozumie, jak okropnie czuje się człowiek, który wie, że za chwilę zamiast powietrza nabierze w płuca haust wody. Szybka śmierć od miecza nie daje czasu na strach, panikę i... ogromny żal. A były tu matki z dziećmi. Ich żal więc nie miał granic.

Trzy dziesiątki Beothuków walczyły o życie, reszta patrzyła z przerażeniem, jak ich bliscy, jeden po drugim, idą pod wodę.

– Liny! – krzyknął Oddi do ucha Shaa-naana. – Potrzebne nam liny!

Wszędzie dookoła było pełno porzrzuconych tobołków, więc niewiele myśląc, porzucali trzymające je rzemienie i w krótkim czasie mieli do dyspozycji dwa wystarczająco długie i mocne skórzane pasy.

Jedna grupa, w której słychać było okrzyki Shaa-naana, trzymała rzemień, na którego końcu był uwiązany Oddi, inna robiła to samo, tylko że na końcu mieli Leniwego Byka.

Młody wiking czołgał się, unikając gwałtownych ruchów. Przed oczami miał wystające z wody zakapturzone głowy, których z każdą chwilą było coraz mniej. Przypominały boje wielkiej sieci, które Ran, żona boskiego Aegira, jedną po drugiej wciągała teraz pod wodę.

Oddi miał przy sobie wielką płachtę z letniego namiotu, którą rozłożył na krawędzi lodu i... wskoczył. Mętna i żółta breja była tak lodowata, że w jednej chwili stracił orientację, nie wiedział, gdzie jest i co się z nim dzieje. Nawet to, czy świecąca tysiącem gwiazd czaszka olbrzyma Ymira, z której bogowie zrobili niebo, jest na górze, czy na dole, nie było już tak oczywiste, jak jeszcze kilka oddechów wcześniej. Mocne szarpnięcie rzemienia, do którego był przywiązany, przypomniało potomkowi Aska i Embla o zadaniu, które ma do wykonania, i postawiło świat na nogi. Szok mijał, ale młody Askoman niemal czuł, jak z każdą chwilą opuszczają go siły. Nie miał wiele czasu. Chwycił zgrabiętymi rękami najbliższego nieszczęśnika, opasał go długimi nogami, by się nie wyrwał, i dał znać stojącym na brzegu ludziom. Ci zaczęli ciągnąć sporządzoną naprędce długą linę i po chwili nieborak z wczepionym w niego młodym wikingiem dotarli do ciemnej plamy płachty. Tam odebrali go inni wyspiarze i Oddi ruszył na kolejne łowy. Leniwy Byk też robił swoje i nawet w pewnym momencie minęli się w milczeniu.

Czas przestał mieć znaczenie, a jeżeli już, to był odmierzany liczbą uratowanych mężczyzn. Półprzytomny z zimna Asgotsson, właśnie podholował piątego wojownika. Wśród żywych topielców nie było żadnej kobiety ani dziecka. Tylko najsilniejszym udawało się tak długo utrzymać na powierzchni, reszta już dawno poznała dno jeziora. Nagle i w Oddim coś pękło.

– Nee amm usz yyy. Wyyyceee meee – zdołał wyjęczeć przez zmarznięte wargi, ale w zamieszaniu nikt

go nie słyszał, bo właśnie wyciągano na lód ledwie żywego Śnieżnego Lisa. Zresztą sam siebie potrafił zrozumieć tylko dlatego, że nim ten jęk wyszedł na zewnątrz, słowa najpierw musiały pojawić się w głowie.

Ostatni z uratowanych był już w połowie na skórze przykrywającej popękana tafelę pofałdowaną warstwą, gdy Oddi chwycił go, a przynajmniej próbował to zrobić, za mokrą kurtę. Dłonie były jednak zupełnie bez czucia, jakby należały do kogoś innego. Nagle puścił jeden z pośpiesznie wiązanych wcześniej węzłów. Zniknęły siła i oparcie, które dzięki staraniom innych pozwalały młodzieńcowi utrzymywać się na powierzchni. Teraz wszystko działo się szybko. Mokre futra i nasączone wodą buty ciągnęły w dół, a ręce, które czuł od łokci w górę, niezdarnie próbowały wspierać się na pokruszonym lodzie. Zmrożone żółte bryły albo odwracały się pod naciskiem, albo szły pod wodę, zbyt małe, by utrzymać tak duży ciężar.

Osuwał się, niczym tonący, załadowany towarami kupiecki kaupskip, który zrazu powoli całuje powierzchnię, by z każdą kolejną chwilą nabierać prędkości, w miarę jak pchany przechyłem ładunek coraz bardziej przemieszcza się w stronę dziobu lub rufy. Ktoś tam krzyczał, ale chłopak przestawał słyszeć, jakby zimno porażało nie tylko członki, ale i zmysły. Nawet nie miał wiele sił, by się szamotać. Ostatnim rzutem, będąc już pod tafelą, Oddi próbował chwycić zębami poszycie letniego namiotu, ale zamiast sierści usta wypełniła mu tylko smakująca jak zgniłe ptasie jaja woda jeziora. Poszedł pod lód. Gdyby to było na początku, gdy miał jeszcze w mięśniach trochę ciepła, zdołałby się pewnie wynurzyć, ale nie teraz.

Nie bał się śmierci. Bogowie dają i zabierają życie, tak jak dostatek, przygody, przyjaciół... Nie, przyjaciół znajdujemy sobie sami. Niczym zjawę we śnie zobaczył twarz swojego najlepszego druha, towarzysza wielu chłopiędzych wypraw i psikusów, rudego jak wypalony przez słońce mech – Mara Kjallakssona. Od najmłodszych lat trzymali się razem, razem też byli tego dnia, gdy Mar, wspinając się po stromym klifie w poszukiwaniu świeżych jaj, odpadł od ściany. Na tym odcinku wybrzeża tuż pod wodą czaiły się wielkie głazy. Oddi był obok i widział twarz przyjaciela, gdy ten zrozumiał, że już po nim. Jego piegowatą twarz przerażenie zamieniło w maskę potwora z najgłębszych czeluści Niflheimu i właśnie wtedy Oddi Asgotsson obiecał sobie, że z nim będzie inaczej. Gdy wypełni się jego przeznaczenie, z uśmiechem przyjmie los utkany dla niego przez Norny, z uśmiechem, który czynił jego twarz tak podobną do matczynej. Matka Helda... Pomoc... Myśli biegły coraz wolniej i wolniej. Oczy jeszcze widziały czerniejącą u góry ciemną plamę otoczoną bielą. Ależ te jeziora są głębokie – przemknęła mu przez głowę myśl, pozostałe przesłoniła wściekła żądza nabrania powietrza. Resztką woli zmuszał usta, by pozostawały zamknięte. Właściwie to nie wiedział, dlaczego jeszcze walczy. Co warto są te dodatkowe chwile życia? Chciał nabrać głęboki haust wody, bardzo tego pragnął, jak nigdy niczego w swoim krótkim życiu. Płuca, próbując dostać trochę powietrza, kurczyły się i rozkurczały w tempie bijącego serca i waliły jak szalone w otaczającą je klatkę z kości. Ciałem młodzieńca szarpały bolesne spazmy. Jakby każdy kawałek skóry, każdy włos dopominał się o swoje. Oddi resztką świadomości zmuszał się do zaciskania ust, ale ile można, wszystko ma przecież swoje granice. Gdy w końcu postanowił się poddać... świat zniknął.

Młody wiking nie mógł widzieć, jak chwilę wcześniej od czarnej płachty oderwał się punkt, który skruszył szybko zamarzającą wodę. Nagi do pasa Bjarki, którego pięknie wyrzeźbione ciało mogło w innych okolicznościach wzbudzić zachwyt kobiet i zawiść wojowników, wbił się w toń niczym oszczep w pulchną ziemię i pomagając sobie mocnymi ruchami długich nóg, płynął w stronę ciemnego dna. Może to sam Wielki Duch, może Odyn, a może refleks światła na wisiorze w kształcie młota Thora, w każdym razie w ostatniej chwili chwycił tonącego i bezwładnego już wikinga za włosy i rozpoczął

mozolną podróż ku powierzchni.

Gdy się wynurzyli, w stronę młodzieńców poleciało kilka lin, zaraz potem złapało ich wiele chętnych ramion. Zostali uratowani. To znaczy Bjarki, bo Oddi leżał siny niczym kamień, z mocno zaciśniętymi ustami. Nie oddychał. Dłudzy Ludzie patrzyli zdziwieni na tego topielca, bo zawsze, ale to zawsze, wylawiano nieszczęśników z otwartymi ustami i wodą w płucach. Wcześniej czy później w którymś momencie tragedii nad rozumem brało górę ciało i człowiek połykał wodę.

Miejscowi odciągnęli bladokórego młodzieńca na pobliski brzeg i rozebrali do naga. Mróz był wielki, ale co mu może zrobić zimny oddech, zabić po raz drugi? Kilka kobiet bez przekonania rozpoczęło nacieranie śniegiem, a Shaa-naan, błagając Wakan Tankę o pomoc, uderzała zaciśniętą pięścią w pierś wojownika zza Wielkiej Wody. Chrapiący Pies chwycił ją za podniesione do ponownego ciosu ramię i wychrypiął:

– Odszedł, Shaa-naan, Wielki Duch go zabrał.

– Nie odszedł! – W głosie kobiety wściekłość mieszała się z rozpaczą. Wyrwała się bratu i po raz kolejny uderzyła pięścią w pierś topielca, a nie było to lekkie uderzenie. I po raz kolejny bez skutku.

– Zostaw go. – Syn Kamiennego Ostrza nie próbował jej już powstrzymywać, bo któryś z ciosów wylądował na jego szczęce.

– Nie zostawię! Nie zostawię! Nie zostawię! – Przy każdym okrzyku uderzała z całych sił w pierś Oddiego, która coraz bardziej barwą przypominała popiół. I w pewnym momencie chłopak otworzył oczy. Shaa-naan zamarła w pół ruchu, gdy z jego już otwartych ust pociekła na śnieg cienka strużka wody zmieszanej ze śliną. Potem zaczął kaszleć, wyrzucając jej więcej i więcej.

Kobiety przerwały nacieranie i wspólnie z zapłakaną córką wodza przenieśli bladokórego do prowizorycznego, pośpiesznie rozbitego namiotu, w którym od dobrych kilku chwil płonął duży ogień. Zebrano w tym miejscu wszystkich, których udało się wyciągnąć z topieli. Tych, którzy przeżyli, grzali własnymi ciałami bliżsi i dalsi krewni. Czas miał tu decydujące znaczenie. Shaa-naan, niewiele myśląc, zdjęła ubranie i całkiem naga przylgnęła do nieprzytomnego Oddiego. Z drugiej strony zrobił to samo Chrapiący Pies, dołączyła jeszcze do nich goła niczym niemowlę Język Lasu. W tym żywym kokonie, nim słońce wstało ze snu, wikiński wojownik odzyskał świadomość.

Pierwsze, co zobaczył, była całkiem spora niewieścia pierś z dużym, wypukłym i twardym sutkiem, którą niemal trzymał w ustach. Oddi odruchowo polizał ją koniuszkiem języka niczym pies dłoń swego pana i zaczął ssać. Pomyślał, że jednak chyba jest w Asgardzie. Gdy szerzej otworzył oczy, w świetle ogniska dojrzał uśmiechniętą twarz jednej z żon wodza Ludu znad Zatoki, której cycek tak ochoczo miętosił wargami. Zamarł, gdy tuż przy uchu odezwał się syn Kamiennego Ostrza:

– W was, ludziach zza Wielkiej Wody, jak widzę, więcej jest życia niż w trzech innych wojownikach razem wziętych. Nie zamierzasz chyba...

Trochę zawstydzony niedoszły topielec zamknął oczy, udając, że słabość wzięła górę nad świadomością.

Zdążył jeszcze dojrzeć, że w takim samym żywym kokonie leży Bjarki. Syn Snae-Kola. Niedźwiadek mrugnął wesoło do Oddiego albo tak się tylko wydawało zmrożonemu jeszcze wikingowi.



Ostrożny gość, gdy w gościnę przychodzi,

Milczy, a słuch zaostrza,

Uszyma słucha, oczyma patrzy:

Tak wywiaduje się każdy, kto rozsądny.

Z góry wszystko widać było jak na dłoni. Lud Beothuków z wyspy ciągnął w pobliże Wody Grzmotów wieloma zaśnieżonymi ścieżkami. Przypominało to skalną nieckę, do której w czas roztopów wpadają większe i mniejsze górskie strumienie.

Oddi, który doszedł już do siebie, patrzył w milczeniu na to dzieło bogów. Skuty zimą lodem rwący nurt Rzeki Łososi wyłobił przez pokolenia w twardej skale szerokie koryto, którego płaska wstęga biegła na wschód. Ale to nie niewątpliwe piękno tego widoku przyciągało wzrok i słuch wikinga, bo jak mawiała matka, wrażliwy jest na piękno niczym gównem na smród. Tym czymś była groźna, surowa potęga tego miejsca. W pewnym momencie rwący nurt z wielkim impetem spadał z wysokości równej długości trzech, czterech drakkarów wprost na leżące u stóp skały. Tej zimy jednak oczy przybyszów nie widziały rozbryzgów piany, ale pofałdowaną, zamrożoną skorupę wodospadu. Skryta pod nią woda kotłowała się i kipiała, stwarzając wrażenie, że pod skórą tego przyczajonego lodowego olbrzyma grają węzły mięśni. Trzeba tęgiego mrozu, by na spadającą z ogromną siłą wodę nałożyć takie więzy, naprawdę tęgiego.

Rzeka ta kończyła swój bieg w morzu, o pięć dni drogi od wioski, z której uciekli. Przynajmniej tak twierdził Chrapiący Pies.

Teraz, niemal u stóp wodospadu, wyrosła ogromna osada złożona z dziesiątek setek mamateeków. Ze środka splecionych długich żerdzi, stanowiących czubek rusztowania każdego z nich, wiła się ku niebu sina strużka dymu, tak że młody Askoman odnosił wrażenie, iż patrzy z oddali na pole pełne małych czynnych wulkanów.

Dłudzy Ludzie, którzy pamiętali osadę sprzed jednego, dwóch sezonów łowieckich, przecierali oczy ze zdziwienia.

– Tak muszą wyglądać tajemnicze bogate miasta Irokezów i Ottawów, położone na stałym lądzie, w krainie Wielkich Jezior – szepnęła Shaa-naan-dithit, ale stojący tuż obok Oddi słyszał każde słowo.

– Budujecie warowne grody? – Nie krył zdziwienia, bo dotychczas brał rodaków swojej czerwonoskórej kobiety za ludzi dzielnych, honorowych, ale rozwiniętych niewiele wyżej niż mali migdałowoocy skraelingowie, których oni sami zwali Surojadami.

– My nie, przynajmniej tak było dotychczas – odrzekła cicho Shaa-naan. – Ale na stałym lądzie, skrytym za plecami naszej wyspy, do Wielkiej Wody wpada ogromna, ogromna rzeka. Płynąc dobrym kanu pod prąd, można dotrzeć do należącej do plemienia Ottawów osady handlowej. Tam za wodnych olbrzymów i foczy tłuszcz, suszone ryby, skóry i futra handlarze dostają ziarna z głębi lądu, z których pieczemy placki. Ich mamateeki otoczone są drewnianą palisadą. Płynąc jednak dalej w górę rzeki, uparty i odważny wędrowiec dotrze w końcu do dwóch miast Wielkich Wodów. Pierwszym jest Stadakoh-ne, drugim, większym – Hochelaga. Obydwa są otoczone ziemnymi i drewnianymi wałami, i to nie jednym tak jak tu – wskazała brodą widok w dolinie – ale trzema, z których każdy kolejny jest wyższy i opasuje miasto coraz obszerniejszą pętlą.

– Na Odyne. – Wiking westchnął z podziwem. – A żelazo, mają tam żelazo?

– Mają skarby, o których wie tylko Wakan Tanka, ale ich strzały wieńczą kamienne i kościane ostrza. – Czerwonoskóra dziewczyna zamilkła i pomimo nagabywań nie chciała nic więcej mówić na ten temat.

Oddi miał przed oczami wizje złotych miast, skarbów i bogactwa, ale przyzwyczyił się już do tego, że dla Beothuków wiele tematów stanowi tabu. To był widocznie jeden z nich.

Patrzyli z góry na ogromną dolinę o łagodnych ścianach skalnych, której zachodnią część zajmował skuty lodem wodospad. Kształtem przypominała dołek wygrzebany w nadrzecznym mule ręką dziecka, z szerokim podejściem i jeszcze szerszym wylotem, w którym ginęła podążająca ku morzu rzeka. Ziemia musiała tu być żyzna, albowiem dno doliny porastał gęsty las mieszany. Na tym osłoniętym przed zimnymi wiatrami terenie rosły wysokie świerki, modrzewie, topole i dęby oraz brzozy o tak szerokich pniach, że zdjeta z jednego z nich kora mogła z powodzeniem stanowić poszycie szybkiego kanu.

– Dobre drewno na łodzie. – Młodzieniec z Północy westchnął.

– Dobre łowiska i wody pełne ryb – poprawił go zaraz Chrapiący Pies. – Tylko po co to dziwne rusztowanie? Czy Wielki Duch nie ukarze Długich Ludzi za zabicie tego lasu?

Ludzie znad zatoki patrzyli z niepokojem na wysoką na trzech mężów palisadę, otaczającą setki solidnych mamateków. Ta drewniana ściana z jednej strony była przylepiona do skał niczym jaskółcze gniazdo i Oddi dałby sobie uciąć warkocz, gdyby go miał, że właśnie tam znajdowało się to wejście do tych tajemniczych jaskiń, które miały być ostatnim bastionem obrońców. Z góry widział wiele sylwetek przemierzających w swoich sprawach ścieżki tego ludzkiego mrowiska.

– Co to jest? – Chrapiący Pies podrapał się po lśniących czarnych włosach, z których przed chwilą zsunął futrzany kaptur. – Lud Ottawów postanowił przenieść swoją osadę na naszą wyspę?

– Ojciec z połową wojowników już wiele księżyców temu przybył do Wody Grzmotów, zresztą tak jak i mieszkańcy innych osad. To oni musieli zbudować to wszystko, ale nie wiem po co. – Shaa-naan wzruszyła ramionami.

– Wrócił niedawno, ale nie chciał mówić, tylko śmiał się ze mnie, twierdząc, że ptaki założą sobie gniazdo na moim języku, tak szeroko rozdziawię gębę ze zdziwienia – dodał Chrapiący Pies.

– A ja chyba wiem. – Oddi uśmiechnął się do dziewczyny. – W moim kraju budujemy takie twierdze, by powstrzymać przeważające siły wroga i przeczekać do czasu nadejścia pomocy. Założę się o mój miecz, nie miecz – poprawił się zaraz, bo o Czerwony Ślad nie zamierzał się nigdy zakładać – ale saks, że ścieżki w tej osadzie są wyłożone drewnem, by błoto nie opóźniało przemieszczania się oddziałów. Jak nic, to pomyśl samego Sturli Tubbessona. – Młody wiking na wspomnienie wodza wodzów instynktownie rozejrzał się w poszukiwaniu Bjarkiego. Ten przykucnął nieopodal w milczeniu, zrzucając na śnieg ładunek dwukrotnie cięższy od tych, które dźwigali inni wojownicy. Śmierć Czerwonego Kamienia i niedawne wypadki w jeziorze zmieniły wszystko, ale tylko w głowie Oddiego. Czerwonoskóry młodzieniec, gdy tylko zobaczył, że topielec daje znaki życia, przestał się nim interesować i dalej traktował go jak powietrze.

Znajdę sposób, by zwrócić ci pożyczone życie, uratuję kiedyś twoją czerwoną skórę – przysiągł sobie, biorąc na świadka samego Odyna. Taka przysięga wymagała krwi, więc obiecał sobie w duchu, że złoży bogu bogów w ofierze pierwszego karibu, jakiego upoluje, a na razie utoczył jej trochę z własnego palca.

– A kto nam przyjdzie z pomocą, gdy sami zamkniemy się w tej pułapce? – Chrapiący Pies sprowadził myśli młodego Askomana z powrotem na ziemię.

– To pytanie do najwyższego z wysokich i jego rady starszych. – Oddi klepnął go w plecy, a młody tubylec niemal stracił równowagę. Chwiał się teraz, machając rękami, tak że wszyscy gruchnęli śmiechem.

– Chodźmy, to się dowiemy. – Shaa-naan-dithit już chciała ruszyć stromym zejściem, ale powstrzymał

ją donośny głos ojca, którzy zarządził odpoczynek przed ostatnim, niebezpiecznym etapem podróży.

Wykorzystując chwilę przerwy, trójka przyjaciół usiadła ciężko na kamieniach, których tu wszędzie było pełno. Milczący Biarki jak zwykle tkwił nieco z boku, choć, co mu trzeba przyznać, wciąż w zasięgu głosu. Albo raczej słuchu, pomyślał z rozbawianiem Oddi.

– To mówicie, że za tą spadającą wodą jest wejście do Svartalfheimu, że znajdują się tam ciężkie wrota Bramy Trupów? – powiedział w zamyśleniu, żując dla odpędzenia głodu pasek ze skóry karibu.

– Nie wiem, czym jest ten Swar-coś, ale jeśli wrotami do innego świata, to tak. – Shaa-naan z zapamiętaniem rozsmarowywała sobie stary tłuszcz na twarzy. Zbrylony od mrozu tracił swoje właściwości i trzeba było co jakiś czas rozgrzewać go w dłoni.

– Svartalfheim nie jest bramą, ale krainą mrocznych elfów, czy jak inni wolą – krasnoludów. Dumny to lud, mądry, mściwy i okrutny. Strzeże zazdrośnie swoich tajemnic, a nade wszystko kocha złoto i kamienie szlachetne.

– To jakbyś mówił o Mikmakach, tylko bez tego złota, czymkolwiek ono jest, no i bez mądrości. – Chrapiący Pies zaśmiał się głośno, a strudzeni, ale szczęśliwi z bliskiego końca morderczej wędrówki, towarzysze zawtórowali mu wesoło.

– A czego oni tak strzegą? – Shaa-naan potarła po raz ostatni twarz i szybko naciągnęła na zmarznięte dłonie grube rękawice. – Czym albo kim jest to złoto?

– Złoto – zaczął Oddi z rozmarzeniem w głosie – to coś więcej niż srebro. – Widząc brak zrozumienia u towarzyszy, dodał: – A srebro to coś więcej niż błyszczący kamień. – Tu wzbudził zainteresowanie.

– Błyszczący kamień jest dobry do robienia noży i ostrzy strzał. – Chrapiący Pies pogłaskał się po brzuchu, jakby mówił o przysmaku, jakim była świeża wątroba karibu. – Ale co może być lepszego od tego, to nie wiem – dodał zaraz zasmucony swoją niewiedzą.

– Złoto jest żółte – wypalił Oddi.

– No i co, ryba o żółtym brzuchu smakuje równie dobrze jak ta o białym i szarym, a wszystkie smakują lepiej od tej skóry renifera, którą teraz żujemy. – Synowi Kamiennego Ostrza udało się wreszcie oderwać kilka strzępów nasączonego śliną rzemienia.

– Złoto, choć jest bardziej miękkie od błyszczącego kamienia, to potrafi dziesiątki lat przeleżeć w wodzie i dalej jest złotem. – Młody Asgotsson dopiero teraz sam sobie zadał pytanie, dlaczego właśnie ten metal jest tak cenny. Jakoś nigdy wcześniej za bardzo się nad tym nie zastanawiał.

– A kamień może to samo, ale nikt nie wspomina o ochronie głązów. – Shaa-naan błysnęła w uśmiechu białymi zębami.

– No, ale złota jest mało i dlatego jest tak dużo warte – rzucił w końcu Askoman, któremu już zaczynało brakować pomysłów.

Dwoje miejscowych postukało się w głowę w geście tak zrozumiałym we wszystkich dziewięciu światach. Nawet siedzący z boku Niedźwiadek sapnął i pokręcił łepetyną.

Widząc zakłopotanie przyjaciela, Chrapiący Pies postanowił przyjść mu z pomocą.

– No, jeśli moc tego złota jest zaczarowana i odpycha wodę, to może nadałoby się na jakieś kanu? – A widząc, że bladokóry wzrusza ramionami, dodał: – Albo ostrza ościeni do łowów w Wielkiej Wodzie?

– Łódź odpada, bo złoto jest za ciężkie, poza tym żeby zdobyć taką ilość, musielibyśmy złupić jakieś całkiem duże miasto. A na ostrza się nie nadaje, bo jest za miękkie. – Oddi westchnął zrezygnowany.

Zaczynał być zły, jak zawsze gdy nie potrafił czegoś wyjaśnić. – A co dla was jest najcenniejsze? – spytał, szukając rozwiązania, a raczej czasu na jego wymyślenie.

– Dobre łowy, rodzina, dzieci, równowaga i poczucie, że Długi Człowiek jest potrzebny, że stanowi drobną, ale ważną część Unchi – padły odpowiedzi. Nawet Bjarki dorzucił od siebie coś niewyraźnie. Oddiemu wydało się, że usłyszał słowo „ojciec”.

– Ale to wszystko może mieć każdy, więc nie jest to tak cenne jak złoto! – Wiking podrapał się po głowie, a raczej chciał się podrapać, ale przeszkodził mu w tym gruby kaptur z lisich skórek.

– To zależy, Wyrzucony na Brzeg. – Chrapiący Pies klepnął go w ramię. – Bo na przykład, jak nie masz co jeść, to dobre łowy są warte tyle, co życie; jak nie masz rodziny, która dba o ciebie i o którą możesz się troszczyć, zginiesz; to samo z dziećmi, które dają strawę i ciepło starym rodzicom.

– A co daje to bycie częścią całości? Mając dużo złota, kupię sobie przyjaciół, rodzinę, żonę i jedzenie. Będę całymi dniami spał, żarł i pierdział niczym węgłozerca, a jak mi się znudzi, kupię sobie nową żonę i zacznę od początku. – Oddi mówił bez przekonania w głosie, bo pomimo młodego wieku wiedział, że kupić to można niewolnicę, która przy pierwszej oznace twojej słabości wbije ci nóż w kark.

– Wielki Duch – Shaa-naan położyła delikatnie swoją dłoń na dłoni wikinga – jest wszędzie wokół nas. Stworzył ludzi, by ci dbali o otaczający nas świat, by zbyt wiele wilków nie pożarło wszystkich zajęcy i karibiu, by rosnące w siłę lisy nie wyjadły wszystkich ptasich jaj, by bobry podczas budowy swoich tam nie zatopiły całej ziemi, by była równowaga. To jest nasze zadanie, cel istnienia człowieka. Unchi znosi wybryki ludzi, które muszą doskwierać Jej niczym pchły psu: ścinanie drzew, palenie roślin, zjadanie innych istot, ograbianie ich ze skór i kości, tylko dlatego że pilnujemy tej równowagi. To jest cel, a co warta jest strzała, którą wojownik wypuści, nie mierząc? Przestaje być strzałą, a staje się zwykłym kawałkiem drewna.

– Niebezpiecznym kawałkiem drewna – bąknął Oddi i zaraz dodał: – Żyjemy dla sławy. Tylko ona zapewnia ludziom nieśmiertelność i daje życie w Walhalli. Bohaterskie czyny opiewają skaldowie, matki przekazują dzieciom, ryją w kamieniu mądrzy ludzie. Ten wasz cel to wymysł słabych ludzi, bo życie człowieka jest pochodnią. Może palić się jasnym płomieniem, oświetlając duży hov, lub bździć marnym blaskiem tylko na własny użytek. Tak czy inaczej, zgaśnie.

– To, co mówisz, jest tyle warte, co to twoje złoto, Wyrzucony na Brzeg. – Chrapiący Pies splunął przed siebie jak zawsze, gdy udawał, że jest mądry niczym sam czarownik. – Bo widzisz...

Dalszą dyskusję przerwał sygnał do wymarszu.

Schodzili po dosyć stromym stoku i musieli uważać, by ładunek na włókach nie zrobił komuś krzywdy. To było niełatwe zadanie i co jakiś czas grupa ludzi z wrzaskiem lądowała na śniegu, a inni rzucali się na pomoc, póki żerdzie nie nabrały rozpędu.

Szpotawy Byk, syn Orlego Krzyku, zaczął nagle wyc, jakby opętały go złe duchy. Z trudnością i w ostatniej chwili Oddi zszedł z drogi sunącym na dwóch płozach olbrzymim saniom, które nabierały teraz szybkości niczym rozjuszony bawół. Były ciężkie, bo w drodze do jaskini wrzucano na nie skórzane poszycia tymczasowych mamateeków i teraz Taku Skanskan pokazywał ludziom swą potęgę. Wiatr i pęd zerwały część wiązań i olbrzymie płaty zszytych skór rozwinęły się jak skrzydła gigantycznej ważki.

Oddi patrzył z ulgą, jak jadąca z furkotem zjawa, nie czyniąc nikomu krzywdy, mija idących z przodu wojowników. Nagle, gdy wydawało się, że już po wszystkim, w ciągnący się za nią długi rzemień zaplątała się noga jednego z wojowników. Człowiek ten padł niby ścięte drzewo i to właśnie wtedy

musiał roztrzaskać głowę o wystający spod śniegu kamień, ponieważ od tego miejsca ciągnął się krwawy ślad.

– Na Ptaka Pioruna, to Szum w Uszach! – Z gardła Shaa-naan wyrwał się zduszony okrzyk.

Wszyscy patrzyli, jak złowiony niczym ryba na linkę współplemieniec zjeżdża, obijając się bezwładnie o mijane skały. To nie były twarde uderzenia, ale mokre plaśnięcia, jakby ktoś wyjętym z wody króliczym futrem uderzał o twarde brzeg rzeki. Szum w Uszach coraz mniej przypominał człowieka, a coraz bardziej właśnie taki mokry łachman.

Gdy cała grupa była już na dole, wyspiarze zawinęli to, co zostało z nieszczęśnika, w skórę karibu i wrzucili na sanie, żeby już w osadzie pochować go zgodnie z obyczajem.

– Nim stracił mowę – Shaa-naan silniej szarpnęła swoją uprząż, jakby sama jedna chciała zaciągnąć sanie do celu – bawiliśmy się razem, udając myśliwych, a potem... – Wzruszyła ramionami. – Jemu przeznaczona była taka śmierć. – Niedawna wesołość i podążające w ślad za nią przyjacielskie docinki zniknęły niczym mgła na wietrze. Z drugiej strony śmierć jest przecież drugą twarzą życia, jego nieodłączną towarzyszką.



*Lepiej być żywym niżli umarłym,
Zawsze sobie żywy krowę zdobędzie;
Ognisko widziałem, żarzyło się u bogacza –
A on leżał umarły pod drzwiami.*

„Ludzkie jezioro” wchłonęło tego dnia resztę „wody” znad zatoki, ale w setkach mamateków było już tak wielu mieszkańców, że pięć dziesiątek nowych zdawało mu się nie robić różnicy.

Zanim czterech wojowników drewnianą bramę otworzyło na pełną szerokość, na spotkanie przybyszom wyszedł sam Snae-Kol. Kroczył ku nim z szerokim uśmiechem na surowym, ogorzałym od północnych wiatrów obliczu. Wodzowi wszystkich Beothuków z trudem udało się ustać na nogach, gdy szczęśliwy ze spotkania Zębaty złożył mu grube, zakończone czarnymi poduszkami łapy na ramionach. Puszysty ogon przecinał z zapalem powietrze niczym kawał postrzępionej okrętowej liny.

– Zębaty, zostaw! – krzyknęła jego pani i tak naprawdę jedyna istota, której słuchało ogromne psisko. Mieszaniec zdążył jeszcze przeciągnąć wilgotnym jęzorem po twarzy zaskoczonego olbrzyma i udając, że robi to z własnej woli, jak gdyby nigdy nic lekko pobiegł do wioski. Wnet do uszu przybyszów dotarły odgłosy ujadania, warczenie, a potem skomlenie i pisk. Widocznie któryś z miejscowych kundli ubzdurał sobie, że może Zębatemu stanąć na drodze. Cóż, jego psi rozum i jego rany.

– Złe duchy nie zdołały was powstrzymać i dzięki Wakan Tance za ten dar! – krzyknął Snae-Kol, gdy odzyskał już równowagę.

– Nas nie, ale dwanaście kobiet i dzieci zabrała woda, a i dwóch wojowników zmarło z zimna po wyciągnięciu na suchy ląd – odpowiedział smutno Kamienne Ostrze. – No i Szum w Uszach...

Uśmiech zgasł na twarzy wojownika niczym płonąca żagiew zanurzona w głębokim śniegu.

– Jak to?... – Nie dokończył. Byli strudzeni i trzymanie przybyszów na zimnie oznaczałoby brak

szacunku. – Chodźcie do mojego szałas, tam się ogrzejecie, wypalimy fajkę i potem porozmawiamy. – Snae-Kol wskazał brodą kilku najznacześniejszych przybyszów. – Resztą zajmie się Gryząca Trawa. – Tym razem skinął na towarzyszącą mu niemłodą już, tęgą kobietę.

Gdy mijali palisadę, Oddi aż szerzej otworzył oczy ze zdziwienia, bo wyglądało na to, że nie ma ona zakotwiczenia w ziemi. Widząc jego zaskoczenie, wódz wszystkich Beothuków położył mu dłoń na ramieniu i zatrzymał go w miejscu. Sturla, choć miał już swoje lata, nadal był silny niczym niedźwiedź.

– Coś tak gębę rozdziawił młody Asgotssonie? Że brakuje ziemnego wału do podtrzymywania konstrukcji?

– No – stęknął niezbyt rozumnie Oddi, zaskoczony mocą tego uścisku.

– Widzisz, ziomku – rzekł wódz tonem pogawędki. – Ogrodzenie zaczęliśmy stawiać zimą, gdy grunt, nawet w naszej dolinie, jest twardy niczym kamień. Powiązaliśmy bale rzemieniami i spięliśmy dla wzmocnienia dębowymi klinami. Dodatkowo od strony osady zastosowaliśmy system połączonych z całością podpór. Tylko kilka pniaków, w tym dwa przy bramie, jest wkopanych w grunt na długość człowieka.

– No, to jak naprze na palisadę dobra setka ludzi, to ona pojedzie po śniegu niczym sanie. – Chłopak pokręcił głową z dezaprobatą.

– A widziałeś kiedyś sanie ważące tyle, co dziewięć razy po dziesięć drakkarów? – Snae-Kol zaśmiał się głośno, gdy spostrzegł nietęgą minę swego młodego rozmówcy, próbującego wyobrazić sobie, ile to by mogło być kamieni. – No i jesteśmy w dolinie, więc sam rozumiesz. A zresztą jak przyjdą roztopy, wzmocnimy podparcie tak, żebyś był, konungu, zadowolony. – Znowu zaśmiał się tym swoim śmiechem olbrzymów i podjął przerwana wędrówkę.

– Słabo obrobione, a właściwie to wcale! – krzyknął do pleców wodza wódzów młody wiking, bo co jak co, ale znał się trochę na ciesielce, ale nie doczekał się odpowiedzi.

Maszerowali teraz szeroką środkową ulicą, tak dziwnie podobną do tych w rodzimych borgach, a jednocześnie tak bardzo inną. Jak w każdym obozie warownym, drogi tu były proste i szerokie, by ułatwić przemieszczanie się dużych oddziałów wojowników. Gdyby zamiast krytych skórami i korą namiotów stały drewniane hovy, czułby się niemal jak u siebie. Złudzenie było tak duże, że tuż po minięciu bramy Oddi rozglądał się, szukając wytyczonych deskami ścieżek. Kładziono je wszędzie tam, gdzie od szybkości zależało powstrzymanie wroga przed wdarcie się na palisadę, a jak wiadomo, błoto tak ułatwia bieg, jak rzyganie i jednoczesne picie piwa. Zaraz jednak klepnął się ze złością w czoło. *A czym niby mieli je wyciąć, kościanymi i kamiennymi toporkami?* Trzeba też wielkiego doświadczenia, by równo rozłupywać pnie drzew. Zły sam na siebie walnął się jeszcze raz, tak dla uruchomienia pomysłu, który widocznie po ostatniej kąpieli ciągle był jeszcze zmrożony. Dziwne zachowanie młodzieńca wzbudziło kilka wesołych komentarzy jego towarzyszy.

Wokół snuło się mnóstwo ludzi, udających się w swoich sprawach, lub tych, których ciekawość wyganiała na mróz w ślad za hałaśliwą dzieciarnią. Dzięki długim rozmowom z córką wodza, bo tylko ona i jej brat – Chrapiący Pies – chcieli z nim rozmawiać, poznał prawa, zwyczaje i przyzwyczajenia tego niezbyt licznego dzielnego ludu. Tym bardziej dziwiło nagromadzenie w jednym miejscu takiej masy tubylców.

W okresie chłódów plemię Beothuków, tak samo zresztą jak Naskapi, Mikmakowie czy Mohikanie, rozpadało się na rodzinne klany, by w pełni wykorzystać szczupłe o tej porze dary lasu. Dopiero po nadejściu roztopów i potem, gdy życie na powrót wybuchało zielenią, rodziny tworzyły większe osady.

Co ciekawe, małym klanom często przewodziły kobiety i to one decydowały, który z mężczyzn znajdzie się w radzie starszych wioski i plemienia.

Pamiętał jak dziś swoje zdziwienie, gdy czerwonoskóra przyjaciółka oznajmiła, że tak naprawdę kobiety są ważniejsze od wojowników. To było kilka dni przed wymarszem, gdy zakończyli odwieczny pojedynek między osobami różnych płci. Padli oboje rozgrzani, ale nie senni, na posłania ze skór. Palące się pośrodku mamateeku ognisko dogasało, ale nie było chętnego, by wysunąć się spod grubych futer i dołożyć do ognia.

– Za zabitą lub zranioną kobietę sprawca i jego osada muszą zapłacić większy okup niż za uśmierconego mężczyznę. – Córnka wodza przeciągnęła delikatnie dłonią tam i z powrotem po jego włosach na brzuchu. Lubiła to robić, bo jak twierdziła, przypomina to jej głaskanie psa. Oddi obruszył się, gdy usłyszał po raz pierwszy takie wyjaśnienie, ale jeszcze bardziej niż swój honor cenił przyjemność, jaką czerpał z ruchów smukłych mocnych palców właśnie w tamtych miejscach.

– Bogowie, sama nie wiesz, co mówisz. – Podparł się na rękach i usiadł, by spojrzeć z góry na półleżącą dziewczynę. – Są ważne, nie zaprzeczam, boby mi matuś kuchennym saksem osobiście wypruła flaki. Ale to mężowie polują, walczą z wrogami, znoszą do domu łupy i, o ile są wystarczająco silni i dzielni, zniechęcają nieprzyjaciół do odwetu. To oni w końcu budują domy.

– Jeśli te domy to dziury w ziemi, takie jak te na wybrzeżu, to żadna to sztuka – zachnęła się Shaa-naan, udając oburzenie. Palce zacisnęły się na pełnym już konarze chłopaka, a temu słowa zamarły na ustach.

– Nie wiesz, co mówisz! – powtórzył ochryple, bo zrobiła to silniej, niżby sobie życzył. Palce zwolniły uścisk i teraz wykonywały ruchy zbliżone do ubijania śmietany na masło. Oddi złapał się na tym, że ma problem ze skleceniem jakiegokolwiek zdania. Wiedział, że czyni to specjalnie, ale czymże są słowa, gdy... Młody mężczyzna jest niby langskip ze świeżo oskrobanym z małży dnem – szybko pruje fale. Po kilku kolejnych ruchach było po wszystkim, a po kilku następnych znowu mógł jasno myśleć. Przełożyli tylko niedźwiedzią skórę, tak by nowa wilgoć nie rozpraszała uwagi, i jak gdyby nigdy nic kontynuowali rozmowę.

– Niełatwo wybudować dom, ciepły zimą i suchy deszczową jesienią. Do tego zdolny oprzeć się sztormowym wichrom, które często nawiedzają nasze ziemie. Dlatego tam, gdzie jest to konieczne, tylko w połowie wystaje on ponad grunt. Nie to, co te wasze kryte skórą szałasiki.

– Ciepło ci? – zapytała niewinnie młoda kobieta.

– No, ale co... – Nie dokończył.

– Obudziłeś się któreś nocy i żona Wi – Księżyc, patrzyła na ciebie swoim jasnym okiem? A może biały śnieg zatykał ci usta?

– No, nie... – odpowiedział niepewnie.

– To nie narzekaj na nasze mamateeki, bladokóry. – Zaśmiała się i pacnęła go otwartą dłonią w nos tak mocno, że zobaczył gwiazdy, wiele gwiazd. Potrząsnął głową jak krowa, która odpędza zbyt natrętne muchy, i teraz oboje śmiali się w głos, choć Oddiemu łzy leciały nie tylko z radości. – A wracając do kobiet, nasze dbają o wioskę, by ci dzielni i strudzeni polowaniami wojownicy, o których mówiłeś, mieli gdzie i do kogo wracać. To one gromadzą zapasy na zimę, rodzą dzieci, szyją ciepłe odzienie i poszycia do namiotów. Całe dni żują skóry, by je zmiękczyć. – Tu błysnęła w uśmiechu białymi zębami. – Więc blady człowieku, jeśli się narazisz, odgryzą ci rękę jednym kłapnięciem szczęk.

– To ja nie wiem, czy teraz rozmawiamy o kobietach, czy o wilczycach. – Młody wojownik udał

przerażenie i podniósł dłonie, chroniąc szyję przed rozszarpaniem.

– Czy to taka wielka różnica? Wilki to potężne i mądre duchy. Opowiem ci o nich pewną historię. Wiele wiosen temu, tak wiele, jak dużo człowiek ma włosów na głowie, Wilk i jego brat Kojot byli najważniejszymi z czworonożnych ludzi i zasiadali w radzie starszych swojego plemienia. Wszyscy wiedzieli, że między tą dwójką trwa cicha walka o to, który z nich jest silniejszy i mądrzejszy, choć wtedy jeszcze darzyli się braterską miłością i szacunkiem. Pewnego dnia, gdy przy ognisku rozmawiali o śmierci, Wilk oświadczył, że ma moc daną mu przez Taku Skanskan i może zmarłych przywrócić do życia, ale nie jest pewien, czy powinien korzystać z tego daru. By to się stało, musi tylko wystrzelić pod martwego człowieka strzałę. Kojot, który też był wielkim mędrce, pokręcił głową i rzekł: „Nie możesz tego zrobić, bracie, bo wkrótce na całej wielkiej ziemi zabraknie miejsca dla pływających, latających i stąpających ludzi. Poza tym tych, którzy odeszli, powinno się pozostawić w spokoju”. Wilk postanowił wystawić mądrość Kojota na próbę i sprowadził śmierć na jego syna. Nie minął jeden zachód słońca, gdy zrozpaczony ojciec poszedł do Wilka i szurając brzuchem po ziemi, poprosił, by ten ożywił mu potomka. Powiedział, że jednak się namyślił i choć może i dobrze, by zmarli trafili do Odległej Krainy, to on, Kojot, chce swojego syna z powrotem. Wtedy Wilk przypomniał bratu wspólnie poczynione wcześniej zobowiązanie, by ludzi, którzy umarli, zostawić w spokoju. I choć od tej pory między braćmi panuje nienawiść, to śmierć ciała jest zawsze ostateczna.

– Przecież mógł choć ten jeden raz pomóc krewniakowi! – W głosie Oddiego były zdziwienie i przygana.

– Nie mógł, Porośnięty Szczeciną, gdyż Wielki Duch ustanowił takie prawa z jakiegoś powodu. Co by było, gdyby przez jedną wiosnę deszcz padał z dołu do góry? Albo mrówki w naszych lasach miały wielkość karibu? No co? Na świecie i poza nim panuje święta równowaga, a my, ludzie, mamy ją chronić, nie łamać.

– Jeden raz nic by się nie stało – nie ustępował młodzieniec.

– Przywłaszczyłeś sobie kiedykolwiek coś, co należało do ludzi z innej wioski, i udało ci się uniknąć kary?

– Zdarzało się – powiedział młodzieniec z wahaniem. Nie żeby wstydził się swoich czynów, ale nie wiedział, jaki jest cel pytania.

– A dlaczego nie przestałeś po pierwszym razie?

– No co ty, przecież... – Oddi zaśmiał się... i wszystko zrozumiał. – Że niby jak nam się da trochę, to chcemy więcej? – Spoważniał i pogroził palcem dziewczynie. – Specjalnie to robisz, zmieniasz temat naszej rozmowy, by moje nie było na wierzchu. Rozmawiamy o dwóch cyckach i krzewach między mocnymi udami, a nie o sierści i pazurach. Kobiety to nie krwawe bestie, choć jak na ciebie patrzę...

Ledwo uniknął kolejnego ciosu w nos.

– Z drugiej strony – kontynuował – u nas też są wojowniczkę, Czerwona Żmijo. – Chłopak czasem nazywał tak córkę Kamiennego Ostrza, szczególnie gdy dopiekleła mu zbyt mocno jakąś kąśliwą uwagą. Tłumaczył, że to przez jej lekko wystające kości policzkowe i szybki język. – Niekiedy – popatrzył na wyraźnie ożywioną towarzyszkę – walczą one ramię w ramię z mężczyznami w murze tarcz. Sagi opisują kobiety, które wpadały w szal bitewny, stając się brudir berserkja.

– Kim?

– Człowiekiem-niedźwiedziem. Przed bitwą jeden ze starszych berserków pije wywar ze specjalnych grzybów i ziół – tłumaczył Oddi. – Potem choruje, rzyga jak pies, który naźarł się ślimaków błotnych,

i szcza.

– I... co?

– No szcza do misy, a pozostali piją to, co mu się uda utoczyć. – Na twarzy dziewczyny widać było obrzydzenie, no bo można pić ciepłą krew czy jeść świeżo wyciętą, parującą jeszcze wątrobę, ale żółte łyzy? Dobrze są tylko do polewania ran. Niezrażony Oddi kontynuował: – Po tym napitku krew w żyłach człowieka wrze, a on sam ma siłę trzech ludzi, odwagę niedźwiedzia i niczym draug nie czuje własnych ran. Krąży wśród naszych saga o Boore Przykrótkim Płaszczu, który powróciwszy z bitwy, dopiero przy posiłku zauważył, że w ramię ma wbity długi na dwie dłonie saks.

– No to kto zostaje w wiosce, by dbać o dobytek, gdy wojownicy i ich kobiety wyruszają na łowy? Wasze dzieci? Starcy? – Lekko skośne oczy Shaa-naan zrobiły się niemal okrągłe ze zdziwienia.

– No nie, tylko bezdzietne dzierlatki ruszają niekiedy ze swoimi mężczyznami na wiking. Pozostałe, tak jak i wasze, dbają o dom i obejście, gdy ich mężowie przebywają na wyprawie.

– Więc sam widzisz, że są one ważniejsze dla plemienia niż nawet najszybsi i najsilniejsi wojownicy. Tak to już urządził Wakan Tanka, bladokóry, i nie ma co się obrażać na porządek świata. – Palce o szorstkiej od pracy skórze znowu zaczęły sunąć w dół brzucha, ale wiking pokręcił głową. Na dzisiaj miał dosyć.

– Na młot Thora – młody wojownik podniósł rękę, jakby dzierzył w niej solidny trzonek Mjöllnira – tu musisz przyznać mi rację, to mężczyźni zapładniają niewiasty, a nie odwrotnie. – To był argument ciężki niczym kowadło i nie do odparcia, ale ten smak zwycięstwa w bitwie na słowa był dziwnie gorzki.

– Masz rację. – Uszczypnęła go w policzek i poczuł zapach własnego nasienia. – Foczy samiec może posiać ziarno u wielu chętnych samic jednocześnie i morski lud odbuduje szybko swoją siłę. Jeśli jednak pozostała w stadzie tylko jedna samica?... – Shaa-naan na chwilę zawiesiła głos – to nawet gdyby tego samego dnia swoje dzidy wkładało w nią wielu samców, i tak, kiedy nadejdzie jej czas, nie urodzi wielu młodych.

– Niby prawda – mruknął i przytulił do siebie czerwonoskórą mądrą, wdzięczny Normom za jej towarzystwo, ciepło ogniska i zdrowe wszystkie członki. Życie, choć przecież krótkie, nauczyło go, że bogowie darują ludziom jedynie okruchy ze swego stołu rozkoszy. Niekiedy mieszkańcom Midgardu zamiast dwóch posiłków musi wystarczyć tylko wieczorny, a i to nie zawsze jest dane. Na przednówku głód bywa tak wielki, że wyzwolenicy, którym nie starczało żywności, a to nie było rzadkością, zabijali własne dzieci, by te nie cierpiały męki głodu. Gdy żyje się wśród ośnieżonych, mroźnych i jałowych fiordów Północy, każdy kolejny dzień jest darem i... niespodzianką. Trzeba zatem brać wszystko, co się da, i cieszyć z pełnego kociołka, chętniej i niestarej dziewczki, dachu nad głową czy dobrej sagi przy ognisku. Tamten spokojny wieczór z Shaa-naan był takim darem, do którego warto wracać myślami.

Wspomnienia tłoczyły się w głowie młodego wikinga niczym wygłodniałe psy przy świeżych wnętrznościach karibu. Te w miarę świeże szczyrzyły kły do tych starszych, jakby pochodzących z innego życia. Może dlatego – Oddi rozejrzał się trochę przytomniej po pełnej tubylców osadzie – że ostatni raz tak wielu ludzi w jednym miejscu widział w Birce tuż przed pierwszym, bratobójczym atakiem swiońskiego lidu ojca. To wtedy wraz z innymi zwiadowcami obserwował z ukrycia przygotowania do obrony. Tuż potem wielki jarl, przy wsparciu norweskiego stormana Håkona Benløsa, zaatakował i prawie zniszczył to kupieckie miasto. Słowo „prawie” było tu kluczowe, bo tak naprawdę to Birka zniszczyła Asgota z Czerwona Tarczą.

Po wielu miesiącach w obcym świecie nazwanym Winlandią syn wielkiego jarla znowu widział

gotujące się do boju tłumy i choć zamiast solidnych chat miał przed oczami kryte skórą i korą brzoźową szałas, miast mocnego kamiennie-ziemnego wału, palisadę z nieobrobionych bali, to tam i tu mieszkańcy nie znali jutra, co czyniło ich zachowanie podobnym. I tu, i tam przeciwnik przewyższał liczebnością miejscowych, więc obrona była z góry skazana na porażkę, o ile nie nadejdzie pomoc. W Szwecji uratował swoich ludzi konung wszystkich Szwedów – Eryk Zwycięski, w Winlandii zaś kto im przyjdzie z odsieczą? Okoliczne watahy wilków? A może kruki, których było w okolicy zatrzęsienie? Takie myśli krążyły po głowie młodego wikinga, gdy nagle stojąca przy drodze grupka młodych kobiet ze śmiechem zaczęła go sobie pokazywać palcami. Wkrótce za tymi gestami poszły śnieżne kule i nie minęło kilka chwil, gdy Oddi bardziej przypominał białego niedźwiedzia niż człowieka.

– Podobasz się im. – Snae-Kol wyszczerzył zęby w uśmiechu. Ale zaraz spoważniał, bo niczym ostrza dwóch ognistych mieczy przeszło wodza wodzów spojrzenie Shaa-naan-dithit. Przed spłonieniem uratowało go to, że właśnie dotarli do największego w okolicy mamateeku, wyglądającego okazale na tle innych, niczym kozie gównu przy zajęczych bobkach.

Dla kogoś patrzącego z zewnątrz na małą grupkę zakapturzonych postaci musiało to wyglądać co najmniej dziwnie, bo nagle zaczął się chaotyczny taniec podskoków i poklepywań. To wędrowcy, razem z gospodarzami tego obozu, przed przekroczeniem skórzanych kotar otrzepywali się wzajemnie ze śniegu. Gdy niedźwiedzie futra odzyskały naturalną barwę, zaczęli pojedynczo przeciskać się do środka. Oddi zauważył, że miejscowi robią to powoli i stojąc nieco bokiem, by jak najmniej życiodajnego ciepła uciekło na zewnątrz, więc sam postąpił podobnie.

W środku płonęło wielkie ognisko i było tak gorąco jak w niejednej dobrze obłożonej mchem i ziemią chacie w rodzinnej Szwecji. Po dalszych kilkunastu oddechach w zimowym szałasie zrobiło się tłoczno. Jeszcze chwilę trwało szukanie miejsc i zapadła pełna sapania i wyczekiwania cisza. Oddi poczuł senność i miał wielką ochotę głośno i przeciągle pierdnąć, ale nie wiedzieć czemu po raz pierwszy w życiu zawahał się i ścisnął pośladki. Nie poznał jeszcze wystarczająco dobrze miejscowych zwyczajów, a matka mówiła, by wkładać do wilczej paszczy jedynie rękę obleczoną w żelazo, a wsiadając na konia, zawsze poprawić sobie jajka. Matka – bezgłośny przeciągły jęk rozległ się w głowie młodzieńca. – Matus...

– Nie wszyscy znacie naszego czarownika. – Głos Snae-Kola był niczym trzask bata nad krowim zadkiem i senny nastrój zniknął od razu. Wódz Długich Ludzi wstał lekko zgarbiony, by nie dotknąć głową dachu szałas. Im bliżej środka, tym wyprostowany człowiek mógł czuć się swobodniej. W centralnym punkcie koła wbito w ziemię solidny, wysoki na dwóch ludzi drewniany pał, nieopodal którego płonęło ognisko.

W ślad za wodzem podniosła się znacznie mniejsza, purpurowa od stóp do głów postać. Załopotały poły płaszcz, wydając dźwięk podobny do odgłosu trzepotania skrzydeł, i Oddi ujrzał w pełnej krasie osławionego, potężnego Czerwonego Orła. A raczej Orlicę, bo wielki czarownik wszystkich Beothuków był kobietą, i to jaką.

W pierwszej chwili stała owinięta płaszczem z piór i wyglądała niczym szykujący się do lotu puchacz. Mała, przycupnięta w kącie dziewczynka zaczęła w tym momencie wystukiwać cichy rytm na bębenu trzymanym między kościstymi kolanami i kobieta czarownik rozpoczęła swój taniec. Oddiemu wydawało się, że to wzrok płata mu figle, że to była ucieczka cieni przed płomieniami i by lepiej widzieć, przysunął się bliżej środka mamateeku. Ścigały go gniewne posykiwania miejscowych. To jednak nie było złudzenie, a może... Szamanka stojąca nieruchomo zaczęła rytmicznie falować i wiking miał wrażenie, że patrzy na jej postać poprzez drgające, unoszące się nad ogniskiem powietrze, a przecież stał obok, niemal

mógł dotknąć völvy. Podczas tego dziwnego ruchu w pewnym momencie ptak uniósł wielkie skrzydła, uwalniając zapach żyznej ziemi, świeżo rozartej trawy, zamorskich korzeni, które serklandzcy kupcy przywozili nieraz na kaupangi u wybrzeży Skandynawii, i czegoś, czego nawet nie potrafił nazwać, ale było przyjemne.

Młody przybysz zza Wielkiej Wody cieszył się, że ma na sobie grube, szyte przez tubylców ubranie, bo jego przyrodzenie, jakby żyjąc własnym życiem, zaczęło nagle rosnąć i pęcznieć. Nie bez znaczenia pewnie był fakt, że z Czerwonej Orlicy podczas tych drgań zsunął się na ziemię płaszcz, pod którym była zupełnie naga. Stała z podniesionymi rękami niczym płomień, smukła i piękna. Po nasmarowanym foczym tłuszczem błyszczącym ciele tej dorodnej klaczy pięły się ku niewielkim piersiom jasne plamy blasku ogniska.

Oddi próbował się dyskretnie wycofać, gdy nagle völvva otworzyła oczy i przyszpiliła go wzrokiem niczym ważkę czubkiem igły do zszywania skór.

– Widziałam cię w snach, białoskóry – zaszemrał jej lekko nosowy, ale chropawy od wdychanych dymów głos. – Ten, który ma wiele imion: Kici Manitu, Wakan Tanka, Tunkashila, Ten, który jest wszystkim i niczym, żywym i martwym, wypełnia cały świat i sam jest tym światem, zesłał na mnie wizję. W szałasie potów, w Inipi, gdy w czas obrzędu Hanbelecha błagałam o pomoc, objawił mi okruchy przeszłości.

– Ale, co ja... – Głos zmarł w gardle młodzieńca, a on sam zastygł w bezruchu, uciszony władczym gestem völvy.

– Tylko ktoś nie pochodzący z naszego ludu otworzy dla plemienia Długich Ludzi bramę do Odległej Krainy, miejsca, gdzie przebywają duchy przodków, i nie pozwoli się jej przedwcześnie zamknąć. By to się stało, będziesz musiał wejść do podziemnego świata, a mój lud pójdzie w twoje ślady. Wtedy i tylko wtedy kobiety i dzieci będą mogły bezpiecznie skryć się przed wrogami w jaskiniach Grzbietu Łosia.

Pierwsze zaskoczenie minęło i Askoman drgnął niby ktoś wybudzony ze snu. Szanował, poważał i uznawał moc wszelkich bogów, ale właśnie dlatego bał się ich bardziej niż sztormu na morzu, mroźnej zimy czy gniewu ojca. A nade wszystko obawiał się magicznych istot żyjących pod ziemią. Bezwiednie zacisnął dłoń na wiszącym na szyi braektacie w kształcie młota Thora, który dostał od matki przed wyruszeniem w drogę.

– A może jeszcze zwędzę Idunn jabłko młodości? – burknął bardziej do siebie niż do tej dziwnej, odpychającej i zarazem pociągającej kobiety. Była völvą, to nie budziło wątpliwości, a wszelkie układy z kobietami mocy nie wychodziły mężczyznom na dobre. Z reguły bywały szpetne niczym pokryty mchem, ptasim gównem i naroślami kamień, ale umiały przybierać kuszącą postać, by zdobyć męskie nasienie, a czasem i serce. Ta tu, będąc wielkim czarownikiem plemienia Beothuków, musiała być znacznie starsza, niżby wskazywał na to jej wygląd, a mimo to nie odmówiłby, gdyby...

Snae-Kol przetłumaczył szybko słowa Oddiego i szepnął völvie coś na ucho. Ta już wcześniej schyliła się po swój płaszcz i teraz opuszczała ramiona, skrywając okrągłe piersi pod warstwą piór i włosów. Ale dziwny zapach pozostał, wzbogacony wonią lekko wędzonej ryby.

– Znasz naszą mowę, bladokóry – ni to stwierdziła, ni spytała szamanka – więc słuchaj. Aby wypełniła się przepowiednia, ty wraz z wodzem wodzów Snae-Kolem, jego krwią Bjarkim i Chrapiącym Psem zejdziesz wrotami ukrytymi za Wodą Grzmiotów do wnętrza Unchi. Tam, błagając jedną z Wakanpi – Inyan – o opiekę, zmierzycie się z Ukaczi i nasłanymi przez nią złośliwymi istotami. Gdy wrócicie do nas żywi, lud Beothuków będzie uratowany, jeśli nie, poddamy się bez walki wodzowi połączonych plemion Mikmaków, Huronów i Ludzi Łosi – Biegnącemu Bykowi.

– Dlaczego to mam być właśnie ja? – Młodemu wikingowi na myśl o wyprawie do podziemnego świata, w którym poza czarnymi elfami, żyły trolle i inne szkodliwe dla człowieka paskudztwa, skóra na jankach skurczyła się do tego stopnia, że niemal całkowicie zniknęły w podbrzuszu. Był zdenerwowany, przestraszony i bezwiednie znowu przeszedł na mowę ojczystą. – Żyję tylko dlatego, że unikam jaskiń jak ognia, ale wśród mojego ludu opowiada się przy zimowym ognisku sagę o jarlu Sigmuncie Olafssonie, który by ratować syna, zszedł pod ziemię, krocząc drogą helvegen. Nie był sam i miał do pomocy Jednookiego, a jednak ledwo uszedł z życiem z tej eskapady na „dno światów”. W Hergarcie stoczył bitwę z kościaną olbrzymką Modgud, pilnującą przeprawy przez rzekę Gjöll. Po przekroczeniu mostu Gjallarbrú, jakby tego było mało, potykał się z dwugłowym olbrzymim psem Garmem, potrafiącym kłapięciem szczęki rozerwać konia na pół, i smokiem Nidhöggiem, bestią, której żółte ślepie rozświetlają mroki Hergartu niby dwa księżyce. Najgorszy jednak jest Grafwitnir – Grobowy Wilk, stwór, rozrywający inne wilkołaki i krzywoprzysięzców na strzepy. Spotkanie z nim oznacza śmierć ostateczną. Sami więc widzicie, że to nie jest wyprawa dla męża, który jeszcze niedawno był chłopcem i nie zdołał spłodzić potomka, i zbudować hovu – zakończył i począł się wycofywać.

Bjarki tłumaczył zebranyim słowa Oddiego, przynajmniej te, które dały się przetłumaczyć na język Długich Ludzi. Gdy skończył, odezwała się Shaa-naan. Mówiła cicho, ale dla Oddiego jej słowa były niczym werble wybijane drewnianą pałką na bębnie.

– Boisz się o swoją bladą skórę, przybyszu? W piersi bije ci serce zająca?

Obrócił się na pięcie, twarz zrobiła mu się czerwona, ale to może od ciepła, które buchało z ogniska.

– Nie chcę umierać ostateczną śmiercią, nikt tego nie chce, Czerwona Żmijo. Dobrze zginąć w boju, źle w chorobie i ze strzałą w plecach, ale najgorzej, gdy duch człowieka znajdzie się we władaniu na wpół martwej Hel i jej sług. Może nie jestem najdzielniejszym z ludzi, a moja młodość spragniona jest jeszcze tego życia, ale nie boję się zwykłej śmierci, boję się takiej śmierci. Nie pójdę z wami do jaskiń. To jest takie moje tabu.

– My nasze złamiemy niczym strzałę rękami wojownika. – Słowa córki wodza były ledwo słyszalne. – Pamiętasz, co ci niedawno powiedziałam? „Nie idź za mną – możliwe, że nie poprowadzę cię. Nie idź przede mną – możliwe, że nie pójdę za tobą. Idź obok, a zostaniemy jedną całością”. Pamiętasz?

Zapadła niewygodna cisza, przerywana rytmicznym dudnieniem bębna, które drżąc przenikało człowieka, biegnąc z miejsca, w którym nogi łączą się z tułowiem, i dalej linią kręgosłupa aż do tyłu głowy. Czerwona Orlica przekrzywiła głowę, tak jak niekiedy robią to ptaki.

– A gdybyś miał stracić coś, co jest ci drogie? Wielki Duch, Ten, który widzi i nie widzi, czuje i nie czuje, oddycha lodem i ogniem, każdemu z nas wyznaczył zadanie na tym świecie. Ty nieprzypadkowo przybyłeś do krainy Długich Ludzi właśnie teraz. Musisz stoczyć tę walkę nie tylko dla ratowania swojego białego włochatego tyłka, ale żeby pomóc komuś, kto na ciebie liczy. – Znowu stała nieruchoma, a jednocześnie falowała niby rozgrzane powietrze. – Na każdą chorobę jest lekarstwo, tylko nie zawsze potrafimy je odnaleźć. Na każdego dwunożnego człowieka czeka jego przeznaczenie, tylko nie zawsze potrafimy się z tym pogodzić.

– Shaa-naan-dithit jest mi bliska, ale nawet dla niej nie zejść w ciemności Nidhögga. Gdy się rodziłem, matce pomagała bjargrygr, która była też wieszczką i znała się na seidr niczym mucha na rodzajach gówien. Tuż po narodzinach, gdy ojciec wyniósł mnie jeszcze unurzanego w matczynej krwi, by pokazać mroźnym gwiazdom i uznać za syna, przepowiedziała, że odnajdę swój kres właśnie w czeluściach ziemi, że zginę w królestwie czarnych elfów, że tam spotkam swój koniec. Więc nawet dla córki Kamiennego Ostrza nie wejść do wnętrza góry ani nie zejść pod ziemię.

– Nie mówię o niej, synu wód, nie tylko o niej.

– A kto niby je... – Nie dokończył zdania, bo völva znowu przerwała mu władczym gestem.

– Ta córka naszego ludu nie jest jedna, już nie. To, co zasiałeś i zbierzesz, rośnie w niej, a jeśli to twój syn, jego też poświęcisz?

Oddi patrzył to na Shaa-naan, to na szamankę, potem jeszcze szybki rzut oka na ojca dziewczyny, i znowu na Shaa-naan. Nie zaprzeczyła, schyliła tylko głowę ku ziemi, więc to, co mówiła Czerwona Orlica, musiało być prawdą.

– Wiesz, jaki los ich czeka, gdy staną się łupem Mikmaków?

– Czeka ich niewola po kres dni. Tak samo zresztą jak ich dzieci i dzieci ich dzieci.

– Mylisz się, bladokóry. Będą podludźmi tylko do czasu, gdy otrzymają nowe imiona i staną się prawdziwymi Mikmakami, Huronami czy Ludźmi Łosiami. Ale nim to nastąpi, przejdą na własność całego plemienia i każdy będzie mógł... – Nie dokończyła, nie musiała. – A twój syn wyrośnie na wielkiego wojownika, który będzie biegał na równi z wilkami i pływał niczym foka. Wrogowie poczują strach przed jego imieniem, a przyjaciół zgromadzi przy swym ognisku więcej niż Snae-Kol. To nie płomienie Beothuków dadzą mu jednak ciepło i nie ciebie, blady człowieku, przepelni ojcowska duma.

To wszystko zmieniało i zarazem nic nie zmieniało. Młodzieniec, stojąc w dusznym namiocie, zdał sobie sprawę, że Norny nie przewidziały dobrej drogi dla Oddiego Asgotssona. Rodacy wypatroszą syna Czerwonej Tarczy jak rybę, przybiją mu flaki do pala i jeszcze żywemu każą biegać, by z brzucha wszystko wypłynęło. Obcy czerwonoskórzy na pewno nie podrapią go po jajkach za zabicie czterech ich braci nad zatoką i za odmienność. Tylko wspólnie z Beothukami miał jakąś szansę przetrwać, no i jeszcze był syn, o którym wspomniała völva, i ta czarnooka Shaa-naan... Dużo tych „jeszcze”.

– Niech tak będzie, ale stawiam jeden warunek. – Spojrzał hardo na Czerwoną Orlicę.

– Mów!

– To bardziej tobie go stawiam, Sturlo Tubbessonie, niż kobiecie mocy.

– Mów! – powtórzył jak echo wielki wojownik.

– Gdy minie zagrożenie, wyruszysz ze mną razem ze swoim lidem do krainy naszych przodków, by ratować z rąk Eryka Zwycięskiego moją matkę Heldę i siostrę Jofridę. Popłyniemy tą nową sneką, którą zbudowałeś w Zatoce Mew.

– A skąd ty... – Wódz wodzów spojrzał gniewnie na Bjarkiego, który właśnie w tym momencie trenował niełatwą sztukę stawania się niewidzialnym.

– Dobrze, masz moje słowo. – Snae-Kol nie zamierzał się targować, gdy w grę wchodziła przyszłość całego plemienia. – Fostbrädralag? – dorzucił pytająco.

– Fostbrädralag.

Gdy zakończono ceremonię przysięgi popartej krwią, Oddi siadł tam, gdzie stał, jakby uszło z niego powietrze. Nie mógł już się wycofać, zmieszał swoją krew z krwią wodza wodzów i sam Odyn stał się gwarantem tej umowy. W oczach wielkiego wojownika, ale tylko w nich, zobaczył ciepły ojcowski uśmiech i poczuł się trochę lepiej. W końcu nie pójdę tam sam, a może to nie o tej jaskini wspominała bjargrygr, gdy wieszczyła moją śmierć, pomyślał.

– Oczyśćmy nasze głowy, zapalmy świętą fajkę i połączmy się z Wielkim Duchem. Potem nadejdzie czas na dalsze planowanie. – Snae Kol sięgnął po wiszący na jednym z kołków, pięknie zdobiony różnokolorowymi piórami futerał i wyjął z niego długą świętą fajkę. Na otaczających go twarzach widać

było ulgę. Obcy się zgodził. Choć to było ledwie jedno światełko na czarnym niebie, lepsze ono od całkowitej ciemności.

Tę noc Oddi pamiętał jak przez mgłę, bo pogrążył się w myślach o swoim pokrętnym losie. Powtarzał sobie słowa starej, mądrej piastunki, która wykarmiła go własną piersią: „Jeśli otrzymasz dar od Odyna, odrzuć go. Gdy nie możesz, przyjmij, ale od tego dnia oglądaj się dwakroć częściej za siebie. Prędeż czy później odpłacić będziesz musiał Jednookiemu, i to z nawiązką”.

Coś tam jednak przedarło się przez zasłonę żalu nad samym sobą. Rada starszych za namową wodza wodzów już wcześniej umyśliła, że kobiet, dzieci i starców bronić będzie drewniany cokół, który Snae-Kol postawił wokół nowego zimowego obozu. Nie mieli jednak większych złudzeń, wrogów napłynie na ziemię Beothuków tak wielu, że ta przeszkoda może się okazać niewystarczająca. I tu pojawia się zadanie dla bladokórego włochacza, który ma poprowadzić uciekinierów do wnętrza góry, gdzie ukryją się w płataninie ogromnych jaskiń. W tym czasie wojownicy podzieleni na kilkudziesięciosobowe oddziały kasać będą wroga niby kundle wałęsających się obcych, utrudniając zdobycie żywności i pałac ich tymczasowe siedziby. Sami korzystać mają z systemu schowków i kryjówek, których wiele utworzono już na terenie wyspy. Pomagać im w tym mieli Surojady, którzy w zamian zażyczyli sobie po wygranej trzeciej części wyspy wyłącznie dla siebie. No i jeszcze wyposażenia i broni pokonanych wrogów. Oddi dostrzegał w tym wszystkim rękę Snae-Kola.

Plan sam w sobie wydawał się niezły, a uprzykrzenie zimą życia wrogowi było dobrym pomysłem, ale co stanie się z obrońcami, gdy przeciwnik nie padnie z głodu i zimna i przetrwa do wiosny? Wtedy o żywność będzie znacznie łatwiej, a znikający śnieg odsłoni wiele kryjówek. Oddi nie byłby sobą, gdyby nie zapytał o to czerwonoskórych, na co ci oznajmili, że gdy tak się stanie i wróg nie opuści wyspy, zbiorą się jeszcze raz i coś uradzą. Młody wiking chciał im przypomnieć, że wtedy mogą być okrażeni przez obcych, a i kontakt z rozproszonymi oddziałami będzie utrudniony, ale zamknęło mu jadaczkę surowe spojrzenie wodza wszystkich Długich Ludzi. Dopiero wówczas nieco oprzytomniał i zrozumiał, że frakcja Snae-Kola ma tylko nieznaczną przewagę nad zwolennikami poddania się bez walki, którym przewodził syn poprzedniego wodza Beothuków – Stękający Lis. Sturla musiał więc stoczyć bój nie tylko z wrogiem zewnętrznym.

Jedna natrętna myśl próbowała cały wieczór wynurzyć się na powierzchnię, lecz ciągle była nieuchwytna. To było niczym ostatnie kichnięcie, które drażni nos i męczy swoją natarczywością, ale nie chce zakończyć się niosącym ulgę wybuchem. Dopiero opuszczając namiot wodza, młody Askoman zamarł na chwilę, znowu wywołując niezadowolone mruknięcia wpadających na siebie czerwonoskórych: Skąd Czerwona Orlica wie, że ludzie Północy mają obrośnięte zadki, skoro jej pobratymcy...

Odpowiedź na to niewypowiedziane pytanie minęła młodzieńca, przesłaniając na chwilę świat swoją zwalistą sylwetką.



Przyjaciołom ma być mąż przyjacielem

I darem płacić za dar;

Lecz przyjaciołom wrogów

Nie wolno mu być druhem.

„Aby wypełniła się przepowiednia, ty wraz z wodzem wodzów Snae-Kolem, jego krwią Bjarkim i Chrapiącym Psem zejdziecie wrotami ukrytymi za Wodą Grzmotów do wnętrza Unchi. Tam, błagając jedną z Wakanpi – Inyan, o opiekę, zmierzycie się z Ukaczi i nasłanymi przez nią złośliwymi istotami”. – Słowa Czerwonej Orlicy rozbrzmiewały w głowie Oddiego, ilekroć zasypiał, budził się, odpoczywał lub wędrował samotnie po okolicy. Zdawało się nawet, że słyszy je częściej od nawoływania o pomoc matki i siostry. Dźwięczała w nich groźba, ale i błaganie, rozpacz, nadzieja. Taka strawa dla biedaka, w której znajdziesz wszystko, z trawą, świerkowymi pędami i kawałkiem szczura włącznie, pomyślał młody Askoman. A gdy będzie po wszystkim, jeśli będzie po wszystkim, te, które być może straciły już nadzieję, czeka ratunek. Choćby miało nim być skrócenie pełnego cierpienia życia.

Shaa-naan-dithit pozostawała w namiocie ojca i tylko raz udało się młodemu spotkać, a i to jedynie na kilkadziesiąt uderzeń serca. Było to dzień po pamiętnym thingu w namiocie wodza wodzów, przy jednym z przerębli, z którego miejscowi czerpali wodę. Przyszła tam wraz z matką, Językiem Lasu, i szalejącym z radości Zębatym. Bestia biegła tam i z powrotem, goniąc wymagowaną ofiarę, czaiła się w zasadzce na Shaa-naan i atakowała zniecka, próbując zedrzeć z jej odzieży kolorowe frędzle. Nagle popędziła niczym strzała wypuszczona z łuku, by dopaść samotną sylwetkę niosącą sporych rozmiarów skórzaną sakwę na wodę. Zakotłowało się, wleciał w górę tuman sypkiego śniegu, a nim opadł, wyłoniły się z niego dwie dziwne postaci: olbrzymi wilk polarny i biały niedźwiedź albo coś bardzo go przypominającego.

– Zębaty! – krzyknęła przestraszona dziewczyna. – Zostaw, słyszysz! Nie ruszaj!

– Nie bój się, Czerwona Żmijo, już dawno zostaliśmy przyjaciółmi.

Dopiero teraz, gdy podszedł nieco bliżej, córka wodza znad Zatoki poznała Oddiego. Rzuciła się w jego kierunku, ale gwałtowne szarpnięcie osadziło ją w miejscu.

– Ojciec zabronił, szalona córko Czwórwiatrów. Jeśli spotka cię z tym bladokórym, zabije go, wiesz o tym.

– Ale kto mu powie, ty, matko?

Starsza kobieta wzruszyła ramionami.

– Masz czas, w jakim ja będę napełniać worki wodą, idź.

Niezatrzymywana już Shaa-naan pobiegła do młodego wikinga i rzuciła mu się na szyję, a ten podniósł ją i wtulił się w miękkie futra niczym dziecię w pierś matki.

– Shaa, próbowałem, ale wojownicy twojego ojca...

– Wiem, wielkoludzie. Gdy dowiedział się, że zasiałeś ziarno w moim brzuchu, wpadł w szał. Nigdy go takiego nie widziałam, nigdy. – W głosie dziewczyny pobrzmiwały jeszcze echa przerażenia.

– Gdyby nie Czerwona Orlica i Snae-Kol, zabiłby cię na miejscu i zjadł twoje jeszcze ciepłe serce. Zrobiłby to, wierz mi.

– No nie wiem. – W głosie chłopaka nie było strachu. Oddi nie przejmował się groźbami, a data jego śmierci już dawno temu została wyznaczona przez Norny. – Poza tym jestem już jednym z was, bo zawarłem braterstwo krwi z wodzem wodzów – dorzucił.

– Głupi jesteś jak śniegowce i myślisz jak one. Snae nie uznał cię za brata krwi, więc nadal jesteś obcym.

– Jakie znowu śniegowce?

– No takie futrzaki, niewiele większe od myszy, których samce dosiadają samic jedynie raz w życiu i robią to tak długo, aż zdechną. Można wtedy je łapać gołymi rękami. – Wtuliła się w niego, a chłopak poczuł tę jedyną w swoim rodzaju mieszaninę zapachów, za którymi tak tęsknił. Kto by pomyślał, że znajdzie w tej obcej krainie bratnią duszę i kobietę, z którą chciałby zbudować wspólny hov?

– Co teraz? – Ich usta były blisko siebie. Wydobywający się z nich biały dym tworzył jedną chmurę.

– Teraz to po twoim oddechu wiem, że rano jadłeś wędzoną rybę. – Shaa-naan-dithit uszczypnęła z uśmiechem Oddiego w policzek. – No i czeka nas wielka bitwa, co ja mówię, wiele bitew, które mogą wszystko zmienić. – Wyswobodziła się w końcu z objęć młodzieńca. – Nie dla nas jest wspólne życie, dopóki nie staniesz się prawdziwym Długim Człowiekiem, a na to bym nie liczyła. Tak postanowiła rada, ale ja mam coś twojego i to musi mi wystarczyć. – Potarła swoim zmarzniętym nosem o nos Oddiego. – Wiedz jedno, żaden wojownik nie tknie mego ciała, chyba że siłą. A jeśli tak, to niech ma biedaka w opiece Wakan Tanka. – Tu spojrzała z uśmiechem na Zębatego, który drapał się właśnie po łaciatym boku. – Muszę iść, matka czeka. – Wskazała głową na zakapturzoną postać stojącą nieopodal. Język Lasu niespokojnie przebierała nogami, wypatrując miejscowych, którzy mogliby donieść Kamiennemu Ostrzu o spotkaniu. Kobiety podzieliły się ładunkiem i nie oglądając za siebie, ruszyły w stronę obozu.

Młody Askoman podniósł bryłkę zmarzniętego na kość śniegu i rzucił wysoko w górę.

– Chcę ją z powrotem, Odyne, słyszysz! Chcę z powrotem swoją kobietę! – Niewiele to pomogło, ale i nie zaszkodziło. Powłócząc nieco nogami, wrócił do wyznaczonego mu przez skogarmadrów namiotu. Z tego całego zamieszania zapomniał przynieść wody, ale nie zdążył wrócić nad brzeg jeziora, gdy usłyszał zawodzenie jakiegoś chorego i bardzo cierpiącego człowieka. Przyszło mu do głowy, że któryś z miejscowych oszalał. Wybiegł na zewnątrz i niemal zderzył się z nadbiegającym Chrapiącym Psem.

– Jeśli zamierzasz lizać mnie po gębie jak Zębaty, to sobie daruj – burknął ciągle jeszcze zły młody Szwed.

– Masz na niej tyle foczego łoju, że pewnie bym się najadł.

– Słyszałeś? Kogo obdzierają ze skóry? A może to jakaś bestia obudziła się z zimowego snu?

– Człowiek, człowiek, blady bracie, a konkretnie Eyapaha – posłaniec-obwoływacz. Na rozkaz Snae-Kola obwieszcza, że jutro wchodzimy na górę! – Podniecenie w głosie syna Kamiennego Ostrza mieszało się z niepewnością i strachem.

– Ja wchodzę, ty nie musisz – odwarknął Oddi, który ciągle jeszcze miał przed oczami oddalającą się Shaa-naan.

Wyraźnie urażony Beothuk zamilkł, jakby nabrał w usta wody, i ta cisza sprowadziła Askomana na ziemię.

– Wybacz, krewniaku – puścił do niego oko – uczynisz mi wielki honor, jeśli pójdziesz tam wraz ze mną.

Pokryta czerwonym barwnikiem twarz wesołego młodzieńca rozciągnęła się w szerokim uśmiechu. Nie potrafił się długo gniewać, a już na pewno nie w taki dzień jak dzisiaj.

Rozeszli się każdy do swojego mamateeku, by jeszcze raz sprawdzić wielokrotnie już wcześniej sprawdzane sakwy podrózne. A tak naprawdę, by dać zajęcie rękom i zająć czymś myśli.

Nadszedł w końcu mroźny poranek i ku własnemu zaskoczeniu wiking odetchnął z ulgą. Dla mężczyzny najgorszą udręką jest beczynność, a cierpieniem wyczekiwanie w tej beczynności.

– Będzie, co ma być – powiedział bogom i ośnieżonej dolinie, gdy w nocy wstał za potrzebą. – Mój los jest taki mój, jak odal młodszego syna. Zgodnie z prawem zawsze dziedziczy najstarszy – dodał, sznurując rzemienie skórzanych portek. Zrobił to szybko, bo było tak zimno, że żółte łyzy prawie zamarzły, nim dotknęły ziemi.

Jak zwykle padał śnieg i kęsał mróz, gdy niewielka grupa ludzi po raz kolejny rozpoczęła wspinaczkę na szczyt. Wieńczył on łańcuch górski, który miejscowi zwali Grzbietem Łosia, choć tych zwierząt na wyspie nigdy nie było. Nie musieli iść długo, gdyż przesłonięte lodową czapą wejście do jaskini znajdowało się na wysokości dwa razy po trzech mężczyzn. Problemem było co innego. Zamarznęta woda tworzyła pofałdowaną, przypominającą paluchy olbrzyma i, zdało się, niezniszczalną barierę, którą miały pokonać dopiero wiosenne roztopy. Pod nią z ogromną siłą i impetem płynął nurt. Ten wodospad nigdy nie zamarzał w całości, ale marne to pocieszenie, bo ściśnięte, kotłujące się wściekle odmęty czyniły tylko zadanie bardziej ryzykownym.

Aby dostać się do wnętrza góry, należało jakimś sposobem skruszyć grubą niczym długość ramienia tafel, spiętrzona woda miała zrobić resztę. Tylko jak tego dokonać i ujść z życiem? Rada starszych rozważała nawet wstrzymanie się do czasu nadejścia odwilży, ale Snae-Kol w długiej przemowie przekonał ich, że jeśli to możliwe, wszyscy niezdolni do walki wraz z zapasami muszą znaleźć się w jaskiniach, nim nadejdą wrogowie. Od zachowania tej tajemnicy i skrycia działań plemienia pod wodną kurtyną zależeć będzie powodzenie całego planu. Wiosną, jak twierdził, nieprzyjaciół będzie tu więcej niż szyszek w lesie, a położony w dolinie wodospad widać z góry jak na dłoni. Dopiero gdyby okazało się, że droga do Odległej Krainy pozostaje dla Długich Ludzi zamknięta, przygotowują obronę z wykorzystaniem postawionej z takim trudem drewnianej palisady.

Na tym też stało, choć Stękaający Lis i jego poplecznicy chcieli ostentacyjnie opuścić namiot wodza tuż przed głosowaniem. Widząc to, Czerwona Orlica grobowym, nieswoim głosem zaczęła rzucać zaklęcia, co przekonało niezdecydowanych, a grupa Stękającego Lisa zmalowała do pięciu najbardziej zajadłych krzykaczy.

Tak więc młodzi, silni ludzie, przewiązani w pasie linami z mocnej plecionki, których końce przymocowano do występów skalnych daleko ponad głowami, od dwóch dni drążyli rów w poprzek wstęgi wody. Nieco ciemniejsza i jednolita plama w okolicach stóp musiała być wejściem do jaskiń, o którym mówiła Czerwona Orlica. W tym zimnie jedna grupa mogła rąbać tak długo, jak długo do połowy wypala się pochodnia. Gdy przychodzili zmiennicy, zmarznięci Beothukowie oddychali z ulgą, ciesząc się nie z tego, że za chwilę odpoczną w ciepłym mamateeku, ale że twardy lód wytrzymał. Wszyscy wiedzieli, że ci, którzy będą na „zboczu”, gdy tafla pęknie, spotkają się z Wielkim Duchem w pierwszej kolejności.

– Nie martw się. – Chrapiący Pies poklepał po ramieniu Oddiego, gdy wspólnie z dwójką młodzików wyruszali z obozu, by złuzować poranną zmianę. – To będzie jak obcięcie twoim nożem z błyszczącego kamienia włosów, równo i prosto.

– Prosto to człowiek leci, gdy spada z wysokiego klifu, i to też nie zawsze – burknął młody wiking. – Opowiem ci historię o włosach i sam przyznasz mi rację, że ich obcinanie bywa niebezpieczniejsze od ćwiczebnej walki na miecze, w której można co najwyżej nabawić się guza albo stracić palce.

Szli zwartą grupą, ale ścieśnili się jeszcze bardziej, żeby nie uronić słowa z opowieści. Lepsze to niż zaprzątanie sobie głowy wizjami wielkich jak pięciu ludzi brył lodu, które rozsmarowują pomiędzy sobą człowieka niczym foczy tłuszcz na grubej skórze. Poza tym bladokóry obcy zyskał już sobie sławę niezrównanego bajarza.

– W rejonie południowych wybrzeży Morza Wewnętrznego, w kraju Wenedów, Danowie, lud Północy, ale nie moi krajanie, pobudowali na przybrzeżnej wyspie warownię i nazwali ją Jomsborg. – Oddi też wolał gadać, niż ważyć w myślach swoje szanse na przeżycie tego zimowego dnia. – Twierdza ta jest nie do zdobycia, ma bramę morską i miejsce w porcie dla wielu trzydziestowiosłowych snek, sześćdziesięciowiosłowych skeidów, czy nawet olbrzymich drakkarów, z których największy może zabrać na pokład pięć setek ludzi.

– A ile to jest te pięć setek? – Chrapiący Pies podrapał się z zakłopotaniem po czole.

– Na cztery takie drakkary zmieściliby się wszyscy ludzie z waszej osady i to nie tej znad Zatoki, ale leżącej u stóp Wody Grzmotów.

Beothukowie pootwierali usta ze zdziwienia, potem jeszcze chwilę pomyśleli, a następnie poklepalili Askomana po plecach. Nie uwierzyli.

– Droga ze stałego lądu – kontynuował opowieść młodzieniec – wiedzie tam przez solidny, ale dogodny do obrony kamienny most, sami więc widzicie, że to twardy orzech do zgryzienia dla każdego śmiałka.

– Jaki orzech, jakie gryzienie? – dopytywał się niski, ale szeroki w barach wojownik, którego Oddi po raz pierwszy widział na oczy. Beothukowie wołali na niego Pień Drzewa i faktycznie jak ten pień zdawał się wytrzymały i mocny.

– No, jakbyś miał gryźć kamienie, to raczej z marnym skutkiem dla zębów. Tak samo atakujący łamali sobie kły na murach tej warownej osady.

– Po co gryźć te kamienie? – nie dawał za wygraną czerwonoskóry, ale uciszyły go gniewne pomruki towarzyszy.

– Załogę tego borgu stanowią najdzielniejsi z dzielnych, mężowie w sile wieku, no i bezzenni.

– To znaczy, że nie ma tam kobiet, a jedynie sami wojownicy? – Chrapiący Pies, który tłumaczył towarzyszom co bardziej niezrozumiałe terminy, a przynajmniej próbował, nie krył zdziwienia.

– Są, tylko jako pomoc i niewolnice. A z tymi ostatnimi można sobie używać do woli, wiecie, co mam na myśli, o ile ich właściciele nie mają nic przeciwko temu, a często tak jest. No, ale nie daje się kluczy od własnego domostwa. – Oddi machnął ręką, jakby odpędzał muchę. – Będziecie mi tak przeszkadzać, to nigdy nie skończę. Nie o tym wam chcę mówić. No, więc aby zostać jomswikingiem, należy wykazać się męstwem, siłą i charakterem. Nie bogactwo i koligacje, lecz silne ramię i dzielne serce są przepustką do drużyny. Przybywa tam wielu zbiegów, ale jeśli ktoś kiedykolwiek uciekał przed równym sobie lub trochę silniejszym przeciwnikiem, bramy Jomsborga pozostaną na zawsze dla niego zamknięte.

– To jakbyś opowiadał o Beothukach, tylko że my mamy jeszcze nasze kobiety. – Zaśmiał się Spocone Dłonie, wesoły i prawie zawsze uśmiechnięty młodzieniec.

– Nie żartuj sobie z tej dzielności, świński cycku, tylko słuchaj. Życiem jomswikingów jest walka i braterska przyjaźń.

– Jak wśród załogi wielkiego kanu zbudowanego przez Snae-Kola – wtrącił Chrapiący Pies.

– Jak ich spotkam, to ci powiem. Ale mogę skończyć o tych włosach czy nie chcecie już słuchać?

– Mów, mów – rozległo się dookoła.

– To, do czego zmierzam, zdarzyło się podczas walk ze szwedzkim jarlem Håkonem, na wodach zatoki Hjörung, koło wybrzeży południowej Norwegii. Håkon zwyciężył, co nie powinno nikogo dziwić, bo my jesteśmy najdzielniejszym ludem ze wszystkich zamieszkujących Skandię, i kilkudziesięciu

jomsborczyków dostało się do niewoli. Za swoją zuchwałość zostali skazani na ścięcie. Idąc na śmierć, jomswikingowie nic sobie z tego nie robili, nawet ze śmiechem zakładali się między sobą o to, czy człowiek coś czuje po odrąbaniu głowy i jak długo trwa to „czucie”. Powstał między nimi na tym tle wielki spór.

– Wasi bogowie odebrali im rozum? – Pies nie żartował tym razem. – No bo jak powie ten z uciętą głową, że boli, jeśli jego język wraz z czerepem leży poza zasięgiem ramion?

Oddi zignorował to pytanie, bo prawdę mówiąc, też się wcześniej nad tym zastanawiał.

– No więc wielki jak góra wojownik zaczął toporem ścinać im łby. Jednemu po drugim, a reszta patrzyła na to, czekając spokojnie i z uśmiechem na swoją kolej. Gdy doszło do młodego, wysokiego jomswikinga, ten, dbając o wygląd, zebrał w jeden ogon jasne długie włosy i poprosił pomocnika kata, by przytrzymał je w górze, gdy ostrze dopadnie szyi. Nie chciał zabrudzić ich krwią, takie były lśniące i zadbane.

– Po co mu ładne włosy po śmierci? – Chrapiący Pies słuchał z otwartymi ustami, raz nawet potknął się, nie zauważywszy sporej bryły lodu.

– Po takiej śmierci wojowie na pewno trafią do Walhalli, miejsca, w którym są tylko walka, zabawa, picie, żarcie, i tak na okrągło, aż do ragnaröku. Chciałbyś do końca świata męczyć się z zakrwawioną łepetyną?

– Wskoczyłbym do jeziora albo poczekał na deszcz.

– Słuchałem wielu sag i w żadnej z nich nie było nic o asgardzkim jeziorze, lepiej nie ryzykować. – Chrapiący Pies zgodził się rezolutnie z towarzyszem, a Oddi kontynuował opowieść.

– Pomocnik chwycił mocno za te piękne włosy, kat wzniosł topór i... opuścił go z impetem na pień drzewa, na którym kładli szyje skazańcy. W ostatniej chwili piękniś tak mocno szarpnął głowę, że pod ostrzem znalazły się dłonie pomocnika, ciągle mocno zaciśnięte na warkoczu. Topór stuknął i w powietrze poleciały one, a nie łeb jomswikinga.

– Oj, chyba nie był zadowolony. – Spocone Dłonie syknął, jakby to jemu ktoś zadał ranę, i bezwiednie uderzył jedną rękawicą o drugą.

– Kogo obchodzi zdanie bezrękiego. – Wiking wzruszył ramionami. – Piękniś zebrał pochwały od towarzyszy, bo fortel wyszedł mu naprawdę przedni. Trochę był przy tym zmartwiony, jako że katowskie ostrze skróciło mu nieco włosy i to niezbyt równo, o czym nie omieszkał głośno poinformować oprawców. Śmiali się wszyscy, nawet ten bez dłoni przestał się uskarżać i rechotał, dopóki nie padł zemdlony z upływu krwi. Syn Håkona, jarl Eryk, który wszystko widział na własne oczy, kuzyn mego ojca, aż usiadł z wesołości, zresztą nie on jeden. Potem darował życie piękniśowi i pozostałym jomswikingom za odwagę, spryt i zimną krew, jaką zachowali w obliczu śmierci.

Po ostatnich słowach Oddiego zapadła cisza. Beothukowie próbowali zrozumieć, o co chodziło, jaka nauka wynika z tej opowieści, no bo zawsze jakaś wynikała.

– To co, Wielki Duch, widząc, że idziemy na pewną śmierć, w nagrodę za ludzką głupotę daruje nam życie? Czy może pomyśli, że jak sami się prosimy, to i sami spijajmy stęchlą wodę. Unchi nie straci wiele, gdy przestaną po niej chodzić ludzie nierozumni. – Chrapiący Pies klepnął towarzysza w plecy. – Ten Mikmak zabrał ci razem z uchem mądre myśli, a zostawił tylko te szalone – dodał z uśmiechem.

– Kto wie, wasz Wielki Duch to wprawdzie nie ceniący męstwo Odyn, ale kto wie?

Cała czwórka młodych wojowników zaśmiała się głośno, tak od serca, szczerze i beztrosko.

Opowieść przybysza zza Wielkiej Wody spodobała się wszystkim, a że sami skalpowali wrogów na potęgę, to wiedzieli, że we włosach człowieka jest wiele z jego ducha. Zaraz jednak powróciło wspomnienie wiszących nad głową ogromnych brył lodowych i ściśnięte gardła zdławiły wesołość.

Dotarli do podnóża góry i rozpoczęli wspinaczkę po oblodzonych skałach. Najtrudniej było za pierwszym razem, teraz zadanie ułatwiała rozciągnięta wzdłuż zbocza lina i wydłubane w lodzie stopnie. Nie udało się jednak całkowicie uniknąć upadków i wędrowcy kilka razy zaryli nosami w lód, omal nie wybijając sobie zębów.

– Na zwiędłe przyrodzenie Lodowego Thursa – zaklął wiking.

– Na uciętego ptaka Ptaka Pioruna – zawtórował mu Beothuk i cała czwórka lekko się uśmiechnęła.

– Nie tak wiele nas różni, bladokóry! – zakrzyknął Chrapiący Pies.

Oddi nie zdążył odpowiedzieć, bo dotarli do celu.

Słońce tylko nieznacznie przesunęło się po niebie, a już byli na stanowiskach. Poprzednie zmiany wyryły solidny, głęboki na dwie dłonie rów w lodowej skorupie. Stukotowi drewnianych młotków o kamienne rylce towarzyszył szum wody szorującej z ogromną siłą o dno lodowej pokrywy. Czuć było drgania jak wtedy, gdy dobra łódź gnana silnym wiatrem pędziła po spokojnym morzu, ledwo muskając grzbiety fal. Oddi pamiętał takie rajdy.

– Bogini morza jest zagniewana – powiedział Pień Drzewa głosem drżącym z zimna i trwogi.

– Nie martw się, bracie krwi, mamy ze sobą bladokórego i jego pierwszego pochłonie duch wody, bo to przecież obcy – próbował zażartować syn Kamiennego Ostrza, ale tym razem nikomu nie było do śmiechu.

Pierwsze trzaski dobiegły od strony, w której odłupywał bryłki Spocone Dłonie. Wszyscy zamarli na kilka uderzeń serca, jedni z uniesionymi młotkami, inni z bryłkami lodu w dłoniach.

– Na górę, ucieekaaaammy! – To Oddi, oprzytomniawszy, zaczął wspinać się po splecionym rzemieniu niczym wiewiórka po drzewie. Pozostała trójka poszła w ślady wikinga i w tym momencie świat wybuchł. Nadwerżony monolit, skuwający dotąd wodospad niby łańcuchy więźnia, rozpadł się na kawałki, wypychany ogromną siłą toczącej się pod spodem wody. Wielkie na dziesięciu ludzi bryły wyleciały w powietrze, jakby nic nie ważyły. Zderzały się ze sobą, z kamiennym dnem doliny i rozlatywały na roje drobniejszych odłamków. Ale nie to martwiło czwórkę śmiałków. Bo chociaż ci, popędzani panicznym strachem, nie wiadomo kiedy zdołali wspiąć się ponad miejsce pierwotnego pęknięcia, rwące potoki wody poczęły odłupywać kawały lodu szybciej, niż byli w stanie uciekać. Gdzieś tam, wysoko w górze, silne ręce towarzyszy wybierały linę, ale co może człowiek w zderzeniu z potęgą przyrody.

Pierwszy poczuł kopnięcie lodowego konia Oddi. Wielki blok, po którym właśnie się wdrapywał, oderwał się od reszty i jakaś ogromna siła uderzyła młodego wikinga w piersi, zupełnie pozbawiając go tchu. Na szczęście miał stanowisko na skraju wodospadu i wracając, bo solidny rzemień wytrzymał, uderzył o skały miast wpaść w mroźny nurt. Wczepił się w kamienie niczym pijawka w ciało. Cała góra drżała, smagana wodnymi biczami.

Nie trwało to długo. Rwący strumień zniszczył wszystko na swojej drodze i teraz spadał szeroką kaskadą, siekąc wkoło chmarami zmarzniętych igieł. Oddi, gdy zszedł, a raczej zjechał w końcu na dół, krwawiąc z palców, z których nie wiedzieć kiedy poznikały paznokcie, z ulgą zauważył Chrapiącego Psa. Wojownik przykładał sobie śnieżne kule do ust, a gdy uśmiechnął się do nadchodzącego bladokórego, ten zamarł z rozdziawioną gębą. Syn Kamiennego Ostrza miał połamane zęby, jakby próbował się gryźć

z żelaznym psem.

– Na Jednookiego, zawsze byłeś szpetny, ale teraz to jesteś... – Młasnął językiem, szukając odpowiedniego słowa.

– Żyyy? – pomógł mu mówiący niewyraźnie Pies.

– No tak, żywy. A co z pozostałymi? – Oddi rozglądał się, szukając uśmiechniętej twarzy Spoconych Dłoni i krępej sylwetki Pnia Drzewa.

– Eelki Uch oalił Peń Dewa, wijałem, jak go nieśi do mameeku czaownika, ale Spooone Doonie jess juu po duugiej stoonie.

– Jak to się... – Nie dokończył, nie musiał. Chrapiący Pies splunął krwią i wziął świeżą śnieżną pigułę.

– Jeo rzemeń nie wytrzymał i znalaziono oo na ośnie ięc razy po dzieeieć ługośii czoowieka od wodosadu. Obejował ją tak, jak ę oejmuje kojjetę, a z peców ystaala uu gałoż, guuba niczym reka.

Oddi był poobijany i wyczerpany, ale znaleźli jeszcze siły, by odwiedzić namiot szamanki. Czerwona Orlica przegnała ich precz, twierdząc, że opiekuńczy duch Pnia Drzewa jest mocny, ale może taki nie być na widok ich pokiereszowanych twarzy. Gdy wychodzili, rzuciła na odchodnym:

– Będzie żył.

– Ude o ebie, uszę oczoć. – Chrapiący Pies puchł błyskawicznie i to przykładanie śniegu niewiele pomagało.

Wiking skinął głową i sam, noga za nogą, powlókł się do swojego mamateku. Nim Bölthorn uderzył go magiczną różdżką, zobaczył jeszcze pochylającą się nad nim z troską w oczach Shaa-naan i zdało mu się, że czas zatoczył koło. Znowu znalazł się w osadzie Beothuków znad Zatoki, znowu był ranny i pod czujną opieką młodej czarnookiej kobiety.

Oddi Asgotsson i Chrapiący Pies byli na nogach już następnego dnia. Obolali, ale gotowi do działania. Pień Drzewa jednak stanął o własnych siłach dopiero po dziesiątym wschodzie zimowego słońca.

Dwa kolejne wschody Wi trwało przygotowywanie wyprawy i trzeciego dnia od skruszenia pokrywy wodospadu mały oddział wojowników rozpoczął wspinaczkę do miejsca, w którym pod osłoną Wody Grzmotów znajdowało się wejście do jaskini. Młodzieńcom towarzyszyli Czerwona Orlica, Rączy Wilk – jeden z najlepszych łowców plemienia, Bjarki, który zgłosił się na ochotnika i jak to on niewiele mówił, tak samo zresztą jak Stękający Lis, największy wróg wodza wodzów. Na końcu dołączył do nich sam Snae-Kol. Oddi odetchnął z ulgą na wieść, że Kamienne Ostrze pozostaje w osadzie. Wystarczą czarne elfy i trolle, nie potrzebował przeciwnika za plecami. Siedmioro ludzi, od których miała zależeć przyszłość plemienia Beothuków, siedem istot, które być może po raz ostatni oglądały jasne niebo.

Szli po wąskiej kamiennej półce, teraz niemal przyklejeni do mokrej skały, na wyciągnięcie ręki mając spadające masy wody. Zapalone łuczywa rzucały migotliwe blaski, ich płomień drżał, szarpany kapryśnymi powietrznymi prądami. Każdy kolejny krok przybliżał ich do ciemnej plamy wejścia, które w ich rozgorączkowanych głowach jawiło się niczym otwarta paszcza potwora.



Własny dom jest najlepszy, choć mała chałupka,

Panem jest każdy u siebie;

Serce krwawi się temu, co prosić musi

O jadło przy każdym posiłku.

Siedem par oczu z obawą patrzyło w ciemne gardło tunelu, który mieli przed sobą. No może sześć, bo każdy czarownik Beothuków przynajmniej raz w życiu musiał nogę postawić w jaskiniach. Zwykle dochodziło do tego tuż przed śmiercią poprzednika i było traktowane jako ostatnie, najwyższe wtajemniczenie i próba zarazem. Dla pozostałych, zwykłych i nieobcujących tak często z duchami czerwonych ludzi, taka wizyta przeważnie kończyła się tragicznie. Jaskinie były tabu nie bez powodu. Słabi, pochowani niezgodnie z tradycją i ci, którzy przed śmiercią złamali plemienne prawo, błąkają się w pobliżu tych wrót i nigdy nie zejdą do wnętrza góry. Takie wściekłe duchy w akcie zemsty mogły opanować ciało zwykłego śmiertelnika i przywdziać je tak, jak wojownik wkłada zimową kurtkę.

Co innego ludzie dzielni, silni i prawi. Dla nich to początek drogi do świata zmarłych, do Odległej Krainy. Tam to duchy dwunożnych ludzi uczują i świętują po śmierci, a ich polowania zawsze wieńczy suty posiłek.

Oddi z pobłażaniem słuchał Chrapiącego Psa, który z przejściem o tym wszystkim opowiadał. Był prawie pewien, że to nic innego, jak Helvegr – droga wiodąca do krainy bogini Hel. Tłoczą się tam, brodząc w mroźnych strumieniach, snując się beczynnym, cierpiąc męki lenistwa ci, którzy nie wykazali się męstwem za życia i nie zginęli w boju. Ta ich Odległa Kraina – myślał – to taka nasza Walhalla, a przecież zamek Odyna jest w Asgardzie, ponad głowami ludzi. Schodząc w dół, trafimy do krainy mrocznych elfów i krasnoludów, poniżej której rozciąga się domena na wpół martwej Hel, siostry wilka Fenrira, córki Lokiego i ludożerczej olbrzymki Angerboddy. Ot co.

Te rozmyślenia przerwała Czerwona Orlica, nakazując gestem, by się zatrzymali. Dotarli do miejsca, w którym wąski dotychczas korytarz rozszerzał się, ale tworząca dotąd solidną podłogę skała zniknęła. Siódemka ludzi stanęła na krawędzi przepaści, która mogła mieć głębokość dwóch, ale równie dobrze dwudziestu ludzi.

– Byłam tu – uspokajała towarzyszy Czerwona Orlica. – Musimy zsunąć się po linach. Babka mojej babki opowiadała, jak jej babka mówiła, że kiedyś były tu wykute w kamieniu stopnie.

– Na Wielkiego Ducha, to może wystarczy ich poszukać? – Snae-Kol wychylił się bardziej niż inni, próbując dostrzec jakieś ślady na stromej skalnej ścianie.

– Próżny twój trud, wodzu. Ostatni uciekający stąd ludzie skuli te schody, by zamknąć przejście.

– Ale po co? Przecież i tak możemy tam zejść po linach? – wtrącił Rączy Wilk.

– Aby coś, co tak przeraziło waszych przodków, nie mogło wyjść na zewnątrz, o ile nie potrafi latać. Dobrze myślę, kobieto mocy? – Oddi spojrział w stronę völvy, a ta skinęła głową.

– To strażnicy góry, BeothNocha. – Czerwona Orlica kucnęła na skraju przepaści i zaczęła węszyć niczym zwierzę. Widocznie nie wyczuła niebezpieczeństwa, bo odetchnęła z wyraźną ulgą, jak ktoś, kto zrzuci z barków wielki ciężar. – To, co teraz powiedzą moje usta, musi pozostać w waszych głowach. Złóżcie przysięgę na krew i Tunkashilę, tego, który jest wszystkim i może wszystko. – Głos szamanki był twardy i nieznoszący sprzeciwu. – A ty, bladokóry wojowniku – odwróciła się w stronę młodego wikinga – miej się na baczności, bo za twoje gadulstwo życiem zapłaci smagłolica Shaa-naan-dithit.

Zapadła cisza, nikt się nie odzywał, nawet Oddi. Völva miała widocznie powody, by zachować

wszystko w tajemnicy, a zwykłych śmiertelników powinny one obchodzić tyle, co pchłę kolor oczu psa, na którym jeździ. Ceremonia nie trwała długo i po chwili każdy członek drużyny oddał kroplę swej krwi mruczącej zaklęcia kobiecie mocy, a ta mieszała ją w małej kamiennej czarce z jakimś proszkiem. Otrzymałą w ten sposób gęstą papką nakreśliła każdemu krąg wokół ust.

Jej z początku niewyraźne słowa z każdą chwilą nabierały kształtu i tak członkowie wyprawy usłyszeli wielką tajemnicę ludu Beothuków, Pieśń o Przodkach i Marszu.

– W dawnych czasach – opowieść Czerwonej Orlicy rozlewała się po umysłach niby dym z pochodni, wypełniając je coraz bardziej i bardziej, albowiem nie ma na calusieńkim świecie nic tak wciągającego słuchaczy jak zakazana wiedza tajemna – to nie dwunożny człowiek polował na zwierzęta, to one polowały na niego. Opowieść tę przekazują sobie czarownicy z pokolenia na pokolenie jako przestrożę, co może się stać, gdy wypuścimy na powierzchnię Unchi pradawne siły, stare moce, okrutnych BeothNocha. Nasz lud – zawiesiła na chwilę głos – dotarł na Wielką Wyspę dawno temu, ale nie zawsze rozbijaliśmy mamateeki wśród jej bujnych zimnych lasów i w pobliżu bogatych w łososie łowisk.

– Jak nie zawsze, czcigodna? – Rączy Wilk zadał pytanie, które każdy z obecnych, może z wyjątkiem bladokórego obcego, miał na końcu języka. – Przecież Beothukowie zostali zesłani na te ziemie przez samego Wielkiego Ducha, by strzec, pielęgnować...

– Wiedza rozmawiających z duchami różni się od tej, która jest w twojej głowie, łowco. Słuchaj, a wszystkiego się dowiesz, choć nie wszystko zrozumiesz. Jest ona ukryta w kamieniach, wodzie, drzewach i ziemi, ale nie wszyscy potrafią odczytać te znaki. – Myśliwy otworzył i zamknął usta, połykając kolejne pytanie. – Przybyliśmy, jak mi przekazał Czerwony Byk, z ziem leżących daleko w kierunku zachodzącego słońca, z bogatej w zwierzęta i ciepłej krainy. Nasz lud zajmował rozległe tereny leżące nad rzeką rzek, noszącą nazwę Klamath. To był prawdziwy dom plemienia Długich Ludzi, tam się narodziła nasza siła. Inne plemiona zwały nas ludem Wah-ghas i bały się potęgi wielkich białych wojowników, szybkości ich nóg, zręczności ręki i celnego oka. Nie mieliśmy sobie równych, byliśmy niczym rój szerszeni wśród setek pszczelich rodzin. Nastął jednak czas, tak jak to się dzieje teraz, że nasz świat stanął w ogniu. Okoliczne plemiona, zwabione potęgą i bogactwem, postanowiły pod wodzą ludu Yurok zabrać to, co nasze. Nie chcieliśmy wojny, gotowi byliśmy oddać wiele, by zachować pokój, ale im chodziło nie tylko o nasze osady i łowiska, ale przede wszystkim o moce wojowników z plemienia Wah-ghas. Walki trwały bez przerwy dwie wiosny i były krwawe jak nigdy wcześniej. Lud Yuroków nie brał jeńców, a serca pokonanych Długich Ludzi zjadał, by pojąć legendarną siłę naszych łowców.

– Przecież mówiłaś, kobieto mocy, że nie mieli sobie równych w walce. Dlaczego więc nie wyróżniłaś dla przykładu kilku osad z kobietami, dziećmi i wszystkim, co tam żyło. U nas to zawsze działa. – Kucający jak wszyscy Oddi wstał powoli, by rozprostować ścierpięte nogi.

– Na miejsce zabitych napływało więcej żądnych krwi wrogów. Było tak, jakby ktoś skórzanym workiem próbował ukraść całą wodę z rzeki. Czarownicy odprawiali modły, błagali duchy i Ptaka Pioruna o łaskę pokoju, o śmierć we śnie dla wrogów, o więcej synów, bo zbyt wielu wojowników nie powracało z wypraw. Unchi jednak odwróciła się wtedy od plemienia Wah-ghas. W końcu wielka rada wojenna postanowiła, że trzeba uciec. Nie wiedzieli, czym zawinili Matce Ziemi, co zrobili źle, ale to już nie miało znaczenia. By przełamać klątwę, a raczej skryć się przed zemstą nasłanych przez Tob-Tob złych duchów, od tamtego dnia malujemy skórę czerwonym barwnikiem. Pomogło, ale jak dzisiaj widać, los naszego ludu jest przesądzony, a Wielki Duch odwleka tylko to, co stać się kiedyś musi. Wędrówka trwała wiele wiosen i zdawała się nie mieć końca. Z każdego zdatnego do zamieszkania miejsca musieliśmy uciekać, staczając krwawe potyczki z dotychczasowymi mieszkańcami. Po wyniszczającej

wojnie z ludem Yuroków nie mieliśmy już dawnej siły, a w taborach więcej znalazłoby się kobiet i dzieci niż wojowników. Byliśmy u kresu sił. Nasi wodzowie słyszeli od jeńców o wielkiej, bezładnej i zimnej, ale zasobnej wyspie, która dla okolicznych plemion stanowiła tabu. Wszyscy byli śmiertelnie znużeni wieloletnią tułaczką, musieli zdobyć nowe łowiska lub wymrzeć z głodu i chorób. Dlatego właśnie w czasach, w których najwyższe rosnące tu drzewa były ledwie nasionkami, resztki dumnego niegdyś plemienia Wah-ghas przedostały się na Wielką Wyspę. To tu staliśmy się Beothukami, czyli Ludźmi, to tu stoczyliśmy wiele bitew, przy których wcześniejsze wyglądały niczym nasze kanu przy ich wielkich łodziach. – Mówiąc te słowa, Czerwona Orlica wskazała brodą Oddiego.

– To jednak na Wielkiej Wyspie mieszkali jacyś ludzie – wtrącił cicho Stękający Lis. – Oddi zauważył, że ten nieprzejednany wróg Snae-Kola odezwał się po raz pierwszy od początku wyprawy.

– Nie tacy, o jakich myślisz, synu starego wodza, nie tacy. Choć byliśmy przetrzebieni, na ląd wyszło mrowie dzielnych wojowników, a gdy walka dobiegła końca, dwóch na trzech członków plemienia trafiło do Odległej Krainy, a ich ciała zostały pożarte. I to licząc kobiety i dzieci – dodała cicho.

Kilkanaście uderzeń serca nikt się nie odzywał. Znane były przypadki pogrzebienia pod śniegiem schodzącym z Grzbietu Łosia jakiejś wioski. Niezbyt często to się zdarzało. Ale śmierć ponad połowy członków całego plemienia?

– To co, teraz nasza siódemka ma zmierzyć się z siłą, która niemal pochłonęła cały lud Czerwonej Orlicy? – Oddi głośno przełknął ślinę.

– Jak wyglądają i czym można ich pokonać? – spytał praktyczny Snae-Kol.

– Możemy jeszcze wrócić, wzmocnimy palisadę i jeśli bogowie wojny zechcą, odeprzemy najeźdźców. – Młody wiking tak bardzo nie chciał schodzić w głąb góry, że nawet dałby się nazwać tchórzem, byle tego uniknąć. Zresztą nigdy nie był zbyt odważny, chyba że musiał.

– Nie, bladokóry. To jedyna droga i musimy skończyć to, co rozpoczęli moi przodkowie. Inyan da nam siłę, Taku Skanskan szybkość, a Wi moc, by tego dokonać.

– Ale na jaja Lokiego, z czym mamy się bić?! – Młodzieniec nie był zdziwiony odmową, choć przecież musiał spróbować. Gdy wszystko stało się jasne i zgasł nawet ten drobny promyk nadziei, coś w nim pękło.

– Nie krzycz, ściągniesz nam na głowy niebezpieczeństwo szybciej, niż postawimy stopy tam, na dole. – Snae-Kol pacnął go otwartą dłonią w czerep. Oddi zachwiał się i poleciał w ciemność. Od upadku z dużej wysokości i połamania kości, o ile w ogóle by przeżył, uratował go słuszny wzrost i niski sufit korytarza.

– Ale ja tylko...

– Zostaw go, wodzu. Wszyscy musimy wiedzieć, z czym przyjdzie nam walczyć. Powiem wam to, co usłyszałam z ust Czerwonego Byka, gdy raz jeden przyprowadził mnie tu wiele wiosen temu. – Völva położyła uspokajająco dłoń na ramieniu rozsierdzonego olbrzymia. – Zeszliśmy wtedy na dół, jak nakazuje zwyczaj, by zmierzyć się z duchami przodków, które nie odnalazły drogi do Odległej Krainy, i uśmierzyć ich gniew. Potem – głos kobiety mocy zadrżał – Czerwony Byk zaśpiewał mi pieśń o przodkach i wrócił na górę, a ja spędziłam sama noc przy małym ognisku, powtarzając jej zwrotki, aż wryły mi się w pamięć. To było moje ostatnie zadanie, miałam stać się czarownikiem lub zginąć.

Przez chwilę błędziła myślami, wspominając te niekończące się godziny modłów do Wielkiego Ducha, do Wi, Unchi i wszystkich przyjaznych człowiekowi istot. Modliła się wtedy o jedno, chciała jeszcze ujrzeć światło poranka. Tylko tyle i aż tyle. Czerwona Orlica wzdrygnęła się mimowolnie.

– Istoty te, pierwotni władcy wyspy – mówiła cicho – to ludzie-niedźwiedzie, to BeothNocha.

– Niedźwiedzie? To one miałyby pokonać Beothuków? U nas zabijamy je dla skór i tłuszczu albo uczymy cyrkowych sztuczek i występują na targach ku uciesze tłumów. – Oddi machnął lekceważąco ręką. Nie mówił zbyt głośno, by znowu nie narazić się wodzowi wodzów. Jeszcze teraz czuł pieczenie jedynego ucha i połowy twarzy.

– A czy one też, stojąc na czterech długich łapach, zagląдают człowiekowi w oczy? A czy te wasze polują stadami niczym wilki? Błady człowieku, rozum ci się pomieszał, nie wiem tylko, czy od uderzenia, czy ze strachu. – Kobieta mocy prychnęła pogardliwie. – Tyle jeszcze powiem, o ile czas nie dodał opowieściom grozy, że biegały szybko niczym karibu, ale w przeciwieństwie do tych dzielnych zwierząt wspinały się na drzewa. Nie było przed nimi ucieczki. Myślały też nie gorzej od dwunożnych ludzi, były mądre. Umiały przewidzieć ruchy wojowników i atakowały w chwilach słabości, a uciekały, gdy zwycięstwo mogło wymknąć się im z łap.

– Ale były śmiertelne, miały ciało i kości – uspokoił towarzyszy wódz wszystkich Beothuków. – Gdyby nie to, nie siedzielibyśmy dzisiaj w tym miejscu. A skoro tak, to te niedźwiedzie olbrzymy dawno pomarły z głodu w jaskiniach. Nie z nimi przyjdzie nam się zmierzyć, mam rację, rozmawiająca z duchami?

– Nie, nie masz, wodzu. – Głos szamanki był dziwnie cichy i spokojny. – To jest powód, dla którego właśnie teraz idziemy tą ścieżką zmarłych. Jak głoszą stare pieśni, wewnątrz Grzbietu Łosia, oddzielone od świata stromymi szczytami, jest miejsce zdatne do życia. I właśnie ono stanowi nasz cel.



Niedołężny mąż leży bezsennie nocami

I rozmyśla o wszystkim.

Znużony jest, gdy ranek zaświta,

Troska trwa – jak przedtem.

Nie wiadomo, jak długo wędrowali podziemnymi tunelami, od momentu gdy spuściwszy się na linach, stanęli na twardym podłożu. Oddi przypuszczał, że minął cały dzień, ale równie dobrze mogło to być pół, jak półtora dnia. Korytarz szeroki na trzech ludzi niekiedy obniżał się tak bardzo, że musieli schylać głowy, a zaraz potem znajdował się tak wysoko, że blask pochodni nie sięgał sklepienia. Powietrze było zimne i suche, choć stare ślady na skałach wskazywały, że dawno, dawno temu płynęła tędy z wielką siłą woda. Mijali też mniejsze i większe jaskinie, ale strach, ciemności i ostry głos kobiety mocy trzymały ich razem niemal tak samo, jak nocny mróz zziębniętych mieszkańców mamateeku.

Na pierwsze szkielety natknęli się gdzieś tak w połowie drogi. Rączy Wilk, który kierując się wskazówkami Czerwonej Orlicy, szukał najłatwiejszej i bezpiecznej, pozbawionej małych osuwisk drogi, w pewnym momencie krzyknął coś i zniknął za załomem korytarza. Gdy dotarli w to miejsce, zobaczyli, co tak zaskoczyło dzielnego łowcę. Pod ścianą małej jaskini, a raczej naturalnej niszy wielkości trzech, czterech szałasów, leżała wysoka jak człowiek sterta pożółkłych starych kości, na której szczycie ktoś dawno temu zatknął ludzką czaszkę. Przy tym makabrycznym kopcu kuczał teraz Rączy Wilk. Nie dotykał znaleziska, by złe duchy nie uwięziły go w tych kościach, przyoblekły jego ciało.

– Nasi przodkowie – wyszeptła z nabożną czią Czerwona Orlica. – Na Wielkiego Ducha, jednak ta opowieść jest prawdziwa. Ojcie Stworzenia, Wakan Tanko, to musiała być cała wioska. – Potrzęsnęła głową, a kościane korale odpowiedziały jej głuchym klekotem.

– Tak, to szczątki ludzi, rozmawiająca z duchami. – Myśliwy podniósł się, zakończywszy oględziny. – I to jeszcze powiem, że są rozłupane i wyszano z nich szpik, a na niektórych widać ślady zębów. Tu zobaczcie – wskazał czaszkę przytwierdzoną do podstawy tej makabrycznej piramidy – i tu, i jeszcze w tym miejscu. – Nieopatrznie dotknął końcówką dzidy jednej z kości, ale ta nawet nie drgnęła. Czas zamienił je wszystkie w wielki głąz.

Stali chwilę w milczeniu, oddając cześć duchom zmarłych, których śmierć nie poszła na marne. Gdyby nie ich poświęcenie, to nie Dłudzy Ludzie byłiby teraz mieszkańcami lasów na Wielkiej Wyspie.

– Wiadomo, dlaczego tu zeszi? – Oddi jako jedyny nie bał się dotykać kości i teraz pogładził jedną z nich, śledząc opuszkami palców biegnące w poprzek dwie głębokie, równoległe bruzdy. Wyobrażał sobie zwierzę, które zostawiło ten ślad.

– To są tak dawne pieśni, że część z nich zapomniano, bladokóry. Ale pamiętam fragmenty, w których jest mowa o zwycięstwie nad bestiami, o ogniu, który ochronił dwunożnych ludzi. Pamiętam pieśni o wielkiej bitwie w korzeniach gór, w której nasi przodkowie ponieśli klęskę, a z wielu dzielnych wojowników do swoich mamateeków powróciła jedynie garstka. Pamiętam opowieść o ostatnim bastionie ludu BeothNocha wewnątrz góry...

– To tam idziemy? – powiedział młody wiking.

– Tę drogę wskazała mi we śnie Unchi, tam jest nasz koniec lub ocalenie. Jak niegdyś pierwsi mieszkańcy Wielkiej Wyspy, tak dzisiaj Beothukowie znajdą schronienie wewnątrz Grzbietu Łosia. A jeśli nie... – Wzruszyła ramionami. Oddi dopiero teraz spostrzegł, jak niewysoka i krucha jest Czerwona Orlica. Członki miała proporcjonalne, ciało zwarte i w pełni kobiece, ale gdy moc jej ducha osłabła zdjęta zmęczeniem i obawą, wyglądała niemal jak młoda dziewczyna. Ponętna dziewczyna – dodał szybko w myślach. Potrzebuje mojej pomocy, a jest taka bezbronna...

Pokręcił głową. W tym momencie złowił czujne spojrzenie kobiety mocy, w którym nie było cienia słabości, a jedynie żelazna wola, upór i iskierki rozbawienia. Bawi się mną, pomyślał zły na samego siebie. \

Tę dziwną grę przerwał głos Snae-Kola:

– A te olbrzymie niedźwiedzie nie będą miały nic przeciwko temu, żebyśmy pobuszowali po ich łowiskach? – Olbrzymi wojownik zacisnął i rozluźnił pięść, aż zatrzeszczały stawy.

– Może odeszły za swoim plemieniem do własnej Odległej Krainy, a może tam są, wodzu, na to pytanie nie otrzymałam odpowiedzi w szalasię potów.

To znowu była pewna siebie i niedostępna Czerwona Orlica.

– Wasi przodkowie walczyli z trollami i gnomami – powiedział Askoman z niezachwianą pewnością w głosie, tak właściwą dla młodego wieku. – One zamieszkują Svartalnheim, razem z czarnymi elfami i krasnoludami. Możecie je zwać BeothNocha, ale to były trolle.

– To byli praludzie-niedźwiedzie, przybyszu – odpowiedziała Czerwona Orlica, przekrzywiając po ptasiemu głowę.

– Wiem, jak zbudowany jest wszechświat i Sturla – tu młodzienc spojrział gniewnie na wodza wodzów – też to wiedział, tylko zapomniał albo nie chce pamiętać. Pod krainą zamieszkiwaną przez ludzi

jest właśnie Svartalfheim, a pod nim Nidavellir krasnoludów, Jötunheim olbrzymów, Niflheim i Hel.

Tym razem to kobieta mocy gniewnie fuknęła. Zniknęły gdzieś iskry rozbawienia, a ich miejsce zajęły mroźne kryształki. Odwróciła się w drugą stronę, jakby Oddi był tylko powietrzem, i odśpiewała gardłową pieśń, która była chyba zarówno wyzwaniem rzuconym duchom jaskini, jak i prośbą. Jej mocny głos niósł się echem pośród kamiennych tuneli podziemnego świata, przez który wędrowali. Następnie sięgnęła po worek z wodą i włożyła do niego jedno z orlich piór, których wiele miała w swoim płaszczu. Skropiła wszystkich tą miksturą, mrucząc zaklęcia.

– Jesteście czyści, jesteście silni, jesteście gotowi na spotkanie z tym, co nam przyniesie ten dzień. – Zakończyła ceremonię i już bez słowa ruszyła ciemnym korytarzem. A jako że musieli oszczędzać pochodnie i jedyną płonąca trzymała mocno w garści, wszyscy bez szemrania i z dużym pośpiechem poszli w jej ślady.

Szamanka prowadziła ich pewnie, kierując się prastarymi instrukcjami zawartymi w jednej ze świętych pieśni. Mruczała ją cicho pod nosem przy każdym rozwidleniu. Niekiedy nakazywała marsz w górę, co wojownikom wydawało się błędne, po to tylko, by po chwili zejść w dół. Dla oznaczenia drogi układali kopczyki z kamieni i, co nie powinno nikogo dziwić, często wykorzystywali stare znaki kogoś, kto był tu przed nimi.

– Nie będziemy ryzykować, że coś ci się stanie, Czerwona Orlico. Jeden z nas zapali drugie łuczywo i pójdzie przodem. – Stękający Lis miał rację i völva skinęła głową.

Szli tak kolejne setki kroków.

– Twoje duchowe stopy wędrowały już po tych skałach, czcigodna? – spytał cicho Snae-Kol idącą przed nim kobietę mocy.

– Od wielu pokoleń żaden człowiek nie przekroczył obrębu małej jaskini, tej przy Wodzie Grzmotów.

Rozmawiali prawie szeptem, ale Oddi szedł tuż za wodzem wodzów i wszystko słyszał, choć przecież nie chciał podsłuchiwać.

– Czerwony Byk, a wcześniej Czerwone Oczy, i przed nimi Czerwony Mech, żaden z wielkich czarowników nie był głębiej we wnętrzu góry. Inyan żądał od nas posłuszeństwa, a duchy przodków – spokoju. Naszym zadaniem, zleconym przez samego Wakan Tankę, było strzec tego tabu, tego Owanka Wakan, i przekazać tajemnicę następcy. Tylko tyle i aż tyle.

– Czy Tunkashila nie rozgniewa się na lud Długich Ludzi, że teraz złamał ten odwieczny zakaz?

– Wielki Duch, wodzu, rozgniewał się na nas już wcześniej, jednocząc przeciwko Beothukom wszystkie okoliczne plemiona.

– To wiem, ale czy wojownicy odnajdą po śmierci drogę do Odległej Krainy, skoro przeciwstawimy się zakazowi Wakan Tanki i sprofanujemy święte miejsce? – Snae-Kol już tak długo mieszkał wśród tego ludu, że przyjął za swoje wszystkie jego wierzenia i lęki. Odyn, Thor, Walhalla były to odległe i wyblakłe wspomnienia, jakby sen, który się pamięta, ale który, o czym człowiek wie, nie wydarzył się naprawdę.

– W szałasie potów, miejscu, które podarował nam Kamienny Chłopiec, mój duch uleciał na skrzydłach dymu i wiatrów, przyjacielu. – Może Oddiemu się wydawało, ale ta dwójka chyba trzymała się za ręce. – Leciał długo i osiadł w wielkiej dolinie, okolonej ze wszystkich stron skałami. Tam, nad brzegiem rwącej rzeki spotkałam kobietę nabierającą wodę w skórzaną sakwę. Żółw się budził i drżała cała ziemia, a ona jak gdyby nigdy nic zaczerpnęła ze wzburzonej toni. Nie była już młoda, ale mocne nogi i szerokie biodra pozwalały sądzić, że jest silna i płodna.

„Uciekajmy, góry pękają!” – krzyczałam przerażona. Ze zboczy ze wszystkich stron sunęły ku nam mniejsze i większe głazy. Na razie powoli, ale z każdą chwilą nabierały prędkości i mocy.

„Rano, gdy wstałam – głos tej dziwnej kobiety był lekko ochrypliwy, niski, ale ciepły i... ciągnęło mnie do niej niczym byka do krowy w rui – zapragnęłam ugotować i zjeść mięso. Rozpaliłam ognisko – wskazała brodą niewysokie płomienie pochłaniające drewno o dwa kroki od nas – i włożyłam do niego czyste kamienie, by je rozgrzać i zagotować nimi wodę”.

„Ale ziemia drży, to nie czas na jedzenie, tylko na ucieczkę!” – krzyknęłam przerażona, ale głos osadził mnie w miejscu.

„Usiądź obok mnie, porozmawiamy, poodychamy jednym powietrzem”. W tym momencie wrzuciła w ogień garść chan-shasha, którego dym przeniknął do moich myśli. Poczułam spokój, przestałam się bać. Usiadłam. Dalekie dudnienie ziemi było teraz odległe, a pędzące kamienie nieważne. Może to nie pękające skały, ale stado wielkich pędzących po równinie zwierząt? Kto wie? Kobieta nachyliła się nade mną i poczułam ziołowy zapach jej skóry i bijące od niej swojskie ciepło. Nagle zapragnęłam wtulić się w nią tak, jak dziecko wtula się w matkę. Widząc w moich oczach tęsknotę, uśmiechnęła się i zrzuciła ubranie, a potem przygarnęła mnie do siebie. Byłam szczenięciem, które dwunożny człowiek przygarnia, tarmosi mu sierść, drapie pod szyją.

„Jak dobrze” – westchnęłam. Potem zaczęłam ssać ciężką, pełną tłustego, słodkiego mleka pierś, której długi, twarde sutek jakby sam znalazł drogę do moich ust. Nie czułam już, przenikałam świat i świat przenikał mnie, wróciłam do domu, byłam w domu, bo cały wszechświat nim jest. W tamtej chwili, będąc jednocześnie wszystkim, czując mocną więź z drzewem oraz uciekającą po jego konarach wiewiórką, zrozumiałam, że święte koło życia się rozwiera. I to my, dwunożni ludzie, jesteśmy za to odpowiedzialni.

„Widzisz dziecko – słyszałam głos – gotującą się wodę łączy pępowina z chmurą, której częścią za chwilę się stanie; płomienie to oddechy słońca; jemy zwierzęta i rośliny, a po naszej śmierci one jedzą nas; wielkie koło zawsze było zamknięte. To jest pradawne i święte, to jest lila wakan! Nawet oddech – nabrała głęboko powietrza i wypuściła je powoli lekką, białawą mgiełką – idzie do góry, łączy nas z niebem. Wszystko, ale to wszystko jest ze sobą powiązane. – Pocałowała mnie delikatnie w usta, a ja poczułam smak świeżej ziemi i grzybów, ale nie było to nieprzyjemne. Z piersi już dawno przestało płynąć mleko, ale ja miałam ochotę dalej ją ssać. Mrowienie ogarnęło całe moje ciało. – Znam twoje troski, córko, ale święta równowaga musi zostać zachowana. Dwunożny człowiek coraz częściej słyszy tylko sam siebie, nie nadstawia uszu dla szumu wiatru, szeptu traw, odgłosów nocy, oddechu kwiatów i skrzypienia starych drzew. Dwunożni ludzie zdeptują odwieczne ścieżki, trzebią stada, ławice, próbują zmienić świat, a on nie potrzebuje tej zmiany”.

„I dlatego mają zginąć wszyscy Beothukowie?”.

„Ktoś musi, ale powiedz mi, córko z czerwonego ludu, jak pogodzić niezmiennosc z zmiennością, którą człowiek za sobą niesie i rozsiewa niczym ziarna traw? Jak to zrobić?”.

„Niech się rodzi więcej zwierzyny, ryb, to wtedy dla wszystkich wystarczy”.

„Zwierzęta potrzebują roślin, które muszą zjadać”.

„To ich też niech będzie więcej”.

„Rośliny potrzebują żyznej ziemi, by rosnąć, muszą mieć pożywkę z ciał swoich padłych braci. A tej nie będzie, bo zjedzą ją zwierzęta, których ma być więcej... Koło się nie zamknie, świat na skorupie żółwia obumrze, a ci, którzy mieli go uprawiać i pielęgnować, będą przyczyną tej zguby”.

Poczułam bezbrzeżny smutek tej świętej istoty, tak jak czujemy ciepło, zbliżając się do ogniska, czy nadchodzący deszcz, gdy wciągamy nosem powietrze. I to nas, Beothuków, było jej żal.

„A gdyby było więcej ziemi?” – powiedziałam cicho.

„Komu mam zabrać, rybom, których wielkie ławice tną głębokie tonie? Morskim olbrzymom, które niby samotne wyspy przemierzają wody wzdłuż i wszerz? Komu? A jak już odpowiesz na to pytanie, to bądź przygotowana na następne: dlaczego?”.

„I nic nie możemy zrobić, Matko?” – Teraz byłam już pewna, że rozmawiam z Unchi, matką i babcią wszystkiego, co żyje. Z samą Ziemią.

„Pomogę wam – usłyszałam jej głos – bo ja was wydałam na ten świat, ja was wykarmiłam. Dam czerwonym ludziom trochę czasu, który jest wszystkim, a wszystko bez niego jest niczym. Wielki Duch podarował stworzonym przez siebie Tob-Tob wolną wolę, a my przekazaliśmy ją dalej. To wielka rzecz móc decydować o swoim kolejnym kroku, ale i wielka odpowiedzialność i... przekleństwo. – Unchi na chwilę umilkła, uciekając gdzieś myślami, ale zaraz powróciła nad wodę.

– Wielka Tajemnica i tym razem dał mi wybór: albo zabiję wielu ludzi, by ci, którzy pozostaną, mogli żyć zgodnie z odwiecznym rytmem, albo oddam wam kawałek siebie. Potem następny, później jeszcze jeden i tak aż do mojej śmierci, córko. Ale która matka nie oddałaby za swoje dziecko życia? Czy aby na pewno miałam jakikolwiek wybór? Was, dwunożnych ludzi, kocham najbardziej ze wszystkiego, co wspólnie z Wi stworzyliśmy, za wasze błędy, uczucia, nieporadność, honor i nade wszystko śmiech. Czy wiesz, córko, że tylko dwunożni ludzie potrafią się śmiać? Nikt inny, nawet Wielkie Duchy, nawet sam Wakan Tanka”. Kobieta potarosiła moje włosy, wypuściłam, chociaż z żalem, z ust jej twardey sutek, podgryzając go na pożegnanie. To, co z niego spłynęło, nie było mlekiem i rozgrzało ciało tak, że moje własne piersi nabrzmiały, a...

„To co mamy zrobić, co może zrobić mój lud?” – Ostatnie słowa były bardziej przeciągłymi ochryplymi jękami, cała drżałam. Obraz doliny rozmywał się przed moimi oczami, by zaraz stać się ostry i wyraźny. Czulałam nadchodzące falami uderzenia gorąca, a moje ciało zachowywało się tak, jak nigdy wcześniej. – Czerwona Orlica zamilkła i trwało to tak długo, że rozczarowany Oddi pomyślał, iż już skończyła swoją opowieść. Jego przyrodzenie przeżyło się pod skórzanymi portkami na całą swoją imponującą długość, gotowe w każdej chwili oddać światu nasienie. W obecności tej kobiety zdarzało się to ciągle. Musiał bardzo uważać, by nie szturchnąć tym rogiem idącego z przodu Snae-Kola. To by się dopiero zdziwił stary Sturla.

Nie chciał tego, ale wszystko ma swoją wytrzymałość, a młodzi mężczyźni tak naprawdę nie mają jej wcale. Trzymał się jednak, gdy kobieta mocy wznowiła opowieść. W duchu dziękował bogom za otaczające wędrowców ciemności.

– Unchi nie porzuciła naszego ludu, pokazała wyjście: „Ruszycie drogą zmarłych, wrotami za Wodą Grzmotów. Szlakiem, którym gdy byłam nieco młodsza, kroczyli pierwsi mieszkańcy Wielkiej Wyspy”.

„To tabu, matko, to święta ziemia...”. – Nie dokończyłam, bo usta zamknął mi kolejny ciepły pocałunek. Tym razem były w nim zapachy lasu i świeżego nagrzanego w słońcu igliwia.

Tego było już za wiele, młody Szwed zadrżał jak człowiek, który skacze na sztywnych nogach ze stopnia na stopień, i przez kilka kolejnych kroków dziwnie podrygiwał, a kolana uginały się pod nim, jakby były z piany morskiej. Idący z tyłu Stękający Lis wpadł w końcu na Askomana, choć na szczęście w ciemnościach wszyscy szli wolno i ostrożnie.

Oddi oprzytomniał, zresztą i tak było już po wszystkim, a mokrymi portkami nie zamierzał się

przejmować. Dał dwa szybkie kroki i znowu wyraźnie słyszał Czerwoną Orlicę, która naśladowała głos Matki Ziemi.

– „Niech idzie z wami, córko, ktoś, to nie wierzy w Tob-Tob, kto jest jak niemowlę, choć rozum w nim dojrzały. Jego niewiara zniweczy klątwę. I pamiętajcie, w tej drodze noście w sercach prastarą prawdę: Kiedy urodziłeś się, płakałeś, a świat się cieszył i śmiał. Żyj tak, by gdy odchodzisz, przepełniała cię radość, a ten sam świat płakał z żalu”.

„Ale nie ma takich lu...” – Urwałam w połowie słowa, bo pomyślałam o tobie, wodzu wodzów. Ty przybyłeś do Beothuków z innego świata, być może cały czas nosisz w sercu starych bogów.

Snae-Kol burknął coś gniewnie, ale Oddi nie zrozumiał co.

– Teraz wiem, ale wtedy nie było jeszcze bladuskórego, też byś tak pomyślał, będąc na moim miejscu.

Znowu burknięcie, tym razem mniej gniewne i jakby przytakujące.

– Nim zdążyłam coś powiedzieć, zapytać, Unchi zniknęła. Wraz z nią rozwiały się niczym dym walące się góry. Byłam sama i leżałam w wyziębionym szałasie potów. W ognisku dopalały się ostatnie gałęzie.

Snae-Kol pokiwał tylko głową, jakby wszystko zrozumiał, choć Oddi był przekonany, że wstydzi się pytać, i tyle. Przez jakiś czas szli w milczeniu. Droga zwężała się w tym miejscu i więcej w niej było pułapek niż w rybie ości. Oddi przestał rozmyślać o kobietach, Unki czy Unchi, o czyhających trollach, gnomach, krasnoludach i krwiożerczym smoku Nidhögg, skupiając się na unikaniu występów skalnych, na kolejnym kroku, na szerokich plecach poprzedzającego go Snae-Kola. Po pewnym czasie ku swojemu zdziwieniu spostrzegł, że ma przed sobą pierzasty płaszcz völvy. Widocznie wódz wodzów przesunął się do przodu.

– Wszystko słyszałeś, bladuskóry. – To było bardziej stwierdzenie niż pytanie.

– Ale nadal nie wiem, na czym polega moje zadanie, czcigodna. Bo po prawdzie wierzę w swoich bogów, ale to obca kraina i wasi tu mają moc. W nich też wierzę.

– Czas pokaże, ale... wygodnie ci?

Oddiego zaskoczyło to dziwne pytanie, ale zaraz przypomniał sobie o mokrych portkach, które obcierały mu trochę skórę. Zamknął jadaczkę z tak głośnym kłapnięciem, że chyba wszyscy w drużynie musieli je słyszeć. Cichy, niemal dziewczęcy śmiech Czerwonej Orlicy słyszał tylko on.

Pierwszy słoneczne światło zauważył Chrapiący Pies, który jakiś czas temu zastąpił Rączego Wilka i szedł teraz z przodu.



Rozum potrzebny temu, kto robi podróż daleką,

Łatwe jest wszystko w domu;

Pośmiewiskiem ten, co niczego nie wie,

A z mądrymi siedzi.

Siedem głów wychyliło się ostrożnie z ciemnego otworu tunelu i na siedmiu twarzach niepokój szedł w parze z ciekawością i zaskoczeniem. A widok mieli przed sobą niezwykle, zważywszy na fakt, że

znajdowali się w miejscu, w którym powinni mieć nad głowami twarde skały i nic więcej.

– To niemożliwe! Nawdychaliśmy się jakichś oparów po drodze i tyle. – Oddi wgapił się jak wszyscy w ogromną dolinę, którą mieli u stóp. Zdawała się tak długa, że idący pieszo człowiek potrzebowałby połowy dnia, by dotrzeć na jej przeciwległy koniec. Cały środek zajmował gęsty, przysypany teraz śniegiem las, w którym pokaźną część stanowiły potężne dęby.

– Tu duchy drzew mają się dobrze, osłonięte z każdej strony przed zimnymi wiatrami. – Chrupiący Pies położył Askomanowi dłoń na ramieniu. – Jakie grube te pnie, spójrz.

– Ale jak to się stało, że nie wiedzieliście o istnieniu tej ogromnej i bogatej doliny? Przecież te góry nie są aż tak wysokie? Ktoś się musiał już wspiąć na szczyt, a stamtąd...

– Cały Grzbiet Łosia jest tabu. Nie rozumiesz tego, bracie, ale dla nas zbezczeszczenie świętego miejsca oznacza, że nie trafimy po śmierci do Odległej Krainy. To tak jak dla was tchórzostwo. – Syn Kamiennego Ostrza ugryzł się w język, ale było już za późno. Słowa wyleciały z ust wraz z oddechem. Coś zaczął tłumaczyć przepraszająco, ale wiking machnął tylko ręką wpatrzony w to, co rozciągało się przed ich oczami.

– Patrz, tam! – Syn Kamiennego Ostrza wskazywał ręką prawie pionową ścianę po prawej stronie. – Jaskinie!

Faktycznie, skała w jednej trzeciej wysokości upstrzona była dziesiątkami ciemnych plam, które musiały być otworami.

– Dym! – Tym razem jego wyciągnięty palec celował w przeciwległy, ledwo widoczny kraniec doliny.

– Będziesz mi tak pokrzykiwał nad jedynym moim uchem, to niedługo stracę słuch – ofuknął go Oddi. – Wzrok mam nie gorszy od ciebie.

– To nie dym, ale oddech ziemi – mruknęła Czerwona Orlica.

– Mówię wam, że to jest Gnomedal, ziemia wrednych i przebiegłych gnomów. Helvegr wiezie przez takie krainy, nim znajdzie swój koniec w najniższym ze światów. A wiercie mi, tam nie chcielibyście się znaleźć. – Oddi kopnął mały kamyk, który poturlał się w dół zbocza.

– A ty skąd wiesz, skoro boisz się jaskiń niczym wiarołomny mąż powrotu do domu? – Snae-Kol podrapał się z chrzęstem po świeżym zaroście. Zwykle pieczołowicie golił go swoim coraz cieńszym saksem, ale w rozświetlanej blaskiem pochodni ciemności było to niemożliwe.

– Wszyscy to wiedzą, wodzu. Dämesagi, ku przestrodze, opisują tę drogę ze szczegółami. Sam Odyn, by ratować uwięzionego przez Hel brata...

– To kraina Beothuków i ich bogów, młody Oddi. Pogódź się z tym i nie drażnij ich swoją niewiarą, przynajmniej nie czyn tego głośno. A jak tak bardzo chcesz, nazwiemy tę dolinę Gnomedal. – Stary wódz uznał rozmowę za zakończoną i zataczając szeroki łuk ręką, rzekł: – Wypatrujcie ruchu, bo nie skały i duchy są dla nas zagrożeniem – w tym momencie położył swoją wielką dłoń na ręce Czerwonej Orlicy, a ta skinęła głową – ale mieszkańcy tego lasu, strażnicy BeothNocha.

– I tych jaskiń – dodał Chrupiący Pies.

– I tych jaskiń – zgodził się z nim wódz wodzów.

Siedem par oczu z niepokojem lustrowało okolicę i wydawało się, że nic większego od śnieżnego zajęcia nie wydeptuje ścieżek w głębokim śniegu. Nie mogli być tego pewni, ale przynajmniej na razie nie było widać wielkich niedźwiedzi, ani nawet tych mniejszych, zwyczajnych. Może opowieść o BeothNocha była tylko mitem? Świeże gówno uderzyło z cichym płaskiem o nagą skałę u stóp Oddiego.

Za to zimowego ptactwa było tu zatręśnienie.

– Schodzimy, oszczepy w pogotowiu – wydał polecenie Snae-Kol i z ludzi jakby zeszło zakłęcie bezruchu. Poprawiali odzienie, by nie krępowało niepotrzebnie ruchów, skracali rzemienie skórzanych worków, które każdy dźwigał na plecach.

– Rączy Wilku, zostaniesz na górze i jeśli zginiemy, powrócisz do osady z ostrzeżeniem i z wieściami.

– Tak będzie, wodzu. – Myśliwy, zresztą tak jak i inni, nie bardzo miał ochotę schodzić w dolinę, po której biegają stada ogromnych niedźwiedzi, na dodatek w przebiegłości nieustępujących dwunożnemu człowiekowi. No i te złe duchy... Kobieta mocy zapewniała, że one nie zrobią nikomu krzywdy, ale ostrożny wojownik nie wkłada głowy w paszczę głodnego wilka, choćby ten przyjaźnie machał ogonem.

Sześć schylonych sylwetek ostrożnie szło, a częściej zjeżdżało po sypkim śniegu, bo to zbocze nie należało do najłagodniejszych. Trzy pozostałe były jednak jeszcze bardziej strome. Niebezpieczeństwo kryło się pod białą okrywą, gdzie schowane przed wzrokiem czaiły się przepastne jamy, ruchome głązy czy luźny, gotowy porwać wszystko na swojej drodze zmrożony i śmiertelnie niebezpieczny puch.

Wielki Duch, Odyn czy ktokolwiek, kto zarządzał ludzkim życiem w tym miejscu, nie miał na razie krwawych planów wobec ludzi, ponieważ bez większych przeszkód dotarli na dół.

– Oczy naokoło głowy, w razie niebezpieczeństwa uciekamy na drzewa, jeśli nie będzie dokąd, stajemy plecami do siebie, chroniąc Czerwoną Orlicę. – Snae-Kol żuł trochę nerwowo rzemień z kaptura, co czyniło jego mowę niezbyt wyraźną.

Słońce stało w połowie swojej drogi, gdy pojawili się u wylotu korytarza, a nim zaszło, dotarli bezpiecznie do miejsca, które w pierwszej chwili wzięli za ogniska. Po drodze mijali wielkie, bezlistne teraz dęby, królujące w otoczeniu mniejszych, choć przecież nie małych białych brzoź i czarnych świerków. Tu i ówdzie rosły też osiki, ale niewiele. Okrywająca wszystko zimowa szata i niespotykany na wyspie brak wiatru sprawiały, że wędrowcy mieli wrażenie, jakby trafili do świata, który zamarł na kilka chwil zmrożony lodowym oddechem. Bez trudu dostrzegli mnóstwo świeżych tropów drobnej zwierzyny, jednak przynajmniej na razie nic większego od rysia nie zostawiło odcisku swej łapy w sypkim śniegu. Dobre i to.

Ciepłych mniejszych i większych kałuż było kilka, a oddychająca woda spokojna w tych dużych, biła na wysokość człowieka z tych najmniejszych, ochlapując deszczem kropel najbliższą okolicę. Na jedno z takich miejsc wkroczył niebacznie Chrapiący Pies, chcąc sprawdzić jego wytrzymałość, i już po chwili leżał jak długi, niemal w ostatniej chwili uniknąwszy przemoczenia. Pod cieniutką warstwą wody skrywał się twardy i zdradliwy lód.

Oddi spróbował językiem smaku wody, bo widział już podobne gorące zbiorniki i z reguły ich zawartość miała zgniły zapach i nie nadawała się do picia ani kąpieli. Tu było inaczej, a słodki smak na języku był tego najlepszym dowodem.

– Dobra, nada się – mruknął zdziwiony.

– I mokra – odburknął mu synaKamiennego Ostrza, rozcierając obolały nadgarstek.

– Musimy zgromadzić drewno na ognisko, i to na tyle duży zapas, by stworzyć palący się okrąg, gdyby zaatakowało nas coś, z czym sobie nie poradzimy strzałami i dzidami. – Völva nakreśliła w powietrzu wielki okrąg. – Z tym, co jest od dawna martwe, ale nie chce odejść, poradzę sobie z pomocą tego bladokórego olbrzyma. – Wskazała palcem na Oddiego. Nie było dyskusji, gdyż słońce jedną krawędzią dotykało już otaczających dolinę szczytów górskich. Nie mieli wiele czasu.

O dziwo noc minęła spokojnie, ale i bezsennie, albowiem każdy najlżejszy szmer, krzyk ptaka czy

szum osuwającego się śniegu stawiał przybyszów na nogi, a wyobraźnia rysowała zaraz ostre kły i pazury oraz paszczę zdolną połknąć głowę dorosłego człowieka. Więc niewyspani, ale cali i zdrowi rozpoczęli rankiem dalsze przeszukiwanie Gnomedalu, ponieważ ta nazwa doliny spodobała się wszystkim, choć skogarmadrowie nie rozumieli jej prawdziwego znaczenia. Jakżeby mogli, skoro nigdy nie widzieli gнома. Oddi widział we śnie dawno temu.

Nie znaleźli śladów świadczących o bytowaniu na tym terenie olbrzymich niedźwiedzi. Zaniepokojone obecnością człowieka były jedynie ptaki, które podrywały się do lotu czarnymi i białymi chmarami, gdy tylko przechodzili w ich pobliżu.

Słońce minęło już połowę drogi, gdy zebrali się znowu razem w okolicy gorących źródeł. Nad ogniskami piekło się kilka ustrzelonych dzisiaj śnieżnych zajęcy i jeden piżmak, roztaczając po okolicy smakowite wonie.

– Tu nic nie ma. – Chrapiący Pies przekręcił krwistoczerwoną tuszę, by opieką się równomiernie.

– Nie ma albo to coś chce, byśmy tak myśleli. – Stękający Lis usiadł z godnością nieopodal i zabrał się do zdejmowania skóry ze swojego obiadu. – To, co tu robimy, nie podoba się duchom i zapłacimy daninę krwi, zobaczycie – dodał.

– Nie ma nawet tropów, musiałoby latać niczym Nakrapiany Orzeł, posłaniec samego Wielkiego Ducha. – Syn Kamiennego Ostrza pokręcił głową.

– A te jaskinie? – Oddi podszedł bliżej, żując suszone mięso, które zabrał jeszcze z obozu pod Wodą Grzmotów. Jemu, w przeciwieństwie do miejscowych, nie udało się nic upolować.

– Snae-Kol mówił, że jeszcze dzisiaj je sprawdzimy. – Chrapiący Pies obrócił swój posiłek, a na płonące drewna spadło kilka kropel wytapiającego się tłuszczu. Zapach uniósł się precudny. Młody wiking z zazdrością spojrzał na przyjaciela.

– Ty, błydy obcy, powinieneś być zostać złożony w ofierze Ptakowi Piorunowi, gdy tylko wpadłeś w ręce Długich Ludzi. – Stękający Lis splunął w ognisko, a ono odpowiedziało mu cichym sykiem.

– Zawsze możesz wyzwać go na pojedynek, Lisie, i zrobić to, czego nie uczynił mój ojciec. – Chrapiący Pies mówił spokojnie, jakby rozprawiał o złowieniu dużego łososia. – Może nawet ojciec będzie ci za to wdzięczny, ale we mnie i w mojej siostrze będziesz miał śmiertelnych wrogów, wielki wojownik. A i rozmawiająca z duchami może mieć coś przeciwko, a zadzierać z największą szamanką Beothuków to tak, jakby próbować połknąć strzałę. – Zaśmiał się, wyobrażając sobie taki posiłek, ale Stękającemu Lisowi nie było wesoło.

– Nie jest prawdziwym Długim Człowiekiem, to nie mogę go wyzwać na pojedynek, tak jak nie można wyzwać pnia drzewa, natrętnej muchy czy odcisku stopy w głębokim śniegu. Jest niczym, cieniem cienia, który sprowadzi na nasz lud nieszczęście, tak jak nieszczęściem są rządy Snae-Kola. Wszystkie plemiona chcą naszych głów, zmęczone corocznymi rajdami jego drużyny wilków. Modlą się do Wielkiego Ducha o naszą śmierć! – Niemal krzyczał, czym zwrócił na siebie uwagę pozostałej trójki.

– Jeśli winą tego przybysza zza Wielkiej Wody, brata krwi Kamiennego Ostrza, jest rosnąca siła i dobrobyt, bo to one są solą w oku wrogów, to masz rację, synu starego wodza. – Czerwona Orlica nadgryzła swojego zająca i stwierdziwszy, że jeszcze trochę trzeba go podpiec, z powrotem ułożyła tuszkę nad ogniem. – Prawda jest jednak inna: dopóki wszyscy ludzie nie pogodzą się sami ze sobą i nie zniknie z ich serc zawiść, dopóty między plemionami będą trwały wojny. A gdyby Wakan Tanka chciał stworzyć człowieka tchórzliwym, nadałby mu postać zająca, który skwierczy nad ogniskiem, nie sądzisz?

– To dlaczego właśnie teraz okoliczne plemiona chcą nas zniszczyć? No, dlaczego, kobieto mocy?

Innych możesz omamić swoimi opowieściami, ale nie mnie, nie mnie!

– Może dlatego, że jesteśmy niby drzewo wyrastające ponad inne, ponad las. To w nas uderzają najmocniejsze wichry, to w nas ciska gromy Ptak Piorun, podczas gdy reszta chroni się w tłumie. Ale czy to jest powód, by nie wzrastać?

– Nie, ale rosnać wraz z innymi i równo z nimi! – warknął Stękający Lis.

– Masz rację, ale czy wtedy nadal bylibyśmy dwunożnymi ludźmi? Czy takich nas stworzył na swoje podobieństwo Wielka Tajemnica?

– Mówisz tak, rozmawiająca z duchami, bo wódz wodzów nie jest ci obojętny. To dlatego wsparłaś tego obcego, gdy sięgał po wodzowskie wampumy, choć byłaś wtedy ledwie uczniem czarownika. Gdyby nie ty, do dziś byłby on wioskowym psem, odszczepieńcem albo co najwyżej myśliwym bez prawdziwego imienia! – Zadawnione żale wzięły górę nad rozsądkiem syna starego wodza.

– Tak mi doradziły duchy przodków, Stękający Lisie. Uważasz się za mądrzejszego od nich? – Pod powierzchnią spokojnego głosu kobiety szalał huragan emocji i niewiele było trzeba, by przerwał on cienką barierę, tryskając swoją niszczycielską siłą. Prawdą było, że od dawna spędzali z wodzem wodzów w szalasie potów czas, ucząc się smaku własnych ciał, prawdą było, że darzyła wielkiego wojownika uczuciem, do którego nie przyznawała się nawet sama przed sobą, ale nigdy nie wszedł w nią do końca żaden mężczyzna, nie obdarzył żyznej ziemi swoim nasieniem. To by zniszczyło jej moc, stałaby się bezużyteczna dla swojego ludu i w takich momentach czuła strumień na skórze, a nie w sobie. To, co kobieta ma najcenniejszego i skrywa we wnętrzu swego brzucha, dawno temu oddała Wakan Tance. Wiele poświęciła dla plemienia, czasami miała wrażenie, że zbyt wiele.

Po tych słowach zapadła cisza.

– On ma trochę racji, czcigodna. – Snae-Kol wyprostował splecione dłonie, aż zatrzeszczały stawy. – Moje przybycie przyniosło zmiany, które obróciły się przeciwko Długim Ludziom. Gdy przepędzimy Mikmaków i Huronów z naszej ziemi, zbiorę drużynę i odpłynę do kraju za Wielką Wodą, zabierając ze sobą Oddiego. Może tak będzie najlepiej.

– Zobaczymy, mężny wodzu, bo o tym, co przyniesie przyszłość, nie my decydujemy, lecz Tob-Tob. I cokolwiek powie przypiekany przez własne niespełnione ambicje wojownik, to z ich woli żyjesz i przewodzisz Beothukom. – Odsłoniła zęby niczym łasica broniąca swoich młodych. – A ty, Stękający Lisie, synu Nakrapianego Kozła i Kory Drzewa, smakuj słowa przed ich wypluciem, bo teraz jesteśmy niczym pięść przed ciosem. Palec, który nie zegnije się jak inne, pęknie z trzaskiem, osłabiając resztę.

Dumny wojownik zachnął się na te słowa, ale poprzestał na rzuceniu nienawistnego spojrzenia w stronę Oddiego, jakby to on był winien doznanego teraz upokorzenia.

Posiłek zjedli w milczeniu, a wiking dostał nawet dobrze wypieczone udo, które z litości, ale i ze szczerym uśmiechem na pełnej twarzy, podarował mu Chrapiący Pies. Gdy słońce stało jeszcze wysoko, ruszyli w stronę ciemnych wylotów jaskiń.



Koło małego jeziora – mały brzeg:

Mały jest duch człowieka;

*Rozum nie u wszystkich równy,
Połowiczny jest wiek każdy.*

Ta dziwna, otoczona z czterech stron skałami dolina przypominała królewską koronę. Jej strzeliste ściany do połowy ozdabiała roślinność, tworząc misterny brązowo-biało-zielony wzór, ale wyżej wieńczyły ją ostre nagie kamienne zęby.

Droga w górę zbiega z początku była łatwa, wiodła pomiędzy iglastymi niskimi drzewami i płataniną pływających korzeni. Im dalej jednak, tym rośliny stawały się lichsze, a skały bardziej strome. Z ziemi coraz częściej wystawały wielkie kamienie. Ale i to się skończyło, gdy wędrowcy weszli na obnażone, przysypane jedynie śniegiem zbocze, gdzie każdy nierozważny krok groził upadkiem. Po kilku bolesnych wywrotkach pierwszy na czworaki opadł Bjarki, a reszta poszła za jego przykładem. Posuwali się teraz znacznie wolniej, chwytając zmarzniętymi dłońmi liczne występy. Grube, ciepłe rękawice dyndały zatknięte za pas, i to pomimo siarczystego mrozu.

Pierwszy na skalnej półce stanął Bjarki, za nim Rączy Wilk i Czerwona Orlica, ale Oddi nie dziwił się temu za bardzo, pamiętał bowiem jej smukłe i silne ciało, skryte teraz pod płaszczem z piór niczym naostrzony saks w skórzanej pochwie – w każdej chwili gotowy do użycia. Potem kolejno Stękający Lis, Chrapiący Pies, on sam i na końcu, sapiąc niczym miech kowalski, legł na ośnieżonych kamieniach Snae-Kol. Na szczęście występ przed jaskinią, do której dotarli w pierwszej kolejności, był spory i bez trudu pomieścił całą szóstkę. Nie było chętnych do samotnego pchania się w czeluść, którą mieli przed oczami, ale nic w tym dziwnego, gdyż z bliska wyglądała niczym rozwartą paszcza jakiegoś potwora. Wystający nawis skalny razem z półką, na której odpoczywali, nasuwał Oddiemu skojarzenie z jedną bestią – Fenrirem. Tym samym, który gdy nadejdzie koniec świata, zagryzie najsilniejszego z Asów – Odyna.

Przez kilka chwil więc trwali tam, zacierając zgrabiące z zimna dłonie, aż wódz wodzów doszedł do siebie i wstał.

– Zapalcie pochodnie, same nie zapłoną – mruknął zły na siebie olbrzym. Upływające lata, choć przecież obeszły się z nim łagodnie, to jednak zmieniły silnego i wytrzymałego niczym niedźwiedź woja we wciąż silnego, ale i ciężkawego człowieka w jesieni życia. A to nie sprzyjało wspinaczkom.

Po chwili rozgorzało dwoje ognistych oczu i całą zwartą, gotową do obrony grupą wkroczyli do świata ciemnych elfów albo, jak woleli miejscowi, na drogę do Odległej Krainy. Gruba warstwa śniegu zalegała tylko przy brzegu, dalej nie było go prawie wcale. Ale co się dziwić, przecież w dolinie, ze wszech stron otoczonej wysokimi górami, zapewne od setek lat nie hulał solidny wiatr.

Jaskinia była ogromna, większa od największego hovu, więc zapalili kolejne pochodnie, tak że już po dłuższej chwili zrobiło się jaśniej. A nawet można by powiedzieć, że bardzo jasno, ściany zdawały się bowiem odbijać i zwielokrotniać blask pochodni, nadając światłu lekko żółty kolor. To nie był wprawdzie blask dnia, ale wystarczył, by dojrzeć śpiące pod ścianami sylwetki.

– Cofnąć się, cofnąć! – Snae-Kol, nie odrywając wzroku od znaleziska, dał kilka szybkich kroków do tyłu i wpadł na idącą w ślad za nim Czerwoną Orlicę.

– Niech dobre duchy zdejmą bielmo z twoich oczu, wodzu wodzów – fuknęła rozdrażniona tym niespodziewanym spotkaniem kobieta mocy. Potem dodała nieco spokojniej: – To ciała i o ile mnie wzrok nie myli, leżą tu od bardzo dawna. – Mówiąc to, drobna kobieta poprawiła płaszcz z piór, który nieco się rozsunął po zderzeniu z olbrzymem. Powietrzem nie szarpały wprawdzie wiatry i przeciągi, ale w wystawionych na mróz skałach nie było ani krzty ciepła. Oddi czuł się jak wtedy w prastarym

kamiennym kurhanie, który splądrowali w Krainie Grodów trzy wiosny temu. Ruszyli austrvégr wraz z karawaną kupców podążających do Holmardu, gdy któryś z miejscowych opowiedział wodzowi wyprawy o tym starym grobie jakiegoś tutejszego króla. Znaleźli tam trochę kości, kilka glinianych garnców i jeden miedziany hełm, pamiętający chyba czasy Romverjów. No i zimno, przejmujące do szpiku, takie jak tu. Chociaż, jak pamiętał, po plecach przebiegły mu wówczas ciarki, dałby wiele, by znowu znaleźć się wśród członków tamtej drużyny.

– Daj, potrzebne mi dwie! – Snae-Kol wyrwał pochodnię stojącemu obok Stękającemu Lisowi i ruszył ostrożnie w kierunku ciemnych sylwetek. Syn starego wodza coś tam próbował mówić, protestując przed takim traktowaniem, ale nikt go nie słuchał, wszyscy wpatrywali się z napięciem w olbrzymiego wojownika, a raczej w to, co niesione w jego dłoniach światło wydobywało z mroków. Drżące płomienie zdawały się ożywiać martwe, zimne kamienie. Plamy cienia to przybliżały się do wędrowców, to znów umykały w mrok. Oddi nie mógł oprzeć się wrażeniu, że to miarowy oddech olbrzymiego wilka Fenrira, który czeka na czas, gdy opadną z niego pęta i będzie mógł rzucić się bogom do gardeł. Nawet słyszał coś, jakby odległe sapanie...

– Chodźcie, to faktycznie trupy. – Wódz wodzów kopnął jedną z łap najbliższego stwora, a ta z suchym trzaskiem odpadła od reszty ciała. Jego ludzie zatrzymali się w połowie drogi, równie ciekawi, jak gotowi do ucieczki.

– I to miały być te wielkie bestie, ci niezwyccięzeni strażnicy BeothNocha, którzy ścigali Długich Ludzi po całej Wielkiej Wyspie? – Pogarda w jego głosie dorównywała zdumieniu. – Przecież te truchła są wielkości co najwyżej zwykłych ludzi-niedźwiedzi, a i to nie wszystkie.

Oddi, który tymczasem podszedł bliżej, musiał przyznać mu rację. Przed sobą widział dwa razy po sześć zdeformowanych sylwetek, z których kilka miało zbyt wielkie łby, inne krótkie i rachityczne łapy albo powykrzywiany jakąś nieznaną chorobą bezzębny pysk, jeszcze inne – wszystkiego po trochu.

– Leżą tu już bardzo długo, może się skurczyły od mrozu? – rzekł bez przekonania.

Chrapiący Pies szturchnął go mocno łokciem w bok.

– Tobie, bladokóry, to się wydaje, że ludzie-niedźwiedzie są niczym twoje przyrodzenie i pod wpływem zimna... – Zaśmiał się cicho i niepewnie, bo to miejsce niezbyt nastrajało do żartów. Z drugiej strony młodość bywa przecież nieokiełznana i nieobliczalna.

– Zostawmy ich tak, jak tu leżą. Ich duchy będą nam wdzięczne za łaskę spokoju. – Snae-Kol musiał podnieść głos, ponieważ ta dziwna jaskinia w jakiś sposób wchłaniała i zniekształcała słowa. Nie czekając na resztę oddziału, ruszył na spotkanie ciemności wewnątrz góry. Z dwiema pochodniami w mocarnych dłoniach wyglądał niczym sam strażnik granic Muspelheimu – Surt, ze swoim nieodłącznym ognistym mieczem. Oddi potrząsnął głową, ale nic nie mógł poradzić na to, że w tym strasznym miejscu wszystko nabierało boskiego wymiaru.

– Tu jest jakieś przejście! – rzucił zduszonym głosem.

– Tabu! – W tym jednym słowie Czerwonej Orlicy była taka moc, że wszyscy zamarli w bezruchu. – To droga do wnętrza góry i Odległej Krainy. Mamy już to, po co tu przyszliśmy, mamy dogodną do schronienia i bezpieczną dolinę, wracamy.

Nie było protestów, bo ryzyko dla samego ryzyka skraca życie jak skok z dużej wysokości do mętnej wody bez sprawdzenia dna.

Słowa kobiety mocy przepływały przez uszy młodego wikinga niczym woda przez rzadkie sito. Nic nie zostawało w głowie, jakby ich w ogóle nie było. Od kilku chwil wyglądał niczym człowiek zamieniony

w słup soli. Lecz to zakłęcie bezruchu w końcu pękło. Nagle zaczął gorączkowo wodzić palcami po powierzchni jednej ze skalnych ścian. Potem wyjął zza pasa mały nożyk do krojenia pieczystego i wydłubał sporą żółtą grudkę.

– Co robisz? Musimy iść. – Chrapiący Pies podszedł do przyjaciela zaniepokojony jego dziwnym zachowaniem.

– Tu jest złoto, patrz.

W głosie Oddiego było uwielbienie i nabożna cześć. Przystawił pochodnię bliżej i zaczął wodzić nią wzdłuż bloku kamienia. Oczom młodzieńców ukazało się szerokie pasmo niemal czystego cennego kruszcu, biegnące od kamiennej posadzki aż do sklepienia jaskini. Takich smug było wokoło więcej. Niektóre rozszerzały się u góry, inne przeciwnie – zwężały, i to one były przyczyną żółtawej poświaty, którą wzbudziły tu ognie pochodni.

– To złoto, o którym wam opowiadałem, cenniejsze od srebra, cenniejsze od życia... – Głos młodzieńca się załamał. – Żyły są na wierzchu i gdyby wydobyć choćby cząstkę, bylibyśmy bogaci niczym królowie. Królowie, słyszysz?

– I martwi. – Oddi w pierwszej chwili nie zrozumiał przyjaciela. Zresztą wszelkie informacje torowały sobie teraz z trudem drogę do jego rozgorączkowanej głowy.

– Co martwi, jacy martwi, bogaci! Kupimy sobie wszystko: domy, kobiety, statki i całe wioski. – Wiking już widział oczyma wyobraźni siebie, jak rozdaje hojną ręką prezenty, wzbudzając zawiść wrogów i uwielbienie przyjaciół. Z trudem oddychał, te wizje były tak żywe i kuszące. Dostrzegał, jak na czele najemnych oddziałów mści się na konungu Eryku Zwycięskim, nie za ojca, bo ten dostał to, na co zasłużył, ale za matkę i siostrę, za ich niewolniczy los.

– To teren tabu, niczego stąd nie weźmiesz bez zgody Czerwonej Orlicy. A gdy ona usłyszy, że chcesz plugawić święte kamienie, sama cię zabije, nie czekając, aż zrobią to wściekłe duchy.

– Ale...

– Idziemy, póki nie zauważą naszej nieobecności. Zapomnij o tym, co widziały twoje oczy. Gwiazdy też są żółte i na pewno całe z tego twojego złota, i co z tego? Nie sięgniesz ich, możesz tylko patrzeć. Tak samo jest z tymi jaskiniami.

Opamiętanie spłynęło na Askomana niczym poranna mgła na bagna, na wystający z wody samotny głaz. Był wśród obcych, dla których te jaskinie stanowiły świętość. Gdyby sprowadził tu swoich ziomeków, krew polałaby się szerokim strumieniem, i to krew ludzi, którzy dali mu w potrzebie ciepło, schronienie i przyjaźń. Żyjąc od kilku miesięcy wśród Beothuków, już niemal zapomniał o żądzy posiadania, która zabijała tak wielu dzielnych wojów w rodzinnej Szwecji, a spokojnych ludzi zmieniała w bestie. Sam doświadczył tej mocy przed chwilą. Zadrżał, ale nie z zimna. Tu, poza kilkoma narzędziami, kamiennym garnkiem i bronią wszystko było wspólne. Społeczność działała niczym jeden organizm, który by przetrwać, musi współpracować. Była zawiść, czego przykład stanowił Stękający Lis, ale takich Lisów wśród skandynawskich fiordów było o wiele, wiele więcej.

Otrząsnął się swoim zwyczajem niczym wychodzący z wody pies, odetchnął głęboko. Zmieniłeś się, Oddi Asgotssonie, pomyślał radośnie. Oni cię zmienili.

Do skórzanego woreczka przy pasie włożył odłupaną wcześniej sporej wielkości żółtą grudkę. Tak na pamiątkę.

– Chodźmy, Chrapiący Psie, i... dziękuję, przyjacielu.

Ten mruknął coś niezrozumiale, ale wyraźnie był zadowolony z siebie.

Na dole czekała zaniepokojona drużyna. Szczególnie völvva patrzyła na Askomana długo i z uwagą, jakby zaglądała mu do głowy. Jeśli nawet, to to, co tam zobaczyła, musiało ją zadowolić, bo bez słowa ruszyli dalej.

Nim Wi schował się za chmurami, dla pewności wdrapali się jeszcze do trzech podobnych jaskiń. Dwie z nich były puste, a w trzeciej zastali podobny widok jak w tej, którą Oddi nazwał Złotą Paszczą Fenrira. Ta dolina była domem i grobem potężnych niegdyś BeothNocha. Ich śmierć okrywała tajemnica, ale całe życie, cały świat pełen jest tajemnic, dlatego właśnie ludzie mają bogów. Do obozowiska przy gorących źródłach powrócili już po zmroku. Zniknęły gdzieś przyjacielskie docinki, żartobliwe uszczypliwości. Tabu tych gór pokazało swoją moc, pochłaniając pierwotnych mieszkańców Wielkiej Wyspy. Zatopieni w myślach wojownicy zadawali sobie pytanie: Czy, a może raczej kiedy taki los spotka Beothuków? Odpowiedzi mogli udzielić tylko najwięksi czarownicy po zjednoczeniu z Wakan Tanką podczas ceremonii w szałasie potów. A i to nic pewnego, ponieważ zamysł Wielkiego Ducha może umknąć prostemu rozumowi dwunożnego człowieka. Pozostało im cieszyć się, że Będący Wszystkim podarował Długim Ludziom schronienie, przy którym zbudowana z takim trudem palisada była niczym tarcza z liści przy skorupie morskiego żółwia.

Płytki sen nie dał ciałom odpoczynku. Dla odmiany to nie zagrożenie ze strony okrutnych i krwiożerczych Beoth-Nocha, ale tabu tego miejsca i obecność wielu mrocznych duchów z odległej przeszłości rozbudzały zmysły i nie pozwalały zasnąć wszystkim, z wyjątkiem Oddiego. Młody wiking spał jak zabity i obudził się rano świeży i wypoczęty. Czym tu się przejmować, skoro los każdego człowieka został ustalony jeszcze przed jego narodzinami i będzie, co komu pisane? Pozostali, nachmurzeni i z podkrążonymi oczami, dziewicze promienie wschodzącego słońca przywitali z wielką ulgą.

Ranek, poza światłem Wi, przyniósł członkom drużyny pierwszą śmierć.

W skórzanym bukłaku wesoło gotowała się woda wraz z paskami suszonego mięsa, które zabrali jeszcze z obozu. Bjarkiemu udało się nawet ustrzelić zbyt ciekawskiego śnieżnego lisa, może niezbyt smacznego, ale o niebo lepszego od podeszew butów, które próbowali uczynić bardziej zjadliwymi.

– Te zwierzęta nie boją się człowieka – mruczał pod nosem młody myśliwy.

– Na razie, to się zmieni – rzucił wesoło Oddi, idąc w stronę ogniska ze świeżym naręczem gałęzi. Nagle potknął się i wpadł wprost w żółte płomienie. Swąd palonej rzadkiej brody i futrzanego kaptura musiał być wyczuwalny w całym Gnomedalu. Na szczęście mokry od gorących źródeł śnieg ugasił ogień, nim ten zdążył wezreć się w skórę młodzieńca z Północy. Wiking wyciągnął głowę z zasy, w której znalazł ratunek, i natknął się na zimne spojrzenie właściciela podstępnej nogi.

– Ty synu cienia. – Bjarki rzucił się na Stękającego Lisa, ale ten był szybszy i przyłożył młodzieńcowi do gardła kościany nóż. Pewnie w ogóle nie musiał go wyciągać, bo cały czas trzymał broń ukrytą w futrzanym rękawie.

– Chcesz już dzisiaj dołączyć do duchów przodków, kundlu swego ojca? Jeśli tak, to mogę ci w tym pomóc. Tylko dwa razy pomyśl, bo nie wiadomo, gdzie trafi duch takiego mieszańca jak ty. – Syn starego wodza, choć nieco niższy od Bjarkiego, był jednym z najlepszych wojowników i myśliwych w plemienu i wiedzieli o tym wszyscy. No, może prawie wszyscy, gdyż Oddi nie miał o niczym pojęcia. A nawet gdyby, to młoda gorąca krew wrzała w żyłach szybciej niż woda wylana wprost na rozgrzane do czerwoności kamienie. Bjarki stęknął zaskoczony siłą uścisku starszego wojownika i kopnięty kolanem w plecy poleciał głową w śnieg. Stękający Lis nie był jeszcze gotów na otwarty pojedynek z ojcem

mieszkańca, jeszcze nie.

Wiking podszedł teraz do skogarmadra, uspokajająco unosząc dłonie. Na twarzy błąkał mu się pojednawczy uśmiech, wywołując u przeciwnika grymas pogardy. Ten chciał nawet splunąć z obrzydzeniem i właśnie zbierał ślinę, ale nie zdążył posłać jej wprost w jaśniejącą twarz przybłądy zza Wielkiej Wody. Oddi, wykorzystując całą siłę i szybkość młodego ciała, nagle opuścił zwiniętą w pięść dłoń i posłał Beothuka na ziemię. Cios był mocny, poparty ciężarem ciała, a zaprawione od wiosła i miecza ramię opadło niczym sam Mjöllnir, młot boskiego Thora. Stękający Lis padł w śnieg niczym ścięte drzewo, a ze złamanego nosa ciekła mu teraz gęsta jucha, przydając czerwonej skórze mokrego blasku.

Próbował też zaraz zerwać się na równe nogi, ale te rozjeżdżały się pod nim, jakby stał na kamiennej wodzie, a nie na twardym gruncie. Klęczał więc chwilę, potrząsając głową, i Oddi dałby sobie obciąć włosy, że choć patrzył wprost na swoich towarzyszy, widział jedynie wirujące w szalonym tańcu gwiazdy. Nic jednak nie trwa wiecznie, nawet żywot bogów, o których wiadomo, że polegną w czas ragnaröku. Wojownik doszedł w końcu do siebie i podniósł się, choć nieco chwiejnie. Stał teraz wsparty na solidnej gałęzi, zresztą jednej z tych, które jeszcze niedawno niósł nieświadomy zagrożenia przybysz zza Wielkiej Wody. W uzbrojonym ręku błyskał kościany nóż, a gniew kipiał niczym woda w gorących źródłach. Przed rzuceniem się na bladokórego młodzieńca powstrzymały go jednak dwa ostrza oszczepów opierające się o muskularną, zakrytą futrami pierś.

– Sam jesteś sobie winien, Lisie. – Snae-Kol pchnął lekko trzymane w ręku drzewce, aż jego ostry koniec wbił się nieco w ciało syna starego wodza.

– To nasz gość i nasza tarcza – dorzuciła swoje stojąca obok wodza wodzów Czerwona Orlica. Trzymała broń równie pewnie jak olbrzym zza Wielkiej Wody.

– Ale dla Długich Ludzi jest niczym, jest gównem karibu, które jeśli przylepi się do mokasy, należy wytrzeć o kamień. Nie jest prawdziwym człowiekiem i każdy może go zabić, jeśli chce, a ja chcę. A wy wszyscy – wojownik zatoczył koło ręką – musicie mi w tym pomóc, tak nakazują nasi przodkowie i tradycja Beothuków! – Syn starego wodza stał już pewnie, a grymas i rozkwaszony nos zmieniły jego twarz w maskę czarnego elfa. Oddi wiedział, że należy wystrzegać się w boju ludzi szalonych, gdyż dysponują nadludzką siłą i wytrzymałością, ale nawet niewielkie doświadczenie podpowiadało mu, że o wiele częściej od ludzi opanowanych popełniają oni błędy.

Po ostatnich słowach wśród zebranych zapadła pełna napięcia cisza. Bo prawdę powiedziały usta Stękającego Lisa, że plemię powinno stanąć ścianą drzew za swoim, rozdeptując obcego niczym spróchniałą korę. Jeśli nie, wszyscy narażą się na karę opiekuńczych duchów, które srodze zagniewane mogą nawet opuścić na jakiś czas swoich ludzkich podopiecznych. Dwa kościane ostrza, jakby walcząc z przeciwnymi wiatrami, cofnęły się niechętnie i nic już nie oddzielało wikinga od czerwonej śmierci.

– Ja jestem Długim Człowiekiem i ze mną walczy synu Nakrapianego Kozła i Kory Drzewa. – Bjarki wsunął się w to wolne miejsce. Cały czas czuł wstyd z powodu niedawnej porażki.

– Ty, mieszkańcu, jesteś jeszcze zbyt młody, by rzucać wyzwanie wojownikowi, co innego twój ojciec, ale z nim z kolei ja nie chcę walczyć. Wielki Duch dał ci wzrost, a zapomniał o rozumie, bo zabić cię to dla mnie, jak złamać kark szczeniakowi.

– To może... – Głos Chrapiącego Psa zamarł, wtłoczony do wnętrza gardła władcym gestem Czerwonej Orlicy.

– Wakan Tanka widzi i słyszy małe kłótnie Długich Ludzi, a złe duchy śmieją się z naszej głupoty.

Walka i śmierć idą za naszymi plecami i mają twarze Mikmaków, a nie Beothuków. Lepiej mniej grzmotów w ustach, a więcej piorunów w pięści!

– Ale to ten przybłąda jest sprawcą naszego nieszczęścia, wraz z jego ostatnim oddechem odpłynie z głów naszych wrogów nienawiść i znowu zapanuje pokój, matko snów. – Stękający Lis odsunął zastępującego mu drogę Niedźwiadka, znowu o mało nie posyłając młodego wojownika w śnieg.

– Dosyć! – Gromki głos wodza wodzów musiał być słyszalny w całym Gnomedalu. – Prawdą jest, że możesz zabić tego obcego, synu Nakrapianego Kozła. Prawdą jest też, że zgodnie z obyczajem musimy ci w tym pomóc. – Oddi zaskoczony tą przemową otworzył usta ze zdziwienia. *Chcę pomóc? To co, będą mnie trzymać, gdy... Odyne, pomóż. I to wszystko tylko za to, że przyłożyłem mu w łepetynę?* – To jednak twoja zemsta, Stękający Lisie, a nie całego plemienia. – Głos Snae-Kola był spokojny, jakby mówił o zbliżającym się polowaniu na foki zatokowe. – Będzie to pojedynek pomiędzy równymi sobie, bo ogłaszam światu i biorę na świadków tu obecnych, że ten oto bladokóry wojownik – tu wskazał kościanym ostrzem oszczepu na Oddiego – jest moim bratem krwi. Imię, jakie będzie nosił wśród Długich Ludzi, to Brzuch Ryby.

Wódz wodzów zaskoczył swoim oświadczeniem wszystkich, nawet Czerwoną Orlicę, albowiem na przynależność do plemienia należało zasłużyć lub wziąć do swojego mamateeku kobietę z wioski. Z drugiej strony odetchnęli z ulgą, że nie muszą zabijać bladokórego przybysza. Polubili jego nieporadność i ciekawe opowieści.

– Poprzez krew nie jest on już dla plemienia powietrzem! – zakończył wypowiedź wielki Snae.

– Krew? Chyba masz na myśli tę, której za chwilę się napiję, utoczoną z samego serca tego przybłądy.

– Poprzez syna, który rośnie w brzuchu Shaa-naan-dithit, córki Kamiennego Ostrza, również stał się jednym z nas – wsparła wodza wodzów Czerwona Orlica.

– Niech będzie i walka na skórach, wszystko mi jedno, tak czy inaczej ten blady człowiek zza Wielkiej Wody nie dożyje południa. – A do Oddiego powiedział: – Nim woda zagotuje się w sakwie, czekam na ciebie, martwy duchu. O ile nie uciekniesz z podkulonym ogonem, bo słyszałem, że odwaga jest w twoim sercu wątpa niczym przedwcześnie wydany na świat płód. – Po chwili jego ciepła futrzana kurtka leżała w śniegu, a w ślad za nią poleciał skórzany kaftan.

– Co to jest ta walka na skórach? – Oddi spojrzał pytająco na Bjarkiego.

– Walczycie tylko w przepaskach, z ciałami nasmarowanymi foczym łojem, na tyłu futrzanych pelerynach, ile palców ma dłoń. Ten, kto pierwszy postawi stopę na śniegu, musi rzucić nóż i zdać się na łaskę przeciwnika. Chyba że wcześniej zakończy walkę śmierć. – W głosie Niedźwiadka był smutek. Syn starego wodza miał w plemienu reputację jednego z najsilniejszych i najszybszych wojowników i tylko kwestią czasu było, kiedy rzuci wyzwanie samemu Snae-Kolowi. Przybłąda zza Wielkiej Wody z kolei dopiero niedawno wylizał się z ran, a kilka świtów temu omal się nie utopił, więc wynik tej walki mógł być tylko jeden.

– To dawaj ten łój, póki nie zamarznę. – Oddi już zdejmował swoją kurtkę i tak samo jak Stękający Lis posłał ją w śnieg. Trzy kolejne wierzchnie okrycia innych członków drużyny także poleciały na ziemię i po chwili pojedynkujący się mężczyźni mieli pod stopami kobierzec długi i szeroki na dwa pełne kroki.

– Niewiele tego, ale gdy się walczy pomiędzy witkami, też jest ciasno – mruknął do siebie młodzieniec z Północy.

– Co mówisz? – Chrapiący Pies, który razem z Bjarkim smarował mu ciało mętnym tłuszczem, przerwał na chwilę swoją robotę.

– Nic. Kończ, bo mi zimno.

– Bądź ostrożny, przyjacielu moich przyjaciół, Stękający Lis zawsze atakuje pierwszy. – Tą długą przemową Niedźwiadek zaskoczył chyba wszystkich.

– Mam nadzieję, że spotkamy się tam, po drugiej stronie, i wstawię się za wami u boskiego Heimdalla. – Oddi poklepał druhów po twarzach, zostawiając na nich tłuste plamy. Wytarł starannie dłonie o skórzaną koszulę Chrapiącego Psa, bo nie ma nic gorszego podczas walki niż ślizgająca się rękojeść noża lub miecza. Był gotowy.

Po chwili na placu walki pozostały dwie postacie: wyższa, szczuplejsza, o szerokich barkach, długich bladych rękach i wąskim pasie i niższa o głowę, za to o szerszych barkach i rękach, na których naprężone żyły wyglądały niczym liny okrętowe podczas sztormu. Lis od dawna przygotowywał się do walki o przywództwo w plemienu.

– Odyne, myślałem, że on taki szeroki od tłustego bebecha, a tu...

Z grupki obserwatorów wystąpił wódz wodzów. Podniósł strzałę i trzymając ją w dwóch dłoniach, rzekł:

– Walczycie, jak nakazuje nasz obyczaj, na śmierć i życie. Czy to jest dla ciebie jasne, ziomku? – Spojrzał na Oddiego, a ten skinął głową.

– Pojedynek toczy się na skórach i tylko na nich. Ucieczka to śmierć! – Pokazał brodą na Czerwoną Orlicę, która trzymała w rękach gotowy do strzału łuk, na który dopiero co naciągnęła cięciwę. Luźno zahaczony pocisk tępo mierzył w ziemię, ale to mogło się zmienić w jednej chwili.

– Rozpoczynacie na mój znak, a kończycie, kiedy duchy sobie tego zażyczą. – Snae-Kol dał krok do tyłu i nagle z cichym trzaskiem złamał drzewce strzały.

Lis był szybki, bardzo szybki. Oszczędnym, precyzyjnym ruchem ciął ostrzem, celując w nadgarstek ręki, w której bladokóry wojownik trzymał nóż z błyszczącego kamienia. Ta z pozoru niewinna akcja mogła już na samym początku przesądzić o wyniku pojedynku. Oddi jednak, od kiedy pamiętał, walczył z rówieśnikami na drewniane, a potem prawdziwe saksy i wyrobione latami nawyki dały teraz o sobie znać. Jakby bez udziału myśli, opuścił szybko rękę i zablokował cios własnym ostrzem. Nim umilkł cichy stukot metalu zderzającego się z twardą kością, wykorzystując długość ramion, wyprowadził mocne pchnięcie, celując prosto w serce czerwonoskórego wojownika. Ten odchylił się i instynktownie ustawił nieco bokiem, chroniąc klatkę piersiową. To było to, na co liczył syn Asgota z Czerwoną Tarczą, jako że Lis teraz tylko jedną ręką mógł wyprowadzić uderzenie. Wiking, wkładając w to całą siłę młodego ciała, wyprowadził cios pięścią, który powinien powalić i zamrozić przeciwnika. Ale bogowie nie taki mieli zamysł. Oddi poczuł, że pada pchany siłą rozpędu ze stopą zaplątaną w fałdy futra. Nikt się tego nie spodziewał, a już najmniej Stękający Lis, więc nie zdołał wykorzystać okazji i po chwili tarzali się po śniegu niczym para ognistych kochanków.

– Dosyć! Na Wielkiego Ducha, dosyć mówię! – Snae-Kol rozdzielił ich z trudem. – Oboje wypadliście poza futra, więc walka zaczyna się od początku lub uznajemy ją za zakończoną. Wasz wybór.

Wojownicy, obrzucając się ponurymi spojrzeniami, wrócili na futrzaną arenę. Na twarzy Oddiego zagościł wyraz upartej rezygnacji, jak zawsze gdy robił coś, czego robić nie chciał, ale los nie dawał mu wyboru. To tak, jakby głodującemu człowiekowi zaproponowano zjedzenie własnej ręki, niby ma wyjście z sytuacji i może napełnić pusty żołądek, ale tylko niby. Stękający Lis minę miał nieprzeniknioną, ale oczy mu błyszczały nienawiścią.

Gdy trzask pękającej strzały rozległ się w powietrzu, nikt nie rzucił się do ataku. Krążyli wokół

siebie, drobiąc prawie w miejscu, i widać było, że obydwaj czują respekt dla umiejętności rywala.

To Oddi ruszył pierwszy. Prawie niedostrzegalnym ruchem palców zmienił ułożenie noża, tak że sterczał mu on z boku pięści niczym kciuk i z krótkim rozmachem, po łuku, zadał mocny cios w lewy bok przeciwnika. Ale Beothuk stoczył już niejedną walkę w życiu. Niemal w tym samym momencie dał krok do przodu i dłoń z saksem znalazła się w potrzasku pomiędzy żebrami a silnym ramieniem czerwonoskórego. Trzymane w drugiej ręce kościane ostrze, pewnie zdążyło w stronę twarzy młodzieńca z Północy. Oddiemu w ostatniej chwili udało się złapać za nadgarstek i wykorzystując wyrobioną latami pracy przy wiosle siłę, odciągnął nieco czubek broni od własnego oka, ale śliska maź i ogromna siła Stęającego Lisa szybko wzięły górę i blade ostrze znowu podjęło swoją śmiercionośną wędrówkę. Patrzącym mogło się wydawać, że obydwaj wojownicy trwają w bezruchu, ale nic bardziej mylnego. Uzbrojona dłoń młodzieńca ciągle znajdowała się w uścisku i choć zdołał obrócić ostrze saksa i powoli rozcinał węzły mięśni wokół żeber wroga, wiedział, że nie zdąży.

Wtedy zrobił jedyną rzecz, jaką mógł zrobić w tej sytuacji. Dobra rada, którą otrzymał kiedyś podczas biesiady, brzmiała: Jak nie możesz już nic przełknąć, wsadź sobie dwa palce do ust i zrób miejsce na nowe. Ramiona miał teraz bezużyteczne, więc nadszedł czas na inne rozwiązanie. Zamiast odpychać, niespodziewanie, ile miał siły w słabnącej ręce, przyciągnął do siebie białe ostrze, z najwyższym trudem odchylając tor, po którym się poruszało. Czubek o grubość włosa minął jedyne ucho wikinga. W tym momencie pierś jednego wojownika uderzyła o pierś drugiego, ale Oddi nie próbował zachowywać równowagi i przewrócił się na plecy, podkurczając w locie pod siebie długie nogi. Uderzenie o ziemię i podwójny ciężar wypchnęły całe powietrze z płuc Askomana, zdołał jednak wyprostować kolana i posłać Stęającego Lisa wysoko w powietrze. Tubylec wykonał dwa pełne obroty i gruchnął w pobliską stertę śniegu, tego samego, który wcześniej odgarnięto na bok, by wyrównać walczącym arenę. Zaskoczony syn starego wodza spadł dobre kilka kroków za wyznaczoną futrami strefą. Podniósł się błyskawicznie i pomimo ostrzegawczego okrzyku Snae-Kola rzucił się w kierunku Oddiego z nadludzką wręcz szybkością. Nagle w połowie kroku zamarł jakby po zderzeniu z drzewem. Patrzył z niedowierzaniem na drgające jeszcze drzewce strzały, które wystawało z klatki piersiowej na wysokości serca. Zrozumienie przyszło wraz z mgłą, która zmatowiła blask oczu wojownika. Padł u stóp nie mniej zaskoczonego bladokórego przybysza zza Wielkiej Wody.

– Walczył i zginął zgodnie z naszymi obyczajami. – Na twarzy Czerwonej Orlicy malował się wielki smutek. – Zabierzemy jego ciało do jednej z pustych jaskiń. To skróci drogę ducha do Odległej Krainy, choć i tak ruszy on tam dopiero po roku, gdy wszystkie dobra doczesne Stęającego Lisa zostaną rozdane członkom plemienia. – Odłożyła na bok śmiercionośny łuk i kucnęła przy martwym wojowniku. Poglaskała nieszczęśnika po twarzy czułym matczynym gestem i przeczesła palcami jego proste czarne włosy. Zanuciła pieśń, z której Oddi niewiele zrozumiał poza wielokrotnie powtarzającymi się słowami oznaczającymi błaganie i drogę. Potem spojrzała na Oddiego, a ten wzrok zdawał się mówić: Obyś był wart jego śmierci, bladokóry, obyś był tego wart. Później rzekła:

– Stęający Lis, syn Nakrapianego Kozła i Kory Drzewa, był jednym z najsilniejszych i najszybszych wojowników w naszym plemieniu. Tej wiosny zabraknie jego ramienia Beothukom, tak jak w mamateku brakuje myśliwego, który nie powrócił z łowów w czas wielkiego głodu. Wszystko, co zrobiliśmy, i wszystko, czego nie zrobiliśmy w naszym życiu, duch zabiera ze sobą do Odległej Krainy. Kiedyś spotkamy się tam i rozpoznamy wzajemnie i ci, których skrzywdziliśmy za życia, będą nam o tym przypominali do końca dni. Tak samo zresztą jak ci, którym pomogliśmy, będą nam zawsze wdzięczni. – Zamarła w bezruchu z przymkniętymi powiekami.

– Kiedyś nauczył mnie łowić pstrągi – powiedział cicho Bjarki.

Smutek zagościł na twarzach wszystkich. To był jeden z nich, Długi Człowiek, którego łączyły ze współplemieńcami też dobre i wesołe chwile. Zasłużył sobie na ten smutek i na cały dzień wspomnień o dzielnych czynach i udanych łowach wojownika noszącego imię Stękający Lis. To mu pomoże odnaleźć właściwą drogę i powrócić kiedyś na Unchi bez zapiekłej, gorzkiej nienawiści w sercu.

Kolejnego dnia piątka Długich Ludzi, bo i Oddi Asgotsson został uznany przez wodza wodzów i Czerwoną Orlicę za pełnoprawnego członka plemienia, ruszyła w drogę powrotną do Wody Grzmotów. Askoman zastanawiał się, czy teraz Kamienne Ostrze pozwoli swojej córce zamieszkać w jego namiocie. Nie jest już przecież przybłądą, obcym, wyrzutkiem. Po drodze dołączył czekający u wylotu skalnego korytarza Rączy Wilk, który na widok żywych towarzyszy odtańczył szalony taniec radości. Na wieść o śmierci syna starego wodza wspomniął kilka jego dobrych czynów. Na nic więcej nie było już czasu, nadchodziły dni smutku, podczas których zginie wielu dobrych ludzi. Ich duchy błąkać się będą po ziemi, bo zabraknie współplemieńców, którzy opłaczą jak należy ich śmierć i wspomną zarówno bohaterskie, jak i te bardzo zwykłe czyny.



*Bądź ostrożny, lecz nie zbyt ostrożny,
Strzeż się najbardziej piwa, także cudzej żony
I trzeciej rzeczy: by cię frant nie okpił.*

Przeprowadzka kobiet, starców i dzieci do doliny BeothNocha o obco brzmiącej dla miejscowych nazwie Gnomedal trwała pięć wschodów Wi. Już na samym początku tej drogi duchy strażnicy tego miejsca pokazały swoją moc. Sznur obładowanych dobytkiem ludzi ciągnął wąską, śliską ścieżką, biegnącą tuż pod Wodą Grzmotów. Naprężone liny odgradzały maszerujących od przepaści, ale mimo to śmierć zabrała pięciu mniej ostrożnych lub po prostu pechowych członków plemienia, strąconych silnym nurtem wprost na ostre skały i wielkie lodowe bryły. To i tak nie była wysoka cena za naruszenie tabu góry.

Spakowano niemal wszystko, począwszy od skór stanowiących okrycia mamateeków, a skończywszy na uwędzonym nad ogniskiem mięsie karibu. Uciekinierów czekała długa i ciężka przeprawa przez jaskinie, więc część zapasów złożono tuż za wysokim stopniem w miejscu, w którym od wielu pokoleń czarownicy spędzali noc inicjacji. Potem czasu będą mieli aż nadto, by przenieść to na dogodniejsze stanowisko. Suszonego mięsa, ryb i foczego łoju powinno wystarczyć na wiele miesięcy, a przecież dolina też nie była całkiem jałową, pozbawioną życia lodową pustynią. Choćby miały to być tylko śnieżne zające, piżmaki i ptaki, wystarczy, by przetrwać długi okres. Ale nie kolejną zimę. Do wielkich mrozów, gdy Woda Grzmotów znowu zamarznie, tworząc barierę nie do przebycia, muszą wrócić do świata żywych. I to bez względu na to, czy będzie to jeszcze kraina Beothuków, czy może już Mikmaków i Huronów.

W obozie u podnóża wodospadu pozostało dwadzieścia oddziałów, liczących sobie po dwie dziesiątki wojowników. Reszta skryła się wewnątrz góry wraz z rodzinami Długich Ludzi. Na tych ochotnikach miał spocząć teraz ciężar obrony Wielkiej Wyspy przed nadciągającym ze stałego lądu wrogiem, i to wrogiem, który kilkakrotnie przewyższał liczebnością miejscowych łowców. Tylko spryt był ich sprzymierzeńcem. Znali swoją ziemię niczym własne wysłużone mokasyny, każdy jej zakątek,

pieczęć, bagno i bród, ale czy to wystarczy?

Minęła kolejna mroźna noc. Na szczęście przeczekali ją w mamateekach pozostawionych przez plemię na wielkim, pustawym teraz placu. W jednym z nich, większym od innych, trwała narada dowódców oddziałów i to stamtąd dobiegały gniewne ludzkie głosy, co było wśród wyspiarzy rzadkością. Podniesiony głos, krzyk, nerwowość były wbrew naturze tego ludu, który tak cenił spokój i milczenie. Ale nadchodziły nienormalne czasy.

– Nie, nie, nie, Szeleszczący Liściu! Nie staniemy z nimi do walki już pierwszego dnia, i to z wykorzystaniem wszystkich naszych wojowników!

– A dlaczego nie, wodzu! Przecież będą zmęczeni przeprawą, obciążeni włókami, dlaczego nie?!

– Biegający Byk tylko na to czeka. Poświęci z radością część swoich wojowników, by zebrać w jednym miejscu wszystkie foki. Będą nas ścigać i wcześniej czy później wybiją do nogi. Chyba że umiesz latać i nie zostawisz śladów w śniegu. Jesteśmy na wyspie, nie zapominaj o tym. – Snae-Kol machnął gniewnie ręką, bo miał już dosyć tych jałowych dyskusji.

– To może chociaż mały oddział przywita ich strzałami. Beothukowie to nie banda tchórzliwych zajęcy. – Szeleszczący Liść nie miał zamiaru ustąpić, choć mówił już spokojniej. Był jednym z pięciu wielkich przyjaciół Stękającego Lisa i nie wybaczył wodzowi wodzów śmierci swego czerwonego brata, obarczając go winą za marny los towarzysza wielu łowieckich wypraw.

Kilku starszych wojowników poparło propozycję głośnymi okrzykami.

– Oddział ten prawdopodobnie zostanie wybity do nogi. – W głosie Snae był ból, jak przy rwącym zębem. – O to chodzi radzie starszych? O stratę dwóch dziesiątek wojowników?

– O znak dla Biegącego Byka, że ziemia Długiego Ludu od samego początku będzie spływała krwią jego braci. – Niemłody już Wędrujący we Śnie, dla dodania mocy słowom, uderzał pięścią w otwartą dłoń.

Snae-Kol rozejrzał się po twarzach współplemieńców i na wszystkich zobaczył ten sam zacięty wyraz.

– Dobrze, ale to wam, a nie Mikmakom potrzebny jest ten znak. Będą to więc ochotnicy, z jednym wyjątkiem, ty pójdziesz z nami, Szeleszczący Liściu.

– Z tobą, czerwony bracie, pójdę i oby Wielki Duch dał celność memu oku i szybkość biegającym nogom.

– Tak będzie. – Wódz wstał, oznajmiając tym samym, że narada zakończona. – I pamiętajcie, przy Spękanej Ziemi, co tyle dni, ile jest palców u rąk i stóp, licząc od dzisiaj, z każdej grupy ma się stawiać jeden szybkonogi myśliwy. Tam będę was szukał i tamtą drogą otrzymacie nowe rozkazy, jeśli ustalona w tym mamateeku taktyka okaże się nieskuteczna. Gdyby Wakan Tanka zabrał mego ducha, rozkazy napłyną od Wędrującego we Śnie, a jeśli jego zabraknie, wojennym wodzem plemienia będzie Kamienne Ostrze, syn Rozszczepionego Drzewa, wnuk Siedzącego Niedźwiedzia. Tych dwóch wielkich wojowników nie może wraz ze mną witać naszych wrogów, bo nie wkłada się wszystkich jaj do jednej sakwy.

Duży namiot opustoszał, pozostali tylko najbliżsi Snae-Kola. Wśród nich jego bracia krwi: Kamienne Ostrze i Brzuch Ryby. Wódz Beothuków znad Zatoki chętnie zakopałby po szyję bladokórego w mrowisku, ale to nie był czas na prywatne waśnie. Czas to zmieni, wspólna walka to zmieni – myślał Oddi. – A jak nie, to Shaa-naan pójdzie za mną, a nie za ojcem.

Tak sobie myślał, choć głowy pod topór by za to nie położył.

Następnego dnia rozeszli się po Wielkiej Wyspie niczym pchły po psie. Za sobą pozostawili puste teraz, ale zdatne do zamieszkania mamateeki, okolone postawioną z tak dużym trudem palisadą. Snae-Kol, ku wielkiemu zdziwieniu Długich Ludzi, zakazał ich niszczenia. Niektórzy, mając świeżo w pamięci własne spalone wioski, protestowali, ale wódz wodzów był nieugięty. Może chciał, by ludzie, którzy wyjdą kiedyś z wnętrza góry, mieli gdzie się schronić przed deszczem lub mrozem? A może przelało się jezioro żalu i ciążyło mu marnowanie dobrych skór i mocnych zdrowych żerdzi? To wiedział tylko on i jego pięćdziesięciu szkolonych od lat wojowników, o których wszyscy słyszeli, ale których mało kto widział na własne oczy. Po kilku dniach śnieg zakrył ślady obecności człowieka, nie licząc regularnych wzgórków namiotów i drewnianego kręgu, który z góry przypominał pieczęć rodową odcisniętą w ziemi przez olbrzyma. Nikt już nie rozbijał nowo powstającego lodu, więc skryte pod wodospadem wejście do podziemnej krainy zasłonił zamarznęty jezior, który z każdą nocą nabierał grubości.

W miejscu, gdzie znajdowała się kiedyś wielka spizarnia, głęboko pod ziemią, czekało na swój czas pięćdziesięciu okutanych od stóp do głów w futra wojowników. Specjalnie dla nich pomieszczenie pogłębiono i wzmocniono belkami, tak by mogli siedzieć tu przez wiele dni. Problem stanowił jedynie brak ognia i smród odchodów docierający do głównego pomieszczenia z wydzielonej w tym celu sporej wnęki.



Gdzie zło znajdziesz, miłoś to złym

I nie zostaw wrogów w pokoju.

Od dłuższego czasu oddział polował i płoszył zwierzynę w rejonie Gardła Karibu. To tu znajdowało się przewężenie, to tędy biegła najkrótsza droga na stały ląd, co wcale nie znaczy, że była ona łatwa. Gdy mróz zmieniał wodę w kamień, marszruta na drugą stronę zabierała pół krótkiego zimowego dnia. Biada samotnym łowcom, ponieważ tereny te były królestwem podstępного niedźwiedzia białego.

Gardło ciągnęło się jak okiem sięgnąć i dopiero za Cyplem Fok rozwierało niczym paszcza wilka, by przejść w Zatokę Olbrzymów. W czas wielkich chłódów najdzielniejsi z dzielnych polowali tu na niebezpieczne morskie stwory, zapuszczające się niekiedy w te okolice. To było zawsze wielkie święto i wyrównana walka. Myśliwi biegali po ogromnych krach ze zręcznością wiewiórek wspinających się na grube konary drzew. Ze sobą zabierali lekkie, kryte skórą kanu zwoje lin zakończonych pływakami i harpuny. Tak wyposażeni toczyli boje z wielkimi niczym góry bestiami, zdolnymi skruszyć lód i posłać na dno ludzi jednym uderzeniem potężnego ogona. Ale dla ogromnych ilości mięsa, dobrych długich kości i wspaniałego pożywnego tłuszczu warto było ryzykować.

Wojownicy ludu Beothuków pod dowództwem Snae-Kola założyli tymczasowe obozowisko w jednej z jaskiń rzucających swoje czarne spojrzenia na zamarznęte teraz wody tej ogromnej zatoki. Stanowili jedną z wielu podobnych, rozsianych po całej wyspie grup. Ich zadaniem było pilnowanie wrót do krainy Długich Ludzi i godne przywitanie wroga, gdy już się tu pojawi. Tereny wzdłuż Gardła oferowały marne schronienie, gdyż porastał je rzadki iglasty las. Ale też niemożliwością było niepostrzeżone postawienie tu stopy, jeśli obserwatorzy byli na swoich stanowiskach.

Wodzowie właśnie ten śnieżny dzień wybrali na przeprawę i gdy tylko słońce doszło do połowy drogi, oczom obserwatorów ukazywały się długie kolumny skulonych z zimna wojowników, ciągnących po

lodzie żerdzie z zapasami. Chrapliwy Oddech, syn Długiej Ręki, i Szpotawy Byk, syn Orlego Krzyku, z klanu znad Zatoki już jakiś czas temu opuścili stanowiska obserwacyjne, by zanieść wieści pozostałym grupom. Reszta czekała na rozwój wydarzeń.

– Nie wygląda to dobrze, Brzuchu Ryby. – Chrapiący Pies próbował liczyć ludzkie sylwetki, ale wraz z ostatnim palcem u stopy skończyło mu się liczydło. Oddi, który nie miał takich ograniczeń, zaznaczał sobie kreską każdą dziewiątkę. Do wieczora, gdy rzeka ludzkich sylwetek wyschła, zrobił ponad dwieście takich znaków, a to pewnie nie byli jeszcze wszyscy.

– Mam nadzieję, że zabiliśmy zwiadowców, bo inaczej ci tam wiedzą o spalonych wioskach i przyciągną własne mamateeki i zapasy jedzenia. – Chrapiący Pies strzyknął spomiędzy zębów śliną w kierunku kłębiącego się na brzegu tłumu obcych wojowników.

– Na to bym nie liczył – wtrącił ponuro Brzuch Ryby.

– A niby dlaczego?

– Zobaczcie, ile mają włók. – Oddi ostrożnie stał dłońią zrobione wcześniej znaki. – Wyglądają, jakby byli gotowi przetrwać tu nie tylko końcówkę tej, ale i całą następną zimę.

– Na Wielkiego Ducha, czyli wiedzą, co im upiekliśmy nad naszymi ogniskami – jęknął leżący niedaleko Cierpliwe Drzewo. – To już po nas, lud Beothuków dobrnął do końca swego czasu. Wakan Tanko, przyjmij...

– Może tak, może nie – przerwał mu Brzuch Ryby, zwany w rodzinnym kraju Oddim Asgotssonem. – Rada starszych plemienia na pewno ma plany i na taką okoliczność.

– Gdyby od samego planowania wracało się z łowów ze zdobyczą, nigdy nie chodzilibyśmy głodni. – Cierpliwe Drzewo nie dał się tak łatwo przekonać. Z drugiej strony wojownik powinien sam przygotować swoje strzały tam, gdzie od ich celności zależy życie jego i jego bliskich.

– W mojej ojczyźnie planujemy całą zimę, by wiosną ruszyć na dobry wiking. Nie chroni to naszych wojów przed krwią i potem, ale pozwala zająć głowę i uniknąć niespodzianek, przynajmniej niektórych. Pijemy mocne piwo, chędożymy te chętne i mniej chętne dziewczki, słuchamy sag o wielkich przygodach i planujemy. A najwięcej zabawy jest z obmyślaniem forteli. Wiecie, co odróżnia człowieka od psa? – Askoman, który stał się niedawno Długim Człowiekiem, rozejrzał się po twarzach leżących najbliżej towarzyszy.

– No, co? – przerwał przeciągającą się ciszę Chrapiący Pies. Bo niby wszyscy wiedzieli co, ale nikt nie chciał wyjść na wioskowego głupka. W tym niewinnym pytaniu na pewno krył się jakiś podstęp.

– Po pierwsze – Oddi podparł się na łokciu, zdjął rękawicę, chuchnął w dłoń i zaczął odliczać na palcach – ludzie potrafią się głośno śmiać. Po drugie, potrafią właśnie planować, a po trzecie – zawiesił na chwilę głos – łączą pierwsze z drugim i robią sobie śmieszne psikusy.

– To nam, błady bracie, obwieściłeś mądrość nad mądrościami, niczym Tob-Tob pierwszym dwunożnym ludziom tajniki przetrwania. Znalazłbym jeszcze kilka innych różnic: nie podnosimy nogi, gdy sikamy, nie machamy ogonem z radości... – Syn Kamiennego Ostrza również odginał niewidzialne palce.

– W tym ostatnim, czerwony bracie, możesz być w błędzie – powstrzymał tę wyliczankę Brzuch Ryby, a na twarzach wojowników, którzy słyszeli przekomarzania młodzików, pojawiły się uśmiechy.

– Cisza już, przygotować się, strzały pod ręką – rozległ się rozkaz wodza wodzów. Chwilę tak trwali w napięciu, gdy padła długo wyczekiwana komenda: – Teraz!

Siedemnaście ośnieżonych sylwetek niemal jednocześnie wstało, napięło się siedemnaście cięciw ze

ścięgien karibu i w powietrze poleciała pierwsza z morderczych chmar strzał. Na granicy zasięgu mieli tak wielu wrogów, że trudno było nie trafić. Za pierwszą poszła druga, trzecia i czwarta, wywołując zamieszanie w szeregach przybyszów. I niewiele więcej, ponieważ samotna osa może co najwyżej zdenerwować pędzącego byka, ale na pewno nie zdoła go zatrzymać. W stronę Beothuków poleciały w odwecie pierwsze pociski, a dwa spore oddziały ruszyły, chcąc ich oskrzydlić.

– Wycofujemy się do jaskini, pędem, pędem! – Snae-Kol poganiał swoich czerwonych braci, ale nie musiał tego robić. Gdy gra idzie o własne życie, nogi same nabierają mocy. Ścigani świszczącymi odgłosami lecących strzał skręcili ostro w prawo, by utrudnić celowanie, i pobiegli przed siebie ile sił w nogach. Nadciągający zmierzch i ciągle padające grube płatki śniegu skryły ich przed wzrokiem pościgu, jednak tropiciele na pewno odnajdą ślady, a Mikmakowie mieli ich naprawdę dobrych. Wojenny wódz zjednoczonych plemion Biegnący Byk miał rozum mężczyzny, a nie śnieżnego zająca, więc był przygotowany na taki atak. Gdyby nie spowalniająca pościg obawa, że to zasadzka, uciekinierzy nie mieliby szans oddalić się na więcej niż kilkaset kroków.

W pewnej odległości od niewielkiego pagórka, z którego nastąpił atak Beothuków, leżał nieruchomo Śnieżny Lis. Kupka śniegu, pod którą krył się zawinięty w futra Beothuk, była nie do odróżnienia na tle skrywającej wszystko bieli. Ale i tak misja, którą powierzył mu Snae-Kol, była śmiertelnie niebezpieczna. Z drugiej strony od momentu, gdy Brzuch Ryby wyciągnął go z lodowatej wody, żył cudzym, дарowanym życiem. Chciał spłacić ten dług.

Tymczasem jego uciekający towarzysze, biegnąc gęsiego, skręcili w stronę niezbyt odległych gór. Ostatni był Cierpliwe Drzewo i to on świerkową gałęzią zacierał tropy. Plan ucieczki przewidywał inną, bardziej określną i trudniejszą do wyśledzenia drogę, ale dwóch rannych wojowników uniemożliwiło wprowadzenie go w życie. Na szczęście cały czas padało, więc niedługo śladów nie zdradzi nawet najdrobniejsza szrama na nieskalanej bieli.



W miarę mądry winien być człowiek,

Nigdy zbyt uczony;

Jeśli losu swego nie wiesz naprzód,

Żyjesz od trosk wolny.

Śnieżny Lis prawie nie oddychał, gdy zwiadowcy przeciwnika przeszukiwali teren niedawnej zasadzki. W pewnym momencie, gdyby bardzo chciał, mógł chwycić jednego z nich za nogę. Leżał więc nieruchomo, obserwując przez szczelinę w śniegu kłębiące się tłumy. Na spotkanie nadciągającym wojownikom z połączonych plemion wybiegła nagle skryta dotąd w odległych gęstych krzewach postać. To znaczy człowiek ten próbował biec, ale był tak osłabiony, że zataczał się, jakby nawdychał się oparów z ziół czarownika. Jego kryjówka była oddalona od wzgórzka o dwa dobre rzuty kamieniem i musiał widzieć szykujący zasadzkę oddział Snae-Kola, w tym i Śnieżnego Lisa. Z drugiej strony mógł pomyśleć, że i ten Beothuk uciekł razem ze swoimi ziomkami. Na kilka niepewnych chwil Lis był ziemią, wiatrem, oddechem niczym sam Nagila i jak ten Cieniopodobny stał się niewidzialny dla swoich wrogów. Ze strachu, który ścisnął mu wnętrzości, stał się wielkim uchem, które słyszy nawet, jak wiosną rośnie trawa, a w okresie chłódów ocierają się o siebie płatki śniegu.

Wyczerpany wojownik dotarł w końcu do orszaku nieco dostatniej wyglądających przybyszów i padł jak długi u ich stóp. Próbował wstać, ale wychodziło mu to tak nieporadnie, że jeden ze stojących skinął na dwóch wojowników, by ci pomogli nieszczęśnikowi.

– Kim jesteś? Nie znam cię. – Patrzył z uwagą na zwisającego między swoimi Mikmakami człowieka.

– Jestem Drapiący Ryś, zwiadowca z plemienia Łosi, wodzu. Pięć wschodów i zachodów Wi siedziałem w kryjówce, żując tylko gałęzie krzewów. Czekałem na wasze przybycie.

– Dlaczego nas nie ostrzegłeś, że grupa miejscowych psów czeka w zasadzce? Straciłem przez to dziesięciu wojowników, ojców dla swoich dzieci i mężów dobrych żon! – W głosie mówiącego pobrzmiwał gniew.

– Gdy spoglądałem na ten świat, was jeszcze tu nie było. Potem zapadłem w ciemność i gdy się ocknąłem, oni już uciekali. Ja... Ja nie pamiętam, nie wiem, nie ruszałem się i nic nie jadłem przez pięć dni ze strachu, że odkryją moją obecność, wodzu. Mam ważne wieści. To dla nich...

– Mów, co to za wieści – przerwał mu niższy mężczyzna. Złość wyparowała z jego głosu niczym woda w zetknięciu z gorącym kamieniem. Stojący przed nim wojownik musiał wiele przejść, by się tu znaleźć.

Na szczęście odległość była na tyle niewielka, że skryty pod cienką warstwą śniegu Beothuk rozumiał pojedyncze słowa, a niekiedy nawet całe zdania. Czego nie dosłyszał, mógł się domyślić. Widział, jak chudy i trzęsący się z zimna człeczyzna drżącym głosem odpowiada na pytania niezbyt wysokiego, szerokiego w ramionach i niemłodego już męża. Od tego wojownika biła siła i pewność siebie, właściwa tylko największym wodzom. To musiał być sam Biegnący Byk, *kji'saqmaw* – wielki wódz i doradca w jednym. To on na czas tej wojny skupiał w swoich rękach władzę całej świętej rady Mawiomi. Śnieżny Lis wiele słyszał przy ognisku opowieści o mądrości, rozwadze i władzy, jaką sprawował nad ludźmi ten wielki Mikmak. Ale wszystko trwa do czasu, nawet Unchi nie jest wieczna. Widocznie Wakan Tanka odwrócił od niego oblicze, skoro nie ostrzegł przed zgubnym atakiem na plemię Długich Ludzi. Snae-Kol będzie dla niego godnym przeciwnikiem. Niemal wzruszył ramionami, ale w ostatniej chwili powstrzymał się, by osypujący się śnieg nie zdradził wrogowi jego pozycji.

– Ścierwa kruków wiedzą o nas i wielkim planie, wodzu.

– To niczego... – Resztę słów Biegnącego Byka porwał wiatr.

– Ale spalili wszystkie osady, nie został ani jeden mamateek, nie licząc tych przy Wodzie Grzmotów. Oby Wielki Duch zapomniał o nich po śmierci.

– Dlaczego?

– No jak zapomni, to ich duchy nie odnajdą spokoju...

– Dlaczego tych mamateeków nie zniszczyli, tak jak całej reszty? – Głos Biegnącego Byka był spokojny i wódz przemawiał do zwiadowcy niczym do małego dziecka. Zagłodzony wojownik z plemienia Łosi miał duże problemy z zebraniem myśli.

– Eee... tego nie wiem, bo gdy dotarłem na miejsce, osada była już wypełniona tylko wiatrem. I to jeszcze powiem, że pobudowali wokół wielką palisadę z drzew, taką, jaką otaczają swoje osady plemiona z głębi lądu. Ściana, ściana, to właśnie miałem powiedzieć, to musiałem po...

– Mieli się tam bronić, to po co opuścili wojskowy obóz, który z takim trudem pobudowali? – Bezceremonialnie, ale znowu bez podnoszenia głosu przerwał mu wódz połączonych plemion.

– Przemawiały do mnie tropy. Oglądałem je, nim wiatr i śnieg schowały je przed wzrokiem ludzi. Ale nie można oszukać Drapiącego Rysia, nie można. I to też miałem zapamiętać – przerwał na chwilę, słabł

coraz bardziej – że wiele małych grup wyruszyło... – Resztę powiedział tak cicho, że nawet zamienionemu w wielkie ucho Śnieżnemu Lisowi nie udało się tego usłyszeć.

– Może chcieli się bronić, ale zmienili plany? – wtrącił podtrzymujący zwiadowcę wojownik.

– Może. – Kji'saqmaw wzruszył szerokimi ramionami albo wzrok Śnieżnego Lisa spletał mu figła, bo żółte światło Wi skryło się już w swoim domu, a nocne słońce z trudem przebijało się przez lecące z nieba płatki śniegu. Gdyby nie pochodnie, byłoby całkiem ciemno.

– Najedz się i odpocznij. Twoje serce jest dzielne, ale ciało słabe. Imię Drapiącego Rysia będzie znane wszystkim plemionom, a jego spryt zdobędzie mu przychylność wielu zdrowych kobiet. Wykorzystamy ten dar od Wielkiego Ducha i w obozowisku u stóp Wody Grzmotów złożymy nasze zapasy. To stamtąd będziemy robili wypady i podbijemy całą Wielką Wyspę. Cokolwiek planowali Dłudzy Ludzie, my obrócimy to na naszą korzyść. – Potem powiedział coś ciszej do swoich doradców i ci wysłali gońców do wodzów poszczególnych klanów.

– A jeśli to pułapka? – odezwał się wódz Huronów, który teraz jako członek wielkiej rady wspomagał kji'saqmaw swoim doświadczeniem i autorytetem.

– To jest pułapka, tylko jeszcze nie wiem jaka. – Biegnący Byk powiedział to tak lekko, jakby oznajmiał, że kurtka z lisich skór jest cieplejsza od tej z bobrowych. – Czy wilk będzie się obawiał podstępny i nie rozłoży wygodnie swego cielska na legowisku lisa? Co może mu zrobić ten złodziej jaj?

– Mamy tylu wojowników, ilu mamy, niewiele więcej przybędzie z terenów łowieckich naszych ojców. Tak zostało to ustalone i tak będzie. Każdy łowca jest więc wiele wart.

– Masz rację, walczymy z podstępnym plemieniem, wszystkiego się można spodziewać po tych dzieciach lasów. Będziemy przygotowani na ich pułapkę, masz na to moje słowo, Kościany Korale, synu Skrzeczącego Orła.

– Oby Wielki Duch dał nam szybkie zwycięstwo, bo wielkiego wodza już mamy. – Uścisnęli sobie prawice i ruszyli w drogę.

Nie minęło wiele czasu, a cała ogromna rzeka obładowanych tobołkami ludzi skierowała się w stronę Wody Grzmotów.

Było już całkiem ciemno, więc przybysze nie wiedzieli, bo wiedzieć nie mogli, że w ślad za ziomkami z oddziału Snae-Kola i ścigającymi ich Mikmakami ruszył Śnieżny Lis zawinięty w zlewające się z otoczeniem futro białego niedźwiedzia. Teraz to on miał w swojej głowie wieści, które musiał przekazać braciom.



Nigdy nie zrywaj pierwszy

Przyjaźni z dobrym druhem;

Żal przezre ci serce, gdy nikogo nie masz,

Z kim byś dzielił swą troskę.

Jaskinia miała dwie komory. Pierwsza, wąska i długa na pięciu ludzi, była jakby przedsionkiem dla tej właściwej, szerokiej na wiele razy po dwadzieścia kroków. Dla Długich Ludzi cały Grzbiet Łosia od

niepamiętnych czasów był terenem tabu i zapuszczali się w te strony tylko młodzi wojownicy podczas obrzędów poszukiwania prawdziwego imienia. Poprzedzone długimi postami wyprawy to był czas, gdy widziany oczyma świat mieszał się z krainą duchów, tak że w końcu nie było pewne, czego można dotknąć dłonią, a czego tylko myślą. „Aby usłyszeć swój wewnętrzny głos, potrzebujesz wielu cichych dni” – mawiali czarownicy i mieli rację. Gorzej, że twierdzili, iż istnieje tylko jedno, co łączy wszystkich ludzi: ich samotność, i też mówili prawdę.

Jeden z takich poszukiwaczy znalazł przypadkiem tę doskonałą naturalną kryjówkę. Grzbiet Łosia podziurawiony jest wieloma jaskiniami, ale tylko tu przez wąskie wejście nie przecisnę się żaden dorosły niedźwiedź, a dwunożni ludzie, by wejść do środka, muszą czołgać się po kamiennej posadzce. Jaskinia ma jeszcze jeden dodatkowy atut – niewielką dziurę w sklepieniu. To dzięki niej można rozpalić życiodajne ognisko bez ryzyka, że ten, kto to uczyni, udusi się dymem lub łatwo zdradzi wrogom sekretne wejście. W krainie mgieł i wiecznie padającego śniegu lub deszczu mała smużka była prawie niewidoczna, poza tym podążała ścieżką do wnętrza góry i nikt nie wiedział, gdzie wychodzi na zewnątrz.

Kilkunastu wojowników siedziało wokół niewielkiego ognia, próbując ogrzać zmarznięte dłonie w pobliżu drgających płomieni. Na pomalowanych ochrą twarzach dwóch z nich perliły się tłuste krople potu, chociaż w kryjówce ciągle jeszcze było bardzo zimno.

– U Pnia Drzewa to mała rana i jego duch zostanie w tym ciele, ale Zraniony Koziół miał mniej szczęścia i Wakan Tanka już przyzywa go do siebie. Przeznaczona dla niego strzała wbiła się w plecy z taką siłą, że aż wyszła z drugiej strony w okolicach brzucha. Nie dotrwa do wschodu Wi i nawet czarownik – Beothuk przerwał zdanie i obwąchał ranę – nic by tu nie poradził. Z dziury płynie czarna krew z wątroby i żółta z pękniętych kiszek. – Szeleszczący Liść, który znał się trochę na opatrywaniu zranień, westchnął ciężko i przykrył ciepłym futrem półleżącego nieprzytomnego wojownika.

– Przynajmniej będzie z nami, gdy nadejdzie ta chwila. – Snae-Kol uściśnął dłoń Shaa-naan-dithit, w której czarnych oczach lśniły łzy. – To twój dalszy brat, dziewczyno, bądź silna i siedź przy nim, dopóki nie dokona się jego przeznaczenie. – Młoda kobieta skinęła smutno i położyła sobie na kolanach głowę nieprzytomnego, cicho jęczącego kuzyna. Zębaty za nic nie chciał wejść do jaskini i kręcił się pewnie gdzieś w pobliżu, płosząc zające i rzucając wyzwanie wilkom. – Straciliśmy jednego dobrego wojownika, ale to dopiero początek. – Wódz dorzucił do ognia kolejny suchy patyk. – To miejsce i zgromadzone wcześniej zapasy – zatoczył ręką koło – to dla nas jedyna bezpieczna kryjówka na całej Wielkiej Wyspie. By nie zdradzić tropami schronień naszych braci, nie możemy u nich szukać ratunku. Tak zostało postanowione i tak będzie. – Pod skalnymi ścianami stało wiele nieforemnych pakunków, zawierających głównie jedzenie, trochę ciepłych skór i wiązki nowiutkich prostych strzał. – Rano wyjdziemy na polowanie i choć będziemy zwierzyną, to taką, która potrafi w obronie swoich młodych zagryźć zbyt pewnego siebie myśliwego.

– Wakan Tanka i Taku Skanskan wspomogą Długich Ludzi, którzy są ukochanymi dziećmi Tob-Tob. – Chrapiący Pies mówił to z wielkim przekonaniem, tak typowym dla niedostrzegającej barier młodości.

– Może tak, ale wiele zależy od nas samych. Zasłużymy na tę pomoc, okazując dzielność i spryt. Gdy zaś okazemy się tchórzami i głupcami... – Nie musiał kończyć.

– To jaki jest plan, bo przecież nie czekaliśmy na wybrzeżu tylko po to, by posłać kilka strzał w dupska wrogów? – Oddi zadał pytanie, które zadawali już wielokrotnie, ale Sturla zawsze znalazł jakiś wykręt, by im nie zdradzać swoich zamiarów. Więc niemal pootwierali ze zdziwienia usta, gdy tym razem było inaczej.

– Nie chciałem, by któryś z was, złapany w trakcie ucieczki, zdradził Biegnącemu Bykowi mój

podstęp, stąd taka tajemnica. Ale teraz już mogę mówić. Upierałem się, by w obozie u stóp Wody Grzmotów pozostawić nienaruszone mamateeki, jedyne na całej Wielkiej Wyspie, nie bez powodu. To wabik, jak w czas polowania na niedźwiedzie krwiste wnętrzości karibu, które mają zwabić w to miejsce naszych wrogów.

– Budując im solidną palisadę, by mogli się lepiej bronić przed naszymi atakami, i dając ciepłe schronienie przed zimnem? Czy zostawiliśmy tym psom też suszone mięso i grube futra? Jako akt dobrej woli, wodzu wodzów, czy może strachu i głupoty? Na pewno skorzystają z takich darów, tylko na Ptaka Pioruna po co?! – Szeleszczący Liść splunął ze złością w ciemność jaskini.

Niezrażony tym wybuchem Snae-Kol mówił dalej, nie podnosząc głosu:

– W spiżarni, tej, którą wykopaliśmy przy palisadzie na wprost bramy, czeka ukrytych pięć razy po dziesięciu wojowników, mój lid, załoga mojego wielkiego kanu, najlepsi z najlepszych.

Kilka cichych szeptów rozległo się wśród siedzących przy ogniu wojowników, zaskoczonych i rozczarowanych.

– To to jest ten twój plan, który ma zmusić wroga do opuszczenia naszej wyspy? Rada starszych naszego plemienia wiedziała, co chcesz zrobić, i zgodziła się? – Rogi Karibu pokręcił głową, jakby nie mogąc uwierzyć w to, co słyszy.

– Nawet dwa razy tyle ludzi nic nie znaczy przy masie, jaką ma ze sobą wódz Mikmaków, Biegnący Byk! Ich jest tyle, co mrówek w mrowisku! – dorzucił ktoś inny. – Gdyby nawet wojownicy tego psa spali niczym wiewiórki w czas chłódów, to i tak naszych będzie za mało.

– Nie chodzi mi o ludzi. – Wódz wodzów podniósł wielką dłoń i zapadła cisza. – Mam nadzieję, że w obozowisku pod Wodą Grzmotów nasi wrogowie złożą swoje zapasy i to właśnie je chcę zniszczyć. – Tym razem obyło się bez westchnień i szeptów.

– W wielkim, przykrytym podwójną warstwą pni dole, w którym skrywają się moi wojownicy, schowałem worki pełne czarnej mazi z jeziorka wewnątrz wyspy, tej, która łatwo się zapala i daje światu dym śmierci. Spalimy pemikan, tłuszcz i wszystko, co zabrali ze swoich wiosek, a nadaje się do jedzenia. Chłody potrważą jeszcze jakiś czas, a z pustymi brzuchami nawet najsilniejszy klan jest bezradny niczym samotne dziecko zagubione w lesie.

– Ja przeżyłam. – Shaa-naan podniosła dłoń, jakby zgłaszała się na ochotnika do jakiejś pracy.

– Wiem, słyszałem. – Uśmiech przebiegł przez surową twarz wielkoluda i zaraz zniknął. – Ale nawet wszystkie wilki zebrane razem nie wykarmią takiej masy ludzi, będą więc musieli wrócić na stały ląd albo nauczyć się jeść mięso własnych wojowników.

– To akurat nie byłby pierwszy raz – odezwał się Chrapiący Pies z odrazą. Inni przytaknęli mu szybko, plując za siebie dla przepędzenia złych duchów.

Jeszcze długo trwały dyskusje nad tym chytrym podstępem, ale wszyscy byli zgodni, że to dobry, a nawet bardzo dobry plan. I o ile uda się zaskoczyć wroga, uratuje wielu Beothukom życie. Siła nieprzyjaciół stanie się słabością. Zniknęła gdzieś ponura atmosfera, a coraz częściej słychać było śmiech. Pojawiła się nadzieja, którą wcześniej zachwiało to, co widzieli, leżąc długie godziny w ukryciu. Liczebność wrogich oddziałów przekroczyła ich najśmielsze szacunki.

Wszystko zmieniło się, gdy niemal w zupełnej ciemności do jaskini wczołgał się Śnieżny Lis. Opowiedział swoim braciom o tym, co udało mu się podsłuchać, nie zapominając dodać, że wódz połączonych plemion spodziewa się pułapki i jest na nią przygotowany. To skazywało załogę Snae na pewną śmierć. Nikt nie bolał nad tym bardziej niż sam wódz wodzów, gdyż razem z załogą *Aifura* czekał

tam Bjarki, jego jedyny syn.

Gdy duch opuścił Zranionego Kozła, Shaa-naan nie spała. Ciało syna siostry matki zrobiło się nagle ciężkie, a rozpalona dotąd skóra stygła z minuty na minutę.

– Nie żyje, Brzuchu Ryby, odszedł do Odległej Krainy – szepnęła.

Oddi, który obejmował ją ramieniem, w pierwszej chwili nie zareagował, jako że spał mocno, ale obudził go cichy płacz dziewczyny.

– Co się stało?

– Zraniony Kozioł umarł.

– Ciii – uspokajał swoją towarzyszkę. – Jest teraz w innym, lepszym świecie. Ta wasza Odległa Kraina to przecież ciepło, spokój, zawsze udane łowy, dużo milczenia, które tak cenicie. Nie płacz, Shaa-naan, troskaj się o żywych, nie martwych.

– Masz rację, ale on był jeszcze młody, nie musiał nas opuszczać, jeszcze nie.

– A kto pyta człowieka o zdanie? A gdyby nawet pytał, to skończyłoby się tak, jak w tej sadze o wilku i kojocie.

– Wiem. – Pogładziła twarz Zranionego Kozła i z cichym stęknieniem zdjęła jego głowę ze swoich kolan. – By się położyć, musisz przedtem choć na moment usiąść. By spotkać Wielkiego Ducha, musisz umrzeć. Ale czy my się odnajdziemy tam, po drugiej stronie? Ty i ja? – Podniosła głowę, co poznał po ciepłym pulsowaniu jej oddechu, który poczuł na twarzy. Ogień nie dawał wiele światła.

– Sam nie wiem i to mnie martwi. – Przytulił ją mocniej, jakby próbując zatrzymać na zawsze w swoich ramionach. – A właściwie to wiem. Ja pewnie trafię, przynajmniej taką mam nadzieję, do Asgardu, do domu Odyna. Tam nie ma kobiet i wierz mi, nie chciałabyś tam być. Ty znajdziesz spokój w swojej Odległej Krainie, gdzie nie przebywa żaden wiking. Może Sturla Tubbesson będzie tam z tobą, ale nie ja.

– Sam widzisz. – Znowu zaczęła drzeć.

– Shaa-naan – uspokajał ją – mamy dla siebie tylko to, co tu i teraz, tylko nasze życie w Midgardzie. Mało i dużo zarazem. Zrobmy więc wszystko, by zestarzeć się razem, bo nikt nie zabierze nam wspomnień, nawet bogowie.

– Na to się raczej nie zanosim...

– A ty co, znasz przyszłość, jesteś kobietą mocy? – Trochę podniósł głos i od strony śpiących dobiegło ich kilka syknięć. Wstydził się przyznać, nawet sam przed sobą, ale trochę się przestraszył. Niekiedy takie biadolenie mogło sprowadzić na mówiącego nieszczęście. Wiele się zmieniło dla Oddiego Asgotssona, od kiedy poznał tę młodą kobietę. Dziecko, które nosiła pod sercem, zmieniło jeszcze więcej. Miał dla kogo żyć, chciał żyć, choć oczywiście nie za wszelką cenę. Złość, jak przyszła, tak rozplynęła się w ciemnościach jaskini. Delikatnie pocałował włosy Shaa-naan, ale tak, żeby nic nie poczuła. Był przecież mężczyzną, twardym wojownikiem.

– Masz rację, ważne jest to, co tu i teraz – usłyszał już jej spokojniejszy głos.

– Nikt i nic nie zabierze nam wspomnień – powtórzył cicho.

Resztę nocy przespali, jakby na zewnątrz nie było czyhających na nich wrogów.



*O świcie wstać musi, kto cudze
Mienie lub życie chce zabrać;
Rzadko leżącemu wilkowi udko zdobyć się uda,
A śpiącemu wojowi – zwycięstwo.*

Skryci w gęstych i splątanych, choć bezlistnych zimą krzakach, patrzyli z góry na obóz u podnóża Wody Grzmotów. Oddi miał wrażenie, że czas się cofnął, że mądra Urd zamieniła się miejscami ze Skuld, ponieważ podobny obrazek widział, gdy po raz pierwszy, wraz z klanem znad Zatoki, znalazł się w tym miejscu. Wszystko skrywała świeża i gruba warstwa śniegu, ale dałby głowę, że z głazu w połowie drogi wiodącej ku dolinie nie zeszła jeszcze ruda plama krwi nieszczęsnego Szumu w Uszach.

– Rozbili swoje mamateeki i jest ich wiele więcej, niż było naszych. – Chrapiący Pies cmoknął z uznaniem. A może to było zmartwienie? Syn Kamiennego Ostrza miał cmoknięcia na różne okazje.

– I tej nocy ma ich zaatakować tylu wojowników, ile jest palców u nóg i rąk, a nawet i to nie? A może od razu idźmy pod bramę z żądaniem, by się poddali, a unikną strasznej śmierci. – Szeleszczący Liść nie krył wątpliwości. Wszyscy je mieli, gdyż plan Snae-Kola miał więcej dziur niż Grzbiet Łosia jaskiń.

– Masz inny sposób na odwrócenie ich uwagi od lidu wodza wodzów, od ukrytej załogi *Aifura*? – spytał ze złością Oddi. Miał już dość tego marudnego kompana. Z drugiej strony znał się on na leczeniu ran, więc warto było mieć go przy sobie.

– To, że Wielki Duch pomieszał w głowie Snae i ten skazał na pewną śmierć swoich jakoby najlepszych wojowników, to jego i ich sprawa, obcy. – Pogarda w głosie wojownika była wyraźnie słyszalna.

– Przecież i tobie podobał się ten fortel, w jaskini widziałem i słyszałem, jak krzyczałeś: Snae, Snae, Snae-Kol! – Chrapiący Pies nie krył zdziwienia.

– A potem przyszedł Śnieżny Lis, tak? – Popatrzył na nich Szeleszczący Liść. – A nasz wódz mógł przewidzieć, że *kji'saqmaw Mikmaków*, Biegający Byk myśli podobnie jak on i będzie podejrzewał jakiś podstęp.

– A ty byś przewidział, co? Razem ze swoim nieżyjącym bratem krwi Stękającym Lisem patrzyliście tylko, jak osłabić plemię i pozbyć się naszego wielkiego bladego brata – wtrącił się Chrapliwy Oddech, syn Długiej Ręki. – A może byliście w zмовie z wrogiem, co? Może Biegający Byk obiecał wam władzę nad Długimi Ludźmi za ten żmijowy język?

Przez chwilę wydawało się, że ta dwójka rzuci się na siebie i zdradzą swoje położenie, ale uciszył ich sam wódz wodzów. Od tego momentu do czasu, gdy nocne słońce doszło do połowy drogi, leżeli niemal w absolutnej ciszy.

Podejście niepostrzeżenie pod grupę niewielkich gładów, które jakaś dawno zapomniana lawina przyniosła aż w to miejsce, zajęło im dalszy kawałek nocy, na szczęście gruba pokrywa chmur nie przepuszczała wiele światła. Tam dołączyli do nich Rogi Karibu i Śnieżny Lis, każdy z dwoma ociekającymi krwią skalpami w rękach. Było tak ciemno, że jedynie dzięki mocnemu zapachowi krwi Oddi domyślił się, że to, co mają zatknięte za pas, to mieszkające we włosach duchy wrogów.

– Strażnicy nie podniosą alarmu, możemy zaczynać. – Lis chyba się uśmiechał, ale trudno było to stwierdzić na pewno.

– Moi czerwoni bracia są dzielni, waleczni i spadają na wroga znienacka niczym sam Ptak Piorun – pochwalił ich cicho Snae-Kol. – Zabijać z zasadzki każdy może, ale zrobić to bez jednego jęku potrafią tylko najlepsi.

Dwa pomruki zadowolenia były jedyną odpowiedzią na tę zasłużoną pochwałę.

Chrapiący Pies pod osłoną głazu rozпалиł małe ognisko i wojownicy, jeden po drugim, przykładali do ognia wcześniej przygotowane strzały. Spreparowano je tak, że tuż za kościanym ostrzem znajdowały się kawałki wysuszonej huby nasączonej czarną mazią. Siedemnaście ognistych łuków przecięło powietrze i siedemnaście mamateeków pocałowały ogniście usta. Przez pewien czas nic się nie działo i Beothukowie zdolali wystrzelić jeszcze trzy takie serie, nim natłuszczona skóra pierwszego namiotu zajęła się ogniem.

– Gasimy, czarne strzały. – Cichy rozkaz słyszeli wszyscy, i to pomimo narastającego hałasu dochodzącego od strony obozowiska. Oddi własnym futrzanym płaszczem przykrył małe ognisko i w jednej chwili zgasło czerwone oko na łagodnym zboczu.

Coraz więcej mamateeków rozjaśniało noc, a ich mieszkańcy wybiegali z bronią w rękę, gotowi i do walki, i do gaszenia pożaru. Płomienie niezbyt ochoczo wgryzały się w zmrożone poszycia. Niektóre strzały zgasły po spaleniu się huby, nie przekazując ognia dalej. Te jednak, którym ta sztuka się powiodła, spowodowały, że biegający po obozowisku wojownicy stali się doskonałymi, dobrze oświetlonymi celami i aż żal było tego nie wykorzystać. Więc wykorzystali. Raz po raz jęczały cięciwy, wypuszczając lecące z wizgiem pociski. To był głos samej śmierci, którego większość trafionych nawet nie słyszała. Zamieszanie za palisadą zmieniło się w panikę, gdy zapłonęło wielkim ogniem kilka kolejnych namiotów. Płomienie, które je zachłannie trawiły, pojawiły się jakby znikąd. Zaraz też Oddi zobaczył przedzierający się ku bramie oddział wojowników. To musiała być załoga *Aifura*. Wydawało się, że Wielki Duch sprzyja swoim czerwonym dzieciom, albowiem maszerowali niezaczepleni przez wroga, który prędeziej spodziewałby się deszczu w mróz niż wrogich oddziałów wewnątrz umocnień. Nic jednak nie trwa wiecznie i w pewnym momencie uciekinierzy natknęli się na znacznie liczniejszy oddział przeciwników, który zastąpił im drogę. Wbili się w niego niczym ostrze topora w drewno. Oddi przecierał oczy ze zdumienia, bo miał przed sobą tubylców, którzy walczyli w tak dobrze znanej każdemu Normanowi formacji, zwanej *świńskim ryjem*. I co jeszcze dziwniejsze, parli do przodu zwartą, karną grupą, co i Askomanom niekiedy przychodziło z trudem. Powoli zbliżali się do wyjścia i zdawało się, że nic ich nie zdoła powstrzymać. Jednak wrogów było ze dwudziestu na jednego, a przy takiej przewadze tylko jazda miałaby szanse ujęcia z życiem. Niemal stanęli w miejscu, gdy do uszu podpalaczy dotarł sykliwy rozkaz Snae-Kola.

– Celować w plecy mikmakowych psów, stojących pomiędzy nimi a bramą, oczyścimy im przejście!

Trwało to kilka chwil i ostrzał odniósł skutek, ponieważ załoga *Aifura* ruszyła z miejsca.

– Koniec, koniec, ostatnia! – Te odgłosy słyhać było coraz częściej i siedemnaście nocnych duchów zaprzestawało ostrzału. Ciągłe zwarta grupa, w której dało się widzieć uwijającą się jak w ukropie nieco wyższą sylwetkę Bjarkiego, dotarła właśnie do wielkiej bramy.

– Mogliśmy podejść tu z większymi siłami i zabić więcej tych psów – stęknął Oddi, napinając po raz ostatni swoją śmiercionośną broń.

– To mięso na wilki – mruknął niewyraźnie Chrapiący Pies. Strzała, którą trzymał w ustach, utrudniała mu mówienie. – Pułapka, w którą mieliśmy wpaść. Gdybyśmy podeszli większą grupą, byłoby po nas.

– Niby wiem, ale tak tylko...

– Wycofujemy się. Nic więcej nie możemy dla nich zrobić. Cicho i szybko. – Rozkaz Snae-Kola uciął dalsze rozmowy i grupa ciemnych postaci zaczęła wspinać się po zboczu. Szli tą samą drogą, którą pokonali nieco wcześniej, zostawiając za sobą łuny pożarów i swoich walczących braci. Ci ostatni wydostali się już na zewnątrz i zaczęli wsiąkać w otaczającą palisadę ciemności niczym woda w piach. Oddi nie widział, czy wśród tych szczęśliwców jest Bjarki. Złapał jeszcze swój lekko nadpalony płaszcz i prawie na czworakach, bo było ciemno choć oko wykol, ruszył za towarzyszami. Smród spalonej sierści nieco przeszkadzał, ale świadomość setek wściekłych wrogów, którzy za chwilę rozpoczną przeszukiwanie zbocza, pozwalała nie zwracać uwagi na drobne niedogodności.

Biegnący Byk nie był głupcem. Przygotował pułapkę w pułapce, w której rolę przynęty odgrywali wojownicy za palisadą. Dwa potężne oddziały sprzymierzonych czekały w pewnej odległości od Wody Grzmotów, gotowe w każdej chwili zamknąć kleszcze. To, co znalazłoby się między nimi, zostałoby roztarte niczym grudka tłuszczu między palcami. Na szczęście dla Beothuków ci o tym wiedzieli, a zwierzyna, na którą zastawiono te sidła, była zbyt mała i za szybka, żeby plan Biegnącego Byka się powiódł.

Uciekali w stronę leżącego niedaleko brzegu Gardła Karibu, gdzie mieli się spotkać z wojownikami z załogi *Aifura*, przynajmniej z tymi, którym udało się oderwać od przeciwnika. Niektórzy spoglądali tęsknie za siebie, ale z pustymi kołczanami byłiby dla wrywających się z zasadzki towarzyszy bardziej zawadą niż pomocą. Ich jedyną nadzieją były mocne nogi i ciemność. Na szczęście Wielki Duch sprzyjał tej nocy Długim Ludziom.

– Widział ktoś Pień Drzewa? – Cichy okrzyk Chrapiącego Psa spowodował, że na chwilę zaprzestali ucieczki. Jak się okazało, niskiego wojownika nie było wśród nich.

– Dołączy do nas w jaskini. Nie możemy tu czekać – syknął Snae-Kol i ruszyli z miejsca.

Do wybrzeża dotarli gęsiego, trzymając rękę na ramieniu wojownika, który szedł przed nimi... Gdy postawili stopy na kamiennej wodzie, chmury rozstały się nieco, przepuszczając na Unchi trochę światła nocnego słońca.

To Oddi, chociaż jednouchy, pierwszy usłyszał zduszone głosy i zmęczone oddechy, pomiędzy którymi rozpoznał ściszony, lekko nosowy głos Bjarkiego.

– To gdzieś tu, na Wielką Tajemnicę, muszą gdzieś tu być.

– Muszą to pojawić się robaki w starym mięsie – odpowiedział mu czyjś głos. – Jeśli ich nie dogonimy, idziemy do Zatoki Mew. Tam stoi nasze wielkie kanu, nasz okręt, którego musimy bronić przed parszywymi psami Biegnącego Byka, rozmawialiśmy już o tym.

– Ale... – Niepewny protest syna wodza wodzów przerwało pojawienie się samego Snae-Kola. Uściskał chłopaka jak kogoś, kogo nie spodziewał się zobaczyć na tym świecie. Powitań więcej nie było, ponieważ tropem załogi *Aifura* podążał wróg i sądząc po odgłosach, musiał to być liczny oddział.

Przez jakiś czas biegli prostopadle do brzegu, ale pomimo szybkiego tempa wojownicy Mikmaków i Huronów złapali trop i podążali śladem Beothuków.

– Rozdzielamy się. – Głos biegnącego z przodu Snae-Kola dotarł do Oddiego jakby zza grubej kotary. – Każda dwójka rusza w innym kierunku i przed świtem samodzielnie dociera do jaskini. Tylko upewnijcie się, że zgubiliście pościg.

– A niedźwiedzie? – Chrapiącego Psa martwiło spotkanie z tymi futrzanymi zabójcami nie mniej niż z wojownikami Biegnącego Byka.

– Nie przejmuj się nimi, trzeba być głupim dwunożnym człowiekiem, żeby wędrować po rozpuszczającym się lodzie, i to w środku nocy. – Chrapliwy Oddech, syn Długiej Ręki, poklepał pocieszająco młodzieńca po ramieniu.

– Nie uciekniemy im, biegnąc jeden za drugim, bo ślady, jakie zostawiamy, są za głębokie, by mokry śnieg zdołał je szybko zakryć. Jeśli się podzielimy, płytkie odciski znikną, nim wróg zdoła je wypatrzeć. – Snae skinął na Bjarkiego i już bez słowa ruszył przed siebie. Reszta poszła za jego przykładem. Dla kogoś patrzącego na wszystko z góry i zdolnego przebić wzrokiem gęstą zasłonę białych płatków musiałyby to wyglądać niczym rozkładający się wachlarz.

Resztę nocy biegli równym tempem, zwalniając co jakiś czas, by świerkową gałęzią zacierać ślady. Zamarznięta woda tworzyła w miarę gładką drogę, więc Oddi wraz z towarzyszącymi mu Chrapiącym Psem i Shaa-naan rzadko lądowali w śniegu. Wróg zgubił ich trop dawno temu. Wiele cichych modłów dotarło tego ranka do uszu Wakan Tanki, ale też skandynawscy bogowie nie mogli narzekać na ich brak. Uciekinierzy zatoczyli głęboki łuk i do kryjówki dotarli jedni z ostatnich. Pnia Drzewa nie było w jaskini. Przebywający w środku wojownicy byli śmiertelnie zmęczeni, tak że każdy niemal padał tam, gdzie stał. Szczęściarze znaleźli miejsce bliżej niewielkiego ogniska, reszta musiała zadowolić się własnymi mokrymi futrami. W kryjówce zrobiło się naprawdę ciasno.

Wojownikom z załogi *Aifura* ciążyła pamięć o nieżyjących towarzyszach, ale tymi ostatnimi zajmie się sam Wielki Duch. A oni, Beothukowie, opowiedzą jemu i pozostałym Tob-Tob o dobrych sercach i silnych ramionach swoich zabitych braci. Prześlą w chmurach fajkowego dymu modły i wspomnienia, by duchy zmarłych nie krążyły po ziemi dłużej niż rok.

Na zewnątrz mokry śnieg przykrył ziemię kolejną białą warstwą, zasypując wszelkie tropy i wejście do jaskini.

Nikt z uciekinierów nie zwrócił uwagi na samotną, przypominającą poskręcany pień sylwetkę, która kuciała w bezruchu wśród oddalonych o strzał z łuku głązów. Gdy ostatni z Beothuków zniknął w otworze, obserwator drgnął i wycofał się powoli, by czyjeś czujne spojrzenie nie złowiło tego ruchu.



*W nocy nie wstawaj, chyba, że na przespiegi,
Albo że do wychodka.*

Dym z ogniska zniknął w ciemnym otworze wyżłobionym dawno temu w wysokim sklepieniu przez płynącą tu niegdyś wodę. Dalej, sobie tylko znanymi kanałami, wydostawał się na zewnątrz. Część jednak zostawała wśród ludzi, i dobrze, bo choć trochę tłumiła smród wielu schnących skór i futer. Zrobiło się na tyle ciepło, że niektórzy siedzieli w samych skórzanych koszulach. Nikt nie spał, już nie. Tu i ówdzie dało się słyszeć ciche rozmowy, ktoś wyjął suszone mięso, ktoś inny nagarnął do skórzanej sakwy trochę roztapiającego się śniegu, który zaczopował korytarz wejściowy. Kilka rozgrzanych kamieni i już gotował się ciepły bulion, od którego zapachu wszystkim ciekła ślinka.

– Posłuchajmy teraz waszej opowieści. – Snae-Kol skinął w stronę niezbyt wysokiego wojownika z załogi *Aifura*, który pomimo swej nikczemnej postury przewodził oddziałowi podczas jego nieobecności. Pazury Rysia może nie był równy wzrostem swoim kompanom, może i nie miał tak

szerokich barków jak przysadzisty, nieobecny niestety Pień Drzewa, ale był żylasty i twardy niczym suszone mięso i niejeden śmiałek połamał sobie na nim zęby.

Ten skończył przeżuwać wyłowiony z zupy pomarszczony pasek, wziął kilka głębszych oddechów i rozpoczął opowieść.

– Na początku było nas tylu, ile ma palców u rąk pięciu wojowników. Z synem wodza wodzów dochodzi jeszcze jeden palec u stopy. Czekaliśmy sześć długich dni i nocy w ciemnej, krytej belkami jamie, zdani tylko na własne ciepło. W ciemności krążyły wśród nas duchy umarłych, ale nikt ich nie widział, bo było ciemno, poza tym to duchy. Tylko jakieś trzeszczenie, posapywania, czasem ktoś mruknął głośniejsz, dotknięty jakby skrzydłem ćmy, której przecież nie mogło tam być w okresie chłodów. Nie dało się nawet wstać dla rozprostowania kości, a poruszaliśmy się zgięci wpool.

– Ty to prawie mogłeś – zażartował Chrapliwy Oddech, ale zdawało się, że Pazury Rysia nie zwrócił uwagi na tę zaczepkę. Spojrzał tylko na śmiałka i ci, którzy go znali, wiedzieli, że zapamiętał sobie jego twarz i w stosownej chwili wyrówna rachunki.

– Już drugiego dnia smród z dziury, w której oddawaliśmy ziemi to, co oddać musieliśmy, był tak duży, że wszyscy stracili chęć do jedzenia i musieliśmy, pomimo ryzyka, trochę powiększyć otwór u góry. Wspominaliśmy nasze wyprawy w głąb lądu, bogate plemiona zamieszkujące Krainę Wielkich Jezior, Bjarki opowiadał o bladokórym przybyszu i o wielkich kanu podobnych do naszego *Aifura*. Tak nam mijał czas. Potem przyszli Mikmakowie, Huroni i Ludzie Łosie. Słyszeliśmy ich głosy, śmiechy, gdy rozkładali mamateeki, gdy się wykłócali o lepsze miejsca. Na szczęście nasza kryjówka znajdowała się pod samą palisadą, po przeciwnej stronie drewnianych skrzydeł, więc nikomu nie przyszło na myśl stawiać czegoś na naszych głowach czy rozpalić tam ogniska. Dzięki za to niech będą Sichun, szczególnie za to ostatnie, bo śmierć od płomieni jest znacznie gorsza od zwykłej. – Kilka potakujących mruknięć towarzyszyło tym ostatnim słowom.

– Wykazaliście się wielką odwagą. – Snae-Kol popatrzył po twarzach członków załogi *Aifura*, którzy nawet teraz trzymali się razem. W ciemności jaskini płomień niewielkiego ogniska rzeźbiły wspólnie z cieniami straszne maski na ich poważnych obliczach.

– Zapłaciliście za tę odwagę krwią, i to wszystko dla ciebie, wodzu wodzów – odpowiedział mu cicho Krucza Kość, który stracił brata podczas niedawnej ucieczki.

– Wiem, wojowniku, znam każdego z was niczym własnego syna. Wspólnie wędrowaliśmy, spaliśmy w jednym mamateeku, paliliśmy fajkę duchów i niekiedy walczyliśmy o życie. Znałem też tych, którzy udali się już w drogę do Odległej Krainy. Ale Wielki Duch nie dał Długim Ludziom wyboru, to nie my zaatakowaliśmy wioski Mikmaków i Huronów. Mów dalej, Pazury Rysia.

– Każdej nocy czekaliśmy na znak, którym miały być płonące strzały. Gdy w końcu nadszedł, byliśmy gotowi. Mieliśmy składy suszonego mięsa polać czarną śmierdzącą wodą z niezamarzającego jeziora i spalić. Gdyby Wielka Tajemnica dał nam szansę, powinniśmy też zniszczyć jak najwięcej ciepłych futer, by zimno dało się we znaki naszym wrogom i wypędziło ich z Wielkiej Wyspy. Wskoczyliśmy na powierzchnię, w obozie wrzało jak w sakwie, w której chwilę temu gotowaliśmy pemikan. Wojownicy wroga biegali, próbując gasić pożary, inni szyli strzałami w ciemność, ale byli ślepi niczym człowiek z związanymi oczami. Z początku nikt nie zwrócił uwagi na nasze dodatkowe głowy, co dało czas, by rozejrzeć się po obozie. Gdy któryś z miejscowych był zbyt ciekawy, cicho podrzynaliśmy mu gardło i szukaliśmy dalej. Znaleźliśmy w końcu cztery sterty tobołków, niestety w czterech miejscach, więc nie mogliśmy podpalić ich wszystkich i bronić płomieni przed ugaszeniem. Utworzyliśmy wokół największej podwójny skjaldborg. Ty, bladokóry, ponoć wiesz, o czym mówię. – Oddi bez słowa skinął głową, bo

widział, jak ci wyszkoleni przez Sturłę czerwonoskórzy walczą w szyku zwanym w rodzinnym kraju murem tarcz. – W stronę pozostałych trzech wysłałem po jednym wojowniku z workiem czarnej wody. Dwóm udało się wzniecić ogień, niestety miejscowi szybko ugasili te płomienie. Żaden z nich nie dotarł z powrotem do oddziału. To byli dzielni żeglarze. – Oddi spojrzał zdziwiony na Snae-Kola, a ten uśmiechnął się słabo, łowiąc to spojrzenie. Cóż, skoro mogli nazywać się załogą, to mogą i żeglarzami, czemu nie, przebiegło chłopakowi przez głowę. Chociaż raczej nie wierzył w ich umiejętność pływania z dala od lądu, nie mówiąc już o przetrwaniu zwykłego jesiennego sztormu.

– Na nas rzuciło się tak wielu wściekłych wojowników, że samą swoją masą zaczęli spychać moich Długich Ludzi do wielkiego ogniska, które mieliśmy za plecami. Wytrwaliśmy tylko dlatego, że nie mieliśmy gdzie uciekać i w pewnym momencie część atakujących odwróciła się do nas plecami i ruszyła gasić mamateeki, podpalone waszymi ognistymi pociskami. Potem zmieniliśmy szyk na svynfylkę i rozpoczęliśmy marsz ku drewnianym skrzydłom. I znowu, gdyby nie wasze strzały – Pazury Rysia wzruszył ramionami – to byłby nasz koniec. Gdy te wściekłe psy zrozumiały, co zrobiliśmy, chciały nas pozabijać, nie dbając o życie własnych wojowników. Resztę znacie. – Niewysoki mężczyzna nabrał powietrza, jakby wynurzył się właśnie spod wody. – Zginęło tylu naszych, ile jest palców u rąk i nóg jednego człowieka – dodał na zakończenie.

– Znamy resztę i powtórzę raz jeszcze, niewielu znalazłoby się dzielnych ludzi, którzy by się odważyli na to, czego dokonała załoga *Aifura* pod wodzą Pazurów Rysia. A w to, że uszło z tego z życiem tylu wojowników, ile palców u rąk ma troje ludzi, nikt by nie uwierzył, gdybyśmy wszyscy, jak tu siedzimy, nie poświadczyli prawdy własnym słowem. – Kilkunastu wojowników gorliwie pokiwało głowami. Snae wstał i przeciągnął się niczym niedźwiedź obudzony z zimowego snu. – Wiemy już, co wiedzieć chcieliśmy. Wróg będzie teraz bardziej głodny, ale nie na tyle, by zrezygnować z podbicia Wielkiej Wyspy. Bjarki, synu, wyjrzyj na świat, tylko bądź niewidoczny niczym cień cienia we mgle. Nadszedł czas na podgryzanie pęciny bykowi. Ogień wykonał za nas część pracy, ale reszta należy do wojowników. Minie wiele długich, smutnych dni, nim Biegający Byk zrozumie, że nie zdoła wystarczająco szeroko rozewrzeć paszczy, by zmieściła mu się w niej taka zdobycz. Szkoda tylko, że ta wiedza będzie kosztowała wiele krwi dwunożnych ludzi.

– Czerwona Orlica twierdzi, że na tym polega zamysł Wielkiego Ducha i jego Tob-Tob – wtrącił cicho Chrapiący Pies.

– Tak twierdzi najmądrzejsza z mądrych, rozmawiająca z duchami. Ale nawet ona nie wie na pewno, czy przedwiecznym istotom chodzi o Beothuków. Bo jeżeli nie, to naszym zadaniem jest spowodować, by swoje ogniska w Odległej Krainie rozpalili Huroni i Mikmakowie, a nie Dłudzy Ludzie. – Wódz wodzów spojrzał znacząco na syna.

Niedźwiadek, który był niemal zupełnie rozebrany, ponieważ znosił zimno lepiej od swoich współbraci, począł na siebie wkładać suche już skórzane odzienie. W tym czasie siedzący przy wyjściu Szpotawy Byk, syn Orlego Krzyku z klanu znad Zatoki, zaczął wygarniać śnieg z tunelu. Był już połową ciała na zewnątrz, gdy coś pociągnęło go mocno i siedzący w środku wojownicy zobaczyli szybko znikające wierzgające futrzane buty. Przez oczyszczony w ten sposób ze śniegu otwór wpadło do środka świeże powietrze i światło Wi. Zaraz jednak zrobiło się z powrotem ciemno, a po chwili zdziwieni Dłudzy Ludzie ujrzeli wygoloną czaszkę, z pióropuszem włosów biegnących przez środek. Bjarki, który zdążył stanąć przy wyjściu, niewiele myśląc, wbił kościany nóż w oko próbującego cofnąć się młodego Hurona. Poprzedzona drgawkami śmierć nadeszła bardzo szybko. Krwi było niewiele, a z oczodołu wypłynęła biaława masa, podobna do tego, co można wycisnąć wiosną z ukrywających się pod korą omszałych, martwych drzew olbrzymich pędraków. Towarzysze zabitego zaczęli ciągnąć trupa za nogi

i niemal w ostatniej chwili Niedźwiadek zdołał chwycić pięknie rzeźbioną rękojeść noża, który wyszedł z rany z cichym mlaśnięciem. Po chwili do drugiej jaskini znowu wpadło słoneczne światło.

Kilka chwil trwało zamieszanie, gdy wojownicy przebywający wewnątrz kryjówek wkładali odzienie i szykowali się do walki. Potem zamarli w bezruchu, czekając na to, co postanowi Snae-Kol. A on miał niełatwe zadanie, gdyż to, co było atutem schronienia – wąskie wejście – stało się jego przekleństwem. Muszą wydostawać się pojedynczo, a wróg wyłapie ich i zdejmie im skalpy bez większego trudu. A przechodzić przez skałę potrafią tylko duchy zmarłych. Zanosiło się na to, że niedługo nauczą się tej sztuki. Więc trwali tak w zawieszeniu, aż życie rozwiązało ten problem za nich.

Pierwszy poczuł dym Kucający Niedźwiedź, jeden z wojowników stanowiących załogę *Aifura*, zaraz za nim uczyniła to Shaa-naan i to ona podniosła alarm. Z początku były to pojedyncze sine pasma, po chwili jednak do jaskini napłynęło znacznie więcej dymu wyciskającego łyzy z oczu.

– Zatkać otwór workami z suchym mięsem i skórami! – krzyknął ktoś i w stronę stojących przy wąskim gardle poleciały pierwsze pakunki. Po chwili dym przestał napływać, a przynajmniej było go znacznie mniej. Na chwilę odetchnęli z ulgą, ale nie trwało to długo. Czekający na zewnątrz wojownicy Biegnącego Byka zorientowali się, że coś jest nie tak. Któryś z odważniejszych wszedł do skalnego korytarza i wyrwał jeden z tworzących szczelny korek pakunków. Uwięzieni szybko uzupełnili ten brak, ale tylko kwestią czasu było, kiedy im zabraknie nagromadzonego pod kamiennymi ścianami prowiantu.

– No, to spaliliśmy im zapasy, a w zamian oddajemy nasze – mruknął Oddi. – A to i tak na nic.

Do podobnego wniosku doszedł Snae-Kol.

– W sklepieniu tej jaskini jest otwór. Skoro radził sobie z dymem z naszego ogniska, poradzi sobie i z tym, którym niczym niedźwiedzie chcą nas wykurzyć te psie syny. Krucza Kość i Cierpliwe Drzewo, stańcie z ościeniami przy wejściu. Niech za każdą z ukradzionych sakwę zapłacą ranami na rękach lub trzecim okiem. – Wymieniona dwójka wysmarkała się, bo dym podrażnił im nozdrza, i zajęła stanowiska. Nowa taktyka okazała się skuteczna, choć wymagała od Długich Ludzi wielkiej i nieustannej czujności.

– Zyskaliśmy trochę czasu, jedzenie jest, ale bez wody długo nie wytrzymamy. – Szeleszczący Liść splunął ze złością w ogień.

– To nie marnuj jej na płucie – rzucił trochę zaczepnie Chrapiący Pies, ale Liść miał inne zmartwienie niż kłótnia z młokosem.

Wojownicy popatrzyli po sobie z zaciętymi minami, znaleźli się w pułapce bez wyjścia. Przy dużej ilości gryzącego dymu, który właśnie znowu zaczął napływać z zewnątrz, wytrzymają co najwyżej do momentu, gdy słońce znajdzie się w połowie swojej drogi. Potem wypłują płuca albo rzucą się do wyjścia, by to wróg skrócił ich męki.

Pierwszy na pomysł wpadł Pazury Rysia i wskazał pałką z kamieniodrzewa ciemny otwór w sklepieniu.

– Skoro dym odnajduje drogę na zewnątrz, to może dwunożny człowiek, o ile duchy nie pomieszają mu w głowie, też zdoła? – Jego słowom towarzyszyły cisza i niedowierzanie. To były święte góry, wielkie tabu, które wzbudzało strach samym swoim istnieniem. Kto chciałby wędrować w zupełnej ciemności wąskimi korytarzami, by utknąć gdzieś samotnie lub oszaleć, natykając się na Nagi – Cień Zmarłego lub na rozsierzonego zakłócaniem spokoju Nagilę – Cieniopodobnego.

– Ja wolę umrzeć we własnym ciele niż oddać je we władanie złemu duchowi lub na pożarcie sługom ciemności. – Chrapiący Pies nie miał zamiaru wciskać się w szeroki ledwie na człowieka otwór.

– Ja też nie pójdę, jestem za duży i szybko utknę gdzieś po drodze. – Oddi niemal widział, jak

tworzące jego splot życia nici biegną właśnie w tym kierunku. Spełniało się proroctwo starej kobiety mocy.

– Może ja, jestem mniejsza niż wojownicy... – Shaa-naan-dithit mówiła bez przekonania, bo i jej nieobcy był strach przed duchami góry.

– Nie! – niemal jednocześnie powiedzieli Oddi i Chrapiący Pies.

– To nie jest zadanie dla kobiety, nawet tak dzielnej jak córka Kamiennego Ostrza. – Snae-Kol zakończył temat.

– Ja pójdę. – Pazury Rysia już zdejmował z siebie grube futra, by po chwili zostać w cienkiej koszuli ze skóry cielaka karibu i takich samych nogawicach. Coś, co od kiedy stał się mężczyzną, sprawiało mu kłopot, czyli niewielki wzrost, mogło teraz uratować im wszystkim życie.

– I tak będzie. – Snae-Kol kucnął przy ognisku i wybrał cztery największe żagwie. Podał je stojącym nieopodal wojownikom, a sam narzucił na ogień swoje futro z niedźwiedzia. Zrobiło się jeszcze ciemniej.

– Ale ten, kto wejdzie do komina nad naszymi głowami, udusi się od dymu, który tą drogą ucieka. Teraz będzie go mniej, ale Mikmakowie nie siedzą beczynnienie...

– Dlatego – przerwał Oddiemu wódz wodzów – musimy jeszcze raz zatkać korytarz i bronić czopu, aż powietrze w jaskini się oczyści. Dopiero wtedy ruszysz, Pazury Rysia.

Niewysoki Beothuk skinął głową.

Łatwiej powiedzieć niż zrobić, ale wspólnymi siłami udało się wprowadzić plan w życie. Czekający na zewnątrz wojownicy znowu przerwali naganianie płachtami dymu do środka. Jeden z nich, tak jak to robili wcześniej, wsunął się do kamiennego korytarza, by rozmontować nowy czop. Gdy nieborak zaczął się czołgać, obrońcy szybko rozebrali barierę i czekali na niego z ościeniami do polowań na fok. Było ciemno, więc białe ostrza zobaczył niemal w ostatniej chwili i z trudem uniknął losu swego czerwonoskórego brata, który leżał martwy na zewnątrz. Wycofał się więc z pustymi rękami, a Beothukowie uszczelnili otwór. Byli czujni i każda kolejna tego typu próba kończyła się podobnie. Tym sposobem i dzięki przeciągowi w jaskini pozostały tylko resztki dymu.

Pazury Rysia wysmarowano tłuszczem, by łatwiej mu było przeciskać się przez wąskie gardła. Do stopy uwiązano rzemień, by ten, poruszając się, wskazywał towarzyszom, czy posłaniec jeszcze żyje i w razie zaklinowania lub śmierci pozostający na dole mogli ściągnąć go z powrotem lub przynajmniej to, co z niego zostało. Za uzbrojenie posłużył mu spory kościany nóż, który zatknął sobie za rzemień, i niewielki toporek z twardego kamienia. Tym ostatnim będzie mógł odłupać kawałki skały, jeśli przejście zrobi się zbyt wąskie. Kilka chroniących przed złymi mocami talizmanów, leki dające wojownikowi siłę i zdrowie i był gotowy.

– Weź. – Brzuch Ryby podał na wyciągniętej dłoni jakiś przedmiot.

– Co...? – Mały wojownik patrzył na niego nierozumiejącym wzrokiem.

– No saks weź, może ci się przydać.

Nawet w ciemności widać było, jak oczy Beothuka zabłyśły pożądaniem, ale po chwili ugasił je rozsądek.

– To przedmiot spoza wyspy, ściągnąłby na mnie najgorsze duchy, ale... Brzuch Ryby zachował się szlachetnie, oddając mi swój wielki skarb. Pazury Rysia będzie o tym pamiętał.

Już bez dalszych słów drobny człowiek stanął na ramionach Oddiego i Snae-Kola, najwyższych wśród

uwięzionych Beothuków, i kołyszając się przez chwilę niby sosna na wietrze, chwycił krawędź otworu. Na sygnał wodza cztery ręce pchnęły go w górę, tak że z ciemnej czeluści wystawały już tylko nogi śmiałka. Szczęśliwym zbiegiem okoliczności, przynajmniej w początkowym etapie, komin piął się bardzo łagodnie, więc Pazury Rysia nie musiał wspinać się groźnym upadkiem i skręceniem karku pionowym korytarzem. To był dar od Unchi.

Czterech wojowników „bawiło” się z wrogiem w chowanego przy podziemnym korytarzu, a reszta patrzyła jak zahipnotyzowana na znikające w kominie kolejne odcinki pociętego w cienkie pasy niedźwiedziego futra. Mieli ostrożnie ciągnąć, gdy poczują trzy krótkie, następujące po sobie szarpnięcia lub przez dłuższy czas lina będzie trwała w miejscu. Dwa oznaczały, że mają przestać i cierpliwie czekać.

Minęło wiele czasu i mnóstwo modłów do Wakan Tanki popłynęło w ślad za Pazurami Rysia. Na szczęście rzemień ciągle znikał w ciemnym otworze niczym węgorz w dennej grocie. W pewnym momencie ten ruch zamarł. Dłudzy Ludzie czekali w napięciu na jakikolwiek znak, ale lina ani drgnęła. Ktoś zaczął ją delikatnie ciągnąć, potem mocniej i mocniej, aż nagle usiadł wprost na przykrywającym ognisko futrze. Teraz już szło bez większego oporu i po kilkunastu smutnych chwilach koniec tego prowizorycznego rzemienia spadł u stóp znieruchomiałych z przerażenia ludzi.

– Na Wielkiego Ducha, straciliśmy wypróbowanego i dzielnego czerwonego brata. – Snae-Kol usiadł ciężko na kamiennej posadzce jaskini. – Skoro jemu się nie udało, nie będziemy dalej próbować. Duchy tego miejsca sobie tego nie życzą – dodał ciszej. Tym razem Shaa-naan nic nie powiedziała.

Wrogowie czekający na zewnątrz zaprzestali daremnych prób wypłoszenia Długich Ludzi z kryjówki, ale marne to było pocieszenie – zginą tak czy siak, jeśli nie od dymu, to z pragnienia. Nie wiadomo, która śmierć gorsza. Oddi postanowił, że jak już będzie bardzo źle, poderżnie gardło swojej kobiecie, zabijając ją i dziecko. Potem wyjdzie na zewnątrz. Tylko śmierć w walce daje wstęp do Walhalli, choć czy Odyn dojrzy swego sługę w tej odległej nieznannej krainie? Godi, którzy najwięcej obcowali z Asami i Wanami, twierdzą, że nieważne, w jakiej części świata ginie człowiek, bogowie i tak sumują wszystkie jego uczynki. Ale czy tak jest naprawdę? A jeśli przez przypadek znajdzie się w Odległej Krainie wraz z otaczającymi go czerwonoskórymi? Zadrżał, i to nie z zimna. Nuda dla każdego wikinga jest najgorszą z kar, może tylko życie bez wszystkich członków jest gorsze, bo do nudy dochodzi bezradność. Żeby zająć czymś myśli, odezwał się do Shaa-naan.

- Jak dalibyśmy na imię naszemu synowi, gdyby bogowie nie zamknęli nas w tej pułapce bez wyjścia?
- Jak damy mu na imię – poprawiła go stanowczo.
- Niech ci będzie, no to jak?
- Nie wiem, pierwsze dziecięce imię musi być radosne, a prawdziwe znajdzie sobie sam, gdy dorośnie. Może Gniew Kamiennego Ostrza? – Śmiali się przez chwilę z tego pomysłu.
- Co tam gniew, Mord w Oczach – dorzucił.
- Uderz swoją zarośniętą łepetyną o skałę, bladokóry. Co to za imię dla dziecka – Mord w Oczach? Chyba że jego ojcem jest stwór z najgłębszych ciemności. – Szturchnęła go łokciem w żebra.
- Fakt, było wtedy ciemno... – Zaśmiali się bezgłośnie.
- Wiesz – poważniejąc, położyła dłoń towarzysza na swoim brzuchu – niedługo zacnie się ruszać, a jak przyjdzie na świat, będziesz miał swoje małe trzyosobowe plemię.

Oddi westchnął ciężko, bo nagle zrozumiał, jak się czuje człowiek niezdolny do obrony życia swoich najbliższych. Kiedy nawet zastawienie własnego żywota nic nie zmieni. Bezradność kaleki bez członków

była przy tym niczym. Chwilowy radosny nastrój zniknął bez śladu. Wojownicy siedzieli w ciszy i niemal zupełnych ciemnościach. Płonące żagwie utrzymywali tylko w okolicy tunelu, by jakiś zbyt śmiały suczy syn nie wdarł się do środka i nie narobił szkód. Chociaż z drugiej strony przywitaliby go z otwartymi ramionami – jeden mniej na drodze pozostających na zewnątrz rdzennych mieszkańców Wielkiej Wyspy.

Nagle coś zaszurało, od kamiennej posadzki odbiło się kilka odłamków i na niedźwiedzią skórę spadła poczwara. Było zbyt ciemno, żeby zobaczyć, z czym albo z kim mają do czynienia. Istota nie ruszała się przez dłuższą chwilę, potem zaczęła chrząkać i charczeć i słychać było, że jej gardło nie jest stworzone do ludzkiej mowy. Gdy w drgającej od płomieni pochodni szarości intruz zaczął się podnosić, w jego stronę niczym zęby morskiego zabójcy poczęły zmierzać długie kościane ościenie.

Nagle kichnięcieomal nie zakończyło żywota Pazurów Rysia, bo to on we własnej osobie napędził strachu swoim współplemieńcom.

– Ognia, dajcie tu więcej światła. – Zduszony głos Snae pobudził do działania zaskoczonych wojowników. Zapalono dwa nowe łuczywa, które wydobyły z mroku istotę jak z najgorszego koszmaru. Do wysmarowanego tłuszczem niewysokiego zastępcy kapitana *Aifura* przylgnęło wszystko, na co natknął się po drodze. Całość otaczały kłęby pajęczyn, tak że wyglądał niczym draug – żywy trup. Przyczyna całego zamieszania kichnęła jeszcze raz i to tak potężnie, że trochę z pokrywającego wojownika pyłu wzbilo się w powietrze. Ten i ów zaczął smarkać, a z kilku ust wyrwały się nerwowe chichoty. Nie wiedzieli, czy to ich brat, czy tylko jego powłoka, którą opanował wściekły na wszystko, co żywe, duch dawno zmarłego człowieka.

– Macie jeszcze trochę tej wczorajszej zupy? – odezwał się ochrypłym głosem Pazury Rysia. Tym razem na twarzach pojawiły się szersze uśmiechy. Nikt jednak nie odważył się poklepać dzielnego wojownika po plecach, żeby nie wzbijać nowych tumanów pyłu.



Ogień potrzebny temu, kto przyszedł

I kolana ma zimne;

Jadła i odzieży potrzebuje człowiek

Co wędrował przez góry.

Droga na zewnątrz, jak wynikało z opowieści niewysokiego wojownika, kończyła się w jednej z jaskiń na zboczu Doliny Gnomów. Po zejściu Pazury Rysia wywołał niemały popłoch wśród przebywających tam Beothuków. Wzięli go za zmartwychwstałego, zasuszonego BeothNocha i koniecznie chcieli posłać z powrotem do krainy ludzi-niedźwiedzi. Akurat ta część opowieści nie zdziwiła nikogo ze słuchających. Uciekł i splukał z ciała skołtunioną rudą sierść w jednym z małych, niezamarzających stawów. Woda zabrała pajęczyny i pokrywający je rdzawy skalny pył i znowu stał się dwunożnym człowiekiem. Ukrywający się w Gnomedalu starcy, kobiety i dzieci przyjęli go ze zdziwieniem, ale i otwartymi ramionami.

– Czekają teraz na nas – zakończył opowieść. – Mają suche, grube futra i maść na otarcia z wygotowanych ścięgien karibu i niedźwiedziego sadła. Przyda się wszystkim, którzy przejdą na drugą stronę. – Pokazał na swoje świeże, płytkie rany.

– A co z wojownikami, których Wakan Tanka obdarzył większym wzrostem? Ty, Pazury Rysia, jesteś dzielnym myśliwym i źle mieć w tobie wroga, ale z daleka wyglądasz jak kobieta. – Leniwy Byk rozłożył w przepaszającym geście ręce, gdyż nie chciał urazić niewysokiego i drobnego Beothuka, ale nie znalazł innego sposobu, by powiedzieć to, co chciał.

Kilka urywanych uśmiechów rozległo się po tych słowach. Ktoś zażartował nawet, że mając w mamateeku taką żonę, myśliwy, który wyruszyłby na polowanie przy pierwszych oznakach wiosny, powróciłby dopiero w siarczyste mrozy. A i wtedy tylko po to, żeby zabrać cieplejsze futra, i za dnia, bo nie zaryzykowałby wspólnie spędzonej nocy.

W pierwszej chwili zastępca dowódcy *Aifura* fuknął ze złością, ale zmęczenie uczyniło go nieco mniej skłonny do zwady, poza tym pytanie młodego i wielkiego Leniwego Byka było jak najbardziej na miejscu.

– Ja wędrowałem wewnątrz świętej góry sam, nie miałem nikogo, kto w razie czego dałby podparcie moim stopom lub pociągnął mnie w wąskim gardle. – Pazury Rysia wzruszył ramionami. – Słuchajcie, a wiem, co mówię. Każdy z was przejdzie, idąc moim śladem. Nawet bladokóry przybysz zza Wielkiej Wody ma szansę, o ile Wielki Duch po drodze nie pokarze go strachem i szaleństwem. On jednak powinien iść ostatni, tak dla pewności. – Wskazał brodą na stojącego nieopodal i wyróżniającego się słusznym wzrostem i szerokimi ramionami Brzuch Ryby. – Tylko...

– A dlaczego odciąłeś linę, mały wielki wojowniku? – Oddi, o którym była mowa, przerwał wypowiedź Beothuka i podniósł z posadzki równo przeciętą końcówkę rzemienia. – Myśleliśmy, że odgryzł ją jakiś sługa gór, któremu zakłóciłeś spokój lub który postanowił zrobić sobie z ciebie śniadanie. Nie spodziewaliśmy się już ujrzeć żywego myśliwego, który sam jeden wszedł w paszczę kamiennego węża. – Chłopak wzdrygnął się na samą myśl o takiej eskapadzie.

– To było tak. Pod koniec wędrowki krętą trasą zrobiło się tak ciasno, że musiałem miejscami przeciskać się na wydechu. Prosiłem duchy o spokój i czystą głowę, bo w wąskich tunelach strach zabija tak samo jak wystające kolce skalne. Gdyby nie długa droga powrotna i to, że nie miałem jak się odwrócić, zawróciłbym wtedy do was, przełykając wstyd zajęczego serca. Znajdowałem się przecież wewnątrz świętych gór, ślepy niby szczenię, w krainie duchów przodków i ich sług. Na drodze do Odległej Krainy, którą nie miała prawa kroczyć żadna istota z krwi i kości. Czasem dusiłem się, a tunel zaciskał swoje ściany na moich ramionach, odbierając oddech i dając w zamian szaleństwo. Innym razem słyszałem jakieś szepty, jęki, syczenia... no, coś się skradało, tego byłem pewny. Bywały momenty, gdy w całkowitej ciemności błagałem Wakan Tankę o szybką, godną wojownika śmierć, bo wyobrażałem sobie, jak mieszkańcy tych gór zjadają mnie wciąż żywego kawałek po kawałku, a ja z rękami przyciśniętymi do boków nie mogę nawet drgnąć. To była właśnie taka chwila, w której trwając w bezruchu, toczyłem bój z przerażeniem, gdy nagle ktoś chwycił za moją nogę i zaczął ciągnąć. Korytarz był w tym miejscu szerszy, a ja w panice ciąłem na oślep nożem i pomogło, uwolniłem się. Musiało minąć kilka dobrych chwil, by dotarło do mnie, co się stało. Odciąłem rzemień, choć to była jedyna więź łącząca mnie ze światem żywych. Inyan, ten, który jest skałą, musiał śmiać się w tym momencie z biednych i głupich Pazurów Rysia.

– Jak jest tam tak ciasno, to może obawy Leniwego Byka znad Zatoki są ciałem i krwią, a nie powietrzem? – Syn Snae-Kola bał się ciasnych pomieszczeń, do czego nie przyznałby się nawet własnej matce. – I więksi od ciebie, a nie obraż się, ale wszyscy jesteśmy więksi, nie dadzą rady przejść tym tunelem? – Bjarki był wyraźnie zaniepokojony. Jako dziecko walczył wielokrotnie z rówieśnikami, którzy nie mogąc go pokonać w pojedynkę, rzucali się na syna wodza całą gromadą. Do dzisiaj pamiętał tanto

uczucie przerażenia, gdy przygnięciony ich ciężarem nie mógł nawet drgnąć. Wiedział, że to minie, że wesoło pokrzykujący chłopcy zaraz go uwolnią, ale na wierzch wypływał wtedy gniew, przykrywając wszystko czerwoną płachtą. Zdarzało się, że wstępowała w niego siła kilku wojowników i zrzucał z siebie przeciwników. Oni w takich sytuacjach rozbiegali się poza zasięg jego rąk i czekali, aż ochłonie. Ze skałą jednak nie miałyby szans.

– Jeśli weźmiesz ze sobą zapas foczego tłuszczu i nic więcej, to będzie niczym przyjscie na świat, góra urodzi Beothuka. – Pazury Rysia zaśmiał się chrapliwie. Pył, którego się nawdychał, ciągle jeszcze zmieniał jego głos. – Nie będę ukrywał – powiedział po chwili już z powagą – Grzbiet Łosia może zatrzymać moich największych braci w swoich trzewiach, ale mamy inne wyjście z tej pułapki? Gorzej, że uczyni to na pewno z jednym z nas i to tym najważniejszym. Jesteś zbyt potężny, jarlu naszej załogi – dodał cicho mały wielki wojownik. – Próbowałem poszerzyć choć trochę najwęższe miejsca, ale skała jest tam tak twarda, że pękł mój nóż. – Wyjął zza pasa kościaną rękojeść i pokazał wszystkim ułamane w połowie kamienne ostrze. – Taku Skanskan i Wakan Tanka zaświadcza, gdy już znajdziemy się po śmierci w Odległej Krainie, że nie zważałem na okrwawione palce i poobijane dłonie i tym ułomkiem dalej... – Przełknął głośno ślinę, jakby połykał wielką suchą grudę. – Nie dałem rady, wodzu wodzów, dlatego niech inni idą, a ja zostanę z tobą w jaskini.

Po tych słowach zapadła cisza. Kilka sapnięć i urywanych okrzyków przy wejściu świadczyło, że stojący tam wojownicy przepędzili kolejnego szukającego swojej szansy wroga.

– Masz dzielne i wierne serce, bracie. – Snae-Kol położył swoją wielką dłoń na ramieniu członka załogi *Aifura*. – Plemię Długich Ludzi, nasze kobiety i dzieci, potrzebuje teraz was wszystkich, i to żywych. Ja im też jestem potrzebny, by walczyć, a nie umierać samotnie w jaskini. Jeśli mam zginąć, to zabierając kilku wrogów ze sobą.

– Ale nie przecisniesz się wodzu, byłem tam, wiem, co mówią moje usta. On da radę – wskazał głową na Bjarkiego – ale nie ty, nie ty.

– Nawet nie będę próbował. – Snae-Kol potrząsnął małym wojownikiem, wywołując kilka ataków kichania wśród zgromadzonych. – Ściana Gnomedalu, ta leżąca po prawej ręce od wyjścia mającego początek przy Wodzie Grzmotów, to ogromne rumowisko skalne, na które doświadczony i wyposażony w plecione rzemienie silny myśliwy zdoła się wspiąć. Będzie to bardzo trudne, ale jeśli Wielki Duch pozwoli, uda się. Wystarczy, że uczyni to jeden, najlepszy z was, a reszta, trzymając się powiązanych pasów skóry, pójdzie jego śladem. Obejdziecie Grzbiet Łosia i zaatakujecie wroga u wejścia do naszej pułapki. Uwolnicie mnie i rozplątniemy się w deszczu i mgłach Wielkiej Wyspy niczym duchy.

– Sam nie zdołasz bronić wejścia przed kundlami ze stałego lądu, we śnie poderzną ci gardło! Minie kilka wschodów Wi, nim wypuścimy cię na zewnątrz, jeśli w ogóle nam się to uda. Zostanę tu z tobą.

– Pazury Rysia jest wielkim wojownikiem, dobrym mówcą i ma posłuch wśród współbraci. Gdy mnie nie będzie, wraz z drużyną staniesz u boku mego syna Bjarkiego i pozeglujecie ku odległej Skandynawii, ku gęstym lasom, wysmaganym wichrami fiordom, uśmiechniętym ludziom, którzy gęsty skyr zapijają mocnym wymrożonym piwem. Gdy Odległa Kraina przyzwie mnie swoimi niezmiernymi i bogatymi w zwierzynę łowiskami, chcę wiedzieć, że dziecię moich lędźwi ma u boku i na swoje rozkazy najdzielniejszych z dzielnych, a będzie mu to potrzebne. Poza tym jest jeszcze Brzuch Ryby, któremu dałem słowo, że popłynie moją sneką do domu. Beze mnie i bez ciebie, bracie, załoga rozpiierzchnie się po wyspie, wróca do życia, jakie znali kiedyś.

– Ja nigdzie się teraz nie wybieram. – Głos Oddiego przerwał przedłużającą się po słowach wodza wodzów ciszę. – Wiecie, że ciąży na mnie klątwa śmierci pod powierzchnią ziemi, a te ciasne skalne

korytarze niewiele się różnią od podziemnych tuneli. Zostają ze Sturlą.

– I ja też! – Młody Leniwy Byk powiedział to tak głośno, że jego głos jeszcze przez kilka chwil wędrował po jaskini, odbijając się od jej skalnych ścian jękliwym echem.

– I ja zostanę, ojczy – powiedział cicho Bjarki.

– Na Ptaka Pioruna, to może wszyscy, co? Może ja już nie jestem wodzem Długich Ludzi, a zwykłym wioskowym kundlem, którego gdy zbyt głośno ujada, kopie się w chudy psi tyłek? – Snae-Kol był bliski wybuchu. Jego żyły nabrzmiały, jakby pod skórą wodza wodzów szykowały się do wyjścia na powierzchnię ogromne robale, których mniejszych braci można niekiedy spotkać w mięsie padłych zwierząt. Nie minęło kilka chwil, a wokół niego zrobiło się pusto, przynajmniej w zasięgu grubego niczym udo mężczyzny ramienia.

Nagły hałas przy wejściu był dowodem, że wrogowie znowu spróbowali szczęścia. Tym razem jednak stojącym na straży Beothukom udało się wciągnąć do środka szamoczącego się i wyrywającego przeciwnika, a jego kompanów przegonić ogniem pochodni. Rozłożyli nieszczęśnika na kamiennej posadzce i obsiedli niczym muchy gównem.

– Nie zabijajcie! – Snae przyklęknął przy wojowniku z plemienia Huronów, co można było poznać po charakterystycznym ogonie z włosów na wygolonej głowie i tatuażach na ramionach. Pomalowane czarnym barwnikiem czoło młodego wojownika rosił teraz pot, ale w jego spojrzeniu nie było strachu.

– Ilu was tam jest, trupi synu?! – krzyknął wprost w jego ucho, a dla dodania mocy słowom uderzył młodzika lekko w twarz otwartą dłonią. Temu głowa poleciała w bok, ale usta miał mocno zaciśnięte, jakby się bał, że jękiem słabe ciało może zdradzić silnego ducha. Po chwili splunął w twarz swojemu oprawcy i to była jedyna odpowiedź.

– Ilu twoich psich braci czeka przed jaskinią? – Snae otarł plwocinę kantem dłoni i złapał za jeden z palców młodego wojownika. Potem bez wysiłku złamał go z suchym trzaskiem. Tym razem Huron nie zdołał powstrzymać krótkiego okrzyku bólu.

Przy wejściu znowu wywiązała się krótka walka, jednak pobratymcy jeńca nie mieli żadnych szans na dostanie się do środka. Dobrze o nich świadczy, że próbują, pomyślał Oddi.

– No? – Wódz wodzów złapał w swoje mocarne dłonie kolejny palec. – Powtórzę moje pytanie jeszcze dziewięć razy. – W oczach jeńca nie było już wyzwania, ale ostre rysy wyrażały dumę i upór.

Gdy pękła kolejna kość, okrzyk bólu był głośniejszy od poprzedniego. To samo z trzecim i czwartym, ale poza złorzeczeniami z ust jeńca nie wyszły żadne słowa. Dopiero gdy Snae-Kol uchwycił zmaltretowaną dłoń i zaczął ją wyginać na wszystkie strony, a ostre krawędzie kości wychodziły na zewnątrz, dziurawiąc siną skórę, w młodym wojowniku coś pękło i zaczął mówić. Miał na imię Powiew Wichru i był członkiem plemienia Huronów znad Jeziora Snów. Na zewnątrz było tylu ludzi Biegnącego Byka, ile palców u rąk jest u pięciu łowców. Wiedzieli, że mają przeciw sobie tyle samo Beothuków, o czym doniósł im Zakrzywiony Szpon, zwiadowca z plemienia Ludzi Łosi. Zamierzali czekać, aż Długim Ludziom zabraknie jedzenia i wody, skoro nie powiodły się próby z dymem. Niektórzy młodzi wojownicy, by dowieść swego męstwa, podejmowali próby sforsowania wejścia do jaskini, ale to bardziej dla chwały niż z myślą o sukcesie. Na koniec dodał, z pewną mściwą satysfakcją w głosie, że Huronami dowodzi ten, który nigdy nie przegrywa – Wypuszczona Strzała, najlepszy myśliwy w plemienu, brat krwi samego kji'saqmaw Wielkiej Świętej Rady Mawiomi, Biegnącego Byka.

Potem zemdlął.

Wódz wodzów podniósł się ciężko, jakby dźwigał na ramionach tuszę młodego jelenia.

– Opatrzcie mu rany, zwiążcie dobrze i włóżcie wusta kawał skóry. To wróg, ale zasłużył, by żyć.

– Jak my wszyscy – odpowiedział mu któryś z wojowników, ale w tym głosie nie było złości.

– Jak my wszyscy – powiedział cicho Snae-Kol. Potem wyprostował nieco ramiona, widać było, że podjął jakąś decyzję. Spojrzał na jedyne syna.

– Mogę kazać wam iść za Pazurami Rysia do doliny i skręcić karki tym, którzy nie wykonają tego polecenia. Jeśli mały wielki wojownik, jak nazwał go Brzuch Ryby, jedyny z nas, który był wewnątrz tej góry, powie, że przeciśnięcie się przez przewężenia, pójdziecie razem z innymi. – W głosie Sturli Tubbessona, niegdyś duńskiego kupca i szkutnika, a obecnie wodza Długich Ludzi, pobrzmiwała stalowa nuta.

– Dałbym głowę, gdyby to mogło pomóc, ale nie mam tej pewności. – Pazury Rysia wzruszył ramionami.

– Więc postanowione. Leniwy Byk, Bjarki, Brzuch Ryby zostają ze mną, resztę mam nadzieję zobaczyć za kilka wschodów Wi u wylotu pułapki, w którą wpadliśmy. Na odgłos puchacza wabiącego wiosną samicę wyjdziemy na zewnątrz, a potem... reszta należy do Wielkiego Ducha.

– Będzie, jak chcesz, wodzu.

Bez zbędnego szemrania Beothukowie zaczęli zrzucać z siebie grube, ciepłe futra i oszczędnie smarować skórę sadłem. Nie dla wszystkich wystarczyło, ale obyło się bez kłótni, choć niewiele do niej brakowało. Jediną broń, jaką mogli ze sobą zabrać, stanowiły małe noże, ale wzięli je raczej po to, by skrócić własne męki w razie zakleszczenia niż do obrony przed mieszkańcami góry. Czwórce straceńców pozostawili sporą stertę ościeni, maczug z kamieniodrzewa i łuków ze strzałami, których kościane majdany blado połyskiwały w świetle pochodni. Te ostatnie na nic się nie zdadzą w jaskini, ale reszta jak najbardziej. Spojrzenie w oczy, uścisk prawicy, czasem słowo lub dwa. Pożegnania były krótkie, ale mocne, pełne niepewności i żalu... Było jasne dla wszystkich, a przynajmniej tak przypuszczał Oddi, że to mogą być ostatnie wspólnie spędzone chwile. Beothuków czekało niełatwe czołganie się w absolutnych ciemnościach wąskimi, pełnymi ostrych występów i przewężeń korytarzami. A co jeśli Pazury Rysia zmyli drogę? Jakby tego było mało, są jeszcze mieszkańcy tych gór, bo w przepastnych jaskiniach na pewno mają swój dom przeróżne złe istoty. Gdyby jednak dzięki bogom czy Tob-Tob ujrzeli w końcu światło słońca, będą musieli pokonać wysoką na wielu ludzi, prawie pionową ścianę Gnomedalu, żeby wydostać się z doliny. Ta i latem była niemal nie do sforsowania, a wciąż trwała przecież zima.

Przy tym taki drobiazg jak walka z wypoczętym, czekającym na zewnątrz przeciwnikiem nie stanowił już problemu, choć to wszystko razem nie wróżyło spokojnej starości spędzonej w hovie przy ognisku. Równie dobrze wybierający jaja mew z gniazd usytuowanych na wysokim klifie, gdy odpadnie od skały i leci w stronę spienionego morza, ma prawo liczyć, że spadnie właśnie w to jedno z niewielu miejsc, gdzie ostre kamienne zęby nie szczyrzą się pod powierzchnią wody. Jego prawo liczyć na swoje szczęście. Bogowie jednak rzadko bywają litościwi.

Syn Asgota z Czerwoną Tarczą prawie do samego końca trzymał w swojej dużej dłoni małą dłoń Shaa-naan, jakby chciał zapamiętać to jedyne w swoim rodzaju ciepło. Nie było między nimi łez, nie było słów, poza jednym krótkim zdaniem, gdy nogi Shaa zniknęły w otworze.

– Zostań w dolinie, nie jesteś już sama. – Nie wiedział, czy usłyszała tę prośbę, nie wiedział też, czy tym razem posłucha głosu rozsądku.

Gdy stłumiony jęk dochodzącego do siebie jeńca rozległ się cichym echem, w jaskini było już niemal

pusto.



Umówiony sygnał usłyszeli cztery dni później i był to najpiękniejszy i najbardziej wyczekiwany ptasi odgłos, jaki Oddi słyszał w życiu. Strach o Shaa-naan odbierał mu powoli zmysły.



Niemądry myśli, że żyć będzie wiecznie,

Gdy się przed bojem ustrzeże,

Lecz starość nie da mu pokoju,

Choć mu oszczepy go dadzą.

Młody wiking wyczołgał się z jaskini tuż za Bjarkim i trafił wprost pod nogi walczących wojowników. Przeturlał się, przewracając kilku z nich, i nim wstał, zatopił swój langsak w szyi zaskoczonego Hurona.

Niestety dzięki temu manewrowi znalazł się wśród wrogów, o kilka kroków od wejścia do jaskini, gdzie walczyła pozostała trójka towarzyszy. Jego wysoka sylwetka i zarośnięta blada twarz dały mu kilka chwil, gdyż Huroni zastanawiali się, czy to duch, czy człowiek. Jednak nic nie trwa wiecznie. To była walka pierś w pierś, więc miecz pozostał w pochwie, a zastępowały go dwa krótsze ostrza, z których tylko jedno było metalowe. Jakiś kościany nóż pękł w zderzeniu z kolczugą młodego Normana, a saks Oddiego wbił się w odpowiedzi w serce jego właściciela. W tym samym czasie ktoś inny uderzył go w bok, na szczęście w takim ścisku nie mógł nabrać rozmachu. Oddi okręcił się w miejscu, by sprostać nowemu zagrożeniu, pozostawiając kościane ostrze wbite w nieboszczyka. Jego pusta teraz ręka wystrzeliła do przodu, a dwa długie palce uderzyły w oczy zaskoczonego przeciwnika, gasząc w nich na zawsze światło. Ktoś ciosem kościanego toporka jeszcze raz uciąłby ucho chłopakowi, gdyby nie stracił go dawniej w walce z Mikmakami. W rewanżu wiking kopnął napastnika kolaniem między nogi i gdy ten stęknął i przysiadł, wbił mu w gardło ostrze saksy. Żelazo weszło miękko w ciało i nie napotykając większego oporu, dotarło do mózgu. Tubylec sapnął i zmarł.

Nagle wokół Askomana zrobiło się luźniej. To pozostała trójka „jaskiniowych szczurów” dotarła do niego, zostawiając za sobą kilku zwijających się z bólu lub martwych Huronów.

– Najwyższy czas – wysapał. – Miało być pięćdziesięciu, a ich jest co najmniej setka. Ten Powiew Wichru okazał się dzielniejszy i wytrzymalszy na ból, niż sądziliśmy. – Teraz było więcej miejsca, więc wyciągnął z pochwy Czerwony Ślad. Miecz zalśnił w słońcu, jakby spijając jego promienie. Klinga ze stalowym rdzeniem zaśpiewała swoją pieśń śmierci, nie zważając na to, czy zaskoczeni przeciwnicy zdołali osłabić te ciosy własną bronią, czy nie. Oddi wpadł w amok i machał mieczem od prawa do lewa niby drwał siekierą, zapominając o wszystkim, czego nauczyli go starzy wyjadacze. Ale może właśnie dzięki temu musiał jawić się Huronom jako istota nadprzyrodzona, śmiejąca się śmierci w twarz, nieśmiertelna, co osłabiało ich ducha walki.

Pod stopy walczących leciały odcięte ostrza ościeni, ręce zaciśnięte wciąż na broni, a nawet kilka głów. Jedynie pałki z kamieniodrzewa wytrzymały tę nawałę i właśnie po jednej z nich Czerwony Ślad zjechał, strugając wióry, i zarył w ziemię.

Wojownik z wygoloną czaszką uderzył Oddiego głową tak, że Askoman zobaczył gwiazdy.

– Gdy staniesz przed Wielkim Duchem, człowieku-niedźwiedziu – usłyszał słowa przeciwnika – to powiedz mu, że zginąłeś z ręki Wypuszczonej Strzały, wodza Huronów znad Wielkich Jezior. – Potem rzucił się z wyciem, celując krzemiennym nożem w szyję. W locie dopadł go cios pałką, który zgruchotał czaszkę tak, jak się gruchocze kamieniem skorupę leśnego orzecha.

– No, nie wszystko mogę zrobić za ciebie, blady bracie, musisz też radzić sobie sam. – Zmęczony, ale szczęśliwy Bjarki z wyciem doskoczył do kolejnego wroga, ale tego sprzątnął mu sprzed nosa Zębaty. Bestia z psim uśmiechem na pysku zdołała jeszcze polizać Oddiego po ręce i dała nurka między nogi walczących wojowników.

Oddi odetchnął z ulgą, bo już widział swoją śmierć. Miał kilka chwil spokoju, więc rozejrzał się po polu bitwy.

Dziesięć kroków od siebie widział niedźwiedzia w zakrwawionym futrze. To Snae-Kol, który pierwszy wyszedł z jaskini. Zapłacił za to cenę, bo nim był w stanie się bronić, spadły na niego ciosy hurońskich maczug. Przyjął je na rękę, która teraz zwisała bezwładnie i bardziej przypominała strzęp krwistego mięsa niż ramię człowieka. Ale wstał i wyrwał broń jednemu z napastników, dzięki czemu pozostali towarzysze zdążyli stanąć u jego boku. Teraz i on zamarł w bezruchu zdyszany, ciężko wspierając się na maczudze z kamieniodrzewa. Huroni po śmierci swego wodza rozpierzchli się, dodatkowo gromieni przez mniej liczny, ale zwarty oddział pod wodzą Pazurów Rysia.

Mały wielki człowiek nie tracił czasu i posłał kilku zwiadowców za uciekinierami. Dać się zaskoczyć po takiej bitwie byłoby głupotą. Później ruszył w stronę swego wodza szczęśliwy, że widzi go żywego, ale po kilku krokach uśmiech zamarł mu na twarzy. Snae-Kol też spostrzegł małego przyjaciela, uśmiechnął się z ulgą jak ktoś, kto dźwiga na barkach wielki ciężar, ale właśnie ujrzał zmiennika, i odetchnął głęboko pełną piersią, choć mu to musiało sprawiać ból. Następnie opadł na kolana, a z jego ust rzuciła się krew, dokładając nową czerwoną plamę do wielu innych. Po chwili jakby w zwolnionym tempie przewrócił się na bok i tak już pozostał. Otwarte oczy zaszyły mgłą i choć nie wyrzekł ani słowa, na jego twarzy pozostał uśmiech, którego nie zdołała przesłonić nawet maska śmierci. Oddi to rozumiał. Po takiej walce szkutnik i kupiec Sturla Tubbesson, syn Tubbe Pieśniarza, trafił prosto do Walhalli i będzie ucztował z innymi einherjarami w wielkim hovie, którego ściany zdobiją złote włócznie, a sufit tarcze z tego samego kruszcu.

Nie on jeden poległ w tych zmaganiach. Z wojowników, którzy poszli drogą przez trzewia góry, Chrapliwy Oddech, syn Długiej Ręki, zginął, wspinając się na ścianę Gnomedalu; przy wejściu do jaskini umarł z nożem w brzuchu Cierpliwe Drzewo, a wielki Leniwy Byk leżał nieopodal nieruchomo ze strzaskaną czaszką. Ośmiu innych, których Oddi nie znał z imienia, też odeszło z tego świata, ale nie było wśród nich nikogo z załogi *Aifura*, jeśli nie liczyć samego Snae-Kola.

Shaa-naan rzuciła się mu w ramiona, tłumiąc łkanie.

– Ty uparta, głupia, kochana kobieto – wystękał szczęśliwy, że widzi ją całą.

Z czterdziestu siedmiu więźniów jaskini pozostało żywych trzydziestu sześciu, z czego dwóch było tak ciężko rannych, że nie zobaczą kolejnego świtu. A to zaledwie druga z wielu potyczek, które musieli stoczyć w obronie własnych łowisk. Wróg stracił z sześć dziesiątek wojowników, których ciała leżały dookoła, zdobijąc topniejący się śnieg ciemnymi wzgórkami, ale było to marne pocieszenie.

– Teraz ty jesteś naszym saekonungiem. – Pazury Rysia stanął przed Bjarkim i skinął mu głową. – Rozkazuj.

– Wynieście z jaskini rannego Hurona, swoją odwagą zasłużył, by żyć.



Mądry jest ten, co umie pytać

I odpowiedź dać umie;

Nigdy człowiekowi nie uda się ukryć

Jakim jest w istocie.

Wiosna „roku najazdu” przepełniona była krwią, bólem, smutkiem po stracie bliskich i zjadłością, której mogła dorównać tylko ta, gdy ranna matka staje w obronie młodych lub gdy wściekły wilk rzuca się z pianą toczącą się z pyska na swoich braci. Mniejsze i większe potyczki toczono na całym rozległym terenie Wielkiej Wyspy. Ruchliwe oddziały Beothuków kąsały wroga, by zaraz potem rozpląnąć się jak duchy, pozostawiając po sobie zniszczone mamateeki, spalone zapasy i ciała martwych wrogów. Sami też odnosili rany, jednak jak na razie nie udało się przybyszom wziąć do niewoli żywego jeńca. Niezdolni do ucieczki sami podrzynali sobie gardła. Wszystko po to, by nie zdradzić wrogowi kryjówek swych braci.

Działania Beothuków uczyniły podbicie wyspy trudniejszym, ale nie niemożliwym. Nim słońce rozpuściło kamienną wodę, dotarły tu jeszcze dwa oddziały wojowników ciągnących za sobą na włókach zapasy jedzenia. Nie było tego dużo, ale na Wielkiej Wyspie życie zaczęło rozkwitać i świeże mięso przestało być rzadkością. Nie chodzili z pełnymi brzuchami, ale i nie umierali z głodu.

Kji'saqmaw Wielkiej Świętej Rady Mawiom, Biegnący Byk chodził nerwowo po ogromnym mamateeku, jednym z tych nielicznych, które przy Wodzie Grzmotów zostawili po sobie Beothukowie. Brakowało mu Wypuszczonej Strzały, hurońskiego brata krwi, dla którego wszystko było takie proste. Chciałbym mieć twoją pewność zwycięstwa, czerwony bracie, pomyślał i westchnął ciężko. Obyś zawsze miał dobre łowy w Odległej Krainie.

Wiele spraw szło nie tak, jak sobie to zaplanował, zbyt wiele.

Wokół ogniska siedziało czterech jego doradców, dwunożnych ludzi, którzy władali myślami i sercami swoich współplemieńców. Był tu Kościany Koral, syn Skrzeczącego Orła, wywodzący się z tego samego odłamu Mikmaków, w którym dorastał Biegnący Byk, zresztą tak samo jak trwający nieruchomo rozmawiający z duchami – Zawodzący Wiatr. Dalej, bujając się lekko w przód i tył, przysiadł na piętach czarownik Huronów – Stąpający po Ogniu, który po śmierci wodza swego plemienia trzymał w dłoniach dwie kości, i wódz Ludzi Łosi – Odcisk Kopyta. Ten ostatni z uwagi na małą liczbę przyprowadzonych wojowników miał tylko jeden głos w radzie wojennej. Trzy kości należały więc do najliczniejszych Mikmaków; dwie do Wyandotów, co w ich języku oznacza Wyspiarzy, czyli do Huronów, jedna do Ludzi Łosi. Ale to do wodza wojennego należał decydujący głos podczas wyprawy i to Biegnący Byk zapłaci własnym skalpem za porażkę. Nie on jeden, ale z członków rady on zginie pierwszy. Ten dzielny wojownik i wódz nie bał się śmierci.

– Wypalmy fajkę, by oczyścić nasze głowy i posłać błagania o mądre decyzje do Wielkiego Ducha. – Przywódca przymierza zdjął z pętli związanej tuż pod szczytem wielkiego namiotu plemienną świętą fajkę i z namaszczeniem, powoli nabił ją ziołami.

Ceremonia się przeciągała, by nie uchybić duchom pośpiechem, i gdy dobiegła końca, na twarzach wojowników gościły spokój i poczucie, że ludzie są tylko małą częścią bogactwa ziemi. Ale nie trwało to długo.

– Kościany Koralu, wiemy już, gdzie się podziały kobiety, starcy i dzieci wojowników-duchów?

Zagadnięty pokręcił głową, nerwowo czubkiem mokasy na roztrącając popiół w ognisku.

– Nie, wielki wodzu. W pierwszym okresie, gdy jeszcze Wi słabo ogrzewało Unchi swoim ciepłem i w wielu miejscach leżał śnieg, rozesłaliśmy, o czym wiesz, niewielkie oddziały szybkożonogich wojowników w poszukiwaniu kryjówek. Niewielu z nich do nas wróciło, Wakan Tanka zabrał duchy pozostałych do Odległej Krainy. Wtedy, jak pamiętasz, podzieliliśmy siły połączonych plemion na grupy liczące co najmniej dziesięć razy tyle, co jest palców u rąk. Beothukowie próbowali powstrzymać

naszych wojowników, lecz tym razem, choć przy znacznych stratach, nie dali rady i przeszukaliśmy Wielką Wyspę. Byliśmy wszędzie, gdzie można by rozbić duży obóz. Na próżno, nigdzie nie natrafiliśmy na jego ślad, a dopóki to się nie stanie, przeciwnik będzie zuchwały i nieustraszony. Dopiero obawa o bliskich, o bezbronne dzieci i kobiety zabrane do namiotów naszych myśliwych, może im skraść wojowniczego ducha.

– Trafiliśmy na wielki obóz! – krzyknął Stąpający po Ogniu. – Jesteście ślepi niby szczenięta i głusi na głos rozumu. Nad Wielką Wodą oddział Huronów stoczył bitwę z dziwnymi owłosionymi ludźmi, bitwę, z której jeden na dziesięciu powrócił do swoich braci. Krew dzielnych wojowników wsiąka w ziemię niczym woda, ich kobiety będą rwały sobie włosy z głowy, musimy zaatakować bladokórych całymi siłami i wyciąć ten ropiejący wrzód, nim rozleje się po całej wyspie.

– Ruszyli się już czy nadal siedzą w tych swoich wielkich norach? – Odcisk Kopyta mówił spokojnie, tak jak powinien to robić wielki wojownik i wódz. Potem złamał w dłoniach suchą gałąź i wrzucił drewno do przygasającego ogniska.

– Jak donoszą zwiadowcy, ogrodzili teren niewysokim drewnianym płotem i część została na lądzie, reszta weszła do tych wielkich domów na wodzie. – Stąpający po Ogniu zrobił ręką kilka dziwnych znaków dla powstrzymania mocy złego ducha.

– To i my ich zostawmy w spokoju, bo niedobrze jest walczyć jednocześnie z dwoma wrogami. – Biegący Byk klasnął w dłonie dla dodania mocy słowom.

– Ale kji'saqmaw Wielkiej Świętej Rady nie boi się chyba... – Dalszą część wypowiedzi czarownika Huronów przerwał władczy gest wielkiego wodza.

– Tak powiedziałem, głosujmy.

Cztery kości poleciały na wyściełaną skórą ziemię, dwie pozostały w dłoniach wściekłego Stąpającego po Ogniu. Sprawa była przesądzona.

– Gdy uporamy się z Beothukami, przyjdzie czas na włochaczy, to ci obiecuję, czerwony bracie.

– Ale to nie ty musisz pomścić tych wojowników i nie ty spojrzysz w oczy ich matkom i żonom. Ja, Stąpający po Ogniu, zbiorę wszystkich wojowników Huronów i ruszymy w stronę Wielkiej Wody, żeby zabić obcych. Wielki Duch, ten, który jest wszędzie i jest wszystkim, pomoże swoim dzieciom.

– Beothukowie tylko na to czekają. – Zawodzący Wiatr położył mu uspokajająco dłoń na ramieniu. – Wielki wódz ma rację, najpierw odnajdźmy jamę ze szczeniętami, zabijmy wilczycę, a wilk sam do nas przyjdzie. Obcy umrą zaraz potem.

– Nie jest tak, jak to obiecywał Biegący Byk, minęło wiele wschodów Wi, a my ciągle nie jesteśmy panami Wielkiej Wyspy. Może nigdy nimi nie będziemy? To przeklęta przez Wakan Tankę kraina, siedlisko duchów i ich sług. Stąpający po Ogniu postanowił, jutro Huroni pójdą w stronę Wielkiej Wody i ugaszą ognisko zemsty krwią wrogów.

– I nie możemy nic zrobić, by cię powstrzymać przed tym krokiem? – Wielki wódz powiedział to cicho, ze smutkiem w głosie.

– Możecie, chodźcie tam z nami – odparł Huron i zaczął się podnosić, ale zaraz ciężko opadł na skóry. Z jego pleców wystawał wąski nóż z czarnej błyszczącej skały, z pięknie rzeźbioną rękojeścią, nóż, który z pokolenia na pokolenie przekazywali sobie czarownicy Mikmaków.

Zawodzący Wiatr, na którym skupiły się teraz wszystkie spojrzenia – poza umierającym, bo on zaglądał już do innego świata – wzruszył ramionami.

– Nie wszystko idzie tak, jak to sobie zaplanowaliśmy. Wielka Tajemnica na razie zabiera nam więcej, niż daje. Ale jeszcze mamy szansę wrócić do wioski, do naszych kobiet i dzieci ze skalpami wrogów przytroczonymi do pasa. Jeśli jednak się podzielimy, przegramy już teraz. Ja się zajmę wściekłym duchem Stąpającego po Ogniu, uśmierzę jego gniew, a wy zróbcie wszystko tak, by Huroni myśleli, że ich czarownika zabili miejscowi.

– Szkoda wielkiego czarownika, ale nie zostawił nam wyboru. – Odcisk Kopyta patrzył w ogień zamyślony. Potem odwrócił wzrok i wbił go w wielkiego wodza. – Co dalej, Biegący Byku?

– Wakan Tanka patrzy na sprzymierzone plemiona, ale im nie pomaga – powiedział cicho Mikmak. – Nie pomaga też tym psom Beothukom, więc to rozgrywka między dwunożnymi ludźmi i tylko między nimi, między Snae-Kolem a Biegącym Bykiem. Skoro nie możemy odnaleźć ich rodzin, zapołujemy na te rozproszone grupy myśliwych. Wytropimy jedną po drugiej i zabijemy ich wodzów, a wojowników weźmiemy do niewoli. – Jak to miał w zwyczaju, dla dodania mocy słowom klasnął w dłonie.

To był koniec narady. Jeszcze jedna strzała w plecy, pomyślał smutno Biegący Byk, patrząc na nieruchome ciało wielkiego czarownika Huronów. Ale nie wszystko stracone, ba, nic nie jest stracone, bo nie można przegrać, mając na swoje rozkazy dziesięć palców na jeden, choćby i najgrubszy wroga.



*Długa jest podróż do złych przyjaciół,
Choć niedaleko mieszkają;
Lecz do dobrego druha na przełaj się pędzi,
Nie bacząc, czy daleko.*

Czterech wojowników przemykało pomiędzy drzewami niczym duchy lasu. Kierowali się w stronę Spękanej Ziemi, miejsca, gdzie zwołano spotkanie przedstawicieli wszystkich ludzi-duchów, którym udało się przetrwać tak długo.

Od pewnego czasu Wielka Tajemnica przestał sprzyjać Beothukom lub, co bardziej prawdopodobne, Biegający Byk wyciągnął wnioski z przedłużającego się boju o panowanie na Wielkiej Wyspie. Wróg zmienił taktykę i rozpoczął polowania potężnymi siłami na pojedyncze oddziały Długich Ludzi, co było czasochłonne, ale bardzo skuteczne. Stąd konieczność spotkania i podjęcia decyzji, co dalej.

Biegli w milczeniu, oszczędzając oddech, to był ósmy dzień i zbliżali się do celu. Prowadził Bjarki, syn Snae-Kola, za nim podążali: niewysoki Pazury Rysia, blady i zarośnięty Brzuch Ryby oraz Krucza Kość, jeden z członków załogi *Aifura*. Reszta oddziału schroniła się przed nagonką w Zatoce Mew, w której na wodzie kołysał się okręt zbudowany przez miejscowych pod kierunkiem Sturli Tubbessona, nieżyjącego już wodza Długich Ludzi. W razie pojawienia się tam Mikmaków lub Huronów mieli odbić od brzegu i pożeglować w kierunku Zatoki Pękniętej Skały, leżącej po drugiej stronie Wielkiej Wyspy.

Nagle zielone i gęste krzewy po prawej stronie zaszeleściły i wyskoczył spomiędzy nich pomalowany na brązowo człowiek. Biegacze rozprysnęli się na wszystkie strony niby mniejsze ryby na widok tuńczyka, ale zaraz zawstydzeni, z bronią gotową do walki zbili się w grupę. To przecież tylko jeden myśliwy.

– Nareszcie jesteście, myśleliśmy, że i was dopadły strzały wojowników Biegącego Byka. –

Kamienne Ostrze, bo to on we własnej osobie tak nastraszył ludzi Bjarkiego, uśmiechnął się szeroko, widząc ich zdziwienie.

– To nie czerwień, tylko kolor sierści bobra zdobi teraz Długich Ludzi? – Syn Snae-Kola uściskał wodza plemienia Beothuków znad Zatoki.

– Tak jesteśmy mniej widoczni, ale pod tym sokiem z traw ciągle jest czerwień dla ochrony przed złymi duchami, synu mego brata krwi. – Z poważną miną odwzajemnił uścisk. Wieści o śmierci wodza wodzów już dawno dotarły do obrońców wyspy. – Brakuje nam go, gdyby tu był...

– Coś by wymyślił – dokończył za niego Oddi.

Kamienne Ostrze jakby dopiero teraz zauważył tego przybłądę, przybysza zza Wielkiej Wody, przeniósł na niego ciężki wzrok i spojrzał w twarz bladokórego z wyraźną niechęcią. Ciągle nie mógł mu wybaczyć, że wbrew ojcowskiej woli zrobił brzuch Shaa-naan-dithit, ukochanej córce i żywemu płomieniowi jego mamateeku. Z drugiej strony uratował jej życie, zabijając pastwiących się nad nią Mikmaków... Z trudem połknął kąśliwą uwagę, która cisnęła się na usta.

– A gdzie moje dzieci? – spytał Kamienne Ostrze. Uśmiech na twarzy Niedźwiadka nie zniknął, więc wódz odetchnął z ulgą.

– Na wielkiej łodzi razem z resztą naszych ludzi. Chcieli iść, szczególnie Chrapiący Pies, ale musi się jeszcze dużo uczyć o żeglowaniu i walce w skjaldborgu, a tam ma wielu godnych nauczycieli.

– To dobrze, na Wielkiego Ducha, to dobrze – mruknął uradowany ojciec. – Chodźcie, wszyscy czekają.

Nie szli długo, gdy gęsty sosnowy las urwał się, robiąc miejsce jałowej spękanej ziemi. W środku błyszczało jezioro pełne gęstej czarnej wody. To jej używali wojownicy, gdy chcieli zniszczyć zapasy wroga. Nie dość, że to coś śmierdziało okrutnie, to po podpaleniu płonęło, wydzielając wiele czarnego dymu.

– To się nadaje tylko do niszczenia i zatruwania darów Babci Ziemi – powiedział Bjarki, gdy poczuł smród tego miejsca.

– Nawet trawa tego nie chce, to wrzód na Unchi, ale nam się przydał, nie? – Krucza Kość zabawnie zmarszczył nos.

– To przekleństwo każdego miejsca i tak będzie do końca świata, ale masz rację, przydała nam się ta czarna woda. – Bjarki splunął w stronę jeziora, reszta poszła w jego ślady.

Szli w kierunku niewielkiego, pełnego pokruszonych skał wzgórzka. Tam rozbili obóz Beothukowie. Przywitań było sporo, choć Brzuch Ryby wiele z tych twarzy widział po raz pierwszy w życiu. Ze starych „znajomych” rozpoznał oczywiście Kamienne Ostrze, ojca swojej kobiety, niemłodego już Chmurne Niebo z tej samej wioski i Czerwoną Orlicę, szamankę wszystkich Długich Ludzi i, co musiał przyznać, ponętą kobietę. Reszty nie znał.

– No proszę, kogo to Ptak Piorun nam podarował. Wie, że od wielu dni głodujemy, to zesłał wielkiego włochatego byka. – Kobieta mocy się uśmiechnęła. Bjarki odwzajemnił ten uśmiech, ucieszył się na jej widok.

– Odpocznijcie chwilę, posilcie się tym, czym możemy was poczęstować, a nie jest tego wiele, i po wypaleniu świętej fajki rozpoczniemy naradę. – Kamienne Ostrze zniknął gdzieś między potrzaskanymi głazami i przez kilka chwil słyszeli tylko jego głos.

Nie trwało to długo, bo w ostatnich czasach życie Beothuków pędziło niczym orzeł, który spada

z wielkiej wysokości na swoją ofiarę. Gorzej, iż wyglądało na to, że gdy ten wielki ptak doleci do celu, czeka go zderzenie ze skałami i śmierć.

Nie palili ognia, by nie ściągnąć sobie na kark żądnych skalpów wrogów, i spotkali się w ciemności, którą rozświetlał blady, prześwitujący przez chmury blask nocnego słońca i żar świętej fajki. Gdy ceremonia dobiegła końca, pierwsza zabrała głos Czerwona Orlica.

– To już chyba wszyscy wojownicy będący głosami oddziałów, którym udało się przetrwać tę krwawą wiosnę. Ostatni przybył Bjarki, syn starego wodza, z trzema towarzyszami. Zebraliśmy się tu, by przy wsparciu Wakan Tanki, Unchi, Taku Skanskan i pozostałych Wakanpi podjąć dobrą dla naszego ludu decyzję: walczyć dalej czy poddajemy się Biegnącemu Bykowi.

– Nie ma dla nas dobrego wyboru – odezwał się ktoś w ciemności.

– Jeśli się poddamy, będziemy musieli zdradzić kryjówkę, w której schroniły się nasze rodziny, pamiętajcie o tym. – Oddi poznał głos Kamiennego Ostrza.

– Dalsza walka oznacza, że wybiją jeden nasz oddział po drugim! – odezwał się jakiś wojownik, którego sylwetka w połowie ginęła w cieniu wielkiego głazu. Choć i reszty Oddi nie widział jakoś specjalnie wyraźnie.

– Prawdę mówi Borsuczy Włos, nie mamy szans. I tak długo umykaliśmy śmierci – poparł go ktoś inny.

– Ale wasze córki będą żonami Huronów, Mikmaków i Ludzi Łosi i to im urodzą dzieci. A matki, o ile przeżyją, resztę dni spędzą o głodzie. Wasi synowie zapomną imion swoich ojców, tego chcecie? – Oddi miał przed oczami zaokrąglającą się Shaa-naan i nie godził się na taki jej los.

– Ty, Brzuchu Ryby, siedź i słuchaj, nie jesteś prawdziwym Długim Człowiekiem.

– Borsuczy Włosie, poprzez krew Snae-Kola ma prawo głosu, a poprzez własną, przelaną w obronie Wielkiej Wyspy jest nam równy. – Czerwona Orlica mówiła spokojnie, może nawet zbyt spokojnie. Wojownik opamiętał się, nie chciał, by kobieta mocy włożyła mu do brzucha gniazdo jadowitych węży lub pokarała go prowadzącą do szaleństwa bezsennością.

– Krew Snae też była rozwodniona, ale nie chcę o tym teraz mówić, bo to był wielki i dzielny wojownik. Jeśli jest szansa na wypędzenie do zimy wojowników Biegnącego Byka, będę walczył, jeśli nie... – Nie musiał kończyć.

– Nie, nie mamy takiej drogi przed sobą. – Głos Kamiennego Ostrza był ciężki tak, jak jego imię. – Ludzie morza, którzy obiecali pomoc, widząc, jak wielu wrogów dotarło na naszą wyspę, na razie trzymają się z boku. Wrócą, gdy będzie już po wszystkim, bo im jest wszystko jedno, czy handlują skórami i mięsem z nami, czy naszymi wrogami. Nas jest coraz mniej, a przeciwnik, choć nieraz chodzi z pustym brzuchem, to nie głoduje, jak początkowo zakładaliśmy. Wielki Duch opuścił Beothuków po raz drugi w naszej historii. – Milczał chwilę, by powiedzieć to, co musiał. – Ja wybieram niewolę zamiast pewnej śmierci.

Wśród zebranych podniosła się wrzawa, którą uciszyła dopiero Czerwona Orlica, co bardziej krewkim dając po głowach swoją laską z kamieniodrzewa. Bogowie tylko wiedzą, jakim cudem trafiała w tych ciemnościach. Oddi nie widział dalej, niż sięgała jego ręka.

– Każdy z was ma biały kamień, który dałam wam przed spotkaniem. Głosujmy. – Położyła na płaskim głazie dwa różniące się wielkością puste woreczki i rozpałała obok niewielkie ognisko. – Ten większy, walczyć dalej, ten mniejszy, poddajemy się i zdajemy na łaskę Biegnącego Byka.

Ciemność ożyła i co chwila w wąły krąg światła wsuwała się czyjaś ręka z kamykiem. Niemal wszystkie, co Oddi zauważył z przerażeniem, zmierzały w stronę mniejszego skórzanego mieszka.

Gdy głosowanie dobiegło końca, pięć razy po dziesięć głosów oddano za zakończeniem walk, a tylko sześć za ich kontynuacją. Nie chcieli losu niewolników ludzie, których przyprowadził ze sobą Bjarki i – ku zdziwieniu pozostałych – Czerwona Orlica.

Borsuczy Włos, który zdawał się przewodzić większej części zebranych, wstał ze swojego miejsca i zdjętą z pleców skórzaną peleryną przykrył ognisko. Znowu pograżyli się w ciemnościach.

– Uszanujesz wolę większości, rozmawiająca z duchami? – Do uszu Oddiego dobiegł jego cichy głos. Wojownik stał obok Czerwonej Orlicy, co Oddi bardziej poczuł po zapachu dymu, który wżarł się w jego skórę, niż zobaczył.

– Uszanuję, wojowniku, choć nie liczę, że poddam się wrogowi. I to nie dlatego, że ucierpi moja duma, ale znam zbyt wiele tajemnic naszego i ich ludu, by pozostawili mnie przy życiu. Ukryję się gdzieś, a potem, jak Wakan Tanka tego zechce, przedostanę na stały ląd i zniknę. Znam tę prastarą prawdę naszego ludu i wy też ją znacie. – Oddi był pewien, że kobieta mocy rozgląda się teraz wokoło, choć w ciemnościach tego nie widział. – W równym stopniu możesz spodziewać się, że rzeki zostaną zawrócone w swym biegu, jak i tego, że każdy człowiek, który urodził się wolny, będzie zadowolony, kiedy zostanie pozbawiony tej wolności i prawa pójścia tam, dokąd chce. Ale mając do wyboru to lub śmierć...

– Nie musicie tego robić! – Pełen emocji głos Oddiego zabrzmiał trochę piskliwie. – Znam sposób, by ocalić Długich Ludzi i przepędzić z wyspy sprzymierzonych.

Po tych słowach zapadła cisza. Nocą las nie jest milczący. Przepęniają go szelesty, posapywania, odgłosy pościgu nocnych łowców i zduszone jęki ich ofiar, a nad tym wszystkim słychać szum wiatru w koronach drzew.

– Mów, Brzuchu Ryby. – W głosie Kamienego Ostrza nie było jeszcze nadziei, może najwyżej jej cień.

– Wiem, co zrobić, by moi krajanie, ci, którzy przypłynęli tu na wielkich łodziach, zaatakowali wioskę przy Wodzie Grzmotów.



*Orzeł, gdy łowi, szuka i wypatruje,
Nad brzegiem morskim się zatrzymawszy –
Tak też i człowiek, gdy się w tłum zamiesza,
A ma stronników niewielu.*

Długo musiał ich przekonywać, że ten plan ma szanse powodzenia. Tylko dlatego zgodzili się dać mu trochę czasu, że poprosiła o to Czerwona Orlica, a wsparł ją Kamienne Ostrze. No i, na Odyna, nic nie ryzykowali, w przeciwieństwie do syna Asgota z Czerwoną Tarczą. Ze zdaniem tej dwójki plemię liczyło się od dawna, ze zdaniem bladokórego włochacza – nie. To wtedy wódz Beothuków znad Zatoki opowiedział o stertach ciał, które widział na wybrzeżu, ciał z poobcinanymi członkami, niekiedy

wypatroszonych jak ryby przed wrzuceniem do worka z gorącą wodą. Wszyscy uznali, że tak okrutny przeciwnik może przegonić Biegnącego Byka z Wielkiej Wyspy, a jeśli przy okazji sam zginie, to Wielki Duch nie uroni nad jego śmiercią jednej łzy.

Minęła już połowa nocy, gdy ruch w obozowisku zamarł, a Beothukowie owinięci w ciepłe futra zapadli w czujny sen. Nie wszyscy jednak. Oddi kręcił się niespokojnie, czując każdy kamyk, każdą nierówność, a przecież zdarzało mu się zasypiać w środku długiego sztormu. Nie obawiał się wyprawy ani wrogów, ale sąsiedztwa Kamiennego Ostrza.

– Brzuchu Ryby – szept, który dotarł do jego uszu, napłynął z futrzanego wzgóрка, gdzie skrył się Bjarki.

– Też nie możesz spać? – Oddi odwrócił się w stronę zwykle małomównego przyjaciela.

– Taku Skanskan wprowadził moje myśli w ruch i nie umiem ich zatrzymać. – Syn Snae-Kola przekręcił się na bok. Trochę się zmienił od ich pierwszego spotkania. Pogodził się już z tym, że Shaa-naan wybrała na swojego towarzysza bladokórego przybysza zza Wielkiej Wody, a wspólna walka zrodziła wzajemny szacunek i zaufanie. – Powiedz mi, dlaczego współplemieńcy tak nienawidzili twojego ojca, że wyruszyli za nim w pościg przez nieznane wody i nie oszczędzili nikogo, gdy już dopędzili swoją ofiarę?

– Zaatakował konunga, rzucił mu wyzwanie.

– No ale przegrał i uciekł, to po co go gonić. – Ciemność znowu odezwała się głosem Niedźwiadka.

– Z dwóch powodów: jako ostrzeżenie dla innych, którym taka myśl przyszlaby do głowy, i by ten, który uciekł, korzystając z chwili słabości konunga, nie zdecydował się kiedyś na powrót i przejęcie władzy.

– To nie mogli walczyć jeden przeciwko drugiemu, oko w oko, jak wojownicy? Nawet do śmierci, jeśli taka wola. Zwycięzca zostaje wodzem, a jego współplemieńcy nie muszą się ze sobą bić.

– To nie takie proste, Bjarki, chociaż byłoby uczciwe. U nas za władcami stoją całe armie, a przegrani i ich rodziny tracą głowy. – Gdy to mówił, stanęły mu przed oczami matka z siostrą i wzdrygnął się mimowolnie. – A nim do tego dojdzie, więcej jest knowań, przekupstwa, zastraszania i brudnych chwytów, niż mam włosów na głowie.

– A wasi wojownicy to pochwalają? No bo to oni dają skalpy za ambicję wodza.

– Czasem nie mają wyjścia, a niekiedy są zaślepieni żądzą łupów i chęcią zdobycia znaczącej pozycji.

– No ale po takiej walce waszym wodzem może zostać słaby wojownik, który ma silnych przyjaciół.

– Tak myślisz? A co powstrzyma najsilniejszego z tych sojuszników przed sięgnięciem po konungowy pas? A jeśli spryt i pomysłuńek nowego konunga są na tyle ostrą bronią, że za ich pomocą trzyma w ryzach i wrogów, i przyjaciół, to nie jest godny być wodzem?

– Nie jest. Wódz musi być szybki niczym wypuszczona strzała, silny jak niedźwiedź i mieć spryt lisa. Tylko wtedy jego serce będzie otwarte, a słowa szczerze. Słabość ciała z czasem rodzi chorobę ducha, która jest tym groźniejsza, im większy umysł ma człowiek. Dlatego wodzami Beothuków są najwyżsi z nas.

– Jak tak myślę, to muszę ci przyznać rację, nikczemność ciała może rodzić nikczemność ducha, co nie przystoi wodzowi. Znałem kiedyś karła, który był bystrzejszy od wielu jarłów, ale trapiły go chorobliwa zawiść i zazdrość, długo chował urazy. Rzucił się z fiordu ze zgryzoty, gdyż nie mógł sam wytrzymać ze sobą. A gdyby został konungiem? Lista dzielnych ludzi, którzy zaleźli mu za skórę, była u niego dłuższa niż liczba Asów, Wanów i lodowych olbrzymów razem wziętych. Wszystkich ich czekałaby śmierć

w męczarniach. Ale coś ty się tak dzisiaj rozgadał, zostawmy to, bo mnie na dodatek głowa rozboleła od myślenia. Tyle ci jeszcze powiem, że nasi bogowie postępują podobnie jak my: walczą, knują, zdradzają, zabijają wrogów, piją i uwodzą...

– Wiem, opowiadałeś nam ich przygody, dlatego nigdy nie staną się moimi bogami. Wakan Tanka jest równowagą, a nie chaosem, i ma jedno serce dla wszystkich serc. No a ty, jeśli pójdiesz do obozu wrogów twego ojca, jak to planujesz, to nie stracisz tej swojej zarośniętej głowy? Wielki Duch mógłby spowodować, że ona odrośnie, ale nie sądzę, by kiwnął palcem w twojej sprawie. – Bjarki położył się na wznak, a jego głos stawał się coraz cichszy i cichszy, tak że ostatnie słowo młody wiking ledwie usłyszał. I do niego w końcu przyszedł sen.

Oddi puścił mimo uszu ostatnie pytanie. Na Odyna, gdyby znał odpowiedź, może nie rzucałby się tak na tych kamieniach. To niepewność i strach pobudzały myśli do gonitwy. Z drugiej strony życie, choć smakowite, nie było jedynym, jakie dają dzielnemu człowiekowi bogowie. Bał się bólu, który towarzyszy śmierci, ale nie jej samej.

Dzień przywitał wojowników mgłami i deszczem. Krople z początku delikatnie zraszały świat wodą, by przejść w jedną z największych ulew, jaką Oddi napotkał w Winlandii. Jakby z chmur, które są mózgiem olbrzyma Ymira, bogowie postanowili wysączyć całą wilgoć i skąpać w niej Midgard, splukując z niego cały nagromadzony latami brud. Z blisko sześciu dziesiątek ludzi w okolicy Spękanej Ziemi pozostało ledwie kilka osób, reszta o pierwszym brzasku ruszyła w drogę powrotną do swoich oddziałów. Mieli zgromadzić ludzi w jednym miejscu, by rzucić się wrogowi do gardeł lub złożyć broń, gdyby pomysł Brzucha Ryby okazał się niewykonalny. Wśród tych, którzy mokli, nadaremnie usiłując znaleźć schronienie między głazami, wyróżniał się wzrostem i wyglądem jeden i to on teraz, podrywając z ziemi skórzany tobołek, ruszył żwawym krokiem przed siebie.

– Poczekaj, Brzuchu Ryby! – Bjarki zerwał się również, gotów do wymarszu. – Idę z tobą.

– Nie, przyjacielu, nie idziesz. Ludzie zza Wielkiej Wody oszczędzą mnie w nadziei na przednią zabawę podczas tortur. To da sposobność, by powiedzieć im to, co, jeśli bogowie docenią mój fortel i mnie wspomogą, skłoni ich do zaatakowania wojowników Biegnącego Byka. Ciebie zabiją od razu.

– Ale nie znasz tego terenu tak dobrze jak my, Beothukowie. Wojownicy Mikmaków zedrą ci skalp, nim dotrzesz w pobliże Zatoki Morsów. Twoja mowa nie będzie miała dla nich znaczenia.

– Jestem przywiązany do swoich włosów, nie dam im się złapać.

– Syn Snae-Kola ma rację, bladokóry, nie znasz dobrych ścieżek, nie zdołasz dotrzeć do osady przybyszów zza Wielkiej Wody. – Kamienne Ostrze przyłożył dłoń do czoła, by woda nie zalewała mu oczu. – To łowiska mojego ojca i ojca jego ojca, nikt nie zna ich lepiej ode mnie, pójdę z tobą.

– Ja też! – Krucza Kość i Bjarki powiedzieli to niemal jednocześnie. Kamienne Ostrze podniósł obydwie ręce.

– Im mniej stóp, tym mniejszy hałas. Brzuch Ryby sam jeden zostawi tyle tropów, że będę miał kłopot z ich zatarciem. Pójdziemy sami.

– Potrafię podchodzić zwierzynę nie gorzej od ciebie, wodzu znad Zatoki. – Krucza Kość był wyraźnie urażony i nie zamierzał rezygnować z wyprawy.

Tym razem to Oddi podniósł rękę w pojednawczym geście.

– Kamienne Ostrze ma rację, łatwiej będzie przemknąć się dwóm myśliwym niż oddziałowi, choćby i małemu. Musimy minąć okolice Wody Grzmotów, a tam aż roi się od wrogów. Poza tym, Niedźwiadku, ty i twoja drużyna musicie odbić mnie z rąk moich wściekłych krajan, gdy ci się zorientują, że zamiast

skarbu Dwalina, Alfriga i Grera, znaleźli bramę do Walhalli.

– Nie do końca rozumiem, co mi chcesz powiedzieć. – Bjarki potrząsnął buńczucznie głową, aż krople wody z włosów rozprysnęły się na boki.

– Sprowadź w okolice Wody Grzmotów załogę *Aifura*. Jeśli będzie to możliwe, odbijecie mnie z rąk moich krajan i wreszcie zdobędziecie prawdziwe miecze. – Na te słowa oczy Niedźwiadka i Kruczej Kości zabłyśły wewnętrznym blaskiem. Od kiedy sięgali pamięcią, Snae-Kol ćwiczył z nimi sposoby walki wojowników zza Wielkiej Wody, zawsze jednak dawał im do rąk drewniane ostrza miast tych z błyszczącego kamienia. Tych kilka uratowanych z wraku dawno już przeżarła rdza. – Ojciec Shaa-naan da wam znak. Niechaj zawsze wiatr wieje w wasze żagle, a dziób łodzi znajduje stały ląd. – Oddi wiedział, że ci dwaj miejscowi rozumieją to pożegnanie. Może brakowało im doświadczenia, ale szkutnik Sturla wykonał porządną robotę. Nie obawiał się, czy przybędą, bo zdobycie prawdziwej broni było pokusą nie do odparcia. Obawiał się, czy drottmadowie Eryka Zwycięskiego uwierzą w historię, którą chciał im sprzedać niczym sprytny kupiec kiel narwala za cenę rogu mitycznego jednorożca.



Szczodrzy i śmiali ludzie żyją najlepiej,

Rzadko przygniata ich troska;

Tchórz i dusigrosz wszystkiego się lęka,

Trapią go nawet dary.

Dwoje myśliwych było w drodze od kilku dni. Tylko dzięki doskonałej znajomości zwierzęcych ścieżek i czujności właściwej ofiarom, a nie drapieżnikom, udawało im się uniknąć spotkania z wrogami. Od tych ostatnich aż się roilo w tym rejonie Wielkiej Wyspy. Mikmakowie, Huroni czy Ludzie Łosie wędrowali z zapasami, z rozkazami, po rozkazy, z jeńcami, czy wreszcie z własnymi rannymi do osady przy Wodzie Grzmotów. To tu Biegnący Byk miał główną wioskę i tu przetrzymywał coraz liczniejszą gromadę niewolników. Do tego ostatniego zadania doskonale nadawała się wysoka palisada, zbudowana jeszcze przez Beothuków. Prawdę mówiąc, samo miejsce nie było najlepiej usytuowane, gdyż leżało na uboczu, ale to właśnie ta dogodna do obrony ściana z bali przesądziła o wyborze. Poza tym mieli na oku bladokórych obcych, których obóz leżał kilka dni drogi stąd i którzy by wejść w głąb wyspy, będą musieli przejść pod nosem wojowników Biegnącego Byka.

Oddi i Kamienne Ostrze przepawali się tego wyjątkowo słonecznego i ciepłego dnia przez Rzekę Łososi. Korzystali z rzadko używanego brodu w połowie jej biegu z nadzieją, że unikną w ten sposób wykrycia. Tworzyły go skryte tuż pod powierzchnią rwącej wody ogromne głazy, za którymi koryto stawało się głębokie, pełne spienionej kipieli. Dwadzieścia kroków dalej niebo połykało wstęgę tej rzeki. Krew olbrzyma Ymira spadała we wściekłych rozbryzgach. Jak twierdził wódz Beothuków znad zatoki, ryk wody i mgła utrzymują się tu przez większą część roku. To pierwszy z trzech stopni, które nadawały Rzece Łososi wygląd górskiego strumienia. Dwa kolejne, wysokie na wojownika z oszczepem w wyciągniętej ręce, rozciągały się nieopodal i o ile skok z pierwszego nie musiał oznaczać śmierci, o tyle pozostałe są tak kamieniste i pełne zanurzonych w wodzie zębów ziemi, że była ona pewna. Ojciec Shaa-naan-dithit wspominał nawet, że bywały czasy, gdy strącano tu wrogów plemienia w darze duchowi wody, ale to dawne i mroczne dzieje.

W każdym razie człowiek, stojąc w tym miejscu, mógł doznać i doznawał wrażenia własnej małości, był niby ziarnko piasku na plaży w obliczu sztormowych fal.

Nic więc dziwnego, że Oddi, idąc śladami wodza, czuł, jak serce wali mu w piersi niczym krasnoludzki młot w ukrytej głęboko w ziemi kuźni. Skakał z głazu na gład, a jeden fałszywy krok, zła ocena odległości czy siły prądu albo zwykły brak szczęścia oznaczały niemal pewną śmierć. Dla ludzi umierających w tak żałosny sposób bramy Walhalli są zamknięte, a Oddi nie nacieszył się jeszcze życiem jak należy. Miejscowi, którzy rzadko korzystali z tego przejścia, wiedzieli, co robią.

Wędrowcy znajdowali się na większej od innych kamiennej płycie, niemal w połowie drogi, gdy zdaniem wikinga za sprawą żartu Lokiego, a według osądu jego towarzysza na skutek działań złych duchów mieszkających w tym miejscu, stało się to, co kiedyś stać się musiało. Tylko dlaczego w najgorszym z możliwych momencie? Z zarośli po stronie, ku której zmierzali, wychynęła pierwsza głowa, a w ślad za nią głowy i postacie kilkudziesięciu Huronów. Wojownicy zachowywali się swobodnie, śmiejąc i poklepując wzajemnie po plecach, choć odgłosy te zagłuszał ryk spadającej wody. Nie od razu spostrzegli w wodnej mgłę dwie przycupnięte i znieruchomiałe sylwetki, ale nie sposób było ich przeoczyć, więc po chwili uśmiechy zamarły na ustach i sięgnęli po łuki. Kamienne Ostrze, który pierwszy wyrwał się z odrętwienia, nie czekając dłużej, rzucił się w wodę, ciągnąc za sobą młodego wikinga. Zrobił to niemal w ostatniej chwili, albowiem powietrze w miejscu, w którym kucali, zostało przecięte z wizgiem kilkoma strzałami. Tego już jednak nie słyszała dwójka uciekających wojowników, teraz przyszło im walczyć z o wiele potężniejszym, brutalniejszym i nie mniej morderczym przeciwnikiem.

Oddi zderzył się plecami ze skalistym dnem i w tej samej chwili Kamienne Ostrze puścił jego rękę. Młodzieniec miał wrażenie, jakby w klatkę piersiową kopnął go podkuty koń i to dwoma nogami jednocześnie. Głowę instynktownie trzymał wyżej i to uratowało mu życie, ale uderzenie wycisnęło z płuc całą zawartość i zaczął się dusić. Próbował nabrać powietrza, jednak to nie on był sternikiem i wioślarem na tej łodzi. Po chwili leciał, pokonując pierwszy, wysoki na dwóch ludzi stopień. Szczęściem zdołał złapać jeden płytki oddech, nim dał nura w najeżoną skałami toń. Młodzieniec nie wiedział, gdzie góra, gdzie dół, kręcił się niby pływak, który wpadł w rzeczny wir. Obijał się o twarde przeszkody, poczuł jedno, potem drugie uderzenie w głowę, ale ciągle nie tracił świadomości. Był młody i silny, chciał żyć. Czuł, że porusza się z dużą prędkością i gdyby nie solidne nogawice i bluza, zostawiłby na tych kamieniach własną skórę i mięśnie. Jak na razie wykpił się dziesiątkami siniaków i drobnych otarć. Oddi zdołał w końcu odbić się od dna – niebo nie daje twardego podparcia stopom, więc to nie mogło być ono i wychynął na powierzchnię. Widoczność była fatalna. Głazy zdolne połamać członki lub rozbić głowę jak dojrzały owoc dostrzegał niemal w ostatniej chwili. Odpychał się od nich, próbując wydostać się z głównego nurtu, ale rzeka nie zamierzała łatwo wypuścić swojej ofiary. W pewnym momencie bogowie uśmiechnęli się do Oddiego, syna Asgota, trafił bowiem na długą grubą gałąź, która zakleszczyła się pomiędzy gładami. Chyba pomiędzy nimi, bo zalewane białą pianą oczy niewiele widziały. Chwycił się jej niemal w ostatniej chwili, a ta zachybotwała się gwałtownie pod zwiększonym obciążeniem, ale pozostała na swoim miejscu. Boska Eir, miej mnie w opiece, pomyślał.

Nagle tuż obok wynurzyła się z wody skórzana bluza, w którą młodzieniec, niewiele myśląc, wpił się palcami jednej ręki. To prąd przyniósł Kamienne Ostrze. Oddi niemal nadludzkim wysiłkiem przyciągnął towarzysza wędrowki do siebie i przewiesił przez gałąź. Ta znowu zadrżała i dodatkowo wydała z siebie skrzypienie, od którego włosy młodzieńca stanęłyby dęba, gdyby nie były takie mokre. Beothuk wyglądał na nieżywego. Wprawdzie z rozciętej głowy sączyła się krew, ale równie dobrze uderzenie mogło nastąpić przed chwilą, i...

Te rozważania przerwał jęk ojca Chrapiącego Psa. Niemal jednocześnie poprzez szum wodospadu do uszu wikinga dotarły stłumione okrzyki szukających ich Huronów, gasząc chwilowe uniesienie. Jakby walka z rwącą rzeką to było mało.

Odyńie, wielki Wakan Tanko! – wołał jego umęczony duch. Dlaczego tak się uparliście, by mnie utopić, najpierw lodowate jezioro, teraz to. Miałem przecież umrzeć w podziemiach, taka śmierć jest mi przeznaczona, po co zmieniać coś zaplanowanego jeszcze przed moimi narodzinami?! Trochę się targował z bogami, a ci, jak to mieli w zwyczaju, nie odpowiedzieli na wołanie śmiertelnika.

Podtrzymujący ich obu konar drżał cały czas pod naporem wody. To już długo nie potrwa, pomyślał wiking.

Ogarniał go spokój człowieka, który nic więcej nie może zrobić. Oddi czuł w ustach smak mokrego drewna, w które wpił się zębami dla wzmocnienia uchwytu. Ramię, opasujące dotąd żelaznym uściskiem grubą gałąź, poczęło się rozwierać, gdy myśli o matce i zdanej na łaskę wrogów Jofriddzie znowu rozpalily w młodzieńcu ogień walki. Ruszył z wysiłkiem w stronę brzegu, a przynajmniej oddalał się od morderczego nurtu. Drobnymi ruchami raz za razem przesuwiał się, ciągnąc za sobą wciąż nieprzytomnego Beothuka. Nie widział nic w mlecznej pianie, ale ten sam problem mieli też wrogowie, więc nie zamierzał narzekać. W pewnym momencie z białej kaszy wyłonił się kamienny ząb, o który wspierała się gałąź. Po kilku kolejnych zrywach poczuł na krótką chwilę oparcie dla stóp, dno się podnosiło. Długie, mocne nogi zaczęły jak szalone szukać podpory i coraz częściej ją znajdowały. W pewnym momencie poczuł lekkie szarpnięcie i zaskoczony spojrział w przytomne oczy wodza.

– Huroni, na brzeg nie... później – usłyszał.

Faktycznie, jak nie Garm, to smok Nidhögg, pomyślał wyczerpany do cna chłopak, ale udało mu się wciągnąć siebie i towarzysza na wystający odrobinę nad wodę głąz. Później zemdlął.

Oddi Asgotsson stał na skraju fiordu, zapatrzony w spienione, zimne morze. Wiatr szarpał i rozwiewał jego mokre włosy, zacinając w twarz kropelkami wody. Właśnie trwał ojciec wszystkich sztormów, niebo zrobiło się czarne, a ogromne fale raz za razem uderzały o skały, wysyłając w niebo swoje spienione macki. Bóg morskich toni Aegir jechał na ogromnym grzywaczu, dumny i wspaniały z wielką, przechodzącą w pianę brodą, mówił coś do Oddiego, ale ten nie mógł zrozumieć słów, prawie je słyszał, prawie...

– Mussimyy iśśccc. Obuudź się, Brzuuuchuu Ryybyyy. – Kolejne uderzenie fali zachybotowało skałą. *A może to okręt, może stoję na jego pokładzie?* Nagle wszystko zniknęło i młodzieniec otworzył oczy. Słyszał grzmot spadającej wody, ale nie widział niczego, bo było ciemno. Ktoś potrząsnął nim za ramiona i gdy się odezwał, świat wrócił na swoje miejsce.

– Wi schowało się w swoim mamateeku, musimy iść! – Kamienne Ostrze musiał krzyczeć, by przebić się przez hałas wodospadu.

– A co z tobą, wodzu, dasz radę? – Oddi wszystko sobie przypomniał. Ostatnim razem, gdy patrzył w twarz Kamiennego Ostrza, to ten bardziej przypominał trupa niż żywego człowieka.

– Dam radę, a jeśli Wielki Duch ma wobec mnie inne plany, szybko się o tym przekonamy. Idziemy.

Trzymając się za ręce, dwójka niedoszłych topielców ruszyła w stronę brzegu. Nurt prawie zwałął z nóg, więc szli pochyleni jak podczas silnej śnieżycy, gdzie każdym trzem krokiem do przodu towarzyszą dwa w tył. To, że wyłonił się już z wodnej mgły, poznali po zapachu, bo ciemności były niemal absolutne. W pewnym momencie silny wiatr odłonił na kilka chwil księżyc i to wystarczyło, by Kamienne Ostrze zorientował się, gdzie się znajdują.

– Jesteśmy po właściwej stronie, chodźmy – usłyszał jego szept Oddi.

– A ci wojownicy, jeśli gdzieś tu się czają...

– Myślą, że pochłoneła nas rzeka, zresztą niewiele brakowało, Brzuchu Ryby. – Oddi dałby sobie uciąć ucho, że wódz Beothuków znad zatoki wyszczerzył zęby w uśmiechu, ale księżyc znowu schował się za chmurami i nie mógł tego zobaczyć. Śmiejący się Kamienne Ostrze? To warto by było zapamiętać.

Na szczęście ojciec Shaa-naan, wiedziony jakimś pierwotnym instynktem, odnajdywał w ciemności drogę i ciągnął za sobą potykającego się wikinga. W pewnym momencie zatrzymał się i zaczął nasłuchiwać, a zrobił to tak gwałtownie, że przybysz zza Wielkiej Wody wpadł na niego i odbił się jak od drzewa. Mrucząc przeprosiny, chciał zapytać, o co chodzi, ale Kamienne Ostrze go uprzedził.

– Tu odpoczniemy, rano ruszymy dalej.

Znajdowali się w jakimś gąszczu, pośród krzewów o giętkich gałęziach, więc po kilku chwilach wymościли sobie całkiem wygodne legowiska. W nozdrza wdzierał się ostry zapach roślinnych soków, które wyciekały z odcinanych po omacku łodyg. Noc była dosyć ciepła i całe szczęście, bo przemoczone do cna ubrania nie zapewniały ochrony przed chłodem. Wyczerpani zasnęli niemal natychmiast.

Oddiego tym razem obudziły jakieś robaki łązące mu po twarzy. Usiadł i strząsnął je z obrzydzeniem – nie lubił robactwa. Liczne otarcia przypomniały o sobie pieczeniem. Potem rozejrzał się zaskoczony wokoło, był sam.

– Długo spałeś, blady człowieku – dobiegł go głos od strony gęstwiny, a Oddi aż podskoczył.

– Też się wysmaruj sokiem z liści i idziemy.

Dopiero teraz młodzieniec zobaczył rząd białych, rozciągniętych w uśmiechu zębów i czarne błyszczące oczy. Reszta była zielona, nawet włosy.

– Wódz Kamienne Ostrze nie jest dzieckiem, a bawi się jak ono – mruknął, ale zerwał kiść mięsistych liściastych łodyg i zaczął się nacierać. Robił to tak długo, aż starszy wojownik był zadowolony z efektu.

– Długo to się utrzyma? – Oddi pokazał brodą na pokrywający rękaw barwnik.

– Długo, tylko przybierze kolor kory drzewa. Masz, jedz. – Podał mu coś, co wyglądało jak napakowana kaszą cienka kiszka. – Dobrze, dużo siły, jedz. – Oddi wolał nie pytać, co to jest, grunt, że napełniało żołądek.

Jedli w drodze to, co udało im się złapać lub zerwać, nie rozpalali ognisk, by nie ściągnąć na głowy pogoni, przypominali dwa leśne elfy, których brązowe szaty wtapiają się w otoczenie. Oddi może i by się z tego śmiał, gdyby nie zmęczenie wielodniowym marszem. Rozmawiali niewiele, ale coś się między nimi zmieniło po przymusowej kąpieli. We wzroku ojca Shaa-naan-dithit, w spojrzeniach, którymi obrzucał młodzieńca, gdy myślał, że ten tego nie widzi, nie było już dawnej niechęci. Cóż, niebezpieczeństwo, wspólna walka i wędrówka z niejednych wrogów czyniły przyjaciół i niejednych przyjaciół zamieniały we wrogów.

Siódmego dnia dotarli do skraju lasu. Dużo wcześniej poczuli dym z palenisk, więc Oddi odetchnął z ulgą. *Jeszcze są, jeszcze nie ruszyli do domu.* Było późne popołudnie i młody Asgotsson wyraźnie widział kołyszące się na wodzie kaupskipy i maszerujące tam i z powrotem sznury ludzi. Trwał załadunek. Na pokłady knörrów wnoszono pęki wyprawionych futer, żywność i wodę oraz grube drewniane belki.

– W ostatniej chwili – szepnął do przyklejonego do pnia Kamiennego Ostrza. – Teraz wszystko zależy od bogów i mojego szczęścia. Jeśli zginę tu, widocznie taki był mi przeznaczony koniec. Ale gdy

z pomocą Lokiego namówię ich na atak, odbijcie mnie, gdy się zorientują, że to podstęp. Daj mi słowo, Kamienne Ostrze, że twoja strzała wbije się w moją pierś, gdyby to okazało się niemożliwe. W innym razie czeka mnie straszna śmierć, nie wiem, czy wytrzymam bez krzyku, a jeśli tak, nie trafię do Walhalli, którą wy zwiecie Odległą Krainą.

– Tak będzie, mężczyzno mojej córki, jestem ci winien życie. – Powiedziawszy to, odwrócił się i jak cień niemal bezszelestnie zniknął między drzewami. Oddi został sam.

Jeszcze kilka chwil wpatrywał się w miejsce, gdzie przed momentem stał jego towarzysz. *Najwyraźniej długie pożegnania nie są mocną stroną ojca mojej kobiety. Na bogów, czyżbym zyskał szacunek i akceptację Kamiennego Ostrza w ostatnich chwilach życia? Bo jeśli tak, to potrzebne mi to jak koniowi piąta noga albo rybie dobre kościane łyżwy.*

Odwrócił się w stronę ziemianek, okrętów i ludzi. *Co ma być, to będzie.* Długo zbierał się na odwagę, nim dał pierwszy krok poza bezpieczną barierę drzew. Obozowi strażnicy zobaczyli go niemal od razu.



*Jeżeli masz innego, któremu nie wierzysz,
Lecz chcesz mieć z niego korzyść,
Układaj piękne słowa, lecz myśli kryj zdradliwe
I fałsz płąć zdradą.*

Oddi szedł pomiędzy dwoma niedźwiedziowatymi wojami w stronę stojącej nieco na uboczu kuźni, większej niż inne domostwa. Budował ją Bolvark, syn Gudfasta, wierny członek lidu Asgota i całkiem zręczny kowal. Nie żeby umiał wykuć dobry miecz, ale naprawić coś, to i owszem. Teraz służyła za hov wodza tego oddziału – Jökula Szarego, drottmada Eryka Zwycięskiego, władcy Szwecji.

Przed domostwem stał wbity w ziemię gruby pał, do którego przywiązano jakiegoś człowieka. Gdy młodzieniec z eskortą podszli bliżej, kupka łachmanów jęknęła i podniosła z wysiłkiem głowę.

– Thorgerda, Thorgerda Jasny Warkocz? – powiedział zaskoczony Oddi.

Zmasakrowana twarz z powybijanymi zębami mało przypominała człowieka, ale te jasne, wodniste oczy i sztywne, słomiane włosy poznałby wszędzie. Pamiętał, jak złapała go za kark przy Sflaczałym Cycku tuż przed bitwą ze skraelingami i jak klepnęła go w tyłek, zatrzymując dłoń dłużej, niżby należało. To była niewysoka, ale silna wojowniczką, ale jako kapitan *Niszczyciela Olbrzymów* musiała być i była twarda.

– Możecie mnie bić, ale umrę od ciosu żelazem – powiedziała, a raczej wybełkotała związana kobieta i splunęła, a przynajmniej spróbowała splunąć im pod nogi.

– Thorgerda, to ja, Oddi Asgotsson. Na bogów, co oni ci zrobili?

– Aaa, szczeniak Asgota – wyszeptwała. – Myślałam, że jestem ostatnia, że... – Urwała, głowa znowu opadła jej na pierś.

– Dlaczego ją dręczycie? Nikt nie zasługuje na taki los. A to jest przecież nie byle kto, ale memeykongr i kapitan jednego z okrętów. – Wskazał brodą jeńca. – Nawet pokonanej, jako kobiecie wojownikowi, należy się godna śmierć.

Dwóch wielkoludów zarechotało wesoło.

– Mało u nas cycków, te były niezgorsze, a zima długa, więc rznęliśmy ją, gdy ktoś miał na to ochotę. Była dla nas córą Gefny, której płaciliśmy, pozwalając przeżyć kolejne dni. Z początku zdała się nie mieć nic przeciwko, jednak jak się okazało, czekała tylko na stosowną okazję do zemsty. Po próbie wypatroszenia naszego dziesiętnika Steina Białego jego własnym skramasaksem przywiązywaliśmy jej ręce i nogi do wbitych w ziemię kołków i robiliśmy swoje. To była dobra zabawa, nie gorsza od samego chędożenia. Próbowwała walczyć i gryźć, to bracia wybili jej zęby i powyrywali paznokcie. –

W powietrzu znowu zadudnił śmiech. – Na jakiś czas pomogło, ale z wściekłego refra nie uczynisz domowego. Nie chciała zdychać i żarła wszystko, cośmy jej podetknęli pod nos, czekała, aż ją który ubije, ale szkoda było dobrej zabawy. Niedawno z bezsilności zaczęła płuć, a gdy pobrudziła naszego wodza, ten się wściekł, bo właśnie włożył czystą bluzę, i kazał przywiązać ją do pala, i tak sobie wisi. Dajemy jej jeść i pić, okrywamy przed chłodem, by zdechła od choroby, a nie w boju. A ta uparła się, że zginie od broni i trafi do Walhalli, gdzie naszcza na nasze głowy. – Znowu zarechotali z dobrego żartu. – No to jest z nami w Midgardzie, choć to już pewnie długo nie potrwa. Co, malutka? – Poklepał kobietę po brudnym policzku, a ta bez słowa uniosła głowę. Nie patrzyła na osiłka, ale na Oddiego zimnym, świadomym wzrokiem. Poza determinacją zalśniły w tych ładnych kiedyś oczach łzy, na których niby łódź na grzbiecie wielkiej fali wypłynęła niema prośba.

– Pokazałem ci ją, byś wiedział, jaki los i ciebie czeka. Idziemy, dość tego gadania. – Ten z eskorty, na którego towarzysz wołał Otygg Bawół, złapał Oddiego za włosy i pociągnął za sobą. Młodzieniec, nie zważając na ból, obrócił się w miejscu, tak że w dłoni wielkoluda pozostała tylko kępka tłustych włosów. Doskoczył do słupa, złapał głowę kobiety i jednym gwałtownym ruchem skrzył jej kark. Cichemu chrupnięciu towarzyszył ostatni, pełen ulgi, a może żalu oddech. Thorgerda Jasny Warkocz była wolna.

Ciosy, jakie potem spadły na młodego wikinga, i towarzyszące im okrzyki wyciągnęły z ziemianki samego Jökula.

– Co tu się dzieje!?! – Jego ryk musiał być słyszalny nawet na okrętach.

– Ten pomiot bezzębnej suki zabił naszą niewolnicę, wodzu – powiedział zdyszany jeden ze strażników.

Dopiero teraz saekonung spostrzegł zwisającą na sznurach kobietę z nienaturalnie skrzyconą szyją. Potem wzrok jego powędrował na wstającego młodego człowieka, ubranego w skórzany strój roboczy miejscowych dzikusów. Ale to nie był skraeling.

– Coś ty za jeden? Znasz naszą mowę? – To była dziwna obca kraina, więc wszystkiego można było się spodziewać, nawet czarów.

Jeden z towarzyszących młodzieńcowi wojów już otwierał usta, ale jeniec go ubiegł.

– Jestem Oddi Asgotsson, syn twego wroga, panie, i kuzyn władcy wszystkich Szwedów. – Młodzieniec splunął na ziemię, pozbywając się z ust zmieszanych z krwią ziarenek piasku.

– Oddi, ten oskilgetirn zdrajcy Asgota?

– Niektórzy twierdzili, że jestem bękartem, ale jak jest naprawdę, wiedzą tylko moja matka i bogowie, ale na pewno nie ty, drottmadzie Eryka Zwycięskiego – odpowiedział hardo więzień.

Brwi saekonunga ściągnęły się w grymasie złości, by rozsunąć się na boki, gdy Jökul zaczął się śmiać.

Grupka gapiów powiększała się z każdą chwilą. Coraz więcej ciekawskich przerywało pracę i chciało zobaczyć, o co chodzi, bo, co trzeba uczciwie przyznać, rozrywek tu mieli niezbyt wiele. Oddi

wyłowił w tłumie zdziwione oblicze Ramira Piaskowego Nosa w towarzystwie pięknej ciężarnej kobiety. Uśmiechnął się do niego oczami, tak by nikt tego nie spostrzegł. To samo zrobił syn jarla z zamorskiej krainy, nie tak dawno niewolnik, a teraz, jak widać, zadowolony ze swego losu mąż. Cóż, życie zatacza okręgi i czasem liżemy jajka Fenrira, a czasem ssiemy cycek którejś z bogiń. Miejscowi mają rację, wszystko jest kołem.

– Znudziło ci się rabowanie pułapek miejscowych czy przepędzili szkodnika ze swoich łowisk? A może do ludzi chciałeś? Toś dobrze trafił, z nami nie zaznasz nudy i samotności. – Wódz wyprawy pościgowej przestał się śmiać i trzepnął przybysza otwartą dłonią w twarz, tak dla zwrócenia uwagi. Oddi poczuł na języku świeżą krew z rozbitej wargi.

– Chcę skorzystać z girdu, kupić swoją wolność i miejsce na kaupskipie płynącym do domu. – Czuł, jak z jednej strony puchną mu usta. Tym razem nie było osoby, która by się nie śmiała. Nawet Ramiro, choć u niego to był smutny, przepraszający uśmiech. Gdy jesteś sam wśród tłumu starych ludzi, nie udawaj zbyt jurnego, bo ci który z zawiści żelazo pod żebra wciśnie – przypomniał sobie stare powiezenie. Nie miał żalu do przyjaciela.

– A cóż takiego poza kościstym grzbietem masz do zaoferowania tym ludziom. – Wódz zatoczył szeroki łuk ręką. – Ja wiem, co możesz im dać, radość, gdy będą patrzyli, jak kwiczysz z orłem wyciętym na plecach. Nie mamy już wprawdzie soli, by posypać twe rany, ale może wystarczą gorące węgle? Co to przebije synu, albo i nie, tchórza i zdrajcy Asgota z Czerwoną Tarczą?

– A to. – Oddi sięgnął za połę skórzanej bluzy i pokazał zebrany wielką niczym oko dorosłego męża, poszarpaną grudkę złota.

Trzymał ten skarb w wyciągniętej dłoni, aż wzrok wszystkich zebranych zaszklili się złotym blaskiem.

– Pokaż. – Otyggi sięgnął po bryłkę i nagryzł ją lekko. – Dobrze – powiedział, mlaskając z uśmiechem, jakby mówił o świeżym pieczyście.

– Skąd to masz? – Saekonung też włożył sobie złoty guz do ust i czując jego niedającą się pomylić z niczym innym miękkość, zadowolony, wypluł cenny metal na dłoń.

– Tyle tylko odłupałem ze złotej żyły w jaskini. Jeśli darujecie mi życie, powiem, gdzie jest tego więcej.

– A skąd mamy wiedzieć, że nas nie oszukujesz, pomocię Lokiego – odezwał się jakiś głos z tłumu.

– Stąd, że zawsze możecie mnie zabić, gdybym kłamał. Nie mam nic do stracenia, a do zyskania całe życie.

– Dobrze mówi!

– Wypruć mu flaki! – Głosy mieszały się ze sobą, ale chciwość zaczęła przeważać.

– Gdzie jest ta żyła złota? – Jökul uciszył kompanów, częstując co bardziej krewkich kopniakami.

– I w tym cały problem, saekonungu, że za wodospadem, a wejścia broni banda miejscowych dzikusów. – Oddi czuł się źle, zdradzając tajemnicę Beothuków, ale czy miał inne wyjście?

Potem opowiedział zebranym o odkryciu Doliny Gnomów i o jaskini z zasuszonymi zwłokami dziwnych niedźwiedzi. Niczego nie ukrywał, nie wspominał tylko o toczących się walkach, bo stąpając po kruchym lodzie, trzeba iść szybko i bez wahania. Gdy skończył, wśród zebranych zapanowała cisza. Każdy w swoich myślach ważył słowa przybłędy. Niektórzy już widzieli swój triumfalny powrót, gdy z pełnymi złota sakwami wzbudzają zazdrość wrogów i szacunek sąsiadów. Nie wszyscy jednak dali się uwieść opowieści, a wśród nieprzekonanych był ich wódz Jökul.

– Nawet jeśli jest, jak mówisz, bękarcie, to żeby dostać się do skarbów Modsognira i Durina, musielibyśmy walczyć z miejscowymi. To dzikusy i potrafią się bić tak, jak żaba latać, ale jest ich dużo i nawet mrówki, gdy obsiadą śpiącego człowieka, mogą mu skrócić życie.

– Chyba nie boisz się walki, wodzu! – krzyknął ktoś z tłumu.

– Nie, ale mamy tu wszystko, po co przybyliśmy do tej obcej krainy: trupy wrogów naszego konunga oraz skóry i drewno, które dadzą wszystkim bogactwo. Po co ryzykować życie ludzi majątnych.

– Dla tirru i miejsca w sagach? Tyle po nas zostanie w Midgardzie, ile sławy w pieśniach sagemadów. – Hrolf Ordigskeegi wysunął się przed innych i uderzył pięścią w szeroką pierś. – To mało?

– Ty, Szczecino, musisz dbać tylko o własne dupsko, ja o okręty i załogi konunga Eryka. Nasz leidlang liczy sobie ledwie dwie setki ludzi, dzikusów jest pewnie więcej, chcecie stracić bogactwo i życie dla niepewnego złota?

– Pewnego! – krzyknął Oddi, widząc, że słowa saekonunga odnoszą zamierzony skutek. – Żyła jest tak gruba, że metal można wycinać toporami jak masło kuchennym saksem, rąbać niczym drewno. Nigdy nie widziałem takiego bogactwa, Odyn mi świadkiem.

– Przysięgniesz na Jednookiego, że jest, jak mówisz? – Jökul spróbował ostatniej, ale najmocniejszej broni. Krzywoprzysięstwo skazywało człowieka na straszne życie po śmierci, na męczarnie w Náströndzie. W tej krainie, którą władała na wpół martwa Hel, nim w końcu człowiek zostanie pożarty przez smoka Nidhögga, musi wraz z innymi zdrajcami brodzić w ciemnościach w żrących strumieniach. Straszny los i pewny jak to, że po nocy wschodzi słońce.

– Tak – odpowiedział młodzieniec bez cienia wahania. – Przysięgam na Odyna i niech ten władca bogów będzie świadkiem moich słów, że we wnętrzu góry, do której was zaprowadzę, jest jaskinia, a jej ściany błyszczą w blasku pochodni złotymi rzekami. Jeśli jest wśród was jakiś gothi, niech zanieś moje słowa Asom.

– Mordzie Glamie – rzucił saekonung.

Spośród zebranych wystąpił niewysoki mąż, na którego twarzy i karku wytatuowano święte wizerunki młota i konia, a odkryte ramiona zdobiły brodate oblicza Thora i Tyra.

– Przyjmuję od ciebie tę przysięgę – rzucił kapłan, kładąc Oddiemu dłoń na czole.

– A ja obiecuję – wtrącił ciągle zły Jökul – że jakby co, nim odeślemy cię do Náströndu, poznasz tu, w Midgardzie, czym jest prawdziwe cierpienie.

– Niech tak będzie – zgodził się skwapliwie syn Asgota z Czerwoną Tarczą, jakby miał inne wyjście.

W obozowisku zapanowała radosna wrzawa. To nic, że śmierć była blisko, to nic, że cierpienie i rany towarzyszą walkom, na końcu czekało ich godne królów bogactwo lub wspaniałe życie w Asgardzie, więc czym tu się martwić.



Tak samo z owym, któremu nie wierzysz

I wątpisz w jego szczerłość:

Uśmiechaj się do niego, mów inaczej niż myślisz,

Liczący sobie około półtorej setki oddział od kilku dni przemierzał zielone o tej porze lasy Winlandii. Nie byli to miejscowi wojownicy, ale potężni, wyćwiczeni w walce i dobrze uzbrojeni mężczyźni. U ich pasów w skórzanych pętlach kołysały się topory lub miecze, choć tych ostatnich było ledwie kilkanaście, a o plecy, w rytm długich kroków, obijały się solidne okrągłe tarcze.

Przewodził im mąż o niewyróżniającej się posturze, ale gdy zajrzało się w jego stalowe oczy, znać było wielkiego drotmada, który brał udział w niejednej zwycięskiej bitwie. Obok, ze związanymi z przodu rękami, szedł wysoki młodzieniec w dziwnym, zdobnym frędzlami i rzemiennymi splotami skórzanym ubiorze. Gdyby nie jego brodata twarz i słuszny wzrost, można by go wziąć z daleka za tubylca.

Nie była to jednak banda ślepców pakujących się bezmyślnie w paszczę Fenrira, ponieważ w zasięgu głosu las przeczesywały trzyosobowe patrole. Na razie jedyny niewielki oddział skraelingów, na który natrafili, wybili do nogi, więc nie było komu podnieść alarmu w osadzie przy Wodzie Grzmotów.

– Długo jeszcze, bękaracie? – Jökul poprawił przewieszony przez ramię thund z cisowego drewna, który kołysał się w rytm kroków razem z kołczanem pełnym długich śmiercionośnych strzał. Saekonung nakazał wszystkim, którzy umieli trafić ze stu kroków w małą tarczę, a było tego dobra setka Askomanów, zabrać z osady łuki, co świadczyło o jego roztropności.

– Nie radziłbym rozpalać ognisk, bo poczyją dym. Już blisko. – Zmierzchało, a pomiędzy drzewa noc wchodziła jakby chętniej, więc zatrzymali się na niewielkiej polanie.

– Stein, wyznacz zwiadowców, niech całą noc patrolują teren w odległości godziny od naszego obozu.
– Stein Biały skinął głową i ruszył do swoich obowiązków.

– Dowódcy okrętów do mnie, ustalimy plan jutrzejszego ataku.

Trzech wojowników zbliżyło się do drzewa, pod którym usiadł saekonung. Nie było tu z nimi Ramira Piaskowego Nosa i jego kobiety, którzy zdecydowali się z uwagi na ciężą niewiasty pozostać w osadzie na wybrzeżu, za co Oddi dziękował swoim bogom i Wielkiemu Duchowi braci Beothuków. Wraz z Południowcem jakieś pięć dziesiątek ludzi pozostało przy kaupskipach, ale ten problem Oddi zamierzał rozwiązać, gdy już upora się z dowódcą i jego drengami. O ile się uporam, poprawił się w myślach.

– To mówisz, że tam jest wysoka na dwóch mężów palisada, bękaracie? – Oddi przyzwyczał się już do niechęci i docinków drotmada wielkiego konunga Eryka i przestał się nawet obruszać.

– Na trzech, a wioska leży w wielkiej dolinie u stóp łańcucha górskiego, który miejscowi zważają Grzbietem Łosia.

– A co to w ogóle jest za osada? Myślałem, że te dzikusy żyją pod gołym niebem albo w szałasach z traw? – Lambi Byczy Kark, kapitan kaupskipa o nazwie *Śmierci Cień*, wypluł kawałek wędzonego mięsa, który właśnie wydłubał brudnym paznokciem spomiędzy zębów.

– To jest wioska ich wodza Biegnącego Byka, który ma przy sobie wielu dzielnych wojowników.

– A skąd ty wiesz, jak ma na imię wódz tych dzikusów? Może jesteś z nimi w zмовie, złociutki? – Wypluł kolejną grudkę mięsa.

– Mówiłem już, że byłem ich niewolnikiem, zbrzuchaciłem córkę wodza i musiałem uciekać. – Oddi wzruszył ramionami.

– Tak jakoś mówiłeś – zgodził się łaskawie Lambi.

– Jak wielu dzikusów ma ten Byk? – Jökul martwił się o swoich ludzi i nie zamierzał przez brak przygotowania stracić niepotrzebnie choćby jednego.

– W wiosce mieszka z sześć setek, ale połowę stanowią kobiety i dzieci. Więc będzie ich tyle, ile nas, saekonungu, bo każdy wiking starczy za dwóch. W porze letniej napływają tu myśliwi z okolicznych wiossek, by wymieniać się towarami. Nie lekceważyłbym takiej siły...

– I nikt nie ma zamiaru tego robić, bękarcie. – Dowódca wyprawy splunął, trafiając w but młodego wikinga.

– ...ale nigdy nie zetknęli się z wrogiem, który walczy tak jak my – dokończył Oddi.

– Zaskoczymy ich, wyłuczemy strzałami, ilu się da, a resztę zarąbiemy toporami, o ile będzie trzeba. – Eywald Mocny, syn Fridhleifa, kapitan *Kłta Frekiego*, też splunął i również „przypadkiem” trafił w but młodego Asgotssona. Młodzieniec powoli pochylił się w jego stronę, jakby chciał zdradzić mu jakiś sekret, by nagle, gwałtownie wyrzucając do góry związane ręce, walnąć go w szczękę. Gęsta, skołtuniona broda osłabiła siłę tego ciosu, ale i tak wielki woj upadł na plecy z głośnym sapnięciem.

– Ty vargu – zerwał się z krzykiem, sięgając po wiszący u pasa saks – wypruję ci flaki i wsadzę je w dupę, ty... – Nagle stanął mu na drodze mniejszy o pół głowy Jökul.

– Zostaw, nie z nim masz się bić, ale z dzikusami, i nie o honor, tylko o złoto. Chyba że znasz drogę do tej jaskini, jeśli tak, zabij go tu i teraz i miejmy to z głowy.

Kapitan *Kłta Frekiego* splunął jeszcze raz, znowu celując w stopy Oddiego, ale tym razem nie trafił. Uspokoił się, ale gdy patrzył na młodzieńca, w jego ciemnych oczach czaiła się śmiertelna groźba.

– Masz rację, wodzu, nie czas i nie miejsce. – Usiadł ciężko, masując obolałą szczękę.

Oddi sam siebie beształ w myślach, że przedłożył swój honor nad powodzenie misji. Z drugiej strony niekiedy tylko pancierz dumy odgradza człowieka od wrogów, warto więc o niego dbać. A o sile męczyzny świadczy siła jego wrogów, a Eywald był naprawdę godnym przeciwnikiem.

– Wyruszymy jeszcze tej nocy – kontynuował jak gdyby nigdy nic Jökul – chcę zaatakować o brzasku, gdy większość będzie jeszcze spała. Mówisz, bękarcie, że w palisadzie jest tylko jedna brama?

– Jedna, podwójna, z blokującymi ją od środka dwiema solidnymi belkami w skórzanych imaczach.

– Kilku silnych wojów da radę ją wyważyć? – Lambi Byczy Kark spojrzał na młodzieńca z nadzieją.

– Tego nie wiem, mocowanie wydawało mi się całkiem solidne, a w razie ataku można je jeszcze wzmocnić przygotowanymi w tym celu ryglami...

– Dlatego chcemy ich zaskoczyć – przerwał jego wypowiedź saekonung. – Odpocznijcie trochę, niedługo ruszamy.

Nie minęło wiele czasu, a na polanie zapadła cisza, przerywana posapywaniem i chrapaniem. Czekająca ich walka i każda chwila odpoczynku, którą teraz skradną nocy, mogła decydować o śmierci lub życiu, o szybkiej ręce lub zbyt wolnej zasłonie przed ciosem. Oddi znowu nie spał najlepiej, co ostatnio stawało się normą. Martwienie się o innych odbierało spokój myślom.



Miecz, gdy wypróbowany, dziewicę, gdy za mąż wydana

Lód – gdy się przeszło, piwo – gdy wypite.

W mamateeku Biegnącego Byka, pomimo panujących na zewnątrz ciemności, było dosyć jasno. Ognisko rozpalone dla przygotowania ciepłej strawy rzucało na skórzane ściany namiotu ruchliwe cienie, które zdawały się żyć własnym życiem. Wódz westchnął ciężko, przygniatany do ziemi coraz nowszymi zmartwieniami. Niektórym ciemnym plamom nagle wyrastały kły, innym skrzydła.

– Troska nadaje małym rzeczom wielki cień – mruknął pod nosem. – Wielki Duchu, ty dałeś memu ludowi tę sposobność, daj też siły, by ją wykorzystać.

Najbliżej wejścia, obok wodza wyprawy, siedzieli Kościany Koral, syn Skrzeczącego Orła, dalej czarownik Huronów Stąpający po Ogniu i rozmawiający z duchami Mikmaków – Zawodzący Wiatr. Odcisku Kopyta nie było już wśród żywych. Zginął w potyczce z oddziałem Długich Ludzi, którzy walczyli, jakby mieli wsparcie samego Ptaka Pioruna. Chociaż mniej liczni, pokonali czekającego na nich w zasadzce Odcisk Kopyta z wojownikami, których było tylu, ile palców u rąk i nóg ma pięciu myśliwych! Jak opowiadał Zmarznięta Ziemia, jeden z tych, którzy przeżyli to spotkanie, nie udało się zabić żadnego ze skrytych za dziwnymi okrągłymi tarczami Beothuków, żadnego. Co najwyżej kilku było lekko rannych.

– Więc wojownicy z wielkich łodzi ruszyli się ze swych nor. – Biegnący Byk oderwał wzrok od ruchomych cieni.

– Pięć nocy temu, wielki wodzu. – Kościany Koral pokazał wszystkim rozcapierzoną dłoń. – Myśliwi, którzy widzieli to na własne oczy, wyprzedzili dziwne białe demony o dwa dni – powiedział z dumą w głosie Mikmak.

– Wielki Duch wysłuchał modłów Biegnącego Byka. – Kji'saqmaw Wielkiej Świętej Rady Mawiomi uderzył pięścią w pięść. – Pokonamy złe duchy, nim zdążą rozpełznąć się po Wielkiej Wyspie niczym pchły po wioskowym kundlu, tu, gdzie jesteśmy najsilniejsi. Zastawimy na nich pułapkę przy Wodzie Grzmotów, gdzie mamy dużo oszczepów, łuków i silnych ramion wojowników.

Zawodzący Wiatr opuścił głowę na pierś i zaczął cichutko zawodzić pieśń wojowników, ale w pewnym momencie zamilkł i spojrzął na swego wodza.

– Wiemy, jak walczą i jak ich zabić, Biegnący Byku? Bo jeśli nie są z krwi i kości, to...

– Są, rozmawiający z duchami – przerwał mu kji'saqmaw. – Jeden z naszych oddziałów natknął się na sterty poobgryzanych przez lisy i wilki ciał podobnych do nich istot. A jak walczą? Są wielcy, mają dziwną broń, ale ciągle tylko dwie nogi i dwie ręce, no i serce tam, gdzie prawdziwi ludzie. Zabijemy tych obcych, którzy są dla Unchi niby wrzód na skórze. Co nie znaczy, że będzie to jak polowanie na stado karibu, bardziej jak łowy na morskie olbrzymy. – Pokiwał głową w zadumie. – Ale masz rację, Zawodzący Wietrze, nie znamy naszego wroga i potrzebna pomoc wszystkich, którzy zdążą przybyć na nasze wezwanie. Kościany Koralu, roześlij myśliwych z wieściami do polujących na Beothuków wojowników. Niech Taku Skanskan dodaje sił ich stopom, a Nagila uczyni niewidzialnymi dla wroga, bo muszą sprowadzić w pobliże Wody Grzmotów jak najwięcej naszych braci. Później przyjdzie czas na dokończenie rozprawy z miejscowymi.



*Na wietrze drzewa ścinaj, przy korzystnej bryzie żegluj,
W mroku z dziewczyną szepcz, dzień ma wiele oczu,
Od statku wymagaj szybkości, od tarczy, że da ochronę,
Od miecza – ostrego cięcia, od dziewczyny – całusa.*

Świt, niby kuglarz w teatrzyku lalek, odsłaniał przed oczami wikingów widok na leżącą w dole osadę. Dwa mniej więcej równe oddziały ustawiły się po bokach, ale w zasięgu strzału z łuku od widocznych w dole szałasów, trzeci w ciszy, nie licząc pobrzękiwania rynsztunku, skradał się w kierunku wielkiej bramy. Poprzedzała go niewielka grupka wojów z linami w dłoniach, na których końcach przymocowano solidne haki. To oni pierwsi dotarli pod palisadę i zafurkotały wyrzucone w górę kotwy. Drewno odpowiedziało cichym stukotem i kilka postaci wspięło się na górę, by zniknąć patrzącym z oczu.

Nikt nie podniósł alarmu, ponieważ nim nastąpił atak, lotki kilku strzał zaśpiewały swoją pieśń, ucziszając na zawsze strażników. Nie było ich zbyt wielu, ale dzikusy nie spodziewały się przecież ataku.

Po chwili zadudniły przesuwane belki, mocne ramiona naparły na drewnianą ramę i brama stanęła otworem. Nocna zjawa o wielu głowach była w środku. Wojowie z okropnym wyciem rzucili się na najbliższe namioty, ale okrzyki zamarły im na ustach, gdy dotarło do zamroczonych krwawą mgłą umysłów, że mają przeciw sobie jedynie trochę prymitywnych sprzętów domowych i starych futer. Ludzi, o ile nie potrafili uczynić się niewidzialnymi, nie było. Kolejne skórzane namioty i kolejne przekleństwa wściekłych i rozczarowanych wojów. Niełatwo ugasić rozbudzony w sercach bitewny żar. Łucznicy czekający na zboczach doliny, by zasypać wroga deszczem śmiercionośnych strzał, trwali nieruchomo z palcami na napiętych cięciwach, aż ramiona zaczęły im drżeć z wysiłku. Osada była opustoszała.

– Co na pięty Odyna... – Resztę zdania Jökula przerwały okrzyki dochodzące właśnie od strony łuczników. Wybiegł przed bramę, żeby zobaczyć, co się dzieje, a wraz z nim większa część wikingów. Na zboczu trwała bitwa. Czekające tam oddziały Normanów zwały szyki, osłaniając się tarczami przed mrowiem lecących ze wszystkich stron strzał. Po pierwszym zaskoczeniu te najeżone kolcami włóczni jeże ruszyły powoli w stronę osady, by połączyć się ze swoimi rodakami. Na szczęście solidne pancerze były nie do przebicia dla kościanych i kamiennych grotów, a skjoldy osłaniały głowy i ręce. Dzikusy miały jednak dobrego wodza, bo ten, widząc marny skutek ostrzału, rzucił pomiędzy palisadę a wycofujących się wojów wielki oddział wyjących wojowników. Drugi, nie mniej liczny, zaatakował ludzi Jökula przy bramie, chcąc powstrzymać drotmada Eryka Zwycięskiego od ruszenia z pomocą swoim ziomkom. Wikingowie walczyli więc w trzech prących ku sobie formacjach, to znaczy dwie zmierzały ku palisadzie, a trzecia broniła bramy i podejścia do osady. Schronienie się za solidnymi pniami było jedynym rozsądnym rozwiązaniem, biorąc pod uwagę przewagę liczebną wroga.

Dzikusy atakowały skjaldborgi z szaleńczą odwagą i z okrzykiem na ustach, ale odbijali się od nich niczym od kamiennego muru. Brodaci mężowie co jakiś czas odsłaniaли na chwilę środek swojej formacji, z którego w stronę skraelingów leciały dziesiątki strzał o śmiercionośnych metalowych grotach. Gdy w końcu trzy formacje połączyły się w jedną, zgniatając próbujących temu przeszkodzić dzikich, tak jak między dwoma kamieniami rozgniata się ziarno, na trasie ich krótkiego przemarszu pozostała ponad setka martwych lub umierających wrogów.

Widząc niepowodzenie wcześniejszej taktyki, tubylcy rozpoczęli zasypywanie wikingów oszczepami, a to już stanowiło pewien problem. Siła ich ramion pospołu z ciężarem długich pocisków i wielką ich liczbą spowodowały, że coraz więcej ludzi Jökula odnosiło rany. Jedynym wyjściem było zmniejszenie liczby miotaczy. Na rozkaz saekonunga przednie rzędy naparły na wroga, by zaraz rozewrzeć się niczym

kielich kwiatu w obliczu słonecznego ciepła. W stronę dzikich znowu poleciała chmara wypuszczonych z bliska strzał, tym razem tak gęsta, że szeregi wroga jakby zamarzyły na kilka uderzeń serca. Straty musiały być naprawdę duże, ale ich wódz odrobił niedawną lekcję i nim rzędy tarczowników zdołały się zewrzeć, w nieosłoniętych łuczników trafiło nie mniej pocisków. Skórzane pancerze i kolczugi zrobiły swoje, ale nie całe ciało drengra ma stosowną osłonę.

– Wycofać się! Wycofać się za palisadę! – popłynęły rozkazy, przedzierając się przez bitewny zgiełk, i ciągle w karnym szyku, ciągnąc swoich rannych, wojowie z Północy schronili się w osadzie, zamykając bramę tuż przed nosem nadbiegających skraelingów.

W panującym bitewnym zamieszaniu nikt nie zwrócił uwagi na skuloną postać, która wsiąkła między skórzane szalasy. Oddi, sam zdziwiony brakiem w osadzie wojowników Biegnącego Byka, nie zamierzał czekać, aż przypomną sobie o nim ludzie konunga Eryka. To, że sprytny wódz Mikmaków zastawił na nich pułapkę, było dla niego jasne. Dla jego niedawnych towarzyszy będzie równie pewne, że to on, Oddi Asgotsson, posłużył za przynętę, był jak marchew na kij, przywiązana tuż poza zasięgiem mięsistych warg renifera. Nie zdołałby wytłumaczyć, że nic o tym nie wiedział, leżąc w błocie z oddzieloną od reszty ciała głową. A nawet gdyby, nikt nie uwierzy synowi zdrajcy.

Przemykał więc od mamateeku do mamateeku, dążąc do schowka w ziemi, w którym wraz z załogą *Aifura* krył się kiedyś Bjarki. Dobrze zapamiętał opowieść, przerobiona spiżarnia znajdowała się gdzieś po przeciwnej stronie obozowiska, ale jeśli była dobrze ukryta... Zaaferowany niemal wpadł w nieruchomy, kilkudziesięcioosobowy tłum wojowników kryjących się w cieniu, jaki rzucała palisada. W ostatniej chwili zdążył się zatrzymać i już chciał uciekać, przeklinając bogów za ich przewrotność, gdy jego uwagę zwróciło to, że ci ludzie byli dziwnie brudni i niemal nieuzbrojeni. Trzymali wprawdzie w dłoniach odpowiedniki miejscowych saksów, ale nic poza tym.

– Brzuch Ryby! – Ktoś przedarł się do pierwszego szeregu i Oddi ujrzał znajomą przysadziłą sylwetkę.

– Pień Drzewa!

Szeroki w barach, ale niezbyt wysoki Beothuk skinął głową. Razem rąbali lód przy Wodzie Grzmotów, wtedy gdy zginął Spocone Dłonie, razem wspomagali atak Bjarkiego, a potem ich drogi się rozeszły. Oddi był pewien, że ten dzielny wyspiarz wita się już ze swoimi bogami, a tu takie spotkanie. Szeroki, szczyry uśmiech wypłynął na jego twarz niczym drakkar na szare przy pochmurnym niebie wody.

– Długo tu jesteś, bracie?

– Zbyt długo. – Pień Drzewa skrzywił się, jakby rozgryzł właśnie coś gorzkiego. – Gdy Mikmakowie odcięli mi drogę do ludzi Snae-Kola, ruszyłem w głąb wyspy, by przyłączyć się do jakiegoś oddziału Beothuków. Osaczyli i rozbili nas kilka nocy temu.

– A teraz z jeńców Biegnący Byk zrobił przynętę. – Oddi był pełen uznania dla sprytu tego wodza. – Pozostawił was na pewną śmierć i gdyby nie to, że skryliście się pod tą palisadą, zyskałby dodatkowy czas na zatrzaśnięcie tej pułapki. Nie przewidział tylko, bo nie mógł, że moi rodacy to zbyt twarde sztuki na jego zęby. Ci, którzy mieli pilnować bramy, to też Dłudzy Ludzie?

– Był środek nocy, gdy nas rozwiązali, dali noże i kazali czekać. Kilku zabrali ze sobą. – Pień Drzewa splunął. – No to czekaliśmy, choć wielu chciało wejść w głąb osady. Powstrzymał nas strach przed wpadnięciem w sidła tych trupich synów, wietrzyliśmy podstęp i słusznie. Gdy dzienne słońce pokazało swoją twarz, usłyszeliśmy hałas, i... A kto jest tam przy bramie, jak nie te mikmakowe psy? – rzucił z rosnącą nadzieją. – Dłudzy Ludzie?

– To jest śmierć dla wszystkich – rzucił Oddi zapalczywie – wrogowie z twoich najgorszych koszmarów i – dodał ciszej – moi bracia. Na razie są zajęci, ale...

– Przetnij mi więzy.

Przysadzisty tubylec trochę mozolił się z grubym sznurem, ale po chwili Oddi był wolny.

Od strony bramy dochodziły odgłosy, których nie sposób pomylić z czymkolwiek innym. Trwała bitwa.

– Gdzie was przetrzymywali? – Młody wiking szukał jakichś drewnianych klatek lub czegoś podobnego, ale niczego takiego nie dostrzegął.

– Po kostki we własnym gównie, w wielkim dole, tym samym, w którym schował się Bjarki. – Faktycznie wojownicy nie wyglądali najlepiej. Wielu z nich miało jątrzące się rany i podarte ubrania, a wszyscy byli chudzi – kości obciążnięte skórą.

Nagle coś się zmieniło w hałasie dobiegającym od strony bramy.

– Wracajcie tam, skąd wyszliście, i zamaskujcie czymś wejście. Prędkiej! Prędkiej, jakby was goniły najstraszliwsze duchy waszego świata! – krzyknął, a sam, na nic już się nie czekając, pobiegł w stronę opustoszałych mamateków. Usłyszał, jak kilka dziesiątek wystraszonych i wychudzonych jeńców ruszyło się w ciszy z miejsca. Nie wszyscy jednak. W pewnym momencie młody Asgotsson spostrzegł, że ma towarzystwo.

– Na bogów czy twojego Wielkiego Ducha, Pniu Drzewa, czyś ty rozum postradał? Wracaj do swoich i czekajcie na mój sygnał albo sam nie wiem na co. Ze mną czeka cię śmierć i to jest pewne jak to, że nie najesz się kamieniami.

– Pień Drzewa już dawno przestał być małym dzieckiem, zadbam o siebie. – W głosie wojownika słychać było urazę. Wyglądał trochę lepiej od większości swoich uwięzionych współplemieńców, widocznie siedział w dole krócej od wielu z nich.

– Nie wiesz, z kim masz do czynienia, głupcze, no bo niby skąd – dodał ciszej bladokóry młodzieniec – ale jak już jesteś, to chodź.

Dwie sylwetki pomknęły w głąb osady, korzystając z każdej plamy cienia. W ostatniej chwili, bo wikingowie saekonunga Jökula zabrali się na dobre do obrony tego miejsca. Wzdłuż umocnień zaczęły przemykać oddziały zbrojnych, tak że w końcu ustawili siatkę czujnych obserwatorów na całej ich długości.

Uciekinierzy czekali w napięciu na okrzyki zarzynanych jeńców, ale dzięki bogom się nie doczekali.

– Zdażyli. – Pień wypuścił powietrze. – Nie znaleźli naszej kryjówki, a powinni, chociażby po smrodzie.

Uśmiechnęli się do siebie, ale nie było w tych uśmiechach radości, oczy pozostały poważne i czujne.

– Nie jesteśmy tu bezpieczni; jeśli odparli natarcie przy bramie, niedługo zaczną przeszukiwać mamateki – szepnął Oddi.

– Przecież nic o nas nie wie...

– Chodzi o mnie, to Brzucha Ryby będą szukali – przerwał mu wiking.

– A dlaczego mieliby szukać jednego myśliwego?

– Dla zemsty, która jest dla mojego ludu niczym przestworza dla ptaków. Niech twój Wielki Duch ma nas w swojej opiece.

Nagle doszły do ich uszu przyciszone głosy. Ukryci w niczym niewyróżniającym się namiocie, jakich

dobra setka stała wokoło, zamarli. Głosy to przybierały na sile, to na kilka chwil zanikały, gdy ich właściciele wkładali głowy do kolejnych szałasów.

– Rozejdźmy się, niech każdy szuka oddzielnie tego zdradzieckiego psa. To tylko jeden młokos. – Oddi znał ten gruby głos. To był Eywald Mocny, syn Fridhleifa, kapitan *Kła Frekiego*. Chłopak dałby sobie uciąć rękę, że ten pierdziel na ochotnika zgłosił się do poszukiwań.

– Dobrze, ale pamiętaj, że saekonung chce go żywego – zaznaczył jego towarzysza. – Musi nam wskazać drogę do jaskini ze złotem, potem możesz mu nawet odgryźć łeb.

Eywald odburknął coś, co równie dobrze można by wziąć za potwierdzenie lub zaprzeczenie, i nastąpiła cisza.

Oddi podszedł do Pnia Drzewa i szepnął:

– Nie będziemy uciekać przed nimi, bo w końcu zauważą nas ci, którzy pilnują palisady. Zastawimy pułapkę tu, gdzie jesteśmy. – Rozglądał się po mamateeku w poszukiwaniu jakiejś broni. Znalazł jedynie starą tarczę, którą ktoś powiesił nad otworem wejściowym. Na tyle zniszczoną, że nie warto było jej zabierać, nadawała się jednak do naprawy i czekała na lepszy czas.

– Masz ten swój nóż? – spytał, sięgając po prymitywny skjold.

Beothuk wyciągnął słabej jakości kościane ostrze i podszedł bliżej światła wpadającego przez otwór dymny.

– Co mam nie mieć, Brzuchu Ryby, ale zająca tym nie zabijesz, a co dopiero człowieka. – Oddi popatrzył na trzymaną w wyciągniętej ręce broń i musiał się zgodzić z towarzyszem. Kościana klinga była stara, popękana i niewiele lepsza od zaostzonego kołka.

– Nawet nie sięgniesz tym serca – mruknął, ale wzruszył ramionami, ponieważ co dla kogo zaplotły Norny, to będzie.

– Schowasz się, Pniu Drzewa, za tymi starymi niedźwiedzimi futrami. – Wskazał brodą jedno z legowisk. – Szukają jednego, więc ktokolwiek wejdzie, ujrawszy mnie, nie będzie dalej przepatrywał wnętrza. Gdy cię minie, wbij mu ten nóż w szyję, w tym miejscu. – Pokazał Beothukowi, gdzie biegnie główna droga krwi. Miał takie dziwne przeświadczenie, że młody wojownik nie zabił dotąd człowieka, ale może się mylił. – Mamy tylko jedną szansę.

Ten skinął głową i po chwili zmienił się w stertę skór, które można by wziąć za grubo wymoszczone posłanie.

Czas zatrzymał się w miejscu, w najdalszym kącie namiotu Oddi stał nieruchomo ze starą tarczą w ręku. Ktokolwiek tu zajrzy, od razu go zobaczy. Cała nadzieja w bogach, że widząc niemal bezbronny uciekiniera, woj nie będzie wzywał pomocy, bo i po co.

Ciche, ostrożne szuranie poprzedziło snop dziennego światła. Ktoś przez kilka chwil przyzwyczajając wzrok do mroku namiotu, nim wszedł do środka. Uśmiech na brodatym obliczu Eywalda Fridhleifssona zajaśniał niczym słońce na porannym letnim niebie. Wiking potarł radośnie szczękę w miejscu, gdzie nie tak dawno uderzył go Asgotsson.

– No, no, na Odyna, tuś mi się ukrył, bratku – powiedział cicho. Szedł w stronę chłopaka niczym ryś podchodzący zajętą jedzeniem wiewiórkę. – Wódz chciał cię żywego, ale mu powiem, że próbowałeś się wyrwać i nie miałem innego wyjścia, jak... – Mlasnął językiem, jakby smakując jakąś potrawę. – Ragi jest w innej części obozowiska i nim tu przyjdzie, ty zobaczysz się z bogami. Oby tymi z Hel, przeklęty zdrajco.

Minął już Pień Drzewa i był o dwa kroki od Oddiego, gdy skóry za jego plecami drgnęły. Syn Asgota starał się nie patrzeć w tamtym kierunku, by wzrok nie zdradził kapitanowi *Kła Frekiego*, że wchodzi w pułapkę, ale ten widocznie coś usłyszał lub ostrzegł go dodatkowy zmysł, w każdym razie na mgnienie powieki zamarł i błyskawicznie okręcił się w miejscu niczym łasica. Nóż, który miał ugodzić Eywalda Mocnego w szyję, uderzył w tarczę, krusząc się z chrzęstem.

Niższy o dwie głowy Beothuk stanął nagle na wprost rozwścieczonej bestii, która w jednym ręku miała solidny, wzmocniony blachą skjold, a w drugiej nie mniej krzepki maekir. I właśnie trójkątną głownią tego miecza, bo było zbyt mało miejsca do zamachu, zamierzał rozbić łeb biednemu tubylcowi, gdy Pień Drzewa zaszarżował na niego niczym byk karibu. Był może i niezbyt wysoki, ale beczkowaty tułów miał swoją masę. Uderzony głową w pierś przeciwnik zatoczył się do tyłu, bezwiednie rozrzucając na boki ręce, i wpadł, niby frywolna dzierlatka lub kompan, który wypił zbyt wiele piwa, wprost w objęcia Oddiego. Na jego grubej szyi zacisnęło się ramię chłopaka.

W tym samym momencie jego towarzysz unieruchomił jedną z rąk brodacza, tę, w której trzymał śmiertelnie niebezpieczne ostrze. Czuł, jakby chwycił za jeden z rogów łosia, których właściciel wściekle rzuca łbem na boki, zdając się nie zauważać dodatkowego ciężaru. Podczas jednej z wypraw handlowych widział kiedyś to wspaniałe zwierzę i karibu wyglądał przy nim niczym cielak przy matce. Pień Drzewa musiał jednak wytrzymać, jeśli chciał dać choć cień szansy bladokóremu kompanowi.

Eywald nosił przydomek Mocny nie bez powodu i nie mogąc wykorzystać broni, przynajmniej na razie, zgiął się wpół, by przerzucić groźniejszego przeciwnika ponad swoją głowę, a potem rozgnieść mu szyję butem lub krawędzią tarczy. Włożył w ten ruch całą swą olbrzymią siłę, chcąc strząsnąć zdrajcę jak dojrzałe jabłko z drzewa. Nagle Oddi znalazł się w powietrzu, ale zamiast rozluźnić uścisk, do czego namawiał go instynkt, wzmocnił go jeszcze bardziej. Poczł, jak nogi z coraz większą prędkością zataczają łuk. Gdy tylko sięgnął gruntu stopami, wkładając w ten ruch młodzieńczą, spotęgowaną strachem siłę, obrócił gwałtownie ciało wokół osi, zgiął kolana i szarpnął się do przodu, dokładając do własnego ciężaru siłę mięśni. Coś chrupnęło w szyi kapitana *Kła Frekiego*, jakby pies przegryzł się właśnie przez smakowitą chrząstkę, a on sam zwiotczał. Dwójka młodych wojowników trzymała jeszcze kilka chwil trupa w uścisku, tak dla pewności.

– No, Brzuchu Ryby, udało się, udało. – W głosie Pnia Drzewa słychać było radosne niedowierzenie.
– Ale to wielki wojownik, prawie jak niedźwiedź – dodał z uznaniem. – Niech mój wróg będzie silny i groźny. Jeśli go pokonam, nie będę odczuwał wstydu – szeptał sam do siebie.

– Na bogów, więcej szczęścia niż... – Oddi machnął ręką. – Weźmy z jego uzbrojenia, co się da, i ruszajmy, nim jakiś inny ciekawski Askoman wsadzi tu swój łeb. Ten Ragi, o którym wspominał Eywald, musi być gdzieś w okolicy. – Beothuk skinął głową, odmówił szybką modlitwę do ducha zmarłego, błagając go o wybaczenie i prosząc, by nie mścił się na swoich zabójcach, gdy znajdzie się już w Odległej Krainie, i zabrali się do pracy. Z wielkim trudem ściągnęli z trupa kolczugę, którą Oddi zwinął i podał druhowi. – Przyda się na później – powiedział.

– Ciężka – odparł obdarowany – może zostawmy?

– Bierz! – uciął gniewnie utyskiwania Brzuch Ryby. Tej jakości koszula kolcza była godnym królów łupem, ale co o tym mógł wiedzieć tubylec. Pochwę z mieczem syn Asgota wziął dla siebie, ale dwa skramasaksy, które miał za pasem wielki wiking, podzielił równo. Pień Drzewa syknął, bardziej z zaskoczenia niż bólu, przecinając sobie skórę na palcu długim niczym przedramię wojownika ostrzem.

– Uważaj, masz. – Oddi rzucił szczęśliwemu niczym dziecko Beothukowi skórzaną pochwę. Na koniec zagrzebali ciało pod stertą futer i ostrożnie wyszli na zewnątrz.

Przy bramie było teraz względnie cicho, jednak wzdłuż wysokiej palisady, niczym krople płynnego metalu, spadali na ziemię wojownicy Biegnącego Byka, którym udało się wspiać jakimś sposobem na to solidne ogrodzenie. Pierwsze próby były skazane na niepowodzenie, gdyż śmiazków zaraz zabijali obrońcy, ale z upływem czasu z pojedynczych kropel zaczęły się robić strumienie, z tych strumieni rzeki, a wikingów było za mało, by skutecznie mogli się bronić na całej długości ostrokołu. Jednak zbierali tak wielką daninę krwi, że ziemia wzdłuż zbudowanej przez Snae-Kola przegrody załśniła w blasku słońca rubinową czerwienią. Umierali też wojowie Jökula, choć ich ciała stanowiły rzadkie wyspy w morzu martwych wrogów.

Ogniska walki przesuwały się z jednego miejsca na drugie i wykorzystując panujący w okolicy chwilowy spokój, Oddi wybiegł z namiotu, ciągnąc za sobą Pień Drzewa.

– Szukajmy porządnej broni dla reszty więźniów! – krzyknął do towarzysza. – Tylko w większej grupie przetrwamy tę jatkę. Musimy się stąd wyrwać, nim szala zwycięstwa przechyli się na którąś ze stron, a skąpany we krwi Tyr zapragnie i tej naszej.

Beothuk szarpnął się do tyłu i oboje upadli na trawę.

– Teraz to śmierć, Brzuchu Ryby, poczekajmy.

Odpowiedź wściekłego Oddiego zagłuszył przenikliwy dźwięk rogu. To drottmad Eryka Zwycięskiego wzywał rozproszonych po osadzie wojów. Za nimi, niby muchy za psującym się mięsem, podążało mrowie wojowników Biegnącego Byka. Niektórzy potykali się o swoich martwych towarzyszy, co tylko wzmogło ich wściekłość.

Trup słał się gęsto i był to najczęściej trup miejscowych, ale czerwonoskórzy wojownicy mieli kim zastąpić zabitych kompanów, a bladokórzy – nie. Za plecami walczących jak dwa duchy przemykała dziwna para: wojownik zza Wielkiej Wody w skórzanym tubylczym ubraniu i szeroki, ale niski Beothuk w sukni z dziwnego materiału. Pień Drzewa zmęczony dźwiganiem, by uwolnić ręce, włożył na grzbiet kolczugę Eywalda Mocnego, która jemu sięgała niemal do samej ziemi.

Z naręczami ościeni, dzid i kilkoma toporami dotarli do dawnej kryjówki Bjarkiego. W tym momencie, zrzuceniem bogów lub, co bardziej prawdopodobne, Wielkiego Ducha, bo to jego lud się tu chował, okolica była pusta i na okrzyk Pnia Drzewa odskoczyły drewniane kłapy, głucho uderzając o miękką ziemię. Na powierzchnię, mrużąc oczy przed słońcem, wysypało się kilkudziesięciu wynędzniałych wojowników. Ci, którzy mieli siły, chwycili broń i gotowali się do walki, reszta, dysząc ciężko z wysiłku, oparła się o palisadę.

– Ze dwa razy palce u rąk – powiedział Pień Drzewa.

– No nie, więcej...

– Tyłu da radę walczyć, Brzuchu Ryby. – Oddi popatrzył po wymizerowanych twarzach, następnie przeniósł wzrok na wycieńczonych ludzi przy ogrodzeniu i skinął głową.

– Nie wydostaniemy się przez bramę, bo blokują ją wojowie Jökula z jednej strony i Biegnącego Byka z drugiej – powiedział do czekających w niepewności ludzi.

– Nie znamy tego Jökula, z jakiego plemienia się wywodzi? – Jakiś starszy od innych wojownik odsunął się od ostrokołu, by dołączyć do tych bardziej sprawnych.

– I wasze szczęście – rzucił Oddi. – To wróg, którego nie chcecie oglądać, wierzcie mi na słowo.

Młodzieniec rozejrzał się wokoło, szukając jakiegoś wyjścia z tej sytuacji.

– Jediną szansą na opuszczenie wioski jest wyrąbanie sobie drogi w palisadzie – rzucił w końcu.

Oddi rozmawiał o jej budowie ze Snae-Kolem, nim ten zobaczył się z bogami. Pomysłowość wodza wodzów była wielka, ale musiała taka być, biorąc pod uwagę skromne możliwości miejscowych budowniczych i czas, jaki mieli na wykonanie tej pracy. No i ziemię, która w tej krainie przez większą część roku jest zamrznięta. Otaczający osadę, wysoki na kilku mężczyzn płot sporządzono, jak się robi korale, które sprytnie palce rzemieślnika nanizują na mocną nić. W dwóch miejscach: u góry i u dołu, wydrążono w nieobrobionych pniach otwory, przez które przeciągnięto grubą skórzaną linę.

– Nie damy rady, Brzuchu Ryby – rzucił wojownik, którego Oddi widział po raz pierwszy. – Te pnie są zbyt mocne, by udało nam się wyciąć otwór, nim dopadną nas wrogowie.

– Pnie tak, ale wiązania pomiędzy nimi już nie, a w gruncie osadzono jedynie kilka, reszta tylko wspiera się o ziemię. Nie zapominajcie, że palisadę stawiano zimą, gdy podłoże było twarde niczym kamień. No i nikt nie przewidywał, że to mieszkańcy będą w ten sposób opuszczali wioskę. A może przewidywał? Oddi pomyślał o nieżyjącym już Snae-Kolu. To był naprawdę mądry, wielki i obdarzony przez bogów szczęściem hövding.

Bojowe okrzyki przerwały te rozmyślenia. Ci z jeńców, którzy mieli się walczyć, stanęli frontem do nowego zagrożenia. W ich stronę biegła dwukrotnie liczniejsza grupa Mikmaków.

– No, toś mi Odynie podarował trochę czasu i złudzeń, ale nic więcej – mruknął pod nosem zrezygnowany Oddi.

Wojownicy Biegnącego Byka zbliżyli się na odległość oszczepu... i skręcili niczym ławica ryb w głąb osady, tam gdzie teraz toczyła się najbardziej zacięta walka. Mieli ostre rysy ludzi, którzy od dłuższego czasu nie dojadają, więc taktyka Beothuków okazała się skuteczna. Dowodzący nimi człowiek ze starą blizną biegnącą przez twarz pomyślał zapewne, że ta wymizerowana gromada obszarpańców może poczekać.

– I dobrze – powiedział głośno syn Asgota z Czerwoną Tarczą, ściągając zdziwione spojrzenia towarzyszy. Potem wziął w dłoń jedną ze zdobycznych metalowych siekier i pomachał kilka razy, wywołując przy tym świszczące, jęklive echa. Po kilku krokach stanął przed palisadą i odłupał wierzchnią, ciekłą glinianą skorupę. Przez kilka chwil wodził palcami po łączących solidne bale, ciasno plecionych rzemieniach, a uśmiech rozjaśnił jego wymizerowaną twarz.



*Mocy swej winien ten, co mądry,
W miarę używać;
Zoczy bowiem wnet, gdy wśród mężnych stanie,
Że nikt nie jest nigdy bezwzględnie najlepszy.*

Gdy rzeka napływających wrogów przyparła jego ludzi do wrót osady, Jökul dał sygnał do utworzenia hirdu. Był to skjaldborg tak gruby, że dzięki częstym zmianom w dwóch skrajnych rzędach reszta mogła złapać co nieco oddechu, opatrzeć powierzchowne rany, zwilżyć gardło łykiem wody, a nawet usiąść na kilka chwil, wpatrując się tępo w ziemię. I to jeszcze różniło tę formację od muru tarcz, że z każdej strony na wroga czekały skjoldy i oszczepy. Taktyka ta sprawdzała się zarówno podczas ataku, jak i długotrwałej obrony.

Za plecami mieli wewnętrzną stronę bramy i nie było już gdzie się wycofać. Poza nią czekał las, ale i głodne ostrza dzikusów, chcących odpłacić wikingom za śmierć swoich braci.

– Jak mówił pomiot zdradzieckiego Asgota, miało być w wiosce wszystkiego ze trzy setki mężów, trzy setki! – Saekonung zgrzytnął zębami na wspomnienie tego gridnidinga. – Zabili już pewnie ze cztery, może więcej, ale wściekłych wojowników jakby nie ubyło. W tym momencie zrobił wypad i nadzieją na sztych miecza kolejnego leśnego człowieka. Mięśnie drżały z wysiłku, usta łapczywie łąpały hausty powietrza i nie było widać końca tej bitwy. Kilka mniejszych grup przerwało półokrąg wyjących skraelingów i dołączyło do głównego oddziału, ale ich członkowie byli jeszcze bardziej wyczerpani od tych, którzy walczyli wraz ze swoim wodzem. Nowo przybyli przemieścili się do środka formacji, wielu padło na ziemię, jak tylko dotarli do swoich. Część w tej pozycji zmarła.

Ktoś klepnął wodza w ramię, dając sygnał do zmiany, i Jökul wycofał się za szerokie plecy towarzyszy. Piękna walka, pomyślał, ocierając krople czyjejś krwi z twarzy. Szkoda, że u jej zarania leży zdrada. Chciałbym jeszcze niejednej takiej zakosztować w Midgardzie, ale jeśli tak ma być, musimy oderwać się od wroga.

– Daj sygnał do ataku. – Jökul potrząsnął ramieniem trzymającego się go niby cień Steina Białego.

– Co? Na bogów, wodzu...

– Rób, co mówię, i bądź gotowy do odwrotu.

Dziesiątnik wzruszył ramionami i zadał w róg umówiony sygnał. Ludzka masa zafalowała i jej zbrojne w metal czoło napało na dodających sobie odwagi okrzykami miejscowych. A potem wgrzyzło się w nich niby wilk w ciało karibu, oddając potężne kęsy żądnym krwi bogom. Wikingowie niebezpiecznie rozciągnęli swoje szyki, ale na kolejny sygnał rozpoczęli odwrót. Cały czas z twarzami w kierunku wroga cofali się krok za krokiem w stronę palisady. Nie więcej niż setka potężnych wojów zwarła się znowu w ciasny kwadrat, pozostawiając przed sobą usłane trupami przedpole. Ci, którzy stali z tyłu, pod osłoną skjoldów, toporów i oszczepów, otworzyli ciężkie drewniane skrzydła.

Skraelingowie zostawili kilkudziesięciu swoich właśnie na taką okoliczność, ale masa opancerzonych drengów przeszła po nich niczym dzik przez wysoką trawę, zostawiając za sobą trupy i krew. Wyglądało to z daleka jak rubinowy śluz gigantycznego robaka. Wróg pozostał w osadzie gniewny i niespełniony, ale zbyt zaskoczony ogromem poniesionych strat, by kontynuować atak. Kilku nierozważnych młodzików skoczyło z charakterystycznymi okrzykami w pogoń za wycofującymi się brodacami, ale parę celnie rzuconych oszczepów zakończyło ten bieg i ostudziło zapędy pozostałych.

– Nie rzucać, czeka nas długa droga na wybrzeże i możecie potrzebować tej broni! – zagrzmiął saekonung.

W stronę wikingów leciały wprawdzie strzały, ale niewiele zdołało ominąć tarcze, a jeśli już, to ich kamienne i kościane groty grzęzły w ubiorach i kolczugach lub odbijały się od hełmów i skórzanych napierśników. Poranieni i obolali oderwali się od wroga.

Ponaglani gniewnymi okrzykami dziesiątników brodaci wojowie wspięli się resztką sił na łagodne zbocze doliny, by znaleźć w sobie jeszcze energię na godzinny marsz pomiędzy drzewami. Wola życia to potężny sprzymierzeniec. Dopiero w okolicy leśnego strumienia zarządzono postój. Nadszedł czas na opatrzenie ran i zaspokojenie pragnienia, niekoniecznie w tej kolejności. Wartownicy zajęli stanowiska, a reszta padła, gdzie kto stał, bacząc tylko, by broń była w zasięgu ręki.

Wędrówka na wybrzeże trwała wiele długich dni, podczas których wróg w każdej chwili mógł zaatakować z zasadki. To, że tego nie robił, było tak dziwne, jak widok zająca pożerającego wilcze

truchło. Widocznie czekał na dogodniejszą okazję. Pod koniec wędrówki członkowie wycofującego się oddziału nerwy mieli w strzępach i dochodziło do ciągłych sprzeczek, które Jökul Szary kończył pięścią, kopniakami, a niekiedy i stalą. O dziwo okazało się, że miejscowi odpuścili i w południe, ósmego dnia, wikingowie dotarli do okrętów. Wielcy, ponurzy i umazani starą krwią od stóp do głów, cieszyli się jak dzieci na widok swoich kaupskipów. Zmarłych od ran kompanów, którzy nie przetrwali tego marszu, zostawiali tam, gdzie ci padli, zabrawszy tylko wartościowe części ryszunku.

Ci, którzy czekali w osadzie, chcieli ruszyć na dzikich i pomścić zabitych braci, ale saekonung nakazał wszystkim wejść na knörri i następnego dnia rankiem przy pomyślnym wietrze odcumowali od wybrzeży Winlandii Dobrej. Na pokładach było osiem dziesiątek wojów, mniej niż połowa z tych, którzy zeszli na ten obcy ląd. Ładownie pełne doskonałych futer lisów, gronostajów, bobrów i dobrego drewna, myśli wypełnione sagami o bohaterskich czynach i wielkich bitwach z dzikimi olbrzymami. Tylko w sercach tkwiła drzazga, zdolna utoczyć czarną kroplę krwi na samo wspomnienie. Jak jeden mąż nienawidzili całym sobą zdrajcy Oddiego, syna Asgota. Takich przewin nie wybacza się nawet po śmierci.



*Syna mieć jest dobrze, chociażby późno,
Choćby nawet mąż już nie żył;
Rzadko stoi pomnik koło drogi,
Którego nie postawił krewny krewnemu.*

Okręt odbił od wysokich nabrzeży okalających Zatokę Pękniętej Skały, by po krótkim rejsie na południe i opłynięciu kamiennego cypla skierować się kursem północno-wschodnim na Islandię. Taką żeglarską instrukcję przekazał Bjarkiemu Snae-Kol, którego skip wiele lat temu sztorm rzucił na okoliczne skały. Był środek miejscowego lata, czyste niebo, pomyślny wiatr od lądu, czyli wszystko to, na co czekali niecierpliwie od wielu tygodni. Mieli wyruszyć skoro świt, ale przez długie pożegnania i jeszcze dłuższe życzenia, przez ceremonialne palenie fajki i modły do Wakan Tanki stracili dużo czasu, nim długie wiosła zanurzyły się w wodach zatoki. Jeszcze teraz w kilwaterze okrętu płynęło dobre dwadzieścia miejscowych łódek, których załogi dwoiły się i troiły, chcąc doścignąć rozpędzającego się powoli olbrzyma. By wydostać się na otwarte wody, musieli pokonać wiele długości okrętu wśród oddalających się od siebie stromych klifów. Zatoka Pękniętej Skały miała kształt kielicha. Na jego najszerszym końcu znajdowała się meta tego wyścigu, gdyż poza osłoną wielkich skał lekkie, kryte skórą kanu porwałby okrążający Wielką Wyspę silny prąd.

Oddi rozejrzał się z dumą po pokładzie trzydziestowiosłowej sneki. Załoga Aifura prezentowała się naprawdę imponująco i to pomimo niedawnych krwawych potyczek. Po bitwie o osadę przy Wodzie Grzmotów Mikmakowie, Huroni i resztki Ludzi Łosi stracili serce do dalszej walki. Zostało ich może trzy setki z wielkiej armii zjednoczonych plemion, a i to tylko dlatego, że Beothukowie darowali im życie. Wiele kobiet straciło swoich mężczyzn i potrzebna im była pomoc w zdobywaniu pożywienia i gromadzeniu zapasów na zimę, więc wzięły niedawnych wrogów do swoich mamateeków. Kji'saqmaw Wielkiej Świętej Rady Mawiomi zginął z rąk własnych ludzi, a jego skalp zawisł u pasa nowego wodza wszystkich Beothuków – Kamiennego Ostrza. No i znaleźli się Surojady, by z uśmiechem zapewnić, że cały czas chcieli pomóc, tylko czekali na odpowiedni moment.

Nadszedł też czas na spełnienie obietnic i takim to sposobem Oddi Asgotsson wracał do ojczyzny w towarzystwie brzemiennej kobiety i jej łaciatego wilka, dwóch wypróbowanych przyjaciół: Bjarkiego i Chrapiącego Psa, oraz czterdziestu członków załogi, których nie powstydziliby się żaden hövding. Trzydziestu z nich to byli najlepsi z najlepszych, stara załoga, wytrenowana w żegludze i sposobach walki ludu zza Wielkiej Wody przez samego Snae-Kola. Oni nawet wyglądali jak wikingowie w zdobycznych kolczugach i z bronią wojów Jökula Szarego, których ciała oddano zwierzętom, by zamknęło się odwieczne koło życia. Różnicę stanowiły wygięte niczym kobiece piersi kościane łuki, których zasięg o połowę przekraczał ten osiągnięty przez thundy wykonane z cisu. Miejscowi byli niedoścignionymi mistrzami w podchodzeniu zwierzyny, tropieniu i zacieraniu śladów, i właśnie w używaniu tej śmiertelnej broni. Potrafili uczynić rzecz niemożliwą – strzelić naraz trzema strzałami i trafić! Zdobyczne, lżejsze stalowe groty uczyniły z myśliwych niezwykle sprawnych zabójców, gdyż lecące z ogromną prędkością pociski przebijały gorszej jakości skórzane osłony. Dziesięciu nowych członków załogi stanowili właśnie najlepsi z najlepszych w posługiwaniu się tą bronią, zdolni strącić szyszkę z głowy człowieka stojącego w odległości równej pięćdziesięciu długościom ramienia łuku.

Askoman stał więc w okolicy dziobnicy okrętu i patrzył z dumą na to, co udało mu się osiągnąć. Chwałę tej chwili mąciło żałosne wycie żegnającego się z lasami Zębatego i myśl o celu tej wyprawy. Wracał, by ratować z rąk Eryka Zwycięskiego i, o ile jeszcze żyły, matkę Heldę i siostrę Jofriddę. A jeśli dobra Freya lub Gefna nietkniętą przez mężczyznę siostrzyczkę zabrały do siebie, pomścić tę śmierć. Nie przybywał sam, tylko w towarzystwie dobrych wojowników, którzy przysięgli na swojego Wielkiego Ducha, że dopomogą w uwolnieniu kobiet. *Byłbyś dumny ze mnie, Vingorze, mój prawdziwy ojciec. Pozostawiony sam jeden w dzikim kraju zdołam powrócić do odległej Szwecji.* Przytulił stojącą obok Shaa-naan-dithit, a ona złożyła głowę na jego ramieniu. Pies zakończył swój koncert i polizał go szorstkim językiem po dłoni. Ta bestia rozumiała więcej niż niejeden człowiek.

Na twarzy kobiety gościł niepokój. Brzuch miała coraz większy, ale nie mogła zostać w wiosce, gdy jej mężczyzna wyruszał na wyprawę w nieznaną, z której wróci za wiele okresów chłodu, o ile w ogóle. Kłóciła się z nim dotąd, aż machnął ręką i zgodził się na to szaleństwo, pod warunkiem że zabierze ze sobą z wioski osobę znającą się na przyjmowaniu porodów. Tak się stało, ale zdziwienie Oddiego nie miało granic, gdy tą kobietą okazała się szamanka Czerwona Orlica.

– Zostawisz swój lud i popłyniesz w nieznaną? – Patrzył w jej mądre oczy.

– Wiele słyszałam o wspaniałościach i wielkich wioskach, które tam macie. I tak miałam to zrobić, a po śmierci Snae-Kola... – Zamilkła.

– Więc to, co szeptali o was, to...? – Smutek, niczym błyskawica po niebie, przetoczył się po ładnej twarzy kobiety mocy i zniknął.

– Jest wiele prawd, a ta jest tylko jedną z nich – rzuciła.

– Zapraszam cię do załogi, zawsze będziesz mile widziana u mojego boku – zakończył temat Oddi. – Nie masz nic przeciwko, Bjarki? – Syn wodza wodzów pokręcił głową. Dobrze było mieć przy sobie rozmawiającą z duchami.

I teraz w ciepłym słońcu, nabierając prędkości, okręt zbudowany przez skutnika Sturlę Tubbessona zwanego tutaj Snae-Kolem, wypływał na pełne morze. Zmieniłem się, pomyślał młodzieniec. Ta wyspa mnie zmieniła, Shaa-naan mnie zmieniła, ich Wielki Duch mnie zmienił. Może jest prawdą, co mówią, że kiedy wstajemy rano, powinniśmy podziękować światu za poranne światło, za to, że żyjemy i jesteśmy silni. Podziękować za jedzenie i radość życia. Jeśli nie widzimy powodu, aby dziękować, wina tkwi w nas, a nie w otaczającym nas świecie. Może jest prawdą, że w każdym wytworze bogów zawarta jest

ich cząstka. A może gdy przybiję do brzegów Szwecji, wszystko się odmieni i to, co tu przeżyłem, będzie tylko jak sen?

Oddi był tak zajęty spoglądaniem trzecim okiem w głąb własnych myśli, że to nie on, a któryś z młodych, stojących przy sterburcie Beothuków pierwszy zauważył wysuwający się zza skalnego cypla obcy okręt.

Na obydwu jednostkach zapanowało zamieszanie związane z oceną szans na wygraną i widocznie kalkulacja ta wypadła na korzyść przybysza, bo jego pełen, pomalowany w pasy żagiel załopotał nagle, tracąc wiatr, gdy silna ręka sternika odbiła maksymalnie w prawo. Tym sposobem swojska, lekko pękata sylwetka pięćdziesięciowiosłowego knörra wpłynęła po niewielkim łuku na spokojniejsze wody zatoki.

Mniejszy, zbudowany przez Sturlę Tubbessona okręt, choć dzielny i dobrze leżący na wodzie, nie mógł równać się szybkością z jednostkami skonstruowanymi przez doświadczonych skandynawskich szkutników, mających do dyspozycji narzędzia, o jakich mógł tylko pomarzyć Snae-Kol.

– Przygotujcie się do bitwy! – krzyknął Oddi do swojej załogi. – I to raczej nie my wygramy – dodał ciszej.

Zaprzestano wiosłowania, by dać odpocząć ramionom i plecom. Stara załoga *Aifura* zamocowała zapasowy komplet tarcz za specjalnie w tym celu przygotowaną poprzeczką, biegnącą wzdłuż obydwu burt okrętu, na wprost mocnicy. Ustawiano wiązki oszczepów, a łucznicy prostowali strzałom lotki. Potem zamarli w bezruchu, ale daleko im było do spokoju. To miała być pierwsza morska bitwa w ich życiu, bitwa, do której byli przygotowywani od młodszych lat, ale czy byli na nią gotowi?

Aifur wiózł pod pokładem skarby tej ziemi: najlepsze zimowe futra i dobre drewno, którym nie oprze się żaden wikiński kapitan. Nie pogardzi też samym okrętem i jego załogą, za którą można dostać spora sumkę w srebrze na targu niewolników. To było tak pewne jak to, że morscy zabójcy rozpruwający lustro wody trójkątnymi płetwami potrafią płynąć szybciej od fok zatokowych, choć te ostatnie są zwinniejsze.

– Może zdołamy ich minąć i...

– Nic z tego, czarnowłosa. – Oddi żałował, że zabrał na pokład swoją brzemienną kobietę. – Mają w rękach lepsze kości: większą prędkość, są zwrotniejsi, a gdyby przyszła im myśl o taranowaniu, to ich knörr, wiesz, to duże kanu, wyjdzie zwycięsko z tego spotkania. Musimy walczyć. Nawet gdyby nam się udało ich wyminąć, zawrócą i ruszą w pościg. Dopadną *Aifura* na pełnym morzu, tak jak pies dogania biegnącego człowieka, chociaż... – Podrapał się po niezbyt gęstej jeszcze brodzie. Pomysł, na który wpadł, był wykonalny, o ile... – Bądźcie gotowi na mój sygnał do użycia wiosła! – krzyknął do swoich ludzi. – I trzymajcie w pogotowiu przy lewej burcie długie żerdzie!

Knörr był już na tyle blisko, że widać było drobne szczegóły uzbrojenia gotujących się do bitwy brodatych wojowników. Kształt kadłuba obudził wspomnienia, ale taką figurę na dziobie syn Asgota widział po raz pierwszy. Przedstawiała potężnego orła z szeroko rozłożonymi skrzydłami. Ptak zdawał się wzbijać do lotu, a jego głowę zdobiła korona. W detalach znać było niemały kunszt rzeźbiarza. Świeże deski wstawione w miejsca tych osłabionych przez czas i wodę były dowodem, iż załoga przygotowała swój okręt do długiej i niebezpiecznej drogi. Ale Oddi ciągle nie mógł wyzbyć się myśli, że gdzieś, kiedyś widział ten pękaty mocny kadłub, tego celującego w niebo Staruszka, zwieńczonego srebrnym wiatrowskazem, te pociemniałe od morskiej wody rzeźbienia na szczytach burt i na sterownicach. Wszystkie szczegóły zlały się nagle w całość. Zaraz po tym przyszło niedowierzanie, przerażenie, niepewność, ulga i znowu zimny strach. Askoman zwany przez miejscowych Brzuchem Ryby poznał dowódcę nadpływającego skipa.

Na śródokręciu *Błysku Młota*, wspierając się ciężko o maszt, a raczej trzymając go w objęciach niczym kochankę, stał nie kto inny jak sam Asgot z Czerwoną Tarczą.

– Prędeż bym się spodziewał zobaczyć dzisiaj Jörmunganda, który wynurzy się z głębin, by ukarać mnie za zdradę, niż ciebie, ojcze – wyszeptaly bezgłośnie zbielełe usta Oddiego.

– Może oni nie mają złych zamiarów? – Głos Shaa-naan drżał, gdyż widziała, że jej dzielny, silny mężczyzna zamarł przerażony, jakby zobaczył samego Nagilę. Widząc zdenerwowanie swojej pani, Zębaty powarkiwał groźnie na przybyszów. Odpowiedzią była pojedyncza długa strzała, która wbiła się w burzę *Aifura* i okrzyk:

– Okręt i wasze marne żywoty albo i sama sneka, jeśli stawicie opór!

Ten złowrogi stukot wyrwał z chwilowego bezruchu załogę *Aifura*. Większy statek znajdował się nie dalej niż o pięć długości i niemal stał w miejscu. Oddi złożył dłonie w róg i krzyknął:

– To ja, ojcze, twój syn Oddi, a wraz ze mną ludzie i okręt, który nie stanie się niczyją własnością! A jeżeli nawet, to pozostanie was zbyt niewielu, by obsadzić choćby jedo karfi, nie mówiąc już o pełnomorskim kaupskipie! – Przypomnił sobie w tym momencie słowa Kamiennego Ostrza, które nowy wódz wodzów powiedział podczas jednej ze wspólnych długich rozmów: „Jeśli masz coś do powiedzenia, podnieś się, aby cię zauważono”. Zmieniłem się, pomyślał młodzieniec. Kiedyś tak harde słowa nie przeszłyby mi w jego obecności przez gardło.

Po przeciwnej stronie zapanowało zamieszanie, gdy wielu wojów zaczęło go sobie pokazywać palcami. Niektórzy pomachali mu na przywitanie, bo choć był pogardzanym, to przecież jedynym synem ich wodza.

– Tym bardziej twoje życie, a także życie i okręt twoich towarzyszy należą do mnie! – Tubalny głos Asgota przetoczył się po pokładzie, a Bjarki przetłumaczył słowa saekonunga swoim braciom. Ci odpowiedzieli gniewnym pomrukiem. Oddi nie był pewien, ale na dziwnie bladej twarzy Asgota zobaczył uśmiech i... cierpienie. Widzę to, co bym chciał zobaczyć, powiedział sobie w duchu.

– Myślałem, że zginąłeś, ojcze! – Młodzieniec wiedział, że dopóki walczy język, miecz spoczywa w pochwie.

Czerwona Tarcza, przyklejony do masztu, nie odpowiedział synowi.

– Ha! – krzyknął za niego Hrafn Szermierz, niezły zabijaka, wesoły kompan do piwa, który kiedyś, jakby w innym życiu, gnębił Oddiego trochę mniej niż inni lub po prostu z mniejszą przyjemnością.

– Wracaliśmy do osady z wyprawy dookoła wyspy, gdy natknęliśmy się w porcie na okręty konunga Eryka. Dzięki niech będą bogom, że było to pod wieczór i nas nie zauważyli. Wycofaliśmy się ostrożnie i popłynęliśmy na stały ląd, gdzie przeczekaliśmy resztę zimy i całą wiosnę. Zagościliśmy w jednej wsi, której mieszkańcy w zamian za żelazne siekiery udzielili nam ochrony i pomocy. Zostawiliśmy poza ostrzami i pustymi obietnicami kilka bachorów w brzuchach ich kobiet, ale za to nie wzięliśmy zapłaty! – Zaśmiał się rubasznie, a w ślad za nim pozostali wikingowie.

– A jak tobie udało się przeżyć i do tego zdobyć okręt pełen przebierańców!? – Śmiech na pokładzie *Błysku Młota* znowu uniósł się falą i był tak zaraźliwy, że uśmiechali się nawet niektórzy Beothukowie.

– To długa opowieść, godna ogniska i beczki piwa! – rzucił Oddi. Okręty zrównały się i w stronę *Aifura* poleciało kilka kotw na linach. Na rozkaz Oddiego szybko je odcięto dobrze naostrzoną stalą. Obydwie załogi stały za ścianą z tarcz na pokładach swoich jednostek, ale po żadnej ze stron nie było rozkazu do ataku.

– Nieufny jesteś, wilczku! – powiedział jak gdyby nigdy nic Thoti Próźniak, rzucając trzymany w rękach hak. Ostry zadziór wbił się w burzę, a gruba lina naprężyła niby ścięgnięto tuż przed zerwaniem. Młodzieniec poznał Thotiego po wielkim mięsistym kulfonie, który nosił zamiast nosa.

– Nie tnij, ten będzie jedyny i da nam czas, by zamienić kilka słów w spokoju! – rzucił nosaty wiking.

Oddi powstrzymał gestem Pazury Rysia, który z saksem w ręku zbliżał się do tej kotwy, potem sam podszedł i przeciął ją jednym gwałtownym ruchem.

– Jeśli chcecie rozmawiać, zaczepcie kotwę o rufę naszej sneki i tylko o nią! – odkrzyknął. – Lina nie krótsza niż wysokość dwóch ludzi! – dodał. Tak też się stało i po chwili *Aifur* miał na holu ustawiony do niego bokiem większy okręt. Łatwiej było bronić stosunkowo wąskiej rufy, mając w zasięgu strzał cały pokład wrogiego okrętu. Kilku wojów na *Błysku Młota* pokiwało głowami z uznaniem dla takiego rozwiązania.

Kanu Beothuków, które tak niedawno brały udział w radosnym wyścigu, zatrzymały się poza zasięgiem strzału z łuku.

Młodzieniec, osłaniany tarczami Bjarkiego i Chrapiącego Psa, przeszedł na tył okrętu. Asgot puścił się masztu i po kilku chwiejnych krokach znalazł przy burcie. W pierwszej chwili złe wspomnienia wzięły górę i Oddi pomyślał, że ojciec jest pijany, ale ku wielkiemu zdziwieniu spostrzegł, że Asgot ma tylko jedną rękę.

– Nie spodziewałem się ciebie jeszcze zobaczyć w Midgardzie, synu, stąd trochę zły początek przybrało nasze spotkanie. – Stali blisko siebie i nie musieli już krzyczeć, by się zrozumieć. W głosie starszego mężczyzny słychać było śmiertelne znużenie i... radość, ale to ostatnie pewnie było złudzeniem. – Jak widzisz – pomachał pustym rękawem – nie jestem już tym samym Asgotem z Czerwoną Tarczą co kiedyś. Nawet nie miałbym czym przytrzymać przy piersi mojego skjolda. – Wysoki wojownik zaśmiał się chrapliwie, co przerodziło się w długi kaszel. – Nie dość, że straciłem rękę, to wdała się w moje ciało jakaś zabierająca siły choroba i niedługo czeka mnie spotkanie z bogami. Myślałem, że jestem ostatnim... – Jego głos przycichł, by zaraz znowu nabrać mocy. – Ale jesteś ty, dzięki niech za to będą Jednookiemu. Trzeba ratować matkę i Jofriddkę, moją małą Jofriddkę. – Przerwał na chwilę i zamknął oczy. Na jego śmiertelnie bladą twarz z wysiłku wystąpił lekki rumieniec. – Ale skoro tu jesteś, nie muszę walczyć z bogami o życie, tym bardziej że chyba przegrywam tę bitwę. Oddaję ci ostatnich drengów, którzy przy mnie pozostali. Pomścij lub uratuj krewnych... synu. – Asgot odsunął gniewnym ruchem podtrzymujących go wojów. Wychylił się lekko za burzę, chcąc być jak najbliżej Oddiego. Chłopak czuł jego pełen choroby oddech. – I wybacz ojcu, że obarczył cię zadaniem, któremu sam nie podołał, że całe twoje życie traktował cię jak psa, że... – Zakrztusił się i przez kilka chwil charczał niczym zarzynany dzik. Podniósł wzrok i spojrzał spod krzaczastych brwi na syna, a Oddi ujrzał go takiego, jakiego umiłowała kiedyś matka, jakiego kochali jego drottnadowie, w tym stary mądry Vingor. – I synu – wskazał na *Aifura* – jestem z ciebie dumny.

Oddi wbrew samemu sobie poczuł napływające do oczu łzy. Przecież tak nienawidził swego ojca, przecież poderżnąłby mu gardło, gdyby miał okazję, a jednak to jedno zdanie, którego nigdy nie spodziewał się usłyszeć z jego ust...

Niegdyś wielki dreng, drottnad samego władcy Szwecji, teraz stary i znękany chorobą człowiek, odwrócił się w stronę swoich ludzi.

– Dziękuję za służbę, bracia. Tych, którzy pozostaną mi wierni do końca, proszę o jeszcze jedną, ostatnią przysługę. Złóżcie mi tu i teraz przysięgę na Odyna, że podążycie za moim synem. Tych zaś, którzy tego nie chcą uczynić, zwalnię z danego mi słowa. Otrzymałem od was więcej niż niejeden

wielki wódz od swoich huskarlarów. Pokażcie mi się tylko, bym potrafił po śmierci odróżnić jednych od drugich.

Z liczącej sześć dziesiątek załogi nie wyłamał się nikt, by nie narazić się w drodze powrotnej na kpiny kompanów. Goti odebrał przysięgę i skinął swemu wodzowi. Asgot odetchnął, jakby spadł mu z piersi wielki ciężar. Potem z wyraźną przyjemnością nabrał w płuca jeszcze jeden głęboki haust powietrza, delektując się jego lekko słonym smakiem, zapachem okrętowego drewna, zjełczałego tłuszczu, czyli tym wszystkim, co jest codziennością każdego żeglarza. Wypuścił je powoli, jakby z żalem, i odwrócił się w stronę Oddiego.

– Gdy człowiek dobiega końca dni na tym świecie, synu, widzi wyraźnie swoje błędy i wspaniałe uczynki. Dziękuję bogom, że dane mi było powiedzieć to wszystko właśnie tobie, bo wielkim moim utrapieniem przez ostatnie miesiące był fakt, że odszedłeś, nim przejrzałem na oczy. Znam plotki, ale nic to, synku, nic... Hrafn!

Hrafn Szermierz podszedł do swojego pana z martwą, ściągniętą bólem twarzą. Potem jednym płynnym ruchem wyciągnął z pochwy miecz i wkładając w to całą siłę, oddzielił głowę wodza od tułowia.

Woda plusnęła dwa razy, kiedy wpadły do niej głowa i korpus. Gdy minęło pierwsze zaskoczenie, odezwało się kilka okrzyków, ale obciążony kolczugą i mieczem hövding, zniknął na zawsze w mętnych, głębokich wodach zatoki. Na pokładzie *Błysku Młota* pozostała po nim krwistoczerwona tarcza, której nawet miejscowy surowy klimat nie zdołał odebrać głębokiej barwy.

Oddi spojrział na wikinga i skinął mu w podzięcie głową. Nie był pewien, czy sam zdobyłby się na coś takiego, zamykając tym samym przed Asgotem bramy Walhalli. W tej jednej chwili zapomniał o wszystkim, co było złe, a wtedy drogę do myśli młodzieńca znalazły i te dobre wspomnienia o ojcu.

Posłowie

Akcja drugiej części trylogii *Wikingowie* rozgrywa się głównie na terenach należących do dzisiejszej Kanady, a konkretnie w rejonie Półwyspu Labradorskiego i Nowej Fundlandii. Jest to fikcja literacka, ale oparta na solidnych historycznych podstawach.

Wyprawa wikingów w te rejony odbyła się przypuszczalnie na początku XI wieku. Leif Eriksson, wraz z kilkudziesięcioosobową załogą, żeglował wzdłuż wybrzeży Labradoru i dotarł też do wyspy zwanej dzisiaj Nową Fundlandią. Wikingowie założyli tam osadę i spędzili kilka niełatwych lat. Niepodważalnymi dowodami są ślady budowli normańskich na kanadyjskim wybrzeżu, a konkretnie w miejscowości L'Anse aux Meadows – tłum. Zatoka Łąk (połączenie francuskiego *l'Anse* – zatoka i angielskiego słowa *meadows* – łąki). Inne źródła podają, iż nazwa ta oznacza Zatokę Meduz. Ślady osady odkryto w latach sześćdziesiątych XX wieku. Choć obecnie są tu łąki, tysiąc lat temu teren ten porastały gęste lasy iglaste, których drewno było niezbędne do zbudowania domów, czy raczej ziemianek. Zidentyfikowano osiem budowli, a datowanie radiowęglowe określiło czas powstania na okres między rokiem 990 a 1050 n.e. W trakcie wykopalisk znaleziono przedmioty codziennego użytku wikingów, w tym: kamienną lampę olejną, osełkę, spinkę z brązu, fragment wrzeciona oraz kościaną igłę. Te ostatnie artefakty sugerują, że osadę zamieszkiwały również kobiety.

Innym dowodem na obecność Normanów w Ameryce Północnej są współczesne wyniki analizy DNA mieszkańców Islandii. W 2010 roku grupa europejskich badaczy zajmująca się tą tematyką wywołała sensację, publikując efekty swoich badań. Okazało się, że w tej stosunkowo niewielkiej populacji i w związku z tym w miarę stałej genetycznie wykryto ślady mitochondrialnego DNA, pochodzącego od mieszkańców Ameryki Północnej, prawdopodobnie właśnie z plemienia Beothuków. To by dowodziło, iż wikingowie bywali w Winlandii wielokrotnie i z którejś z wypraw przywieźli miejscowe kobiety ku własnej radości i utrapieniu biednych squaw.

A wracając do wyprawy Leifa Szczęśliwego isl. Leifur Eiríksson, norw. Leiv Eiriksson (ur. ok. 975, zm. ok. 1020) – syna Eryka Rudego, islandzkiego banity i założyciela normańskich osad na Grenlandii. Według *Sagi o Grenlandczykach* i *Sagi o Eryku Rudym* około roku 1002 Leif wyruszył na zachód szlakiem kupca Bjarniego Herjólfssona, tego samego, któremu pierwszemu udało się odkryć nową krainę i wrócić do rodaków z instrukcjami żeglarskimi.

Trzy razy załoga schodziła na suchy ląd. Za pierwszym razem był to teren pokryty kamiennymi płytami (isl. *hellur*), dlatego Leif nazwał go Helluland (Krainą Płaskich Kamieni) – to prawdopodobnie dzisiejszy Labrador. Następnie dopłynęli do lesistego lądu z piaszczystymi plażami, który nazwali Markland (Kraina/Ziemia Lasów) – przypuszczalnie bardziej urodzajna część Labradoru lub właśnie Nowa Fundlandia. Lokalizacja trzeciego miejsca nie została do końca wyjaśniona, być może to też była Nowa Fundlandia, a może jakieś inne tereny położone bardziej na południowy zachód, aż do przylądka Cape Cod. W każdym razie z uwagi na obfitość winogron (niektórzy twierdzą, że nazwa pochodzi od starego określenia traw) krainę tę nazwano Winlandią, a tak dla zachęty potencjalnych przyszłych osadników, dodano człon Dobra. Podobnie postąpił Eryk Rudy, nadając Grenlandii nazwę Zielonego Lądu, choć tej zieleni było tam tyle, co kot napłakał.

Jak się zdaje, przyczyn niepowodzenia tej pierwszej europejskiej kolonizacji Ameryki Północnej było wiele. Poczynając od utrudnionego transportu ludzi i towarów przez sztormowy kapryśny Atlantyk, poprzez niełatwe warunki klimatyczne u wybrzeży Labradoru i w Nowej Fundlandii, kończąc na wojowniczych niegościnnych tubylcach. Według sag nordyckich skrælingowie (*skraëlingjar* – mały, zabijający), czyli pierwotni mieszkańcy tych terenów (należy sądzić, iż chodziło tu bardziej o Inuitów niż Beothuków), okazali wielką dzikość i okrucieństwo, doprowadzając do wycofania się z wyspy osadników, którzy zaniechali trwałego zasiedlenia tych terenów.

Istnieje wiele innych poszlak świadczących o obecności wikingów w Ameryce Północnej, ale w przeciwieństwie do pozostałości osady w L'Anse aux Meadows, te nie są już tak niepodważalne i wzbudzają wiele wątpliwości badaczy. Za autorami książki *Zaginiona historia starożytnych Ameryk* wymienię kilka.

Tajemnicza wieża na Rhode Island w Newport (Nowa Anglia), zdradzająca podobieństwo do średniowiecznych skandynawskich budowli tego typu. Jeden z badaczy tematu, Paul Chapman zwrócił uwagę, iż wieża ta widnieje już na mapie Merkatora (Gerharda Kremiera) z 1569 roku, flamandzkiego matematyka i geografę, który jako pierwszy na świecie nazwał wydany przez siebie zbiór map *Atlasem*. Zdaniem Chapmana ów fakt wskazuje na jej prekolumbijskie pochodzenie. Ale są też inni, równie uznani naukowcy, którzy kategorycznie twierdzą, że wieża nie mogła zostać zbudowana przed drugą połową XVII wieku.

Kot rasy mainkun, w którego genotypie odkryto, poza genami wymarłej już amerykańskiej kociej rasy, geny skogkatta – norweskiego kota leśnego. Tego samego, który został oficjalnym kotem Norwegii i który ze względu na mocno nietypową budowę tylnych łap doskonale wspina się po stromych skalnych klifach, gdzie szuka ptasich jaj.

W Kensington w Minnesocie i w Heavener w Oklahomie odkryto kamienie runiczne. To tylko dwa z wielu znalezisk tego typu na terenie całej Ameryki Północnej, choć specjaliści ciągle spierają się co do ich autentyczności.

Kanadyjska archeolog Pat Sutherland odkryła w miejscowości Nanook położonej na Ziemi Baffina mur z kamieni i darni, zbudowany w sposób charakterystyczny dla wikingów. To może być opisywana w sagach Hellulandia. Pat Sutherland uważa, że skandynawscy żeglarze odwiedzali wyspy północnej Kanady przez kilka stuleci i handlowali z tamtejszą ludnością, ludem kultury Dorset. W celu ułatwienia sobie życia budowali na tym terenie tymczasowe faktorie. Archeolog wskazuje na różne przedmioty skandynawskiego pochodzenia, które odkryto na kanadyjskiej północy w ciągu ostatnich dziesięciu lat. Są to m.in. charakterystycznie zdobione wyroby z drewna czy kamienie do ostrzenia noży i toporów. Do tej grupy zabytków należy też łopata z fiszbinu, którą naukowcy wykopali w pobliżu muru. Wygląda ona tak, jak łopaty odkrywane na skandynawskich stanowiskach w Grenlandii.

To tyle dla uwiarygodnienia obecności Askomanów nie tylko u wybrzeży Ameryki Północnej, ale być może również w głębi tego wielkiego kontynentu.

Pisząc moją opowieść o losach młodego Oddiego Asgotssona i jego perypetiach w Nowej Fundlandii, z konieczności wykorzystałem sytuację, jaką zastali piętnastowieczni odkrywcy tej wyspy, gdyż ten okres jest stosunkowo dobrze udokumentowany. Uznałem, iż przez pięćset lat, które dzielą wyprawę Leifa Erikssona od rajdu Johna Cabota (Giovanniego Cabota), niewiele mogło zmienić się w codziennym, monotonnym i w gruncie rzeczy powtarzalnym życiu mieszkańców tych terenów. Przyjąłem, że na tym obszarze Ameryki funkcjonowały tylko plemiona zbieracko-łowieckie. Przypuszczalnie w głębi lądu żyły w X wieku szczepy zajmujące się prymitywną uprawą roli, tak jak piętnastowieczni Huroni czy

Siuksowie, ale mnie i Oddiego, syna Asgota z Czerwona Tarczą interesowały położone nad Atlantykiem bardziej dzikie tereny Labradoru i Nowej Fundlandii.

Dzieło ojca kontynuował syn – Sebastian Cabot, choć nowofundlandzki historyk zajmujący się tym okresem Daniel Woodley Prowse przytomnie zauważył, iż spisana jego ręką relacja z wyprawy „jest nudna jak dziennik pokładowy pogłębiarki”.

Kolejny był Jacques Cartier, który w 1534 roku tak pisał o nowo odkrytych ziemiach: „Łąd ten nie powinien zwać się Nową Ziemią. Pełno tu okropnych zwalisk skalnych. (...) Jestem skłonny uważać, że to kraina oferowana przez Boga Kainowi. (...) Widziałem na brzegu ludzi, których ciała są foremne, ale jest to lud dziki i nieokrzesany”[3].

W X wieku, tak samo jak w XV, Nową Fundlandię zamieszkiwało tajemnicze plemię Beothuków, co w ich języku oznaczało Czerwonych Ludzi (białym osadnikom udało się poznać jedynie około dwustu słów z tego narzecza, a po eksterminacji nie było się już od kogo uczyć). Kilkaset lat później tak ich opisywano: „Twarze mają płaskie i szerokie, czerwone od ochry, także odzienie i resztę ciała. Szerocy w barach i śmiali, i trzymają się bardzo prosto”[4]. I w tym miejscu trafiliśmy na źródłosłów nazwy „czerwonoskórzy”, która rozprzestrzeniła się w kolejnych latach na wszystkich mieszkańców Ameryki Północnej, choć tylko Indianie z Nowej Fundlandii barwili twarze ochrą.

Tubylcy odziewali się w ubrania z kory brzoźowej i skóry i posługiwali językiem, którego nikt nigdy nie zrozumiał. Byli to ludzie słusznego wzrostu, znacznie wyżsi od Inuitów i innych Indian. Jak się zdaje, wodzem mógł zostać tylko wojownik przewyższający innych wzrostem. Wrogów skalpowali, zdzierając skórę aż do samych ust, co było ponoć nie lada sztuką i wymagało swego rodzaju kunsztu. Beothukowie byli wolnym, niezależnym ludem, wrogo nastawionym do białoskórych przybyszów. Ci ostatni trzebili stada karibu, zajęli i eksploatowali na potęgę łowiska łososi, polowali na foki, wieloryby i inne zwierzęta i ryby, które były podstawą dotychczasowej diety Indian. Nie ma się więc co dziwić, że poza kilkoma pokojowymi spotkaniami reszta kończyła się śmiercią ludzi z jednej lub drugiej strony.

Co do opisanej w mojej powieści wędrówki ludu Beothuków, jest ona fikcją literacką, choć opartą na historii innej zaginionej w mrokach dziejów kultury. Jej bohaterem jest wysoko rozwinięte społecznie plemię białoskórych ludzi, zwanych przez indiańskich sąsiadów *Wah-ghas*. Niewiele o nich wiadomo poza czią, jaką im oddawał lud Yurok (zachowały się wzmianki w ich przekazach) i szczątkami znajdującymi się w zbiorach muzealnych w Kalifornii i Nevadzie.

Wspominałem również o stosunkowo wysoko rozwiniętych prekolumbijskich osadach leżących wzdłuż Rzeki Świętego Wawrzyńca. Francuscy odkrywcy natknęli się w połowie szesnastego wieku na osadę *Stadaconé* (*Stadakoh-na*) i dalej w dół rzeki na jeszcze większą, o nazwie Hochelaga. Pierwsza otoczona była systemem wałów ziemnych i palisad i, jak pisze Jan Grabowski w *Historii Kanady*, liczyła kilka tysięcy mieszkańców, prawdopodobnie Irokezów. Hochelaga miała być otoczona palisadą przypominającą swoim kształtem złożoną z trzech różnych warstw bali piramidę. Obydwie zostały zniszczone przez plemiona algonkińskie, chcące prawdopodobnie przechwycić intratny handel z zamorskimi kupcami, a na miejscu tej ostatniej wznosi się obecnie miasto Montreal.

Kolejną kwestią jest opisany przeze mnie „niedźwiedziopodobny” lud BeothNocha. Nazwa fikcyjna, ale już zetknięcie ludzi zamieszkujących tereny Ameryki Północnej z niedźwiedziem olbrzymim miało miejsce, choć znacznie wcześniej.

Przez lata wspólnej egzystencji nie udało się Europejczykom poznać nie tylko kultury i wierzeń tych Beothuków, ale nawet ich języka, który ponoć był świszczący i mrużący, toteż przyjąłem na potrzeby tej powieści, że Beothukowie wierzyli w Wielkiego Ducha – Wakan Tankę, tak jak Indianie z położonego

w głębi łądu plemienia Dakota (Siuksowie). Model relacji wewnątrzplemiennych również oparłem na wzorcach zaobserwowanych u innych plemion, tym razem z szerokiej rodziny Algonkinów, do której należeli Czerwoni Ludzie.

Ciekawostką może być fakt, iż jak twierdzili misjonarze francuscy w początkach XVII wieku, odnosząc się do zwyczajów Indian kontynentalnych: „Od początku świata, aż do pojawienia się Francuzów Indianie nie wiedzieli, co znaczy wzbraniać czegoś swym własnym dzieciom pod groźbą kary. Uważają się za wolnych ludzi, z których każdy jest równy innym, a poddają się woli wodzów tylko wtedy, gdy mają na to ochotę”[5].

Beothukowie należeli do wielkiej rodziny plemion algonkińskich razem z: Montagnais, Odżibwejami, Attikamekami, Mikmakami, Czarnymi Stopami, Ottawami, Mississaugami, Sauteursami, Kri, Renardami (Lisami) czy Nipissingami i innymi. Kanadyjscy Algonkinowie zamieszkiwali wielkie połacie łądu, począwszy od Atlantyku, a skończywszy na Górach Skalistych. Na całym obszarze Ameryki Północnej, jak się szacuje, w XV wieku żyło około dwóch milionów Indian i Inuitów, posługujących się pięćdziesięcioma językami należącymi do dwunastu grup językowych (dane z początku XVI wieku[6]). W związku z raczej wędrownym trybem życia plemion algonkińskich (tak było po przybyciu białych osadników na te tereny, więc tym bardziej w X wieku n.e.) budowały one tymczasowe obozowiska, na które składały się kryte skórą i korą wigwamy – mamateki. Na okres chłódów okładano je dodatkowymi warstwami z kory brzoźowej i skór. Ciężkie zimy powodowały, że na ten czas plemiona rozpadały się na klany, którym łatwiej było zdobywać pożywienie i przetrwać czas głodu.

Latem sytuacja poprawiała się i plemiona zbierały się w większe grupy, które wybierały sobie wodza. Musiał on wykazać się wielkimi umiejętnościami łowieckimi oraz zdolnościami przywódczymi, ponieważ potrzebował akceptacji całego plemienia. Taki wojownik nie tylko powinien być silny fizycznie, ale również umieć słuchać innych, pośredniczyć w łagodzeniu zatargów, być człowiekiem skromnym i hojnym. Niekiedy w sytuacji wielkiego zagrożenia władzę przejmował jakiś silny wódz i dzierżył ją niczym dyktator, ale to należało do rzadkości. Z reguły panował ustrój bardzo zbliżony do dzisiejszej demokracji.

Gdy rodziny jednoczyły się w cieplejszych okresach, w miarę potrzeb zarządzano wyprawy wojenne i wielkie polowania. W grupach krewniaczych to kobiety desygnowały przedstawicieli rodziny do rady starszych klanu, skąd z kolei typowano mężczyzn do rady plemienia. To one zajmowały się obecnymi i dziećmi, gdy mężowie przebywali na długich polowaniach, to one decydowały o losach jeńców wojennych i uczestniczyły w torturach, wreszcie to one mogły odprawić męża, jeśli ten nie sprawdzał się w zapewnianiu bytu rodzinie.

Jak zauważa Jan Grabowski w *Historii Kanady*, „(...) Z punktu widzenia białych, rzeczą zdumiewającą był wysoki prestiż społeczny kobiet”. Zdarzały się kobiety szamanki, choć nie mam pojęcia, czy tak jak u wikingów niewiasty niemal na równi z wojownikami mogły walczyć w bitwach. Zakładam, że nie.

Mężczyzna przenosił się po ślubie do domu żony, więc siłą rzeczy to jej rodzina miała na niego wielki wpływ. Były dwa rodzaje małżeństw: oficjalne – w którym żona (arenonha) przyjmowała męża do swojego wigwamu na dwa lata (jeśli się nie sprawdził – był odsyłany), i kontraktowe, na okres długiej wyprawy myśliwskiej czy handlowej. Żonę kontraktową zwano asqua, od którego słowa pochodzi angielska nazwa *squaw*. Rozwody wśród Indian zdarzały się często i wtedy dzieci pozostawały przy matce. To pod wpływem białych osadników wojownicy zaczęli traktować kobiety jako istoty gorsze, tak że pod koniec XVIII wieku szamanki należały do rzadkości.

Co do niewolnictwa, to kwitło, ale różniło się od tego, jakie powszechnie znamy. Niewolnika zdobywano z reguły na wojnie i po początkowym okresie aklimatyzacji nadawano mu nowe imię i wcielano go do plemienia na równych prawach. W czasie masowego wymierania wojowników na skutek przywleczonych przez białych chorób silniejsze plemiona w ten sposób ratowały się przed wymarciem lub wchłonięciem przez „zdrowszych” sąsiadów.

Zbierając materiały do tej książki, odbyłem również rozmowę z przedstawicielem Polonii kanadyjskiej, panem Kazimierzem Chrapkiem, prezesem prężnie działającej Fundacji Reymonta. Ciekawiły mnie współczesne losy Indian i przedstawione przez niego konkluzje nie są budujące. Jak twierdzi, z uwagi na rozbudowany system pomocy socjalnej i nieodpowiednią historyczną politykę asymilacji wśród Native Nations panuje bezrobocie i patologie społeczne na skalę o wiele większą niż wśród innych nacji zamieszkujących tereny współczesnej Kanady.

Jeszcze kilka zdań o wierzeniach, które implementowałem Beothukom z kultury Indian Dakota (Siuksowie). Był to zabieg podyktowany stosunkowo bogatym materiałem dotyczącym właśnie tego szczepu, gdy tymczasem brakuje informacji na temat pierwotnych mieszkańców Nowej Fundlandii. Wśród Indian znad Zatoki Hudsona, należących tak samo jak Beothukowie do szerokiej rodziny plemion algonkińskich, wierzono w dwa bliźniacze bóstwa: Nanaboscho – dobrego ducha słońca i światła, i Chakenapok – ducha zła, księżyca i ciemności. Toczyły one ze sobą nieustanny bój. Zawsze ginął ten zły i z wściekłości zamieniał się w kamień, a biorąc pod uwagę skalisty krajobraz tamtych terenów, tych walk musiało być całkiem sporo. To jednak zbyt mało, by stworzyć spójny i w miarę kompletny system wierzeń moich bohaterów. Stąd odwołanie do mitologii Siuksów. Systemy wierzeń zapewne były podobne, jako że najwyższym bóstwem ludu Algonkinów (a więc i Beothuków) z terenu południowo-wschodnich Stanów Zjednoczonych i Kanady był Kici Manitu, czyli właśnie Wielki Duch. Tak samo jak Wakan Tanka stworzył on wszechświat i władał swoim dziełem za pomocą Słońca, Księżyca, Pioruna, Wiatru i wielu innych pomniejszych nadnaturalnych bytów.

Cały świat Indian był przepełniony duchami, zamieszkiwały one nawet wodę i kamienie, więc dawny mieszkaniec Ameryki Północnej nigdy nie czuł się samotny. Te ostatnie zazwyczaj bywały uśpione, jednakże gdy się przebudziły, często miało to poważne następstwa. Duchy charakteryzowały ludzkie cechy i umiejętności, i tak na przykład duch wiatru znał ludzką mowę i potrafił pięknie śpiewać, a duchy drzew, wodospadów czy gór mogły przybierać postać wojownika. Pomiedzy nimi trwała również nieustanna walka, co widać na przykładzie ciągłych zmagania ducha piorunów z duchem wody.

Każdy człowiek, a człowiekiem mógł być również niedźwiedź czy bizon, miał swoje indywidualne bóstwo opiekuńcze. Duchom stawiano totemy. Słowo to w języku algonkińskim oznacza brata. Im wyższy totem, tym większy prestiż budowniczego (straciły na znaczeniu, gdy dzięki żelaznym narzędziom „białego człowieka” rzeźbienie ich stało się łatwe i pospolite).

Indianie Dakota wierzyli i być może wierzą do dziś, że Najwyższy Stwórca, Wakan Tanka czy Tunkashila jest uchem wszechobecnym i bezcielesnym. Ta nadistota nigdy nie odpoczywa, ciągle tworzy, a jego moc dosięga wszystkiego, co żyło, i nie tylko. Co ciekawe, Indianie ci twierdzili, że Wielki Duch nie jest doskonały, bo jakżeby mógł taki być, skoro stworzonym przez niego istotom, w tym ludziom, daleko do ideału? Wakan Tanka stworzył Wakanpi, czyli supernaturalne duchy – bogów i boginie (w naszym rozumieniu), choć najpierw stworzył siebie samego.

Gdy poczuł się osamotniony, powołał do istnienia Tob-Tob, czyli szesnaście boskich istot. Najpierw Wi (Słońce), dawcę światła, ciepła i życia; potem Księżyc zwany Nocnym Słońcem, by dotrzymywał towarzystwa Wi i był jego żoną. Potem z niebytu wychynęło niebo, czyli Taku Skanskan – Ruch, kolejny,

zaraz po Wi, jeśli chodzi o posiadane moce. Skan to moc, która wprawiała wszystko w ruch. Trzecią z kolei siłą była Ziemia – „Maka”, Matka Wszystkiego. Lakota nazywali ją również Unchi – Babcią. Była to wielka karmicielka wszystkich istot, które w podzięce za ten trud winne są jej dozgonną wdzięczność. Indianie wierzyli, że ludzie są opiekunami Ziemi, że muszą zostawić ją nienaruszoną dla przyszłych pokoleń, że my należymy do Ziemi, a nie Ziemia do człowieka. Podstawowym przekonaniem było przecież, że to Unchi jest żyjącą istotą, obdarzoną świadomością, i powinna być traktowana z szacunkiem i troską.

Wszystkie największe i najsilniejsze duchy razem: Słońce, Księżyc, Niebo i Ziemia, tworzyły Święte Koło – Święty Krąg Życia.

Piątą Mocą była Inyan – Skała, będąca wiecznością. Kamienie miały znać wszystkie sekrety, być żywe i posiadać umiejętność przenikania w głąb myśli. Kolejne to Czwórwiatry, Konflikt (zły duch), Spadająca Gwiazda, Ptak Piorun, Bogini Morza, Sichun – Intellect i Wir Powietrzny.

Na koniec powstałi bardziej podobni do Wielkiego Ducha, bo niemający materialnej postaci: Nagi (Cień Zmarłego), Niya (Tchnienie Życia) i Sicun (Moc Ducha).

Tob-Tob (Cztery-Cztery) stworzyły pomniejsze bóstwa do pomocy, w tym: człowieka-bizona, człowieka-niedźwiedzia i człowieka dwunożnego.

Reasumując, a piszę to z pewną nostalgią, trochę szkoda, że kultura białego człowieka tak zmieniła odwieczne obyczaje Indian Ameryki Północnej. A ci, jak plemię Beothuków, którzy nie chcieli, nie umieli się zmienić i dostosować, zostali wybici do nogi i ślad po nich zagał. By choć trochę zrekompensować dawne krzywdy, przedstawiłem losy białego człowieka wśród Indian, Normana, który wcale nie jest na z góry wygranej pozycji, a jego bronią jest tylko spryt, pomysłupek, prosta skandynawska dusza i szczere, otwarte serce.

By ukazać współczesnemu czytelnikowi odwieczną mądrość pierwotnych mieszkańców Ameryki Północnej, w powieści wykorzystałem zdania wypowiedziane przez znanych wodzów, czarowników lub innych mądrych i doświadczonych Indian. Korzystałem ze stron: <https://ogrodnikumyslu.wordpress.com/2015/01/21/10-madrosoci-szamanow-indianskich/>, <http://www.zb.eco.pl/bzb/15/madrosoc.htm>. Jak łatwo zauważyć, niosą one ze sobą ponadczasową wiedzę o świecie i człowieku.

Ponadto, dla zbudowania właściwego klimatu opowieści, przytoczyłem niektóre mity plemion północnoamerykańskich. W tym przypadku korzystałem z dzieła: Richard Erdoes i Alfonso Ortiz, *Mity i legendy Indian Ameryki Północnej*.

Dodatek

Pojęcia w języku nordyckim:

abbas – opat

Åsgårdsreia (norw.) – dziki gon. Horda ludzi, psów i koni prowadzona przez widmowego wojownika. Ujrzenie dzikiego gonu zwiastuje zarazę, wojnę bądź inną katastrofę. Szwedzi zwali dziki gon – Odens jakt.

adder – żmija

aett – klan, rodzina, ród

álpt – łabędź

aifur (dun.) – okrutny

argr – zniewieściały mężczyzna

Askomanowie – ludzie jesionu, wikingowie

aul – napój

austmad – człowiek ze wschodu

Austrvegrfjord – Fiord Wschodniej Drogi

austrvegr – wschodnia droga

á morgun – jutro

berserk – wojownik, który wpadając w furie, stawał się znacznie silniejszy i mniej wrażliwy na obrażenia. Wierzano, że w tym czasie zamienia się w wilka (Kveldulf – Nocny Wilk) lub niedźwiedzia (ber, bar znaczy nosić, serkr – pancerz, zbroja). Wyrażenie pokrewne: ulfhednar – w wilczej koszuli.

bjarki – niedźwiadek

Blaserk – przyd. Niebieska Koszula

braektat – talizman

brauð – chleb

brudir berserkja – kobieta berserk

biarkøyarrettr – prawo handlowe

Bretland – Brytania

bjargrygr – pomocna kobieta, np. położna

bonde, bond – człowiek wolny, gospodarz i głowa rodu. Znacznego bonda zwano stormanem

bydh – okolice nadające się do zamieszkania, obydh – nieużytki

bygg – siew

cénel – ród możnowładców

córki Gefny – kobiety oddające swe ciała w zamian za pieniądze

dagur/dagor/dagr – dzień

dagvedhr – posiłek dzienny spożywany rano, po wykonaniu pierwszych prac w gospodarstwie (inna nazwa: rismal). Drugim i ostatnim posiłkiem był nattverdhr – posiłek nocny, spożywany po zakończeniu prac, wczesnym wieczorem.

dämesagi – opowieści mitologiczne

dögun – świt, brzask

dal (nord.) – dolina. Gnomedal – Dolina Gnomów.

delling – zmrok

Digre – przyd. oznaczający osobę krępą – grubą i niezbyt wysoką

dum – mgła

draug/draugr – żywy trup

drengowie, l. poj. drengr – wojownicy/towarzysze

drottmadowie – członkowie drott, przybocznej drużyny właściciela posiadłości lub znaczniejszego bonda

doegr – morska jednostka miary oznaczająca odległość, jaką okręt przepłynie w ciągu doby (średnia prędkość statków wikińskich – pięć węzłów). Dobry okręt pod żaglami i z pomyślnym wiatrem mógł pokonać w ciągu dnia do 30 mil morskich.

drekka brullaup – opijanie wesela

duces – dowódcy armii

dýr – karibu

einfoetingr – jednonóg, rodzaj potwornego stworzenia

eldr (ogień) – nazwa ognia w świecie ludzi

ekki á morgun heldur hinn – pojutrze

Englismadowie – Anglicy

erga – seks między mężczyznami

eyrir – jednostka wagi, odpowiednik uncji

fálki – sokół

félag – wspólnota poza obrębem rodu. Félagi – członek tej wspólnoty.

fífa – strzała

fiskevoer – stacje rybackie

foelle – towarzysze, bracia w znaczeniu społecznym

fóstri – instytucja przybranego ojca. Syna oddawał na wychowanie zwierzchnik podwładnemu, a uchybienie takim obowiązkom było wielką ujmą na honorze.

fostbrádralag – mieszanie krwi, zawieranie przymierza

fylk – lud, fylka – rejon zajmowany przez dane plemię, fylking – mur tarcz

gamle hamn – stary port

gästing (szwedz.) – cykliczny (zwykle sezonowy) objazd ziem przez władcę

gestir – umyślny, sprytny poseł układający się w imieniu swego pana

gimle – niebo

glam (Gla) – nazwa własna oznaczająca „upiornie wyglądającego człowieka”

Glamr (nord.) – księżyc

gjald – głowszczyzna, okup za zabitych członków rodziny, tzw. monety krwi

Gjallandi – przyd. Hałaśliwy

Grágás – przyd. Szara Gęś

gidð (gird) – dwa znaczenia: opieka, bezpieczeństwo lub osoba wolna i bez własnego domu, przebywająca u kogoś w gościnie

grið (grid) – prawo łaski

griðniðing (gridniding) – łamacz ugód

gothi – kapłan

hag – biegły, zręczny

hamramirowie/ham-ramr – ludzie zmiennokształtni, mogący przyjmować postać wilka lub niedźwiedzia

haerskjold – tarcza wojny. Symbol niesiony przed oddziałami podczas bitwy. Przeciwnieństwem jest biała tarcza – fredskjold, symbol pokoju niesiony na drzewcu.

Hårfagre/Hárfagri – przyd. Pięknowłosa

hal/hall – długi dom

hermithra – tęsknota za domem

hevsir – dowódca wojenny

hövding/hevding – wódz

höv/hov – dom

høst (dun.) – żniwa/jesień. Rozpoczęły się w sierpniu (początek jesieni).

Høje – den høje – przyd. Wysoki

kolmganka/holmgang, (spacer po wyspie) – pojedynek dwójki obnażonych do pasa ludzi, na ograniczonym terenie. Przegrywa ten, który pierwszy przekroczy wyznaczoną linię, lub ten, u którego poleje się krew.

Hilditon – Ząb Bojowy – nazwa miecza lub okrętu

himþigi – mężczyźni należący do domostwa

himinn (pokrywa) – nazwa nieba w świecie ludzi. W innych światach miało ono odmienne nazwy.

hird – drużyna władcy, świta

Hjart – przyd. Jeleń

holm – wyspa lub półwysep

Holmskalle – przyd. Łysa Czaszka

hirðy – zwarte formacje bojowe podobne do greckich falang

hliðskjálf – miejsce obserwacyjne

Huggende/Høggvande – przyd. Rębajło

huskarlar/huskarl – członek elitarnej drużyny wikingów. Nazwa pochodzi od drużyny Kanuta Wielkiego i z czasem rozciągnęła się na wszystkich drużynników

husting (dun.) – tzw. thing domowy. Zgromadzenie zwoływane przez lokalnego jarla.

husanotra – przyrząd nawigacyjny, koło wyznaczone na kawałku drewna, podzielone na osiem części – airtów. Przyrząd ten był orientowany na Gwiazdę Przewodnią (Gwiazdę Polarną).

hring – koło

hreysar (dun.) – kamienne usypisko

Hvide – przyd. Biały

í dag – dzisiaj

Irland Mikkla – Irlandia Wielka, zamieszкана część Grenlandii

Islat – Islandia

jarl; haulder; landmand; thegen – tytuły szlachećnie urodzonych

Jausalir/Jorsaland – Jerozolima

jörth (rola) – nazwa ziemi w świecie ludzi. Inne światy miały odmienne nazwy.

Jul – święto przesilenia zimowego

karlmadowie – ludzie wolni, ale pracujący na nie swojej ziemi

kaupang – targowisko

Kappe – przyd. Olbrzym

kiltr-gildir – pełnej wartości, wymiarów lub wagi – dot. najczęściej monet

kill – wąska morska zatoka, fiord

kjöt – mięso

klukustund – godzina

klammhog – cięcie wstydu, obcięćie tchórzowi kawałka pośladka

Kleggi – przydomek oznaczający gza

klerker – znający łacinę lub mieszkanić Skandynawii, który został chrześcijańskim księdzem

konung, truhtin, l. mn. konungarna – król w czasach wikingów

kólbitr (węgłozerca) – leń wylegający się przy ognisku

kristmaðr – chrześcijanin

Krikiar – Grecja

kyndemil – odległość, w trakcie której pokonywania wypala się jedna pochodnia

kyrtill – tunika z krótkimi rękawami, sięgająca połowy ud

lada (nord.) – zapraszać lub targować się

logn (pogoda) – nazwa obowiązująca w świecie ludzi

landmand – stanowisko wojskowo-administracyjne, podobnie jak: haulder, thegen

lantmil – jednostka długości, oznaczała orientacyjną odległość pomiędzy dwiema gospodami

leding (dun.) – pospolite ruszenie, norw. leidang

Longbardland – określenie Włoch w języku nord.

Logsogumadr – głoszący prawa

leiðsagnarmaðr – przewodnik lub pilot wodny

lok-rekkja – nazwa sypialni, odgródzonej od dużej hali materiałowymi przepierzeniami

lid/lið – przyboczna drużyna wojowników

Lille – przyd. Mały (den lille)

leidang – armia

luka (staroisł.) – zamykać

logi (staroisł.) – dziki ogień

Mani (księżyc) – nazwa księżyca w świecie ludzi

mánuður – miesiąc

maekir – miecz z Północy o zaokrąglonym sztychu i trójkątnej głowni

maekir saurgan – brudny miecz – wyzwisko

Marklandia – Kraina Lasów

meykongr (meykong) – wojowniczką

meginhufr/meginhúfr – dodatkowe poszycie łodzi, montowane poniżej linii wody. Inne – sztywne deski po obu stronach kadłuba, zwiększające stabilność statku.

mikill vinr – najdroższy przyjaciel

mikill drengr – wielki wojownik; drengr – towarzysz broni

miskunn – miłosierdzie

nidingowie – bezpańscy wojowie, wyrzutki

Miklagard – Wielkie Miasto – Konstantynopol

mjólk – mleko

modi – odwaga

morgunn – rano

muinitr – klasztor

naust – port

nöt – noc

noes (dun.) – przylądek

Norvasund – Gibraltar, Słupy Herkulesa

odal – dziedzictwo, bonda takiej ziemi zwano odalmanem. Słowo „odal” w staronordyckim oznaczało również kraj ojczysty.

odhr (staroisł.) – szal/poezja

ofeg/ofegh – człowiek, któremu nie jest pisana zguba

osti – ser

Ordigskeegi – przyd. Szczecina

Ormrinn Langi – Długi Wąż (nazwa okrętu)

ortug, öre – nazwa jednostki wagi oraz monety

oskilgetrin – bękart

oxe (dun.) – wół

overnord (dun.) – miejsce na Północy

papar – mnich

þarnik þéreiگیúrr – „Oby nie zabrakło męskiej mocy”

peningi – srebrne staroangielskie monety (dziesięć peningów = jedna uncja srebra)

primasignan – oznaczony krzyżem mieszkaniec Północy, co nie oznaczało jednak jego szczerego nawrócenia. Np. wojownicy przyjmowali wiarę w Chrystusa, by służyć w armiach chrześcijańskich władców.

pytr – studnie

refr – lis

reessoe (dun.) – olbrzym

Romvejowie – Rzymianie

róa – wiosłować

roðsmenn – sternicy

riki maðr (riki madr) – bogacz

Rig – człowiek, który posługuje się runami

riff/reff (st. nord.) – długa mielizna

Riselandia – kraina olbrzymów

ri tūaithe – lokalny król

run – sekret

sagnamadowie – śpiewający sagi, twórcy sag

sambátar (st. nord.) – przystań dla łodzi

sandbakka-ás (st. nord.) – piaszczyste wzgórze

sagersall – zwycięzca

saekonung/sjákonungar – dowódca morskiej wyprawy (król morza)

saks/skramasaks – długi nóż (krótki miecz – ostrze 30–70 cm)

Saxland – duńskie określenie terytorium Niemiec

sär (zwierciadło) – nazwa morza, obowiązująca w świecie ludzi

scy (zasłona) – nazwa chmur w świecie ludzi

setery – górskie pastwiska

Serkirowie – Arabowie, Saraceni

seimadowie – czarownicy, mężczyźni używający czarnej magii

seidr (seiðr) – czarna magia

seidkona – osoba parająca się czarną magią (kobieta)

Silfra – przyd. Posiadacz Srebra

Sjörkland (Serkland) – kraj muzułmanów. Nazwa pochodzi od przekonania, że ludy z Bliskiego Wschodu nie noszą bielizny asjörk.

skjaldborg – mur tarcz, formacja bojowa

Skarphedinn – przyd. Ostrozęby

skafhogg – przycinanie

Skæggemand – Brodacz – nazwa łodzi, w której na mocnicy zamontowano żelazne kolce

skjaldmeyjar – kobieta chodząca z tarczą, wojowniczką

Skeggi – przyd. Żelaznobrody

skogkatt – kot leśny – norweski kot, mający wyjątkową umiejętność wspinania się na pionowe ściany skalne w poszukiwaniu jaj ptaków (krótsze tylne łapy). Duży, o wadze ponad 5 kg, ma wokół szyi futrzaną kryzę i „pędzelki” na uszach (jak u rysia). Tę rasę odkryto również w Ameryce Północnej (maine coon), stąd przypuszczenie, iż koty trafiły tam wraz z wikingami w X wieku.

skyr – napój, w którego skład wchodziło sfermentowane krowie mleko i mąka

skōgarmaðr (skogarmadr) – leśny człowiek

skjold/skjöldr – drewniana okrągła tarcza obciążona skórą

skogsmil lub rast – odległość pomiędzy dwoma miejscami postoju, zazwyczaj dającymi cień terenami zadrzewionymi

skraeling (skræling; skraëlingjar) – mały zabijający, obcy, słabeusz, nędzny, żaloszny. Taką nazwę Skandynawowie nadali Inuitom.

skramasaksy – krótkie miecze długości 30–70 cm

storhögar – duże kurhany; kungshögar – kurhany królewskie

skömm – hańba

slatur – danie składające się z owczego żołądka, wypełnionego ostrą kaszanką

sumar – lato

spjarrar – skórzane rzemienie, którymi owijano nogi od kolan do kostki

stång – około szesnastu stóp

stenkast – odległość równa rzutowi kamieniem

strandhogg – łupieżczy rajd wzdłuż wybrzeży, bywało, że i skandynawskich, realizowany w celu zaopatrzenia załogi w prowiant

sólarupprás – wschód słońca

sólsetur sólarlag – zachód słońca

synningthwait – miejsce oczyszczone przez ogień

Svalbarði – *Chłodny Dziób*, nazwa okrętu

svynfylka/svinefylking – „świńska głowa”, trójkątna formacja bojowa

Svitjod – kraj Szwedów

Svear – Szwedzi

Svarte – przyd. Czarny

thing – wiec

thund – łuk

tign – honor wojownika

tími – czas

tirr – sława

til arsk ok fridar – toast: za pomyślne zbiory i pokój

trémadr lub skurgopð – sanktuarium pod gołym niebem, gdzie oddawano cześć bogom pod postacią wyrzeźbionych w drewnie twarzy, które umieszczano na słupach

thraell – domowy niewolnik

Trollaskegg – Broda Trolla – imię

ulfr – wilk

Ulthima Thule (Ziemia Lodu) – Islandia

Ulfhedhnar – szaleniec w wilczej skórze. Inna nazwa berserka.

Unz riufaz regin – Aż do końca władców. Chrześcijański odpowiednik – „Na wieki wieków”.

varg – człowiek wygnaniec, od varg – samotny wilk. Varg í véum – wilk w świętych miejscach, wygnaniec.

vaegir – ognisty miecz

vardestur – wyprawa na Północ po kły morsów i skóry białych niedźwiedzi

vardlokkur – nazwa pieśni stosowanych w rytuale zwabiania duchów opiekuńczych

vet (vetur) – zima

vergeld – kara za zabójstwo (wartość człowieka), płacono ją rodzinie zmarłego

vester (dun.) – zachodni; øster (dun.) – wschodni

vindr – wiatr

visundr – żubr

vika – tydzień

viik/vik/vig (dun.) – mała zatoka

víkingr, l. mn. víkingar – żeglarz, łupieżca

völva (kobieta dzierżąca różdżkę) l. mn. vödur – czarownica, wieszczka. Inne równoważne określenie: vitka, spakona. Atrybutem ich były różdżki zwane starf. Przywoływały magię pieśniami zwanymi vardlokkur. Do czarów używały również ziół: bylicy pospolitej, babki, werbeny, arcydzięgla, szaławii.

vor/vár – wiosna

wíthr – nazwa lasu w świecie ludzi

vaðmál (wadmal) – wełna na żagle, całuny

Waregowie/Variagi – normańska drużyna wymuszająca trybuty od plemion. Z czasem tak nazywano na Rusi wszystkich Normanów.

wyrd – los

Okręty wikingów:

Przybrzeżne:

– eikja – dłubanka i podobne, przeznaczone do transportu po jeziorach i jako promy

– bátr, inaczej zwany epitirbátr (łódź na holu) – łodzie przewożone na większych jednostkach

Podróżnicze:

karli/karfi, l. mn. karfary – małe, przybrzeżne, od 26 do 30 wiosł, przeznaczone do działań wojennych, np. transportu oddziałów.

langskipy (długie łodzie) – okręty liczące co najmniej 20 wiosł przy każdej burcie:

sneki/smekkja – małe pełnomorskie łodzie liczące od 30 do 40 wiosł,

skeiðy/skeidy – okręty wojenne (hevskipy), średniej wielkości, liczące od 50 do 60 wiosł,

drakary/drakkary (smoki) – okręty wodzów, od 60 do 120 wiosł. Dla króla Olafa Tryggvasona zbudowano okręt o nazwie *Długi Wąz (Ormrinn Langi)*, którego załoga liczyła 574 ludzi.

Kupieckie (kaupskipy):

ferja, byrdingr – promy towarowe. Według niektórych źródeł, duże statki kupieckie zwano właśnie byrðingr.

knörr/knara/knarrer, l. mn. – knerrir – duży, pełnomorski statek kupiecki.

skúta – nazwa niezbyt dużego okrętu o przeznaczeniu ogólnym

W utworze noszącym tytuł Rímtöl (wiersze o czasie) autorzy przedstawiają nazwy gwiazdozbiorów, które pochodzą z języka staronordyckiego, źródło – <https://prezi.com/qy-qd6tgp72c/niebo-wikingow/>.

Musimy zdawać sobie sprawę, że z uwagi na dominującą rolę łaciny w piśmiennictwie europejskim tamtego okresu staronordyckie nazwy gwiazd i konstelacji gwiazdnych zatarły się na kartach dzieł

pisanych głównie przez duchowieństwo. Jednak nie budzi wątpliwości fakt, że wikingowie mieli „swoje własne niebo”, oparte zapewne mocno na praktycznych aspektach życia i przebogatej mitologii:

Ulfr's Keptr, pysk wilka – Hiady (Dżdżownice) w gwiazdozbiornie Byka

Fiskikarlar, rybacy (norw.) – Pas Oriona.

Szwedzi zwali go Kądział Fryggi

Karlvagn, rydwan mężczyzny – Wielki Wóz

Kvennavagn, rydwan kobiety – Mały Wóz

Najprawdopodobniej rydwany Frei i Thora.

Gwiazdozbiór Małego Wozu (Małej Niedźwiedzicy) jest widoczny na północnym niebie przez cały rok. Takie konstelacje nazywa się okołobiegunowymi. Gwiazda Polarna – najjaśniejsza gwiazda w Małym Wozie, to koniec dyszła wozu. Gwiazda ta zawsze leży na północy.

Asar Bardagi, pole bitwy Asów – Woźnica

Gwiazdozbiór Woźnicy nazywany jest Asar Bardagi – polem bitwy lub bitwą Asów noszącą nazwę *ragnarök* – zmierzch bogów, przeznaczenie bogów (*ragnar* – bogów, *rök* – przeznaczenie). Ostatnia bitwa stoczona pomiędzy bogami, ludźmi i elfami z jednej strony a gigantami i ich sprzymierzeńcami z drugiej. Po jej zakończeniu miał nastąpić nowy ład – Gimleia – świat pozbawiony zła.

Wega; Sudrstjarna – gwiazda południa

Latem Wega jest widoczna na południu.

Wega to główna gwiazda niewielkiego gwiazdozbioru Lutni. Świeci na biało, z lekkim odcieniem niebieskawym. Jest to trzecia pod względem wielkości gwiazda nieba północnego.

Polaris; Leidarstjarna – Gwiazda Przewodnia

Polaris (Gwiazda Polarna) zawsze znajduje się na północy i prawdopodobnie kierowano się nią podczas żeglugi, stąd jej imię.

Arktur; Dagstjarna – gwiazda dnia

Wierzenia Indian północnoamerykańskich z terenów dzisiejszej Kanady

Systemy wierzeń w poszczególnych plemionach lub grupach plemion różniły się od siebie, jednak można wyznaczyć kilka cech wspólnych.

Wszystko, co otacza człowieka, jest przeniknięte duchami. Nawet kamienie czy woda mają swoje duchy, które są uspięne. Gdy się budzą, schodzą z gór lawiny, a ziemię zalewają powodzią.

Duchy, przynajmniej większość, miały ludzkie cechy. Na przykład Duch Wiatru umiał mówić i śpiewać, a duchy drzew czy wodospadów przybierały ludzką postać.

Krajinę Duchów umieszczano tam, gdzie zachodzi słońce.

Duchy tworzyły walczące ze sobą pary, np. duch piorunów toczył boje z duchem wody.

Każdy człowiek miał indywidualne bóstwo opiekuńcze, które wskazywał wioskowy szaman na podstawie wizji młodego człowieka poddającego się próbie męskości. Bóstwa te mogły przychodzić i odchodzić, a nawet przejść na innego wojownika.

Ważnymi symbolami były totemy (w języku algonkińskim – brat), rzeźbione w drewnie na wysokość wielu metrów. Z przybyciem białego człowieka straciły na znaczeniu, gdyż metalowe narzędzia uczyniły ich rzeźbienie „pospolitym”.

We wszystkich wierzeniach Indian występuje istota najwyższa – Wielki Duch, która przenika nasz świat. Irokezi zwą go Orenda, Algonkinowie – Manitou, Siouksowie – Wakan Tanka lub Wakonda.

Indianie znad Zatoki Hudsona wierzyli, że ciągłą walkę ze sobą prowadzą dwa bliźniacze bóstwa: Nanaboscho – dobry duch słońca i światła i Chakenapok – duch zła, księżycy i ciemności. Gdy ginął zły, pękał on ze złości i zamieniał się w skały.

Terminy z języka Indian Lakota

lila wakan – świętość świętych, np. kobieta Biała Bawolica. Próba dotknięcia sprowadzała na człowieka błyskawicę.

eyapaha – posłaniec-obwoływacz

Owanka Wakan – święty ołtarz

chanunpa – święta fajka przyniesiona przez Białą Bawolicę. Biorąc ją, prawą dłonią chwyta się za cybuch, a lewą za główkę fajki.

Aby oczyścić nową osobę, skrapia się ją wodą, do której wrzucono słodką trawę lub orle pióro.

chan-shasha – tytoń z kory wierzby

Anpetu-Wi – Wielkie Słońce

Peta-Owihankeshni, czyli Nigdy Niegasnący Płomień, który przechodził z pokolenia na pokolenie.

Tunkashila – Nieodgadniony Praojciec – Wakan Tanka

wakan – święty

Wanblee Galeshka – Święty Nakrapiany Orzeł, najmądrzejsze latające stworzenie, posłaniec Wielkiego Ducha

can-wakan – święte drzewo

Toksha ake wacinyanktin ktelo – Powrócę do was

wichosani – zdrowie

Inipi – szalas potu

- [1] Ta i kolejne zwrotki pochodzą z *Pieśni Najwyższego* (Hávamál) z *Eddy poetyckiej* w przekładzie Apolonii Załuskiej-Strömberg (wszystkie przypisy pochodzą od autora).
- [2] <http://religie.wiara.pl/doc/471782.Znaczenie-swietej-fajki-u-Indian-polnocnoamerykanskich> (J. Brown 1971: 13)
- [3] J. Grabowski, op. cit.
- [4] *Historia Kanady*, Warszawa 2001.
- [5] J. Grabowski, op. cit.
- [6] I. Rusinowa, *Z dziejów Indian kanadyjskich*, Warszawa 2003.

Wydawnictwo Akurat

imprint MUZA SA

ul. Sienna 73

00-833 Warszawa

tel. +4822 6211775

e-mail: info@muza.com.pl

Dział zamówień: +4822 6286360

Księgarnia internetowa: www.muza.com.pl

Wersja elektroniczna: [MAGRAF s.c.](#), Bydgoszcz